

# P jak przestępstwo

Grafton Sue



calibre 0.9.27

1  
T M N

# SUE GRAFTON

## P JAK PRZESTĘPSTWO

**Przełożyła: Katarzyna Malita**

**Wydanie polskie: 2003**

KSIĄŻKĘ TĘ DEDYKUJE

*policjantom z Santa Barbara i ich zmarłemu szefowi*

*Richardowi Brezie, prawnikom z Biura Szeryfa*

*Okręgowego w Santa Barbara, pracownikom Biura*

*Koronera Okręgowego oraz Harriet Miller, pani burmistrz Santa Barbara, w podziękowanie za ich wiedzę, uczciwość,*

*Oddanie swojej pracy i wielkoduszność.*

### **Podziękowania**

Autorka pragnie wyrazić najszczerze podziękowania za nieocenioną pomoc następującym osobom: Stevenowi Humpreyowi, emerytowanemu kapitanowi Edowi Aastedowi i sierżantowi Brianowi Abbottowi, policjantom z Santa Barbara; Melindzie Johnson; adwokatowi Jamiemu Raneyowi i Samowi Eatorowi; prywatnemu detektywowi Lynnowi McLareyowi; E. Robertowi Jonesowi; Hildy Hoffman z biura mera Santa Barbara; emerytowanemu patologowi kryminalnemu, doktorowi Robertowi Failingowi; Judy Cripem; Tracy Brown; Norowi Arnoldowi; Sheili Harker; pielęgniarce Lynn Lazaro i Joyce Tevenan; Leslie Minschke; Ronowi Shenkmanowi z kancelarii Shenkman & Associates; Lornie Backus z Departamentu Demograficznego okręgu Santa Barbara; Johnowi Huntowi z Compu Vision i Jamiemu Clarkowi.

Specjalne podziękowania dla Alana Catesa, szefa Biura Prewencji Przestępstw Medycznych stanu Kalifornia.

W domu przy Old Reservoir Road trwały ostatnie prace wykończeniowe. Wyjeżdżając zza zakrętu, od razu dostrzegłam to miejsce, a sam budynek odpowiadał dokładnemu opisowi Fiony Purcell. Po prawej stronie zauważyłam fragment zbiornika wodnego, któremu ulica zawdzięcza swoją nazwę. Jezioro Brunswick wypełnia dno naturalnego wgłębienia terenu i przez wiele lat dostarczało miastu wody pitnej. W 1953 roku zbudowano drugi, większy zbiornik retencyjny i dziś Brunswick jest jedynie nieregularną błękitną plamką na mapach tego obszaru. Nie wolno tam pływać ani uprawiać sportów wodnych, a na jego spokojnej powierzchni znajdują wychnienie ptaki podczas swoich dorocznych wędrówek. Jezioro otaczają surowe w wyglądzie wzgórza, a ich łagodne zbocza przechodzą w góry wytyczające północną granicę miasta Santa Teresa.

Zaparkowałam mojego volkswagena w wysypanej żwirem zatoczce i przeszłam przez ulicę.

Usytuowana na zboczu działka nie była jeszcze zagospodarowana i na razie jedyną jej ozdobę stanowił kurz i porośnięte chwastami głązy. Przy ulicy stał wypełniony po brzegi ogromny kontener. Na ustawionych na podwórku tabliczkach wypisano nazwiska szefa budowy, malarza i architekta, choć pani Purcell szybko poinformowała mnie przez telefon, że ona sama jest autorką projektu domu. Projekt – jeśli tak można to w ogóle nazwać – na pewno spotkałby się z pełną aprobatą Ministerstwa Obrony: w bladym listopadowym słońcu na zbocze wzgórza pięła się konstrukcja złożona z surowych, niczym nieozdobionych betonowych klocków. Fasada przypominała bunkier i stanowiła ostry kontrast z eleganckimi domami w stylu hiszpańskimi wznoszącymi się na sąsiednich posesjach. Gdzieś na tyłach domu musiał się znajdować podjazd prowadzący do garaży i na mały parking, lecz zdecydowałam się na schody wznoszące się stromo na zboczu. O szóstej rano przebiegłam jak zwykle pięć kilometrów, lecz zrezygnowałam z tradycyjnej piątkowej wizyty w siłowni, by zdążyć na to wczesne spotkanie. Była ósma rano i wchodząc na schody, czułam w mięśniach przebyty dystans.

Gdzieś za sobą usłyszałam szczekanie psa. Głębokie i gardłowe, niosło się echem w kanionie, przekazując całą psią radość i podniecenie spacerem. Kobięcy głos zawołał: „Trudy!

Truuudy!”, lecz pies czekał dalej. Nagle rozległ się przenikliwy głos gwizdka i młody wilczur zbiegł ze zbocza, pędząc prosto na mnie. Zatrzymałam się gotowa na bliskie spotkanie z zabłoconymi łapami, lecz dosłownie w ostatniej chwili ostry gwizdek raz jeszcze przeciął

powietrze i pies pognał dalej. Ruszyłam w górę, zatrzymując się dwa razy na betonowych schodach, zanim dotarłam do tarasu z portykiem z wapienia ocieniającym wejście do domu. W

udach czułam palący ból. Sapałam i dyszałam, a serce waliło mi w piersiach jak karabin maszynowy podczas natarcia. Mogłabym przysiąc, że tu na górze w powietrzu jest znacznie mniej tlenu, ale wspierałam się przecież tylko na wysokość drugiego piętra i nie mogłam znajdować się wyżej niż sto dwadzieścia metrów nad poziomem morza. Udając, że podziwiam widoki, odwróciłam się, żeby złapać oddech.

Z tej wysokości dostrzegłam lśniąca plamę Pacyfiku i jego linię brzegową, rozciągającą się w odległości mniej więcej ośmiu kilometrów. W przejrzystym powietrzu mogłam niemal dokładnie policzyć pasma górskie na wysepkach leżących w odległości dobrych czterdziestu kilometrów od

brzegu. Tuż za mną nad szczytami gór gromadziły się chmury, a ich szybko przesuwały się po niebie ciemnoszary dywan niósł ze sobą zapowiedź burzy. Leżące sześćset kilometrów na północ San Francisco na pewno już odczuło jej skutki.

Kiedy zadzwoniłam do drzwi, oddychałam już spokojniej, a w myślach szybko przebiegłam wydarzenia, które mnie tu sprowadzały. Dziewięć tygodni temu zaginął były mąż Fiony, doktor Dowan Purcell. Fiona przysłała mi przez posłańca do biura szarą kopertę pełną wycinków z gazet opisujących to tajemnicze zniknięcie. Po raz pierwszy czytałam przesłane mi artykuły, siedząc wygodnie w obrotowym fotelu ze stopami opartymi o krawędź biurka. Fiona ułożyła wszystko w porządku chronologicznym, nie opatrzyła jednak żadnym komentarzem. Śledziłam całą tę historię w lokalnej prasie, lecz nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że zostanę w nią zamieszana. Doszłam do wniosku, że ponowna lektura wycinków może się okazać bardzo pomocna.

Zauważyłam, że w ciągu dziewięciu tygodni, które minęły od zaginięcia doktora, ton zamieszczanych w prasie artykułów uległ znacznej zmianie. Pierwsze trzy doby upłynęły w nastroju całkowitego zdumienia i zaskoczenia, po nich przyszły dni gorączkowych spekulacji, by w końcu ustąpić miejsca chłodnym doniesieniom z prowadzonego nadal śledztwa. W jego trakcie nie wypłynęło nic nowego, ale prawdę mówiąc, od samego początku prasa nie mogła liczyć na żadne rewelacje. Nic dziwnego, że zainteresowanie sprawą zaczęło słabnąć, a temperatura doniesień prasowych przypominała już tylko chłód listopadowego dnia. Niestety, taką już mamy naturę. Zagadki i tajemnice zdolne są przykuć naszą uwagę tylko na krótki czas, po czym muszą pogodzić się z faktem, że zdążyliśmy już sobie znaleźć zupełnie inny obiekt zainteresowań.

Doktor Purcell zaginął w piątek 12 września, a długie artykuły relacjonujące to wydarzenie zamieniły się w pisane obojętnym tonem krótkie notatki zamieszczane gdzieś na obrzeżach stron.

Nie brakowało w nich nowych szczegółów, ale musiały ustąpić miejsca innym, znacznie ciekawszym doniesieniom.

Sześćdziesięciodziewięcioletni doktor Purcell od 1944 roku praktykował w Santa Teresa jako lekarz rodzinny, a przez ostatnie piętnaście lat specjalizował się w geriatric. W 1981 roku przeszedł na emeryturę. Sześć miesięcy później powierzono mu stanowisko administratora domu opieki Pacific Meadows, należącego do dwójki biznesmenów. W feralny piątkowy wieczór został

w biurze do późna, by przejrzeć papiery związane z zarządzaniem powierzoną mu instytucją.

Zgodnie z relacją świadków tuż przed dziewiątą wieczór zatrzymał się na chwilę w recepcji i pożegnał z dyżurującymi tam pielęgniarkami. O tej porze wszyscy pensjonariusze udali się już na spoczynek. Korytarze były puste, a drzwi do pokoi pacjentów zamknięto, by nie przeszkadzało im wpadające z holu światło. Doktor Purcell zatrzymał się na chwilę, by porozmawiać ze starszą pacjentką na wózku, która siedziała jeszcze w korytarzu. Po zwyczajowej wymianie grzeczności, która zgodnie z relacją kobiety nie trwała więcej niż minutę, doktor wyszedł przez frontowe drzwi i zniknął w mroku. Wsiadł do samochodu stojącego na zarezerwowanym dla niego miejscu w pomocnej części kompleksu i wyjechał z parkingu w Aksamitną Pustkę, z której już nigdy nie wrócił. Policja z Santa Teresa i pracownicy biura szeryfa okręgowego poświęcili sprawie mnóstwo czasu. Prawdę mówiąc, nie przychodziło mi do głowy nic, co drobiazgowi stróżowie prawa mogliby w

swoim dochodzeniu pominąć.

Zadzwoiłam raz jeszcze. Fiona Purcell powiedziała mi przez telefon, że wyjeżdża z miasta.

Wybierała się na pięć dni do San Francisco, by kupić tam meble i antyki dla klienta swojej firmy zajmującej się dekoracją wnętrz. Zgodnie z zamieszczonymi w prasie doniesieniami Fiona i doktor Purcell byli od lat rozwiedzeni. Zastanawiałam się, dlaczego zadzwoniła do mnie właśnie była, a nie obecna żona lekarza, Crystal.

Za szybą w drzwiach wejściowych pojawiła się twarz. Kiedy Fiona otworzyła drzwi, zauważyłam, że jest już ubrana do podróży. Miała na sobie dwurzędowy kostium w prążki z szerokimi klapami. Wyciągnęła rękę.

– Pani Millhone? Jestem Fiona Purcell. Przepraszam, że kazałam pani czekać, ale byłam na tyłach domu. Zapraszam do środka.

– Dziękuję. Jeśli ma pani ochotę, proszę mówić mi po imieniu, Kinsey. Miło mi panią poznać

– odparłam.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie i weszłam do holu. Uścisk Fiony był bardzo słaby, co zawsze zaskakuje u osoby, która sprawia wrażenie bardzo energicznej i zdecydowanej. Na pierwszy rzut oka uznałam, że musi być dobrze po sześćdziesiątce. Ufarbowane na ciemny brąz włosy zaczesywała na bok, a misternie skręcone loki przytrzymywały wysadzane kryształami górskimi grzebienie. Podobne fryzury uwielbiały gwiazdy filmowe w latach czterdziestych. Można się było spodziewać, że gdzieś w tle pojawi się zaraz John Agar lub Fred MacMurray w roli biedaczyny, który stał się ofiarą lisicy w marynarce o mocno wywatowanych ramionach.

– Możemy porozmawiać w salonie – powiedziała Fiona. – Mam nadzieję, że wybaczy pani ten bałagan.

W holu stały rusztowania, sięgające wysoko sklepionego sufitu. Schody i szeroki korytarz prowadzący na tyły domu chroniły wielkie płaty płótna. Przy schodach stał niski stolik i surowa w formie chromowana lampa. Wyglądało na to, że jesteśmy w domu same.

– Leci pani o dziesiątej? – spytałam.

– Proszę się tym nie przejmować. Na lotnisko jedzie się stąd tylko osiem minut, więc mamy co najmniej godzinę. Kawy? Właśnie zaparzyłam.

– Nie, dziękuję. Wypiłam już dwie i na jeden dzień wystarczy.

Fiona skręciła w prawo, ruszyłam więc za nią przez wielką połać betonu.

– Kiedy położą podłogę? – spytałam.

– To już jest podłoga.

– Aha – rzuciłam i postanowiłam nie pytać więcej o sprawę, o których nie mam bladego pojęcia.

Wnętrze domu pachniało wilgotnym gipsem i świeżą farbą. Wszystkie ściany lśniły bielą, a wysokie, strzeliste okna pozbawione były firanek i zasłon. Spojrzałam ukradkiem za siebie i dostrzegłam w głębi duży pokój, najprawdopodobniej jadalnię, jeszcze bez mebli, podzieloną plamami wpadającego do środka światła poranka.

W salonie Fiona wskazała gestem jeden z dwóch ogromnych, miękkich foteli, wyściełanych materiałem o neutralnym kolorze, który zlewał się w jedno z szarą betonową podłogą. Dużą część podłogi pokrywał szary dywan w czarne geometryczne wzory. Usiadłam jednocześnie z Fioną i patrzyłam, jak obrzuca otoczenie baczным spojrzeniem estетки. Meble w salonie były niezwykle: lekkie drewno, stal, surowe geometryczne kształty. Nad kominkiem wisiało olbrzymie okrągłe lustro w chromowanej oprawie. Na szklanym stoliku do kawy na srebrnej tacy stał wysoki dzbanek ze srebra i kości słoniowej, a obok niego dzbanuszek do kawy i cukiernica.

Fiona napełniła swoją filiżankę.

– Lubi pani art deco?

– Niewiele wiem na ten temat.

– Zbieram jej okazy od lat. Dywan to Da Silva Bruhns, a to dzieło Wolfganga Trumpela, jeśli to nazwisko mówi pani cokolwiek – powiedziała, wskazując na serwis do kawy.

– Jest przepiękny – mruknęłam, nie mając pojęcia o czym mówi.

– Większość tych przedmiotów to pojedyncze egzemplarze, stworzone przez rzemieślników, którzy byli w swoich czasach mistrzami. Mogłabym wymieniać ich nazwiska bez końca, ale obawiam się, że nic pani nie powiedzą, jeśli nie zna pani tego okresu w sztuce. Zbudowałam ten dom, by móc zaprezentować moją kolekcję, ale kiedy tylko prace dobiegną końca, prawdopodobnie go sprzedam i zajmę się czymś innym. Jestem z natury bardzo niecierpliwa i chyba nie zostanę tu na dłużej.

Fiona miała bardzo wyraziste rysy: cienkie łukowate brwi i ciemne oczy, z siateczką zmarszczek rysującą się w kącikach. Wypiła łyk kawy, po czym wyjęła papierosa z leżącej na stoliku paczki. Jej zapalniczka była jednym z tych małych złotych cacek, które nie wydają prawie żadnego dźwięku, gdy otwiera się klapkę i kciukiem przesuwają małe kółeczko. Fiona zaciągnęła się głęboko papierosem i widać było, że poczuła wyraźną ulgę. Odchyliła głowę i wypuściła strużkę dymu prosto w sufit. Pocięczałam się w duchu, że po drodze do domu mogę cuchnący dymem żakiet zostawić w pralni.

– Nie wspominałam chyba o tym podczas naszej wcześniejszej rozmowy – powiedziała – ale pomysł naszego spotkania wyszedł od Dany Glazer. Kiedy pani ją znała, nazywała się jeszcze Dana Jaffe.

– A skąd pani ją zna?

– Pomagam jej odnowić dom. Jest teraz żoną jednego ze współpracowników Dowa, Joela Glazera. Jego pierwsza żona zmarła. Zna pani Joela? Jest współnikiem w firmie Century Comprehensive, do której należy między innymi sieć domów opieki.

– Znam to nazwisko z gazet. Nigdy go jednak nie poznałam – odparłam. Powoli zaczynałam rozumieć, jak do mnie trafiła, choć nadal nie bardzo wiedziałam, w czym mogę jej pomóc.

Pierwszy mąż Dany Jaffe, Wendell, zaginął w 1979 roku, choć okoliczności tego wypadku – przynajmniej z pozoru – bardzo różniły się od sprawy doktora Purcella. Wendell Jaffe był

potentatem w handlu nieruchomościami, który upozorował własną śmierć i pojawił się nagle w Meksyku niedługo po tym, jak „wdowa” odebrała kwotę pół miliona dolarów, na którą opiewała jego polisa na życie. Kiedy przygotowane przez niego oszustwo na wielką skalę zaczęło powoli wychodzić na jaw, Wendell, pozorując własną śmierć, chciał umknąć wymiarowi sprawiedliwości. Wszystko mogło się udać, ale w Meksyku zauważył go jeden z jego byłych znajomych. Mnie z kolei zatrudniła firma ubezpieczeniowa, by odzyskać swoje pieniądze.

Zastanawiałam się, czy Fiona podejrzewa byłego męża o podobny plan.

Odstawiła filiżankę.

– Dostała pani wycinki?

– Wczoraj posłaniec przyniósł je do biura. Przeczytałam je wieczorem i jeszcze raz dziś rano.

Policja przeprowadziła bardzo drobiazgowe śledztwo...

– Albo chce, żeby za takie je uważano.

– Nie jest pani zadowolona z jego postępów?

– Postępów! Jakich postępów? Dowana nie odnaleziono. Powiem pani, co osiągnęli: nic! Na pewno robią wszystko, co do nich należy – wydają oświadczenia, wyrażają troskę – ale to tylko wściekłość i wrzask, które nic nie znaczą\*.

Nie zgadzałam się z jej opinią, ale postanowiłam jeszcze nie protestować. Moim zdaniem policjanci są rewelacyjni, ale po co się spierać? Chciała mnie wynająć, a ja zjawiłam się tutaj głównie po to, by się przekonać, czy w jakikolwiek sposób mogę się przyczynić do rozwikłania tej zagadki.

– Jakie są najnowsze doniesienia? – spytałam.

– Nikt nic o nim nie słyszał, przynajmniej o ile mi wiadomo. – Zaciągnęła się papierosem i strzepnęła popiół do ciężkiej kryształowej popielniczki. Jej ciemna szminka do ust zlewała się z meszkiem rosnącym nad górną wargą. Pozostawiła wyraźny odcisk na krawędzi filiżanki i na ustniku papierosa. Fiona nosiła ciężką, starą biżuterię: duże srebrne klipsy i pasującą do nich bransoletkę. Efekt był bardzo stylowy, ale wszystko w jej wyglądzie pachniało sprzedażą nieruchomości i markowymi sklepami. Chwilami wyglądała naprawdę uderzająco ze śladami dawnej urody, które za wszelką cenę starała się podkreślić. Zastanowiłam się, czy jeśli się pochylę w jej stronę, poczuję woń naftaliny i starych szaf, zmieszany z zapachem perfum z lat czterdziestych: Shalimar i Old Golds.



- Wie pani oczywiście, że jesteśmy rozwiedzeni – powiedziała, spuszcżając nagle wzrok.
- Napisano o tym w jednym z artykułów, które mi pani przysłała. A jak się mają sprawy z jego obecną żoną?
- Przez cały ten trudny okres rozmawiałam z Crystal tylko raz. Robi wszystko, żeby trzymać mnie od wszystkiego z daleka. Otrzymuję informacje od córek, którym zależy na utrzymywaniu z nią bliskich kontaktów. Bez nich wiedziałabym jeszcze mniej.
- Ma pani dwie córki?
- Tak. Młodsza, Blanche, mieszka z mężem cztery przecznice stąd. Starsza, Melanie, mieszka w San Francisco. Zatrzymam się u niej do przyszłego wtorku.
- Wnuki?
- Mel nie wyszła za mąż, a Blanche za trzy tygodnie spodziewa się piątego dziecka.
- No proszę – powiedziałam.

Fiona uśmiechnęła się kwaśno.

- Macierzyństwo to jej sposób na uchylanie się od prawdziwej pracy.
- „Prawdziwa praca” brzmi w tym zestawieniu bardzo niewinnie. Ja nie potrafiłabym się zajmować piątką dzieci.
- Ona też nie radzi sobie najlepiej. Na szczęście dzieci mają bardzo dobrą niańkę.
- Jak się układają stosunki pomiędzy pani córkami i Crystal?
- Chyba dobrze. Ale czyż może być inaczej? Jeśli nie będą chciały tańczyć, jak im zagra, Crystal postara się, żeby już nigdy nie spotkały się z ojcem ani przyrodnim bratem. Wie pani, że

\* Aluzja do słów Makbeta (przyp. tłum.)

Dow i Crystal mają syna? Griffith skończył właśnie dwa lata.

- Pamiętam wzmiankę o chłopcu. Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

Zaciągnęła się papierosem, po czym oparła go o brzeg kryształowej popielniczki.

- Wolałabym nie, jeśli nie robi to pani różnicy. – Kiedy to powiedziała, z jej ust wypłynęła strużka dymu, którą obserwowała w zamyśleniu.
- Nie ma sprawy. Zastanawiam się, czy ma pani jakąś teorię związaną z zaginięciem byłego męża.
- Jako jedna z niewielu zadała mi pani to pytanie. Najwyraźniej moja opinia jest niewiele warta.

Podejrzewam, że jest w Europie lub Ameryce Południowej i czeka tam na chwilę, gdy będzie gotów wrócić do domu. Crystal jest przekonana, że nie żyje, tak przynajmniej słyszałam.

– Ma chyba ku temu podstawy. Zgodnie z relacjami zamieszczonymi w gazetach nie korzystał z kart kredytowych. Nie znaleziono też jego samochodu ani żadnych śladów.

– Nie jest to do końca zgodne z prawdą. Podobno widziano go aż w Nowym Orleanie i Seattle. Miał też wsiąść do samolotu na lotnisku Kennedy’ego, a potem pojawił się gdzieś na południe od San Diego w drodze do Meksyku.

– Elvise też od czasu do czasu gdzieś widują. Co nie znaczy, że żyje i ma się dobrze.

– Racja. Z drugiej strony mężczyzna odpowiadający opisowi Dowa próbował przedostać się do Kanady, lecz zrezygnował, gdy oficer imigracyjny poprosił go o pokazanie paszportu, który, nawiasem mówiąc, też zaginął.

– Naprawdę? To ciekawe. Gazety nic o tym nie wspominały. Rozumiem, że policja ruszyła tym śladem?

– Można mieć tylko taką nadzieję – odparła. W jej głosie pojawił się cień desperacji. Być może sądziła, że jeśli zdoła przekonać mnie do swojej wersji wydarzeń, to tym samym okaże się ona bardziej prawdopodobna.

– Pani jest przekonana, że on żyje?

– Nie przyjmuję innej ewentualności. Ten człowiek nie ma żadnych wrogów i nie mogę sobie wyobrazić, by stał się ofiarą jakiegoś „podstępu” – powiedziała, rysując palcami w powietrzu cudzysłów. – Sama myśl o tym zakrawa na absurd.

– Dlaczego?

– Dow potrafi doskonale o siebie zadbać – przynajmniej od strony fizycznej. Nie potrafi jednak stawić czoła problemom. Jest bardzo pasywny. Zamiast walczyć lub uciekać, kładzie się i udaje martwego, jeśli można to tak określić. Za wszelką cenę unika konfliktów, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi kobiety. Ta postawa ma pewne powiązania z jego matką, ale to już zupełnie inna historia.

– Czy zrobił już kiedyś coś podobnego?

– Prawdę mówiąc tak. Próbowałam to wyjaśnić detektywowi prowadzącemu sprawę. Bez skutku. Dowan postąpił tak już dwa razy. Pierwszy, gdy Melanie i Blanche miały... tak, chyba sześć i trzy lata. Zniknął na trzy tygodnie. Wyjechał bez słowa i wrócił, nic nie wyjaśniając.

– Dokąd pojechał?

– Nie mam pojęcia. Za drugim razem było podobnie. Ale to stało się wiele lat później, zanim rozstaliśmy się na dobre. Zniknął dosłownie z dnia na dzień. Wrócił kilka tygodni później bez słowa wyjaśnienia czy przeprosin. Podejrzewam oczywiście, że jego ostatnie zniknięcie to kolejna

zagrywka w tym stylu.

– Co go skłoniło do wyjazdu, gdy byliście jeszcze małżeństwem?

Machnęła lekko ręką i z koniuszka papierosa popłynęła strużka dymu.

– Chyba mieliśmy problemy. Bo zwykle je miewaliśmy. Dow utrzymywał, że potrzebuje czasu, by oczyścić umysł, choć do końca nie wiem, co to mogło oznaczać. Jakiś czas potem po prostu nie wrócił do domu. Odwołał wszystkie spotkania, również towarzyskie, nie wyjaśniając nic nikomu, mnie też nie. Zorientowałam się, że coś jest nie tak, gdy nie wrócił na kolację. Za drugim razem było podobnie, tyle tylko że nie odchodziłam od zmysłów z niepokoju.

– Tak więc w obu tych przypadkach zachował się podobnie jak tym razem?

– Tak jest. Za pierwszym razem zorientowałam się, że zniknął, dopiero po upływie wielu godzin. Jest przecież lekarzem i często się spóźniał. O północy byłam jednak bliska hysterii.

Myślałam, że zwariuję.

– Powiadomiła pani policję?

– Powiadomiłam wszystkich. A potem w porannej poczcie znalazłam wiadomość. Napisał, że w końcu wróci do domu, co zresztą zrobił. Wpadłam oczywiście w szal, ale on wcale się tym nie przejął. Wszystko mu, głupia, wybaczyłam i żyliśmy jak dawniej. Byliśmy dobrym małżeństwem, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Sądziłam, że jest szczęśliwy, aż do czasu pojawienia się Crystal. O ile wiem, zabawiał się z nią od lat.

– Dlaczego pani została?

– Byłam przekonana, że jest dobrym mężem. Ależ byłam naiwna! Sprawiał wrażenie dalekiego, zamkniętego w sobie, ale nie winałam go za to, przynajmniej świadomie. Nawet jeśli miałam mu to za złe, to nie zdawałam sobie z tego sprawy. Teraz, z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że mężczyzna może zniknąć na wiele sposobów.

– Na przykład?

Wzruszyła ramionami i zgasła papierosa.

– Telewizja, sen, alkohol, książki, środki pobudzające, uspokajające. To oczywiście tylko przykłady, ale rozumie pani, o co mi chodzi.

– A w jego przypadku?

– Dow nie widział świata poza swoją pracą. Wychodził wcześniej rano i zostawał w gabinecie do późnej nocy. Musi pani zrozumieć, że jest człowiekiem, który za wszelką cenę pragnie uniknąć nieporozumień. Dlatego tak bardzo kocha starszych ludzi, bo oni niczego od niego nie wymagają. Jako lekarz cieszy się wyjątkową pozycją, co dla niego zawsze było bardzo ważne.

Czuł się lepszy od innych śmiertelników.

– Jak długo byliście państwo małżeństwem?

– Prawie czterdzieści lat. Poznaliśmy się w Syracuse. Kończyłam historię sztuki, a on studiował medycynę. Pobraliśmy się wkrótce po uzyskaniu dyplomów. Dow przeniósł się potem do szkoły medycznej na uniwersytecie Penn State i tam skończył staż. Dziewczynki były już wtedy na świecie. Zostałam z nimi w domu, dopóki nie poszły do szkoły, a potem zdobyłam tytuł

magistra architektury wnętrz. Zaprojektowałam dom, w którym zamieszkaliśmy wkrótce potem w Horton Ravine. Oczywiście do grubszej roboty wynajęliśmy architekta.

– Były mąż nadal tam mieszka?

– Tak, choć o ile wiem, Crystal nigdy na tym domu nie zależało i nie bardzo o niego dba.

– Nie chciała go pani odzyskać po rozwodzie?

– Nie stać mnie było na hipotekę i utrzymanie. On jednak twierdził, że oskubałam go do ostatniego grosza. Ale proszę mi wierzyć, że wyszedł na tym o wiele lepiej ode mnie.

Prawdopodobnie kogoś przepłacił: sędziego albo mojego adwokata. Wie pani doskonale, że mężczyźni trzymają się razem, gdy do głosu dochodzi wszechmocny dolar.

Zauważyłam, że Fiona próbuje za wszelką cenę przeciągnąć mnie na swoją stronę i zdobyć punkty dla swojej drużyny. Rozwodnicy zawsze szukają sympatii i współczucia u rozmówców, prezentując siebie w jak najlepszym świetle. Czułam się trochę dziwnie, bo przecież zjawiłam się u Fiony, by sprawdzić, czy mogę jakoś pomóc w poszukiwaniach jej byłego męża. Czyżby nadal go kochała?

– Musiało pani być ciężko, gdy rozpadło się wasze małżeństwo – mruknęłam.

– To było poniżające. Przygnębiające. Banał nad banały. Pan doktor przechodzi kryzys wieku średniego i rzuca swoją żonę, by związać się z jakąś dziwką.

Gazety miały niezłe używanie, gdy wyszło na jaw, że Crystal była striptizerką. Jednak mimo wszystko nie byłam pewna, czy Fiona powinna określać ją mianem „dziwki”. Zarabianie na życie polegające na zrzucaniu ubrania niekoniecznie musi mieć coś wspólnego z prostytutką. Dla mnie Crystal mogła równie dobrze mieć dyplom z resocjalizacji.

– Jak się poznali?

– Musi pani o to zapytać Crystal. Prawda wygląda tak, że Dow poczuł nagle zamięłowanie do... mmmm... niezwykłych praktyk seksualnych. Coś było nie tak z jego hormonami albo z wiekiem zaczął odczuwać rosnący niepokój. Prawdopodobnie miało to jakiś związek z jego matką. W niej należy upatrywać źródła wszystkich jego problemów. Tak czy owak, kiedy Dowan skończył sześćdziesiąt lat, nie mógł już... powiedzmy „stanać na wysokości zadania” bez dodatkowych podniet. Pornografia, akcesoria...

– Do czego pani nie miała przekonania.

– Dla mnie było to obrzydliwe. Nie wspomnę o praktykach, które chciał stosować. Nie byłam w stanie nawet o nich z nim rozmawiać. W końcu przestał naciskać.

– Bo spotkał Crystal?

– Najwyraźniej. Nigdy się do tego nie przyznał, ale szukał odpowiedniej partnerki. Przyszło mi oczywiście do głowy, że znajdzie kobietę gotową spełnić jego perwersyjne żądania. Ja nie miałam zamiaru tego robić i postawiłam sprawę jasno.

W skrytości ducha bardzo chciałam poznać jeden z przykładów perwersji doktora, ale doszłam do wniosku, że choć raz będę trzymać moją niewyparzoną buzię na kłódkę. Czasami lepiej jest nie wiedzieć, co ludzie robią – albo czego nie chcą robić – w domowym zaciszu.

Gdybym kiedykolwiek miała okazję poznać doktora osobiście, wołałabym nie mieć przed oczami obrazu, jak wiję się nago na podłodze z marchewką wepchniętą między pośladki.

– Kto poprosił o rozwód?

– On. Zupełnie mnie zaskoczył. Zakładałam, że zadba o swoje potrzeby poza domem, a rodzinę zostawi w spokoju. Nigdy nie przypuszczałam, że w tym wieku zniży się do rozwodu.

Powinłam była jednak to przewidzieć. Dowan jest bardzo słaby. Nikt z nas nie czuje oczywiście sympatii do własnych błędów, lecz jego przerażała nawet sama wizja porażki.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– No cóż – rzuciła, spuszczaając oczy. Patrzyłam, jak omiata wzrokiem betonową podłogę. –

Podejrzewam, że jego związek z Crystal nie jest braterstwem dusz, choć on chce, by wszyscy w to wierzyli. Kilka miesięcy temu dowiedział się, że Crystal ma kogoś na boku. Lepiej więc zniknąć, niż przyznać się przed światem, że jest się rogaczem.

– Czy wiedział, kto to jest?

– Nie, ale prowadził swoje prywatne śledztwo. Kiedy zniknął, moja przyjaciółka Dana zdradziła mi, że wiedziała o całej tej sprawie od samego początku. Tym facetem był prywatny trener Crystal, Clint Augustine.

Nazwisko od razu zwróciło moją uwagę. Byłam pewna, że już je kiedyś słyszałam, prawdopodobnie w siłowni, w której ćwiczę.

– Sądzi pani, że wyjechał z tego powodu?

– Tak. Rozmawialiśmy długo dziesiątego września. Dwa dni przed jego zniknięciem. Był

okropnie nieszczęśliwy.

– Powiedział pani o tym?

Zawahała się, wyraźnie walcząc ze sobą.

– Może nie tak to określił, ale w ciągu czterdziestu lat małżeństwa można się nauczyć czytać między wierszami.

– Jak doszło do tej rozmowy?

– Przyjechał do mnie.

– Spotykała się więc pani z byłym mężem – stwierdziłam.

– Tak. Na jego prośbę – powiedziała lekko obronnym tonem. – Dow uwielbia to miejsce, podobnie jak dom w Horton Ravine. Zawsze bardzo interesowała go moja praca, jeszcze zanim doszło do tej zmiany w naszych wzajemnych stosunkach. Ostatnio wpadał wieczorami, by wypić ze mną drinka. Tego wieczoru był wykończony. Twarz aż mu poszarzała od zmartwień, a kiedy zapytałam, co się stało, odparł, że napięcie panujące w pracy doprowadza go do szaleństwa. A Crystal niewiele mu pomagała. Myśli tylko o sobie, o czym się pani przekona, kiedy pani ją pozna. Bo spodziewam się, że będzie pani chciała się z nią spotkać.

– Czy zaskoczyło panią, że postanowił się zwierzyć właśnie pani, po tym wszystkim co pani przez niego przeszła?

– A komu innemu mógłby się zwierzyć? Nie rozmawialiśmy co prawda o Crystal, ale w jego oczach wyraźnie malowało się napięcie i niepokój. W ciągu paru miesięcy postarzał się o dobre dziesięć lat.

– Powiedziała pani, że miał kłopoty w domu i w pracy?

– Tak. Nie wdawał się w szczegóły, ale wspomniał przelotnie, że musi się z tego wyrwać. To pierwsza rzecz, która przyszła mi do głowy, gdy usłyszałam o jego zniknięciu.

– A może chciała pani, żeby tak właśnie się stało?

– Podejrzewam, że tak – powiedziała. – Dow nie wyciągnął co prawda z kieszeni biletów lotniczych, ale sprawiał wrażenie zdesperowanego.

– Czy wspominał o jakimś konkretnym miejscu?

Przekrzywiła lekko głowę.

– Stale o tym myślę, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Wspominał o tym przelotnie i aż do chwili jego zniknięcia nie zastanawiałam się nad tym.

– Oczywiście powiedziała pani o tym policji.

Raz jeszcze się zawahała.

– Początkowo nie. Pomyślałam, że chciał zniknąć na jakiś czas, i wróci do domu, gdy będzie na to gotowy. Nie chciałam wprawiać go w zakłopotanie. To Crystal rozpętała cały ten cyrk z mediami w roli głównej.

Najeżyłam się.

– Pani były mąż jest znanym lekarzem, dobrze znanym i szanowanym w społeczności medycznej. Jego zniknięcie musiało zwrócić uwagę mediów. Skoro doszła pani do wniosku, że chciał zrobić sobie krótki urlop, dlaczego nikomu pani o tym nie powiedziała?

– Czulałam, że ma prawo do odrobiny prywatności – odparła, a na jej policzki wypłynął delikatny rumieniec.

– A co z pieniędzmi i czasem poświęconym na drobiazgowe śledztwo? Nie pomyślała pani o tym?

– Oczywiście. Dlatego zdecydowałam się porozmawiać z policją – odparła. – Po sześciu tygodniach zaczęłam się martwić. Czekałam na telefon lub wiadomość, na jakąś wskazówkę, że jest bezpieczny, gdziekolwiek by się znajdował. Teraz, gdy upłynęło dziewięć tygodni, doszłam do wniosku, że czas wziąć sprawę we własne ręce.

– Dlaczego sądziła pani, że doktor odezwie się do pani, a nie do Crystal?

– Bo to przed nią próbował uciec.

– A teraz martwi się pani, że coś mu się stało.

– Tak. Dlatego w zeszłym tygodniu postanowiłam spotkać się z detektywem. Odessa był

bardzo uprzejmy. Podczas naszej rozmowy robił notatki, lecz odniosłam wrażenie, że nie traktuje mnie poważnie. Powiedział, że się ze mną skontaktuje, ale na tym się skończyło. Policja ma na pewno mnóstwo spraw, co oznacza, że nie ma dość czasu ani środków, żeby dokładnie zająć się sprawą zniknięcia Dowa. Powiedziałam o tym Danie i zgodziła się ze mną. Dlatego poleciła mi panią.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nawet jeśli dojdziemy do porozumienia, podobnie jak policja nie mogę się zajmować tą sprawą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mam jeszcze innych klientów.

– Nie prosiłam o wyłączność.

– Ale ja pracuję sama. Lepiej będzie, gdy skontaktuje się pani z dużą agencją z Los Angeles, która ma mnóstwo ludzi gotowych zająć się tą sprawą w całym kraju. Może się przecież okazać, że trzeba go będzie szukać bardzo daleko.

Przerwała mi niecierpliwym gestem dłoni.

– Nie chcę żadnej dużej agencji z Los Angeles. Chcę mieć kogoś stąd, kto będzie składał raporty bezpośrednio mnie.

– Ale cała moja praca będzie tylko powtórką z działań policji.

– Może pani wpaść na coś, czego oni jeszcze nie zbadali. Przecież odnalazła pani Wendella Jaffe wiele lat po tym, jak uznano go za zmarłego.

– To prawda, ale nie zaczynałam od zera. Ktoś zauważył go w Meksyku i dzięki temu można było szybko rozwiązać całą sprawę.

Zasępiła się.

– Nie chce mi pani pomóc.

– Tego nie powiedziałam. Chcę tylko zwrócić pani uwagę na sytuację, która wcale nie wygląda różowo.

– A jeśli istnieje jakaś poszlaka, którą policja przeoczyła?

– A jeśli nie?

– To przynajmniej będę zadowolona z pracy, którą wykonali.

Milczałam przez chwilę, wpatrując się w podłogę. Jakiś wewnętrzny głos krzyczał rozpaczliwie: „Nie, nie, nie!”.

– Zrobię co w mojej mocy, ale nic nie mogę obiecać – ze zdumieniem usłyszałam nagle własne słowa.

– Wspaniale. Porozmawiamy we wtorek. Proszę zapisywać liczbę godzin, jakie poświęca pani tej sprawie, i kiedy wrócę, wystawi mi pani rachunek. – Spojrzała na zegarek i wstała.

Podniosłam się z fotela razem z nią.

– Potrzebna jest mi zaliczka.

– Zaliczka? – udała wielkie zaskoczenie, lecz byłam ciekawa, czy nie powtarza moich słów dla uzyskania dodatkowego efektu. Sama na pewno nigdy nie prowadziła żadnych interesów bez pisemnej umowy i wypłaty zaliczek. – Jaka suma wchodzi w grę?

– Zwykle biorę pięćdziesiąt dolarów za godzinę lub czterysta za cały dzień plus wydatki, więc tysiąc pięćset dolarów powinno na razie wystarczyć. Jeśli poda mi pani adres Melanie, prześlę pani dziś wieczór umowę do podpisania. – Szczerze mówiąc, mogłam ją przynieść ze sobą, ale nie byłam w stu procentach pewna, że dojdzie do porozumienia w tej sprawie.



Zaskoczona zamrugła oczami.

– Przepraszam. Nie przyszło mi do głowy, że wszystko odbędzie się aż tak oficjalnie. Czy to zwyczajowa procedura w pani pracy?

– Prawdę mówiąc tak – odparłam. Zauważyłam, że nie użyła słowa „zawód”, co oznaczało, że prawdopodobnie wrzuciła mnie do jednego wora z drobnymi urzędnikami, kucharzami do wynajęcia i hydraulikami.

– A jeśli go pani nie znajdzie?

– O to właśnie chodzi. Jeśli zjawię się u pani z pustymi rękami, może pani dojść do wniosku, że nie zasłużyłam na swoją stawkę i nici z pieniędzy. Proszę jednak pamiętać, że kiedy decyduję się już przyjąć jakąś sprawę, nie odpuszczam. Prowadzę ją aż do samego końca.

– Mam taką nadzieję – powiedziała. Zastanowiła się przez moment, po czym podeszła do zdobionego mahoniem sekretarzyka. Wyjęła z szuflady książeczkę czekową, wróciła do fotela i usiadła. – Dla kogo mam wypisać czek?

– Millhone Investigations.

Patrzyłam, jak wypisuje czek i wrywa z książeczki. Podając mi go, z trudem skrywała irytację. Zauważyłam, że jesteśmy klientkami tego samego banku, Santa Teresa City Bank.

– Jest pani zdenerwowana – powiedziałam.

– Ja kieruję się w życiu zaufaniem, pani najwyraźniej nie.

– Życie mnie tego nauczyło. To nic osobistego.

– Rozumiem.

Wyciągnęłam czek w jej stronę.

– Jeśli pani chce, mogę go natychmiast oddać.

– Proszę znaleźć Dowana. Oczekuję pełnego raportu we wtorek, zaraz po powrocie do domu.

Zanim opuściłam jej dom, Fiona podała mi adres Melanie w San Francisco oraz numery telefonów do domu i do biura córki. Nie miałam pojęcia, co mogłoby mnie skłonić do szukania tam z nią kontaktu. Podała mi też adres Crystal w Horton Ravine i jej telefon. Nigdy nie miałam okazji poznać detektywa Odessy, o którym przelotnie wspomniała, ale spotkanie z nim znajdowało się już na pierwszym miejscu listy moich priorytetów. Kiedy wracałam do miasta, poczułam, jak żołądek kurczy mi się z niepokoju. Spróbowałam jakoś uporządkować swoje wątpliwości i ułożyłam w myślach całą ich listę, lecz kolejność była zdecydowanie przypadkowa.

1. Fiona zdecydowanie mi się nie spodobała. Co więcej, nie ufałam jej. Nie była szczerą w rozmowach z policją i sądziłam, że nie była szczerą także i w rozmowie ze mną. W tych okolicznościach powinnam była odrzucić jej propozycję. Już żałowałam pośpiechu, z jakim podjęłam decyzję.

2. Nie byłam pewna, czy podołam powierzonym mi zadaniom. Często na początku śledztwa, szczególnie takiego jak to, czuję się nieswojo. Minęło już dziewięć tygodni od zaginięcia doktora Purcella. Bez względu na okoliczności, upływ czasu w przypadku takich spraw rzadko działa na naszą korzyść. Świadkowie zaczynają upiększać swoje zeznania. Puszczają wodze fantazji.

Pamięć zasnuwa mgłą. Powtarzane wielokrotnie fakty zaczynają się zacierać, a szczegóły zmieniają się w zależności od interpretacji. Ludzie chcą się okazać pomocni, co oznacza, że ubarwiają swoje relacje i prezentują różne wersje wydarzeń. Wchodząc do gry tak późno, wiedziałam, że prawdopodobieństwo dokonania istotnego dla sprawy odkrycia jest minimalne. Fiona miała jednak rację, twierdząc, że czasem świeże spojrzenie na całość wypadków może zupełnie zmienić kierunek prowadzonego dochodzenia. Wszystko to brzmiało niby sensownie, ale intuicja podpowiadała mi, że jakkolwiek przełom w tej sprawie będzie dziełem przypadku, czyli zwykłego, głupiego szczęścia.

3. Nie spodobał mi się cały ten incydent z zaliczką.

Zatrzymałam się u McDonalda i kupiłam kawę oraz parę pączków. Potrzebowałam prostej pociechy, jaką niesie ze sobą jedzenie, a poza tym byłam głodna. Jadąc dalej, jadłam tak łapczywie, że ugryzłam się w palec.

Może powinnam skorzystać teraz z okazji i przedstawić się. Nazywam się Kinsey Millhone.

Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem w Santa Teresa w stanie Kalifornia, sto siedemdziesiąt kilometrów na północ od Los Angeles. Liczę sobie trzydzieści sześć lat, jestem dwukrotnie rozwiedziona, bezdzietna i nie mam żadnych zobowiązań. Poza samochodem nie mam też zbyt wielu dóbr materialnych. Moja firma, Millhone Investigations, zatrudnia wyłącznie mnie samą. Jako dwudziestolatka przez dwa lata pracowałam w policji, lecz z powodu konfliktów personalnych, nad którymi nie chcę się teraz rozwodzić, doszłam do wniosku, że rola stróża prawa nie bardzo mi odpowiada. Byłam zbyt opryskliwa i niezależna, by dopasować się do panujących tam zasad. Do głosu doszły też kwestie czysto etyczne: byłam znana z tego, że lubię naginać przepisy. Poza tym policyjne buty były za ciężkie, a w mundurze i pasie moje dupsko wyglądało jak stodoła.

Porzuciwszy ciepłą, opłacaną przez miasto posadę, zatrudniłam się w dwuosobowej firmie detektywistycznej, gdzie zbierałam godziny pracy niezbędne do uzyskania licencji. Pracuję na własną rękę już od ponad dziesięciu lat, z licencją w garści i pełnym zakresem ubezpieczenia.

Lwią część minionej dekady spędziłam, ścigając podpalaczy i ludzi składających nieuzasadnione wnioski o wypłacenie polisy na życie, najpierw jako pracownik Kalifornijskiej Firmy Ubezpieczeniowej, później już jako wolny strzelec. Nasze drogi rozeszły się trzy lata temu, w październiku 1983 roku. Od tamtej pory wynajmuję biuro od firmy prawniczej Kingman and Ives, lecz podejrzewam, że układ ten lada dzień może ulec zmianie.

Przez ostatni rok Lonnie Kingman stale narzekał na brak miejsca. Już raz rozwinął

działalność, przejmując całe trzecie piętro budynku, będącego zresztą jego własnością. Teraz nabył drugi budynek, tym razem przy State Street, gdzie zamierza się przenieść, gdy umowa kupna nabierze mocy prawnej. Znalazł już kandydata do wynajęcia swojej dotychczasowej kancelarii, do rozwiązania pozostała więc jedynie kwestia, czy przeniosę się wraz z nim, czy też poszukam biura gdzie indziej. W głębi duszy jestem samotniczką i choć lubię Lonniego, wizja bliskiego kontaktu z innymi pracownikami zaczynała mi powoli działać na nerwy. Chodziłam do biura późnym wieczorem i w weekendy, połowę czasu poświęcając na pracę w domu, by stworzyć sobie namiastkę wolnej przestrzeni i samotności. Rozmawiałam z pośrednikiem nieruchomości o wynajęciu biura z możliwością płacenia rat co miesiąc i odpowiedziałam na kilka sensownych ogłoszeń. Dotąd jednak nie udało mi się znaleźć niczego, co przemówiłoby mi do wyobraźni. A mam naprawdę skromne wymagania: potrzebuję tylko dość miejsca, by ustawić biurko, obrotowy fotel, szafki na akta i kilka sztucznych kwiatów w doniczkach. W myślach uzupełniałam też całość o małą, lecz bardzo gustowną toaletę. Problem polegał na tym, że wszystko, co mi się podobało, było albo za duże, albo za drogie, a biura, na których wynajęcie mogłam sobie spokojnie pozwolić, były zbyt małe, obskurne i znajdowały się za daleko od centrum. Spędzam sporo czasu w archiwach i lubię znajdować się w pobliżu sądu, posterunku policji i biblioteki publicznej. Biuro Lonniego było całkiem niezłym schronieniem, a poza tym –

gdy robiło się gorąco – Lonnie występował w roli mojego adwokata. Niestety, zdarzało się to dość często. Stałam więc przed trudnym wyborem i sama nie wiedziałam, co robić.

Kiedy tylko dotarłam do kompleksu dwupiętrowych budynków, gdzie mieściła się kancelaria, rozpoczęłam tradycyjną misję poszukiwania miejsca do zaparkowania samochodu.

Jedyną wadą mojej obecnej przystani był mały parking mieszczący zaledwie dwanaście samochodów. Lonnie i jego wspólnik mieli zarezerwowane miejsca, podobnie jak ich dwie sekretarki, Ida Ruth Kenner i Jill Stahl. Pozostałe osiem miejsc przydzielono innym najemcom lokali, więc reszta nas, maluczkich, zmuszona była szukać miejsca w najbliższej okolicy. Dziś udało mi się wcisnąć na wąski skrawek pomiędzy dwoma podjazdami i mogłabym przysiąc, że parkowanie w tym miejscu było prawie zgodne z przepisami. Dopiero później się przekonałam, że byłam w błędzie.

Przeszłam pięć przecznic dzielących mnie od budynku, przemierzyłam dzielnie dwie kondygnacje schodów i weszłam do biura nierzucającymi się w oczy bocznymi drzwiami.

Ruszyłam przez wewnętrzny hol prosto do mojego pokoju i otworzyłam drzwi, unikając spotkania z Idą Ruth i Jill, pogrążonymi w rozmowie o parę kroków ode mnie. Wiedziałam, że jej tematem jest poruszana niezmiennie od dwóch miesięcy sprawa. John Ives, wspólnik Lonniego, przekonał go, by po odejściu recepcjonistki firma zatrudniła jego siostrzenicę. Jennifer miała osiemnaście lat i niedawno skończyła szkołę średnią. To była jej pierwsza praca i pomimo otrzymania długiej listy obowiązków, nadal nie miała pojęcia, czego firma od niej oczekuje.

Zjawiała się w pracy w podkoszulkach i minispódniczkach, długie jasne włosy sływały jej falą aż do pasa, a gołe nogi wsuwała w klapki na drewnianych podszewkach. Przez telefon jej głos brzmiał piskliwie, była na bakier z ortografią i jakoś nie potrafiła zrozumieć, że do pracy nie należy się spóźniać. Często też udzielała sobie od dwóch do czterech dni urlopu, kiedy jej bezrobotni przyjaciele wybierali się na jakąś dłuższą imprezę. Ida Ruth i Jill miały już serdecznie dość sprzątań – dosłownie i w przenośni – bałaganu, jaki po sobie pozostawiała. Obie wylewały swoje żale przede mną, najwyraźniej obawiając się Lonniego i Tohna. Nigdy nie lubiłam rozmaitych biurowych podchodów, co stanowiło dodatkowy bodziec do zmiany dekoracji.

Dawniej pociągała mnie rodzinna atmosfera panująca w firmie, a teraz byłam świadkiem rozgrywającej się po kątach psychodramy. Jennifer była Kopciuszkiem o bardzo skromniutkim ilorazie inteligencji. Ida Ruth i Jill, niczym dwie paskudne przyrodnie siostry, były dla niej bardzo miłe, lecz przy każdej okazji obgadywały ją za plecami. Nie byłam pewna, jaka rola przypadła w udziale mnie, lecz unikałam tego spektaklu jak ognia, chowając się w swoim pokoju.

Rozwiązywanie konfliktów nigdy nie było moją mocną stroną.

Pragnąc jak najszybciej stamtąd uciec, zadzwoniłam na posterunek policji w Santa Teresa i poprosiłam o połączenie z detektywem Odessą. Był właśnie na zebraniu, ale kobieta, która odebrała telefon, powiedziała mi, że powinno szybko się skończyć. Umówiłam się więc na dziesiątą trzydzieści. Wypełniłam formularz umowy, którą miałam przygotowaną w komputerze, po czym włożyłam go do koperty Express Mail, by ją wysłać do Fiony na adres Melanie w San Francisco. Wsunęłam kopertę do torebki i usiadłam przy biurku, rysując między rundkami układanego na komputerze pasjansa mocno symboliczne zawijasy na podkładce na biurko. Nie oznacza to wcale, że nie miałam nic do roboty, wręcz przeciwnie, ale nie mogłam się na niczym skupić, bo w mojej głowie wciąż szaleńczo wirowały uzyskane wcześniej informacje. Wreszcie wyjęłam duży, żółty blok listowy i zaczęłam robić notatki.

O dziesiątej dwadzieścia zamknęłam drzwi biura i ruszyłam w stronę poczty, po czym obrałam za cel oddalony o cztery przecznice posterunek policji. W powietrzu poranka wyczuwało się wyraźnie chłód, a blade słońce skryło się za ciemnymi chmurami zwiastującym szybko deszcz. Pora „deszczowa” w Santa Teresa jest zupełnie nieprzewidywalna. Okres przelotnych opadów rozpoczął się kiedyś w połowie stycznia i trwał nieprzerwanie aż do początku marca. Ostatnio wybryki pogody na całym świecie sprawiły, że u nas stała się wyjątkowo kapryśna. Od końca maja aż do października poziom opadów mierzono w milimetrach, lecz w miesiącach zimowych bywało różnie, a ten zapowiadał się na najbardziej wilgotny od lat. Zimny front przesunął się w dół od Alaski, a jego zwiastunem był przenikliwy, zimny wiatr. Gałęzie drzew poruszały się nieustannie, wyginając z trzaskiem, a wyschnięte liście palm odrywały się od pni i sunęły po chodnikach niczym wielkie miotły.

Nic dziwnego, że hol na posterunku policji wydawał się dziwnie zaciszny. Po mojej lewej stronie na drewnianej ławce siedział mały chłopiec, a jego ojciec rozmawiał z cywilnym urzędnikiem o kopiach raportu sporządzonego po wypadku. Podeszłam do lady w kształcie litery L, gdzie oficer w mundurze kierował ruchem interesantów. Powiedziałam mu o spotkaniu, a on przez telefon poinformował detektywa Odessa o moim przybyciu.

– Zaraz tu przyjdzie – rzucił.

Czekałam spokojnie, rzucając przelotne spojrzenia w kierunku działu akt. Moja przyjaciółka Emerald przeszła na wcześniejszą emeryturę i nie miałam tu już nikogo, kto mógłby mi przekazywać cenne informacje. Emerald co prawda nigdy nie złamała panujących tu zasad, ale parę razy niebezpiecznie zbliżyła się do tej granicy.

Detektyw Odessa uchylił drzwi i wysunął głowę na korytarz.

– Pani Millhone?

– To ja.

– Vince Odessa – przedstawił się i uściśnił mi dłoń. – Zapraszam.

– Dzięki – odparłam.

Wręczył mi identyfikator, który przypięłam do klapy kurtki.

Detektyw był ubrany w niebieską koszulę, ciemny krawat, spodnie koloru khaki, ciemne skarpetki i lśniące czarne buty. Miał ciemne włosy, a tył jego głowy był spłaszczony, jakby od urodzenia spał tylko na wznak. Miał około stu siedemdziesięciu centymetrów, był więc trochę wyższy ode mnie. Przytrzymał drzwi, bym mogła wejść w boczny korytarz, po czym ruszył

przodem. Skręcił w lewo, przechodząc przez drzwi z napisem Wydział Dochodzeniowy. Szłam za nim, mijając szereg mniejszych pokoi.

– Shelly wspominała, że pani wizyta ma związek z zaginięciem doktora Purcella – powiedział przez ramię.

– Zgadza się. Jego była żona wynajęła mnie, żebym zbadła dokładnie tę sprawę.

– Spodziewałem się czegoś takiego – rzucił obojętnie. – Była tutaj w zeszłym tygodniu.

– I co pan o niej sądzi?

– Muszę skorzystać z dobrodziejstwa piątej poprawki do konstytucji. Wzięła pani tę sprawę?

– Jeszcze nie zrealizowałam czeku. Pomyślałam, że powinnam najpierw porozmawiać z panem.

Jego „biuro” mieściło się w ciasnej, standardowej niszy: sięgające ramion szare ściany i podłoga wyłożona syntetyczną wykładziną. Odessa usiadł przy biurku i wskazał mi jedyne krzesło mieszczące się na tej mocno ograniczonej przestrzeni. Na biurku stały w ramach zdjęcia jego rodziny: żony, trzech córek i syna. Mała metalowa biblioteczka stojąca za biurkiem mieściła równo poukładane zbiory przepisów i książki prawnicze. Detektyw był gładko ogolony, tylko w okolicy бакów widać było cień zarostu, który jego maszynka najwyraźniej tego ranka ominęła.

Ciemne brwi rysowały się ostro nad niebieskimi oczami.

– W czym mogę pani pomóc?

– Jeszcze nie wiem. Bardzo chciałabym się dowiedzieć, co już zdołaliście ustalić, oczywiście jeśli gotów jest pan podzielić się ze mną tymi informacjami.

– Nic nie stoi na przeszkodzie – odparł. Pochylił się do przodu i przerzucił stos grubych akt leżących na biurku. Z samego spodu wyciągnął spięty plik dokumentów i położył go przed sobą.

– Straszny tu u nas bałagan. Powiedzieli nam, że za sześć, osiem miesięcy przierzucimy się na komputery. Biuro bez papierów. Wierzy pani w coś takiego?

– Kuszące, ale mocno wątpliwe.

– Też tak uważam – zgodził się ze mną. Przerzucił parę stron, szukając pierwszego raportu o zaginięciu. – Właśnie dostałem awans. W tej ekipie jestem nowy, więc traktują to trochę jak szkolenie. Zobaczmy, co tutaj mamy. – Przebiegł wzrokiem stronę. – Crystal Purcell zgłosiła zaginięcie męża we wtorek rano, szesnastego września, siedemdziesiąt dwie godziny po tym, jak doktor nie wrócił zgodnie z planem do domu. Zanotowaliśmy to zgłoszenie w aktach. Podczas tego weekendu doszło w okolicy do paru włamań, więc zająłem się tą sprawą dopiero w południe w czwartek, osiemnastego września. Udało nam się ustalić, że Purcellowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo i w jego zniknięciu nie było nic podejrzanego. – Przerwał i spojrzał na mnie.

– Szczerze mówiąc, doszliśmy do wniosku, że doktor sam postanowił się ulotnić. Wie pani, jak to jest. Połowa takich wypadków kończy się tym, że facet wraca do domu skruszony, z podkulonym ogonem. Okazuje się, że ma na boku dziewczynę albo gdzieś zapił z kumplami. Można to tłumaczyć na wiele sposobów, a większość jest zupełnie niewinna. To bardzo przykre dla żony, ale nie ma w tym nic groźnego. – Odchylił się wygodnie na oparcie krzesła. – Co roku znika z domu od pół miliona do miliona osób. To ciężkie przeżycie dla rodziny i przyjaciół. Pani na pewno też miała do czynienia z takimi przypadkami. Początkowo wszyscy zaprzeczają. Nie mogą uwierzyć, że ktoś mógłby im zrobić coś takiego. Potem dostają szału. W każdym razie zadzwoniłem do obecnej pani Purcell i umówiłem się z nią na piątek po południu, dziewiętnastego września. Szczerze mówiąc, byłem prawie pewny, że otrzymała już jakąś wiadomość od męża.

– Ale tak się nie stało?

– Nie. I nadal nic nie wiadomo. Z tego, co mówi, nie uskarżał się na żadne dolegliwości, które mogłyby rzucić jakieś dodatkowe światło na całą tę sprawę. Żadnych kłopotów z sercem, cukrzycy,

żadnych wzmianek o chorobie psychicznej. Powiedziała, że zadzwoniła do gabinetu i rozmawiała z mężem dwunastego września, tuż po lunchu. Purcell poinformował ją, że wróci do domu późno, ale nie wspominał, że wcale nie zamierza się tam zjawić. W sobotę rano wpadła w panikę. Dzwoniła do wszystkich: przyjaciół, krewnych, kolegów z pracy. Do szpitali, służby patrolującej autostrady, kostnicy – dosłownie wszędzie. Nigdzie nie znalazła ani śladu męża.

Siedziałem z nią przez godzinę w domu w Horton Ravine. Purcellowie mają też dom na plaży, gdzie Crystal spędza większość weekendów. Sprawdziłem wszystko, zgodnie z procedurą.

Pytałem o przyzwyczajenia doktora, o jego hobby, pracę, członkostwo w klubie country; sprawdziłem jego sypialnię, komodę, rachunki telefoniczne, wyciągi z karty kredytowej, czy ostatnio z niej nie korzystał. Przejrzałem notes z adresami, kalendarz, wszystko.

– I nic?

Uniósł palec.

– Zaraz do tego przejdziemy. W ciągu następnych tygodni sprawdzaliśmy pocztę przychodzącą do domu i biura, załatwiliśmy jej monitorowanie przez cały czas, rozmawialiśmy z jego współnikami, wprowadziliśmy jego nazwisko do rejestru osób zaginionych i zastrzeżliśmy numer rejestracyjny jego samochodu. Musi pani jednak zrozumieć, że w tym przypadku nie mamy do czynienia z przestępstwem, więc sprawa jest czysto cywilna. Robimy co w naszej mocy, ale nie mamy żadnych dowodów sugerujących, że to poważny problem.

– Fiona powiedziała mi, że zaginął też paszport doktora.

Odessa uśmiechnął się.

– Mój też. Fakt, że żona nie może go znaleźć, wcale nie oznacza, że gdzieś przepadł. W

nasze ręce wpadł natomiast wyciąg z lokaty oszczędnościowej w Mid-City Bank. I to zwróciło naszą uwagę. Wygląda na to, że w ciągu dwóch lat ktoś pobierał stamtąd gotówkę – w sumie trzydzieści tysięcy dolarów. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy stan konta obniżył się z trzynastu tysięcy do trzech. Ostatni raz pobrano gotówkę dwudziestego dziewiątego sierpnia.

Żona doktora najwyraźniej nic o tym nie wie.

– Sądzi pan, że przygotowywał się do wyjazdu?

– Na to wygląda. W dzisiejszych czasach trzydzieści tysięcy nie jest sumą zawrotną, ale na początek wystarczy. Mógł też wyczyścić konta, o których istnieniu jeszcze nie wiemy. Zawsze istnieje możliwość, że facet lubi hazard i taka suma była mu po prostu potrzebna. Żona twierdzi, że to nie wchodzi w grę, ale mogła nic o tym nie wiedzieć.

– Moglibyśmy wrócić do sprawy paszportu? Jeśli Purcell wyjechał z kraju, czy na granicy nie zostałyby to odnotowane?

– Raczej tak. Ale oczywiście przy założeniu, że skorzystał z paszportu. Mógł przehandlować dokumenty – prawo jazdy, świadectwo urodzenia i paszport – za fałszywe, co oznacza, że mógł

polecieć do Europy lub Ameryki Południowej pod innym nazwiskiem. Mógł też pojechać samochodem do Kanady i polecieć stamtąd dalej.

– Albo gdzieś się ukryć.

– Zgadza się.

– Czy w takim wypadku ktoś nie zauważyłby jego samochodu?

– Nie ma na to żadnych gwarancji. Mógł go spuścić gdzieś ze skały albo pojechać do Meksyku i tam sprzedać. Proszę zaparkować taki samochód na dworcu South Central, a przekona się pani, jak szybko zniknie.

– Jaki to był samochód?

– Czterodrzwiowy mercedes sedan, z rejestracją „Doktor R”.

– Nie wspomina pan wcale o możliwości popełnienia zbrodni.

– Bo nie ma ku temu żadnych powodów. A jeśli nawet są, to nie rzuciły mi się w oczy. Nie znaleźliśmy na przykład śladów krwi na parkingu przed domem opieki. Nie było też śladów walki lub napaści, nie można więc zakładać, że został uprowadzony siłą. Zbadaliśmy całą okolicę, odwiedzając każdy dom w pobliżu. Tego wieczoru nikt nie widział ani nie słyszał nic podejrzanego.

– Fiona twierdzi, że mógł wyjechać ot, tak sobie. Co pan o tym sądzi?

– Raczej nie skłaniałbym się ku takiej ewentualności. Dziewięć tygodni i ani słowa. W takiej sytuacji trzeba zakładać, że jednak coś się stało. Zaczynamy więc grę od nowa, szukając czegoś, co mogliśmy przeoczyć przy pierwszym podejściu.

– Czy relacja Fiony wpłynęła jakoś na charakter śledztwa?

– Pod jakim względem?

– Całe to gadanie o jego wcześniejszych samodzielnych wypadach – powiedziałam.

Odessa machnął ręką.

– To bez znaczenia. Twierdzi, że już kiedyś zniknął z domu. Może tak, może nie. Nie jestem tak do końca przekonany co do jej motywów.

– Ona jednak domaga się efektów.

– To zrozumiałe; kto ich nie chce? Ale jesteśmy gliniarzami, nie magikami. Nie potrafimy dokonywać



cudów.

– Czy wierzy pan w jej historię?

– Wierzę, że ją porzucił. Nie wiadomo, czy miał problemy z obecną panią P. – Urwał na chwilę. – Poznała już pani Crystal?

Potrząsnęłam głową.

Odessa uniósł brwi i potrząsnął ręką, jakby się nagle oparzył.

– To piękna kobieta. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś chciał ją porzucić.

– Ma pan jakąś teorię?

– Nie. Naszym zdaniem, jak dotąd nie mamy do czynienia z przestępstwem. A skoro nie ma zbrodni, nie ma obowiązku informowania o przysługujących podejrzanemu prawach i wystawiania nakazów rewizji, które bardzo ułatwiają nam pracę. Jesteśmy tylko zgrają porządnych facetów, która próbuje wyświadczyć tej rodzinie przysługę. Osobiście uważam, że wszystko wygląda paskudnie, ale nie powiem o tym nikomu, nawet pani.

Wskazałam na akta.

– Mogę rzucić okiem?

– Bardzo bym chciał się zgodzić, ale to sprawa detektywa Paglii, a on ma bzika na punkcie poufności danych. Nie ma jednak nic przeciwko przekazywaniu pewnych informacji, jeśli zajdzie taka potrzeba. Chodzi przecież o to, żeby znaleźć faceta, a to oznacza, że musimy iść na współpracę.

– Nie będzie się wściekał, jeśli porozmawiam z tymi ludźmi?

– Ma pani wolną rękę.

Odprowadził mnie do wyjścia i na koniec powiedział:

– Proszę nam dać znać, jeśli pani go znajdzie. Facet może się ukrywać, jego wola, ale nie chciałbym marnować czasu, jeśli postanowił się wybrać do Vegas i poniuchać kokainę.

– Chyba pan w to nie wierzy.

– Nie. I pani też nie.

Wracając do biura, nadłożyłam trochę drogi i wstąpiłam do banku. Wypełniłam druczek zlecenia, dołączyłam czek Fiony i czekałam grzecznie w kolejce. Kiedy dotarłam do okienka, wskazałam na numer konta wydrukowany na czeku.

– Czy mogłaby pani sprawdzić stan tego konta? Chciałabym się upewnić, że czek ma pokrycie.

Kolejna twarda lekcja od życia: nigdy nie zabieram się do roboty, póki się nie przekonam, że czek jest w porządku.

Kasjerka Barbara służyła mi pomocą od lat. Patrzyłam, jak wklepuje numer konta na klawiaturze komputera, a potem wpatruje się w ekran. Uderzyła w klawisz Enter. Stuk. I jeszcze raz. Stuk. Obserwowałam, jak przebiega wzrokiem wyświetlane na ekranie informacje.

Spojrzała na druczek zlecenia i skrzywiła się.

– Czek ma pokrycie, ale jest na granicy. Chce pani gotówkę?

– Proszę przelać na mój rachunek szybko, zanim wpłynie kolejny czek i wyczyści konto.

Po powrocie do biura znalazłam przyczepioną do drzwi przez Jill i Idę Ruth wiadomość:

„Kinsey – znajdziesz tu całą listę spóźnień Jenniffer, jej błędów i niewyjaśnionych nieobecności w pracy. Proszę, dopisz do niej znane ci przykłady jej zaniedbań, podpisz całość i zostaw na moim biurku. Najlepiej będzie, gdy zaprezentujemy zwarty front. Chodzi przecież o nasze interesy! Ida Ruth”.

Wrzuciłam listę do kosza i zadzwoniłam do Crystal Purcell do domu w Horton Ravine.

Gospodyni poinformowała mnie, że Crystal wyjechała do domku na plaży, gdzie spędzi cały weekend. Podała mi numer telefonu, który zaraz wykręciłam. Kiedy w słuchawce usłyszałam kobiecy głos, miałam nadzieję, że to Crystal, ale kobieta kazała mi chwileczkę poczekać. Dopiero po chwili odezwała się druga.

– Crystal – powiedziała.

Przedstawiłam się i wyjaśniłam, kim jestem, z nadzieją, że nie zdenerwuje ją wizja rozmowy z kolejnym detektywem. Zgodnie z zamieszczonymi w gazetach relacjami rozmawiała już wcześniej z oficerami policji w Santa Teresa. Opowiedziałam jej o spotkaniu z Fioną i powierzonej mi sprawie.

– Wiem, że wiele razy musiała już pani przez to przechodzić, ale byłabym wdzięczna za rozmowę. Jeśli jest to możliwe, chciałabym usłyszeć wszystko z pani ust.

Przysięgam, że kiedy przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, słyszałam, jak ćwiczy głębokie oddechy zalecane przez instruktorów zen.

– To bardzo trudne.

– Zdaję sobie z tego doskonale sprawę i bardzo mi przykro.

– Kiedy?

– To już zależy wyłącznie od pani. Ale im szybciej, tym lepiej.

Jeszcze jedna chwila ciszy.

– Ile pani bierze?

– Od Fiony? Pięćdziesiąt dolarów za godzinę, ale mieszcę się w dolnej strefie stanów średnich. Prywatny detektyw z dużego miasta bierze dwa razy tyle. – Przez chwilę zastanowiłam się, dlaczego przyjąłam taki przeproszający ton. Może wolałaby rozmawiać z kimś wyżej ceniącym swoje usługi.

– Proszę wpaść o piątej. Dom stoi przy Paloma Lane – podała mi numer. – Wie pani, gdzie to jest?

– Znajdę. Postaram się nie zabrać pani zbyt wiele czasu.

– Proszę się tym nie przejmować. To Fiona płaci.

Wyszłam z biura o czwartej i po drodze do Crystal wstąpiłam na chwilę do domu. Coraz cięższe chmury wiszące nad miastem sprawiły, że zmrok zaczął zapadać wcześniej, a w powietrzu dał się wyczuć zapach nadciągającego deszczu. Zostawiłam w domu otwarte okna i chciałam wszystko zabezpieczyć przed burzą, która na pewno niebawem się rozpęta.

Zaparkowałam samochód przed domem i otwierając bramę, usłyszałam znajome kojące skrzypienie. Wybetonowaną ścieżką przeszłam na tył budynku.

Moje mieszkanie było niegdyś garażem, który potem stosownie przebudowano. Teraz składa się z małego pokoju z kanapą dla gości wsuniętą pod okno i wbudowanym w ścianę biurkiem. Na dole jest jeszcze maleńka kuchenka z pralką i suszarką oraz łazienka. Na antresoli, dokąd prowadzą wąskie, kręte schodki, mam wysokie łóżko i drugą łazienkę. Całość przypomina trochę wnętrze statku, co podkreśla jeszcze wizjer w drzwiach frontowych, wykładane tekowym drewnem ściany oraz całe mnóstwo haczyków, wieszaków, półeczek i wnęk, które mieszczą mój skromny dobytek. Jednak największym dobrodziejstwem, jakie mnie tu spotkało, jest mój gospodarz, Henry Pitts. Ma osiemdziesiąt sześć lat, jest przystojny, zapobiegliwy, kompetentny i pełen energii. Przed przejściem na emeryturę był piekarzem i nawet teraz nie może zapomnieć o swoim zamiłowaniu do chleba, pasztecików i ciastek. Zapewnia sąsiadom nie tylko stałą dostawę wyśmienitych wypieków, ale też serwuje lunchy i podwieczorki dla starszych pań mieszkających w okolicy. Dostarcza też świeży chleb i paszteciki do tawerny na rogu, gdzie w zamian jada trzy lub cztery razy w tygodniu.

Kiedy doszłam do końca podjazdu, zauważyłam, że drzwi garażu Henry’ego są otwarte, choć oba samochody stoją na miejscu. Skręcając w lewo, dostrzegłam samego Henry’ego na drabinie przy ścianie sypialni. Zakładał okiennice chroniące okna przed burzą. Miał na sobie szorty i kusą koszulkę, a przed „zimą” jego opalenizna zdążyła już zblaknąć. Temperatura w Santa Teresa nigdy nie spada poniżej dziesięciu stopni, Henry pochodzi jednak z Michigan i choć mieszka w południowej Kalifornii od ponad czterdziestu lat, jego przywiązanie do zmieniających się regularnie pór roku nakazuje mu zakładać siatki w oknach latem i okiennice późną jesienią. Sama pogoda nie ma dla niego najmniejszego znaczenia.

Po całym podwórku walały się przybory do sprzątnięcia: wąż ogrodowy, zwinięte w kulkę gazety, drucziana szczotka, wiaderko wody z octem i poszarzałe od sadzy gąbki. Henry pomachał

do mnie i ostrożnie zszedł z drabiny, gwizdząc pod nosem trudną do zidentyfikowania melodię.

Pomogłam mu posprzątać, wylewając brudną wodę w krzaki, a on zwinął starannie wąż.

– Wcześniej wróciłaś – zauważył.

– Pomyślałam, że trzeba zamknąć okna przed deszczem, jeśli oczywiście takowy spadnie.

Henry często narzekał, że deszczowi w Kalifornii zdecydowanie brakuje rozmachu i malowniczości burz rodem ze Środkowego Zachodu. Wiele razy deszcz, na który się długo zanosilo, w ogóle nie spadał albo też ledwie zraszał chodniki. Rzadko trafiała nam się okazja podziwiania na niebie

spektaklu z zygzakami błyskawic, które Henry czule wspominał z czasów młodości spędzonej w Michigan.

– Trzeba było zadzwonić – powiedział. – Oszczędziłbym ci drogi. Wrzuć szczotkę do tego wiaderka. Zabiorę potem wszystko ze sobą.

– Było mi po drodze. Jestem umówiona o piątej na Paloma Lane, więc i tak jechałam w tym kierunku. A poza tym każda wymówka jest dobra, żeby wyjść z biura. Za dużo bzdurnego zamieszania jak na mój gust.

– Jak przebiegają poszukiwania nowego miejsca?

Pokręciłam głową na znak, że nie idzie mi najlepiej.

– Coś na pewno się objawi. Na razie mam nowego klienta. No, przynajmniej na dziewięćdziesiąt procent.

– Skąd to wahanie?

– Może zawiniła tu sytuacja w biurze, która nie pozwala mi na wszystko spojrzeć trzeźwym okiem. To ciekawa sprawa, ale boję się, że nic nie zwojuję. Chodzi o tego lekarza, który zaginął

jakiś czas temu.

– Pamiętam, że czytałem o tym w gazetach. Nadal nie ma żadnego śladu?

– Nie. Jego była żona jest przekonana, że policja nie wykazuje wystarczającego zainteresowania. Szczerze mówiąc, ma mnie chyba za osobę, która lubi stać z batem i zmuszać ludzi do przeskakiwania przez płonące obręcze.

– Poradzisz sobie. – Z tymi słowami odwrócił się, złożył drabinę i odniósł ją do garażu.

Patrzyłam, jak obchodzi ostrożnie chevroleta rocznik 1932 i wiesza drabinę na ścianie. W jego garażu pełno jest najróżniejszych haków, a każdy przedmiot ma tam swoje miejsce starannie zaznaczone konturem wymalowanym ciemną farbą.

– Masz czas na podwieczorek? – spytał, przechodząc przez podwórko.

– Raczej nie. Spotkamy się później u Rosie.

– Będę tam przed siódmą. Rosie właśnie się do mnie wybiera, więc muszę trochę posprzątać.

Prosiła mnie o pomoc, ale nie powiedziała, w jakiej sprawie.

– No, no – mruknęłam.

Machnął ręką.

– To pewnie nic wielkiego. Nie mam zresztą nic przeciwko temu. Jeśli zjawi się tu pod moją nieobecność, powiedz jej, że wrócę, jak tylko ogarnę trochę ten bałagan.

Henry wszedł do domu kuchennymi drzwiami i widziałam przez okno, jak szoruje coś zawzięcie w zlewozmywaku. Uśmiechnął się do mnie, gdy zauważył, że na niego patrzę i znów zaczął pogwizdywać pod nosem.

Odwrociłam się, kiedy skrzypnęła brama. Chwilę później na podwórko weszła Rosie z brązową papierową torbą w ręce. Rosie jest dumną właścicielką węgierskiej tawerny. Rok temu w Święto Dziękczynienia wyszła za starszego brata Henry’ego, Williama. Zajmują teraz mieszkanie nad restauracją, oddaloną o przecznicę od nas. William, który pracuje w tawernie jako kierownik, ma osiemdziesiąt siedem lat, a Rosie, która zaklinała się niegdyś, że jest po sześćdziesiątce, teraz przyznaje się do skończenia lat siedemdziesięciu, choć nie do końca wiadomo, ile lat temu doszło do tego epokowego wydarzenia. Rosie jest niska, mocno zbudowana i ma kokieterijną fryzurę, ufarbowaną na kolor najbardziej dojrzałych florydzkich pomarańczy. Jak zwykle miała na sobie szeroką zapinaną z tyłu suknię, tym razem w kolorze ostrej pomarańczy i złota, której dół wydymał się niczym żagiel na wietrze. Na mój widok wyraźnie się rozjaśniła.

– Kinsey, być dobrze. To dla Henry – powiedziała, otwierając torbę.

Zajrzałam do środka niemal pewna, że znajdę tam kocięta.

– Co to takiego? Śmieci?

Rosie przestąpiła z nogi na nogę, unikając mojego wzroku. Podobną strategię przyjmuje zawsze, gdy ma coś na sumieniu, czuje się nieswojo lub po prostu udaje, że jest niespełna rozumu.

– Są mojej siostry Klotyldy rachunki za szpital i po śmierci. Henry wyjaśni. Nie mogę się w tym pochytać.

Rosie zwykle potrafi bez trudu stosować się do wszystkich zasad gramatyki. Przekręca słowa i miesza składnię tylko wtedy, gdy chce sprawić wrażenie zupełnie bezradnej, zmuszając ludzi w ten sposób do wyświadczenia jej jakiejś wielkiej przysługi. Najczęściej dzieje się tak wtedy, gdy sprawa dotyczy podatku stanowego i federalnego, czym Henry zajmuje się bez słowa protestu od sześciu lat.

– Pomożesz, mam nadzieję – powiedziała przebiegle. – Nie powinien robić sam.

Niesprawiedliwie było.

– A czemu William się tym nie zajmie?

– Klotylda wołała Henry.

– Ale ona nie żyje – przypomniałam.

– Zanim sama umarła, wołała – wyjaśniła z nieśmiałym uśmiechem, jakby to wszystko tłumaczyło.

Postanowiłam odpuścić. To przecież sprawa Henry'ego, choć wściekało mnie, że tak go wykorzystuje. Rzeczona Klotylda była nieznośną starszą siostrą Rosie. Nigdy nie potrafiłam wymówić jej węgierskiego nazwiska, pełnego spółgłosek i dziwnych znaczków. Przez całe lata cierpiała na niesprecyzowaną, wyniszczającą chorobę. Od chwili pięćdziesiątych urodzin poruszała się na wózku, gnębiona przez całą serię różnych dolegliwości, które wymagały stosowania całego arsenału leków i częstych pobytów w szpitalu. Kiedy skończyła siedemdziesiąt lat, zalecono jej przeprowadzenie operacji stawu biodrowego i wstawienia protezy. Operacja odbyła się w kwietniu, parę miesięcy temu. Choć wszystko poszło gładko, Klotylda była wściekła z powodu przedłużającej się, pełnej zakazów i nakazów rekonwalescencji. Opierała się wszelkim próbom postawienia jej na nogi, pluła odżywkami, odmawiała korzystania z basenu, wyszarpywała katetery i kroplówki, rzucała pigułkami w pielęgniarki i sabotowała wszelkie próby rehabilitacji. Po spędzeniu pięciu dni w szpitalu została przeniesiona do domu opieki, gdzie w ciągu paru tygodni jej stan zaczął się pogarszać. Na koniec wdało się zapalenie płuc, kłopoty z nerkami i przełykaniem. Rosie nie była specjalnie poruszona, kiedy siostra „zeszła”. „Powinna zejść już dawno temu – orzekła. – Nieźle dawała w kości. Tak się sprawy mają, gdy ktoś jest niegrzeczny. Powinna słuchać lekarz. Nie wolno odmawiać pomocy, bo on wie najdobrze. Teraz mam to na głowie i nie wiem, co z tym zrobić. Bierz”.

Sądząc po ciężarze i rozmiarach torby, sama Rosie też nie sprawowała się najlepiej.

Wyglądało na to, że stos papierów rósł od dłuższego czasu. Henry będzie musiał nad nimi spędzić parę tygodni, zanim jakoś to poukłada. Wszedł właśnie z domu i podszedł do nas.

Szorty i kusą koszulkę zamienił na flanelową koszulę i długie spodnie.

– Muszę już lecieć – rzuciłam i postawiłam torbę na ziemi.

Henry zajrzał do środka.

– Śmieci?

Kiedy wchodziłam do mieszkania, taszczył już torbę w stronę kuchennych drzwi, kiwając ze współczuciem głową, gdy Rosie rozwodziła się płaczliwie nad swoim strasznym położeniem.

Rzuciłam torbę na taboret w kuchni i zamknęłam wszystkie okna. Zapaliłam też lampy, by w mieszkaniu było przyjaźnie jasno, gdy wrócę. Na górze włożyłam czysty biały sweter z dekoltem w szpic, który nosiłam do dzinsów. Zarzuciłam szarą tweedową marynarkę, zamieniłam adidas na czarne skórzane buty i przejrzałam się w lustrze w łazience. Efekt był łatwy do przewidzenia: tweedowa marynarka i dzinsy. Może być, pomyślałam.

Paloma Lane to zacieniona dwupasmowa ulica biegnąca pomiędzy autostradą 101 i Oceanem Spokojnym. Nieregularny pas lądu dzieli z linią kolejową Southern Pacific. Mimo że pociągi towarowe i pasażerskie przejeżdżają tędy z hukiem dwa razy dziennie, wiele domów przy Paloma Lane osiąga cenę około miliona dolarów, której dokładna wysokość uzależniona jest od wielkości skrawka plaży rozciągającego się przed posiadłością. Budowane tutaj domy różnią się stylem. Można tu znaleźć rezydencje naśladowujące modę rodem z Cape Cod, nawiązujące do tradycji Tudorów,

podróbki posiadłości nad Morza Śródziemnego i współczesne cuda architektury. Wszystkie stoją oczywiście jak najdalej od torów i tak blisko plaży, jak tylko pozwalają na to przepisy. Posiadłość Crystal Purcell była jedną z niewielu nie mających elektronicznie otwieranej bramy. Na domu z lewej strony wywieszono dyskretną tablicę z napisem „Na sprzedaż”, uzupełnioną o dodatkową informację: CENA OBNIŻONA.

Dom Crystal stał na dość wąskiej działce. Drewniana trzypiętrowa konstrukcja z dużą ilością szkła miała może dwanaście metrów szerokości, a każde piętro zaprojektowano tak starannie, że z okien nie było widać sąsiednich posesji. Po lewej stronie na podjeździe stał srebrny kabriolet marki Audi i nowe białe volvo z rejestracją dumnie głoszącą: CRYSTAL. Miejsce na tyłach domu było wolne, prawdopodobnie zajmował je zwykle mercedes Dowa Purcella. Po prawej stronie znajdowało się dość miejsca na trzy dodatkowe samochody i właśnie tam postanowiłam zaparkować mojego lekko zdezelowanego volkswagena rocznik 1974.

Tyłna fasada domu była surowa w formie i tworzyła ją pozbawiona okien ściana z lekko naruszonego przez czas i pogodę drewna. Po obu stronach drzwi wejściowych w ogromnych czarnych donicach posadzono wysokie na jakieś dziewięć metrów palmy. Przeszłam przez wysypany żwirem podjazd i zadzwoniłam do drzwi. Otworzyła mi kobieta z szerokim kieliszkiem do martini w rękę.

– Kinsey, prawda? – powiedziała. – Jestem Anica Blackburn. Wszyscy nazywają mnie Nica.

Wejdziesz, proszę. Crystal właśnie skończyła biegać. Zaraz zejdzie. Obiecałam jej, że wpuszczę cię do domu, zanim pójde do siebie.

Ciemnokasztanowe włosy miała zaczesane do tyłu. Były lekko wilgotne, jakby dopiero co wyszła spod prysznic. Jej skóra pachniała wilgocią i francuskim mydłem. Anica była szczupła i trzymała się bardzo prosto w czarnej jedwabnej koszuli i starannie wyprasowanych dżinsach.

Stojąc boso, prezentowała w całej okazałości szczupłe, eleganckie stopy.

Weszłam do holu, który przechodził w salon zajmujący całą szerokość domu. Wysokie okna wychodziły na drewniany taras, gdzie stały podniszczone, wyblakłe od słońca leżaki. Podłogi ułożono z jasnego drewna. Pokrywały je jasne sizalowe chodniki, dobrze chłonec wnoszony z plaży piasek. Cała reszta, począwszy od ścian po przykryte płóciennymi pokrowcami meble, była nieskazitelnie biała.

Za tarasem rozciągał się pas zaniedbanego trawnika szerokiego na pięć metrów. Migocący w świetle późnego popołudnia ocean był zimny i bezlitosny. Perłowoszara woda ciemniała na horyzoncie, gdzie w połączeniu z ciemną warstwą chmur tworzyła posępną masę. Fale rozbijały się monotonnie o piaszczysty brzeg, wahając przez chwilę i odpoczywając, by wrócić po chwili w ramiona oceanu. Gdzieś na górze usłyszałam nagle podniesione gniewnie głosy.

– ZAMKNIJ SIĘ! To gówno! Jesteś zwykłą dziwką! NIENAWIDZĘ CIĘ!...

Odpowiedź była cicha i zdecydowana, lecz najwyraźniej nie osiągnęła zamierzonego efektu.



Reakcją było rzucone piskliwym głosem przekleństwo. Trzasnęły drzwi. Po chwili zamknięto je jeszcze raz z taką furją, że aż zadrżały szyby w oknach.

Spojrzałam na Nicę, która z zakłopotaniem na twarzy patrzyła w sufit.

– Leila wróciła do domu na weekend. To córka Crystal, czternastolatka. To dopiero pierwsze starcie. Wierz mi, że z czasem będzie ich coraz więcej, i to ostrzejszych. W niedzielę dojdzie już do otwartej wojny, ale wtedy Leila będzie musiała wracać do szkoły. W następny weekend zaczną od nowa. – Gestem zaprosiła mnie do środka, po czym usiadła na kanapie.

– Jest w szkole z internatem? – spytałam.

– W Fitch Academy w Malibu. Pracuję tam jako pedagog i zapewniam transport. Nie wchodzi to oczywiście w zakres moich obowiązków. Mieszkam po prostu dwa domy dalej. –

Brwi Niki rysowały się łukowato nad ciemnymi oczami, wysokie kości policzkowe pokrywała siateczka piegów, a blade szerokie usta odkrywały w uśmiechu rząd nieskazitelnie białych, równych zębów. – Ten spór dotyczy wizyty Leili u ojca. Cztery miesiące temu miała bzika na jego punkcie. Jeśli nie mogła z nim spędzić weekendu, terroryzowała otoczenie napadami wściekłości, od których trząś się cały dom. Teraz coś się popsło i za nic nie chce do niego jechać. Dotąd udało jej się wychodzić z tych potyczek zwycięsko. Jednak kiedy zaczyna trzaskać drzwiami, traci punkty, dając Crystal przewagę taktyczną.

– Niezły orzech do zgryzienia.

– Jasne. Dziewczynki w jej wieku mają skłonność do melodramatu, a Leila jest w tej materii szczególnie utalentowana. To jedna z naszych najzdolniejszych uczennic, ale niezły z niej numer.

Zresztą wszystkie takie są, może z wyjątkiem tych przemądrzalskich. Nigdy nie wiadomo, co takim pannicom strzeli do głowy. Osobiście wolę to, co prezentuje Leila, choć na dłuższą metę może być męczące.

– Fitch jest szkołą tylko dla dziewcząt?

– Dzięki Bogu. Nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdybyśmy mieli jeszcze do czynienia z chłopcami w tym wieku. Zrobić ci drinka?

– Nie, dziękuję.

Wypiła do końca swoje martini, pochyliła się i z lekkim stuknięciem postawiła kieliszek na drewnianym stoliku do kawy.

– Rozumiem, że przyjechałaś tu w sprawie Dowana.

– Tak, i przykro mi, że się narzucam. Crystal na pewno wiele ostatnio przeszła.

– W istocie.

– Jak sobie daje radę?

– Całkiem nieźle. Oczywiście żyje w ciągłym napięciu. Dni ciągną się bez końca i niektóre są gorsze od innych. Stale czeka na dzwonek telefonu, wygląda jego samochodu. Pojawia się mnóstwo fałszywych pogłosek, ale trzeba przyjąć do wiadomości fakt, że wszelki ślad po nim zaginął.

– Jestem pewna, że trudno jej to wytrzymać.

– Strasznie ją to przybiło. Gdyby nie Griff, nie wiem, jak udałoby się jej pozostać przy zdrowych zmysłach.

– Gdzie była tamtego wieczoru, tutaj czy w Horton Ravine?

Nica wskazała palcem podłogę.

– Zwykle spędzają weekendy tutaj. Crystal jest zodiakalną Rybą i kocha wodę. Ten dom jest bardziej w jej stylu niż ta pretensjonalna kupa śmieci, którą Fiona zbudowała w mieście. Byłaś tam?

– Jeszcze nie.

– Bez urazy – powiedziała łagodnie. – Wiem, że Fiona jest twoją klientką. – Żal mi cię, zawisło niewypowiedziane w powietrzu.

– A ty? Kiedy się dowiedziałas o zaginięciu Dowa?

– Wiedziałam, że coś jest nie tak już tego pierwszego wieczoru. Jak zwykle przywiozłam Leile z Malibu. Wróciliśmy około piątej i pojechała zaraz do ojca. Lloyd jest tak naprawdę jej ojczymem, ale wychowywał ją od dziecka. Kiedy zjawiliśmy się w domu, Crystal rozmawiała już z Dowem. Powiedział, że nie zdąży na kolację, więc byliśmy tylko we trójkę: Crystal, Rand i ja.

– Rand?

– Opiekun Griffa. Jest naprawdę wspaniały. Zajmuje się nim od urodzenia. Zaraz będziesz miała okazję poznać ich obu. Rand przyniesie Griffa po kąpieli, żeby dał mamie buzi na dobranoc. Je kolację przed kąpielą, więc zaraz potem idzie spać. Dwunastego września przygotowaliśmy coś do przegryzienia na tarasie. Wieczór był cudowny, bardzo ciepły jak na tę porę roku. Można było siedzieć bez swetrów, co tutaj nie zdarza się często. Rozmawialiśmy o błahostkach i wypiliśmy parę butelek czerwonego wina. Za piętnaście ósma Rand zabrał Griffa i pojechali do domu w mieście. Rand ma parę ulubionych programów w telewizji i chciał zdążyć przed ich rozpoczęciem.

– Rand i chłopiec spędzają weekendy w Horton Ravine?

– Zazwyczaj nie. Ale wtedy Crystal i Dow chcieli chyba pobyć tylko we dwoje. Siedziałam z nią do dziewiątej. Nie było jeszcze późno, ale po całym tygodniu byłam wykończona.

– O której Crystal spodziewała się powrotu męża?

– Koło dziewiątej. Wraca mniej więcej o tej porze, gdy musi dłużej pracować. Żonie lekarza trudno jest cokolwiek planować z zegarkiem w rękę. Tego wieczoru Crystal zasnęła na kanapie.

Zadzwoniła do mnie o trzeciej nad ranem, gdy się obudziła, a Dowa wciąż nie było w domu.

Pomyślała, że mógł wrócić bardzo późno i położył się w gościnnym pokoju, żeby jej nie przeszkadzać. Zaraz to sprawdziła, a kiedy go tam nie znalazła, zapaliła światła przed domem.

Na podjeździe nie było jego samochodu. Zadzwoniła zaraz do kliniki, gdzie się dowiedziała, że już dawno wyszedł. Wtedy zadzwoniła do mnie, a ja jej poradziłam, żeby zawiadomiła policję.

Ale przed upływem siedemdziesięciu dwóch godzin nie mogła złożyć oficjalnego zawiadomienia o zaginięciu.

– Co wtedy myślała? Pamiętasz, co mówiła?

– To, co zwykle się mówi w takich sytuacjach. Podejrzewała, że doszło do wypadku samochodowego, że miał atak serca. Pomyślała też, że mógł zostać zatrzymany przez policję.

– Za co?

– Za jazdę pod wpływem alkoholu.

– Pije?

– Trochę. Dow zawsze wypija parę szklaneczek whisky, kiedy pracuje do późna w klinice. W

ten sposób wynagradza sobie spędzane tam godziny nadliczbowe. Crystal ostrzegła go, żeby w takich wypadkach nie wracał do domu samochodem, ale on się zawsze zaklinał, że wszystko jest w porządku. Martwiła się też, że mógł zjechać w nocy z szosy.

– Czy zażywał jakieś lekarstwa?

– Kto ich nie zażywa w jego wieku? Dow ma przecież sześćdziesiąt dziewięć lat.

– A co ty pomyślałaś?

Na jej ustach zagościł przelotny uśmiech.

– To dziwne, że pytasz. Pomyślałam o Fionie. Prawie o tym zapomniałam, ale to właśnie przyszło mi do głowy, gdy się dowiedziałam, że nie wrócił do domu.

– Co takiego?

– Że w końcu wygrała. Walczyła o to od chwili, gdy ją opuścił. Robiła wszystko, żeby tylko nakłonić go do powrotu. – Pomyślałam, że Nica mogłaby powiedzieć coś więcej, ale ona tylko podniosła do ust kieliszek, zapominając, że już wcześniej go opróżniła. Pochyliła się w moją stronę. – Muszę już

iść. Kiedy skończycie, powiedz, proszę, Crystal, że jestem u siebie.

Wstała i podeszła do dużych, prowadzących na taras, oszklonych drzwi. Patrzyłam, jak powoli znika, przechodząc przez trawnik i plażę. Gdzieś na tyłach domu usłyszałam szum płynącej wody i niewyraźny męski głos. Nagle rozległ się perlisty śmiech dziecka odbijający się echem od drewnianych ścian domu: dwuletni Griffith i jego opiekun szykowali wieczorną kąpiel.

Pozostawiona samej sobie skorzystałam z okazji i rozejrzałam się po pokoju. Zazwyczaj kiedy zostaję sama, otwieram parę szuflad, przeglądam pocztę, czasem nawet czytam jakiś list albo oglądam dokładnie wyciąg z karty kredytowej. W korespondencji kryje się wiele cennych informacji, dlatego kary za naruszanie jej tajemnicy są tak wysokie. Wiedziałam jednak, że tutaj nie znajdę nic interesującego, więc pozostało mi jedynie podziwianie mebli. Próbowałam ocenić ich wartość, ale zdecydowanie nie jest to moją specjalnością. W jednym rogu stał stolik przykryty sięgającym podłogi obrusem, otoczony czterema krzesłami. Na ich oparciach przymocowano miękkie poduszki. Podniosłam jedną z nich i znalazłam pod spodem zwykle metalowe, składane krzesło. Sam stół wykonano z surowego drewna. Stanowił doskonałą metaforę tego, z czym spotykam się w mojej codziennej pracy: coś, co na pierwszy rzut oka wygląda przyzwoicie, okazuje się zwykłym dziadostwem.

Na ścianie po lewej stronie od podłogi aż po sufit wznosiły się półki na książki z przymocowaną do nich ruchomą drabinką. Znalazłam tam głównie romanse pisane przez kobiety o wymyślnych pseudonimach. Stojący na środku pokoju kominek dostarczał ciepła w chłodne wieczory, nie zasłaniając przy tym widoku na ocean. Długa lada oddzielała nowoczesną kuchnię od jadalni z oknami wychodzącymi na plażę. Po prawej stronie były schody, na które patrzyłam z nieskrywaną tęsknotą. Na drugim i trzecim piętrze najprawdopodobniej mieściły się sypialnie, może nawet gabinet, w którym trzymano wszystkie ważne papiery. Istniało oczywiście prawdopodobieństwo, że poczta Crystal przychodziła do domu w Horton Ravine, co mogło tłumaczyć brak leżącej gdzieś pod ręką korespondencji.

Nagle nad głową usłyszałam czyjeś kroki – stłumiony tupot bosych stóp na nieosłoniętej niczym drewnianej podłodze. Niewiele myśląc, spojrzałam w górę. Zorientowałam się trochę zbyt późno, że w suficie zamontowano świetlik z przejrzystego szkła o wymiarach mniej więcej metr na metr, umożliwiający pełny wgląd do sypialni na górze. Zaskoczona obserwowałam parującą nago Crystal Purcell. Pół minuty później wciąż bosa zeszła na dół po schodach. Miała na sobie sprane dżinsy biodrówki tak skąpe, że widać było jej pępek. Całości stroju dopełniał

krótki szary podkoszulek, rozciągnięty przy szyi po wielu latach noszenia. Doszłam do wniosku, że nie miała dość czasu, by włożyć bieliznę.

Jej jasne włosy opadały nieco poniżej ramion, otaczając twarz masą miękkich loków. Kilka z nich było wciąż wilgotnych. Wyciągając dłoń, powiedziała:

– Witaj, Kinsey. Przepraszam, że kazałam ci czekać. Właśnie skończyłam biegać i musiałam splukać z siebie cały ten pot i piasek. – Uścisk jej dłoni był silny, a głos brzmiał łagodnie.

Sprawiała wrażenie bardzo miłej, lecz nieco przygaszonej. – Gdzie jest Anica? Poszła już?

Prosiłam, żeby dotrzymała ci towarzystwa.

– Wyszła dosłownie przed chwilą. Prosiła, żebyś do niej zadzwoniła, gdy skończymy.

Crystal przeszła do kuchni. Otwierając stalową lodówkę, by wyjąć z niej butelkę wina, cały czas zwracała się do mnie.

– Nica to prawdziwy dar bogów, zwłaszcza gdy Leila wraca na weekendy. Bez niej i tak mam dość kłopotów. Anica jest pedagogiem w prywatnej szkole Leili.

– Wspomniała o tym. Na pewno miło jest mieć ją tak blisko.

– Jest moją bliską przyjaciółką. Dodam, że jedną z niewielu, jakie mam. Znajomi Dowa z Horton Ravine uważają mnie za niegodną nawet pogardy.

Nie wiedziałam, jak zareagować na jej słowa, więc postanowiłam się nie odzywać.

Podeszłam do lady, nie spuszczać wzroku z Crystal. W kuchni zauważyłam ślady niedawnej kolacji Griffa. Na tacce ustawionej na jego wysokim krzeselku nadal stał talerzyk z rysunkami Beatrix Potter, a na nim wysychające powoli resztki jajecznicy, okruszki grzanki i rozmazany sos jabłkowy. Przy oparciu stała butelka ze smoczką.

– Jak długo się znacie?

– Nie tak długo. Poznałyśmy się zeszłej wiosny. Widywałam ją na plaży, a potem spotkałam w szkole na jednym z tych okropnych zebrań rodziców. Czy zaproponowała ci drinka?

– Tak. Pomyślałam, że na razie lepiej będzie z niego zrezygnować.

– Naprawdę? Dlaczego? – Wyjęła z szuflady korkociąg i zaczęła otwierać butelkę. Potem podeszła do szafki i wyjęła kieliszek.

– Nie wiem. Jakoś nie miałam przekonania. Pamiętaj, że jestem tutaj niejako służbowo.

Lekko zmieszana wyjęła drugi kieliszek i podniosła go do góry.

– Jesteś pewna? To przecież nic złego. Możemy usiąść na tarasie i przy winie oglądać zachód słońca.

– Właściwie czemu nie? Przekonałaś mnie.

– Świetnie. Nie znoszę pić sama. – Podała mi kieliszki i butelkę. – Weź to, proszę, a ja zrobię coś do przegryzienia. Nie upijemy się... a przynajmniej nie aż tak bardzo.

Ujęłam kieliszki za nóżki jedną ręką, a butelkę białego wina wsunęłam pod pachę. Przeszłam przez ogromny pokój i łokciem otworzyłam prowadzące na taras drzwi. Ustawiłam butelkę i kieliszki na drewnianym stoliku stojącym między dwoma leżakami. Wiejący znad oceanu wiatr niósł ze sobą wilgoć i cierpką woń przywołującą na myśl sos ostrygowy. Wzięłam głęboki oddech i poczułam osiadającą w gardle sól.

Dwie stojące przy domu palmy szumiały łagodnie, gdy wiatr ocierał ich liście o ściany.

Podeszłam do krawędzi tarasu, podziwiając spienione fale. Plaża była opustoszała, a w oddali na platformach wiertniczych powoli zapalały się białe światełka lśniące niczym diamenty na ciemniejącym coraz szybciej tle. W powietrzu wyczuwało się nadciągającą burzę. Usiadłam na leżaku i skrzyżowałam ramiona na piersi dla ochrony przed chłodem. Powoli zapadał zmrok, a przez grubą warstwę ciemnych chmur nie przebijało żadne światło. Tylko daleko na horyzoncie widać było srebrne plamy, tam gdzie promienie późnego słońca odniosły krótkotrwałe zwycięstwo. W oddali usłyszałam cichy warkot samolotu lecącego wzdłuż wybrzeża. Oglądany przez otwarte drzwi duży pokój wyglądał ciepło i przytulnie. Byłam zadowolona, że mam na sobie sweter z długimi rękawami i tweedową marynarkę. Obrzuciłam przelotnym spojrzeniem butelkę chardonnay z elegancką czarno-srebrną naklejką. Wciąż widniała na niej cena –

sześćdziesiąt pięć dolarów – czyli więcej, niż zapłaciłam w tym miesiącu za prąd i telefon.

Dwie ozdobne lampy zaśniły nagle światłem i Crystal, nadal bosa, wyszła z domu z tacą sera i krakersów, przybraną kiśćmi winogron i ćwiartkami jabłek. Włożyła gruby granatowy sweter, który opadał jej wdzięcznie do kolan. Drzwi zostawiła otwarte i spojrzała na mnie.

– Wyglądasz na zmarzniętą. Ja przywykłam już do oceanu, ale tobie na pewno jest straszliwie zimno. Może włączę grzejniki na zewnątrz? To potrwa tylko moment. Możesz w tym czasie nalać nam wina.

Spełniłam jej prośbę, a potem patrzyłam, jak pochyla się nad butlą z gazem z przymocowanym do niej grzejnikiem. Zadbane paznokcie u nóg i rąk Crystal pokrywał francuski lakier, z wyraźnie zarysowanymi na białą półksiężycami u ich podstawy i pod płytką. Efekt był

nieskazitelny i podobnie jak fryzura sporo ją kosztował, a na dodatek manikiur musiał być co tydzień starannie poprawiany. Bez trudu można sobie wyobrazić Crystal siedzącą wygodnie w salonie piękności. Teraz przekręciła pokrętło palnika i elektryczną zapalarką zapaliła płomień. Po chwili lśniące czerwienią płomyczki pobielały. Zapaliła drugi palnik i odwróciła oba w ten sposób, by ciepło płynęło w naszą stronę.

– Lepiej?

– O wiele.

– Świetnie. Jeśli będziesz chciała włożyć coś cieplejszego, zaraz mi powiedz. Mam w szafie na dole cały zapas swetrów.

Popijałyśmy wino w milczeniu, a ja się zastanawiałam, kiedy i jak zacząć rozmowę.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, że zgodziłaś się poświęcić mi trochę czasu.

Uśmiechnęła się blado.

– Sama rozważałam możliwość wynajęcia prywatnego detektywa, ale się bałam, że pomiesza trochę szyki policjantom. Mam do nich pełne zaufanie. W przeciwieństwie do Fiony.

– Chciała, żeby ktoś poświęcił się wyłącznie tej sprawie. Policja ma wiele innych, które wymagają

natychmiastowego zbadania. – Urwałam na chwilę. – Pamiętaj, proszę, że wszystko, co powiesz, pozostanie między nami. Jeśli masz jakieś ważne informacje, przekażę je Fionie, ale nic poza tym. Możesz być więc ze mną zupełnie szczerą.

– Dziękuję. Trochę się nad tym zastanawiałam.

– Rozumiem, że nie przepadacie za sobą.

– Delikatnie to ujęłaś. Fiona zrobiła wszystko, żeby uczynić z mojego życia piekło. – W

pociągłej, ostro zarysowanej twarzy Crystal zwracały uwagę szare oczy o jasnych brwiach i gęstych czarnych rzęsach. Tusz był zresztą jedynym upiększającym kosmetykiem, jaki stosowała.

Widać jednak było, że kształt jej oczu został fachowo poprawiony, nos prawdopodobnie też.

Szczerze mówiąc, cały wygląd Crystal świadczył o ciężkiej i skutecznej pracy zespołu chirurgów plastycznych, którzy kawałek po kawałku poprawiali jej imponującą urodę. Teraz uśmiechnęła się przelotnie.

– Posłuchaj – powiedziała. – Wiem, że nie szczędzi wysiłków, by przedstawić siebie jako osobę pokrzywdzoną i zdradzoną. Prawda wygląda jednak tak, że nigdy nic Dowanowi nie dała.

Stale tylko brała i brała. W końcu nic mu już nie zostało. Biedny Dow. Kiedy pomyślę, jak ciężko pracował, o wszystkich ofiarach, jakie ponosił dla rodziny... I co dostał w zamian? Przez wszystkie te lata trzy kobiety stale wyciągały ręce i domagały się coraz więcej. A już na pewno Fiona. Nieustannie wpadała na jakieś zwariowane pomysły. Jednym z nich była jej obecna firma.

Dekoracja wnętrza? Kogóż ona próbuje oszukać? To matrona z Horton Ravine, która wydaje cudze pieniądze i nagle zaczyna mówić o swoim talencie i wielkich wizjach. A ma przecież tylko jedną klientkę... jakąś swoją przyjaciółkę imieniem Dana...

– Jest żoną jednego ze współników Dowa?

– Tak, Joela Glaziera. Znasz go?

– Nie znam. Znam Dane, a może raczej znałam ją, gdy była jeszcze żoną kogoś innego. – Nie jest chyba zbyt inteligentna. Fiona oskubuje ją niezwykle skutecznie.

– A co z córkami Dowa? Jak ci się z nimi układa?

Crystal wzruszyła ramionami.

– Są w porządku. Nawet w połowie nie mają pojęcia o tym, co się wyprawia.

Prawdopodobnie mnie nienawidzą, ale są zbyt dobrze wychowane, by się do tego przyznać.

Wyciągają od tatusia ile się da. Na pewno martwią się, że umrze i zostawi wszystko mnie i Griffowi,



ale oczywiście w pełni to rozumiem. Na ich miejscu też bym się o to martwiła.

Sięgnęła po nożyk do masła i ukroiła kawałek sera brie. Rozsmarowała go starannie na krakersie i podsunęła w moją stronę. Wzięłam krakersa do ręki i patrzyłam, jak przygotowuje drugiego dla siebie, wsuwa do ust i powoli przeżuwa.

– Ale teraz, gdy Dow zniknął, nic się już nie liczy. Moje spory z Fioną nie mają żadnego znaczenia.

– Domyślasz się, gdzie on może być?

– Bardzo bym chciała. Przez ostatnie dziewięć tygodni o niczym innym nie myślałam.

– Wierzysz, że żyje?

– Tak do końca nie, ale przecież nie można mieć pewności. Gdyby tak było, mogłabym próbować jakoś się z tym pogodzić i żyć dalej.

– Detektyw zajmujący się tą sprawą wspominał o brakującej sumie pieniędzy. Powiedział mi, że w ciągu ostatnich dwóch lat z lokaty oszczędnościowej podjęto trzydzieści tysięcy dolarów.

– Też o tym słyszałam. Ale nie miałam o tym pojęcia. Wiem, że Dow trzymał gdzieś sporą sumę pieniędzy, lecz nigdy mi o tym nie wspominał. Najwyraźniej wyciągi bankowe przesyłano do skrytki pocztowej, którą kiedyś wynajmowałam. Dowan pytał mnie o nią parę miesięcy temu, ale powiedziałam mu, że umowa wygasła. Wygląda na to, że zdecydował się nadal opłacać skrytkę.

– Zastanawiam się, dlaczego pytał, skoro znał już odpowiedź.

Crystal wzruszyła ramionami.

– Może chciał się przekonać, ile wiem.

– Na co mógł potrzebować tych pieniędzy?

– Nie mam pojęcia. Za wszystko płacił kartami kredytowymi.

– Czy w grę mogło wchodzić wymuszenie?

– Za co?

– O to właśnie pytam. Masz jakieś domysły w tej sprawie?

– Sądzisz, że był szantażowany? To śmieszne. Dlaczego ktoś miałby to robić?

– Czy to zupełnie niemożliwe?

Spojrzała na mnie przelotnie i potrząsnęła głową.

– Szantażyście zależałoby chyba na większej sumie, a nie na ochłapach wypłacanych co tydzień.

– Może tak było mu wygodniej. Duża suma to jedno, ale sprawy mają się inaczej, gdy ktoś prosi o pomoc w związaniu końca z końcem.

– Jestem pewna, że powiedziała by mi, gdyby ktoś wymuszał od niego pieniądze. Dow mówił mi o wszystkim.

– To ty tak sądzisz.

Zamrugła gwałtownie oczami.

– No tak.

– Poza tym, mogło tu chodzić o ciebie.

– Jak to?

– Mógł płacić komuś, by cię chronić.

– Nie sądzę. – Mogłabym przysiąc, że policzki Crystal lekko poróżowiały, ale w zapadającym zmroku trudno to było stwierdzić na pewno. Ręka z pewnością jej nie drżała, gdy podnosiła kieliszek do ust. Po chwili postawiła go na podłodze i wsunęła dłonie między kolana, jakby chciała je ogrzać.

W obawie, że zamknie się w sobie, postanowiłam zmienić taktykę.

– Czy mogłabyś cofnąć się w czasie i opowiedzieć mi o tych dziewięciu tygodniach? Jak sobie z tym radziłaś?

– To było straszne. Przerazające. Teraz już się trochę uspokoiłam, ale przez pierwsze dwa, trzy dni żyłam w ciągłym napięciu i zupełnie mnie to wykończyło. W domu kłębił się tłum ludzi: byli tu moi przyjaciele, córki Dowana, jego znajomi i koledzy. Nie chciałam nikogo widzieć, ale nie potrafiłam ich wyprosić. Nie miałam dość energii, by się postawić, więc roili się tu nade mną jak osy. Z trudem to wytrzymywałam. Chciałam tylko siedzieć i wpatrywać się w telefon, chodzić tam i z powrotem po pokoju, krzyczeć albo upić się do nieprzytomności. Przez wiele dni wsiadałam do samochodu i jeździłam od domu do kliniki, sprawdzając wszystkie możliwe trasy.

Wyjeżdżałam na drogę, po czym uświadamiałam sobie, jaka ze mnie kretyńska. Dow mógł być wszędzie, a prawdopodobieństwo, że go gdzieś zauważę, było przerażające małe.

– Czy w dniu, w którym zniknął, zauważyłaś coś niezwykłego? Może zaczął się inaczej zachowywać albo powiedział coś, co teraz z perspektywy czasu wydaje ci się inne, zastanawiające?

Crystal potrząsnęła głową.

– Ten piątek niczym nie różnił się od innych. Dow nie mógł się doczekać weekendu. W

sobotę miał brać udział w turnieju tenisowym w klubie country. To nic wielkiego, ale bardzo się z

tego cieszył. Mieliśmy też zjeść kolację z przyjaciółmi, małżeństwem, które przeniosło się tutaj z Kolorado, gdzie byli właścicielami paru restauracji.

– Możesz mi podać ich nazwiska?

– Oczywiście. Dam ci przed wyjściem pełną listę.

– Nikt więc nie zauważył nic niezwykłego?

– Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Możesz porozmawiać z jego kolegami i personelem w domu opieki. Sama rozmawiałam prawie z każdym i zadawałam im to samo pytanie. Policja też wszystkich przesłuchała. Bardzo starali się pomóc, ale nikt nic nie wie, a jeśli nawet, to o niczym nie wspomnieli.

– Czy Dow miał kłopoty w pracy?

– W pracy zawsze są jakieś kłopoty. Dow traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie.

Zajmuje się sprawami pacjentów i personelu, kieruje działalnością całego ośrodka. Dochodzą do tego jeszcze problemy z zatrudnianiem i zwalnianiem pracowników i przeprowadzane co roku oceny. Zawsze coś się dzieje. Taka już jest natura tej pracy. Ostatnio sporo czasu poświęcał na sprawdzanie ksiąg rachunkowych. Rok fiskalny w klinice kończy się trzydziestego listopada, a Dow lubi mieć wszystko gotowe na czas.

– Wnoszę z tego, że większość czasu poświęcał klinice?

– Tak. Pięć lat temu zrezygnował z prywatnej praktyki. Poza działalnością w kilku fundacjach charytatywnych, które są bliskie jego sercu, większość czasu spędza w Pacific Meadows.

– Czy jego obowiązki były natury medycznej, czy administracyjnej?

– Myślę, że i takiej, i takiej. Był bardzo związany z pacjentami. Nie leczył ich oczywiście, każdy z nich ma swego osobistego lekarza, ale Dow codziennie wszystkiego doglądał. A muszę ci powiedzieć, że nie zawsze jest to łatwe. Lekarz specjalizujący się w geriatrici traci ludzi, z którymi czuje się najmocniej związany.

– Masz na myśli kogoś szczególnego?

– Nie. Tu nie chodzi o jakąś konkretną osobę – zaprzeczyła – i nie twierdzę, że nie potrafił sobie z tym poradzić. Bo świetnie dawał sobie radę. Od lat miał kontakt ze starszymi ludźmi.

Chcę tylko powiedzieć, że bardzo to przeżywał.

– Czy jest możliwe, że postanowił to rzucić raz na zawsze i odejść?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. Chcesz wiedzieć, dlaczego? Z powodu Griffa. Jest jego oczkiem w głowie.

Kiedy wracał późno do domu, najpierw wszedł do jego pokoju. Kładł się obok niego na łóżku i patrzył, jak oddycha we śnie. Czasami tam zasypiał. Nigdy z własnej woli nie opuściłby Griffa.

– Rozumiem – odparłam.

– Jest coś jeszcze. Dow pisze książkę. To rzecz, o której marzył od lat. Był świadkiem tylu zmian zachodzących w medycynie. Może się podzielić wieloma wspaniałymi obserwacjami. Na pewno nie porzuciłby tego projektu.

– A jak się mają sprawy między wami?

– Jesteśmy sobie bardzo bliscy. Zastanawialiśmy się nawet nad jeszcze jednym dzieckiem, teraz, gdy Griffith skończył już dwa lata.

– Jesteś więc przekonana, że coś się stało.

– Coś bardzo złego. Nawet boję się myśleć, co. Gdyby był ranny lub ktoś go uprowadził, na pewno mielibyśmy już jakieś wiadomości.

– A jego pracodawcy? Co możesz o nich powiedzieć?

– Niewiele wiem. Spotkałam Joela Glaziera tylko dwa razy. Przy czym raz podczas uroczystości położenia kamienia węgielnego pod nowe skrzydło Pacific Meadows, więc nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać. O ile mi wiadomo, Joel i Harvey Broadus zrobili fortunę na wznoszeniu domów pogodnej jesieni na Południowym Zachodzie. Są też właścicielami domów opieki w całym stanie. Spotykaliśmy się z Harveyem przy wielu okazjach towarzyskich, ale on jest właśnie w trakcie bardzo nieprzyjemnego procesu rozwodowego, więc niewiele się ostatnio udziela. Jak na mój gust jest trochę dziwny, ale może tylko ja tak to odbieram. Kiedy Dow przeszedł na emeryturę w 1981 roku, nagle znalazł się bez żadnego zajęcia. Wszyscy wiedzą, jak bardzo jest ceniony w społeczności medycznej. Joel i Harvey zwrócili się więc do niego z propozycją pokierowania administracją Pacific Meadows.

– I dogadywali się bez problemów?

– O ile wiem, tak. Ale rzadko się widywali. Obaj byli zadowoleni z efektów pracy Dowa, więc robili swoje i dawali mu wolną rękę. Sprawy rachunków i opłat przejęła specjalna firma.

Wiem, że Dow obawiał się początkowo, że będą się wtrącać, ale jego obawy na szczęście się nie sprawdziły.

– Od jak dawna są właścicielami Pacific Meadows?

– Kupili dom w 1980 roku. Stoi przy Dave Levine Street, na rogu Nedra Lane. Mijałaś go

prawdopodobnie setki razy. Wygląda jak Tara z Przemineño z wiatrem, ale bezplantacji. Biały budynek z kolumnami od frontu.

– Ach, tak. Mijam go po prawej stronie za każdym razem, gdy jadę z tej części miasta. Przy tej ulicy jest pięć czy sześć takich domów.

– Personel nazywa ją „Aleja Formaliny”, oczywiście w żartach. Dow nie znosi, gdy to powtarzam.

– Jak się poznaliście?

– Mamo...

Crystal wyjrzała z pokoju przez otwarte drzwi.

– Jesteśmy tutaj. – Musiała zauważyć Leilę, bo odwróciła się z wyrazem rozdrażnienia i niedowierzania na twarzy. – Och, na miłość boską.

Podążyłam za jej spojrzeniem.

Leila schodziła niepewnie po schodach w czarnych atlasowych szpilkach na tak wysokich obcasach, że z trudem utrzymywała równowagę. Co chwilę kostki jej nóg wyginały się tak, jakby robiła pierwsze niepewne kroki na łyżwach. Pod czarną skórzaną kurtką miała na sobie przezroczysty szyfonowo-koronkowy top włożony do długiej, wąskiej wełnianej spódnicy. W

wieku czternastu lat przypominała jeszcze młode źrebię: miała płaskie piersi, wąskie biodra i długie, chude nogi. Nie mogła chyba wybrać gorszej spódnicy: wyglądała w niej jak tekturowy cylinder po zużytej rolce papierowych ręczników. Zrobiła też coś bardzo dziwnego z włosami.

Były krótko obcięte, ufarbowane na platynowy blond i sterczały we wszystkich kierunkach.

Niektóre dłuższe pasma zaplotła w dredy, a reszta była natapirowana i przypominała cukrową watę. Podeszła do otwartych drzwi i stanęła, uważnie się nam przyglądając.

– Cóż to za przebranie? – prychnęła Crystal.

– To nie jest żadne „przebranie”! Nie podoba ci się?

– Wyglądasz śmiesznie. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

– Ty też. Wyglądasz jak jakaś łachmaniara. Sweter wisi ci do kolan.

– Na szczęście nie zamierzam wychodzić z domu. A teraz, proszę, wróc na górę i znajdź tam jakieś przyzwoite ubranie.

– Boże święty, jak ty się przejmujesz tym, co ludzie pomyślą.

– Koniec dyskusji. Mam już serdecznie dość użerania się z tobą.

- To czemu nie zostawisz mnie w spokoju? Mogę się ubierać, jak chcę. Na pewno nie odbije się to na tobie.
- Leilo, nie wyjdiesz tak ubrana z domu.
- Świetnie. To nigdzie nie pójde. Wielkie dzięki i pieprz się.
- Gdzie jest twoja walizka? – spytała spokojnie Crystal, nie dając się córce sprowokować do ostrzejszej wymiany zdań.
- Nie mam walizki. Powiedziałam ci, że nigdzie nie jadę. Wolę zostać tutaj.
- Nie odwiedziłaś go ostatnio i obiecałam że dziś to zrobisz.
- Nie muszę tam jechać, jeśli nie mam ochoty. Decyzja należy do mnie.
- Mylisz się, to ja tak zadecydowałam, więc przestań się wyklócać.
- Dlaczego?
- Leila, nie wyprowadzaj mnie z równowagi. Co się z tobą dzieje?
- Po prostu nie chcę tam jechać. To nuda. Siedzimy tylko przed telewizorem i oglądamy wideo.
- To samo robisz tutaj!
- Obiecałaś, że będę mogła spotkać się z Paulie.
- Nigdy nic takiego nie obiecywałam. I nie zmieniaj tematu. Paulie nie ma z tym nic wspólnego. Lloyd jest twoim ojcem.
- Nie jest! Nawet nie jesteśmy spokrewnieni. To tylko jeden z twoich głupich byłych mężów.
- Mój jedyny były mąż. Tylko raz byłam wcześniej mężatką – powiedziała z niezmaconym spokojem Crystal. – Dlaczego jesteś tak nieznośna i wrogo nastawiona? Lloyd cię uwielbia.
- I co z tego?
- Leila, ostrzegam cię.
- Skoro tak mnie uwielbia, dlaczego mnie zmusza, żebym go odwiedzała?
- On cię wcale nie zmusza. To moja decyzja i jest nieodwołalna. Idź już.
- Pójde, jeśli będę mogła zobaczyć się z Paulie.
- To w ogóle nie wchodzi w grę.

– Boże, ależ jesteś okropna. Gównu cię obchodzę.

– Masz rację. Jestem tutaj wyłącznie po to, żeby cię gnębić i maltretować. Idź i zadzwoń do Towarzystwa Ochrony Praw Dziecka.

– Skoro twierdzisz, że Lloyd jest taki wspaniały, dlaczego sama się z nim nie spotkasz?

Crystal zamknęła oczy, próbując nad sobą zapanować.

– Nie będziemy o tym dyskutować w towarzystwie. Mamy z Lloydem równe prawo do opieki nad tobą. Ma przyjechać po ciebie o siódmej, a to znaczy, że jest już w drodze. Ja odbiorę cię w niedzielę o dziesiątej rano. A teraz idź się przebrać. I lepiej spakuj rzeczy, bo jak ja to zrobię, to na pewno nie będziesz zadowolona.

Leila nachmurzyła się i widziałam, jak w okolicach jej nosa i ust pojawiają się czerwone plamy, gdy próbowała powstrzymać łzy.

– Jesteś niesprawiedliwa – rzuciła i zaczęła wchodzić po schodach. Drzwi swego pokoju zatrzęsnęła z hukiem, po czym wrzasnęła „suka!”.

Crystal wróciła do naszej rozmowy, nie komentując ani słowem sceny, której byłam świadkiem. Potrząsnęła tylko głową i przewróciła oczami.

– Z Dowem poznaliśmy się w Vegas przez wspólnych przyjaciół. Kiedy tylko go zobaczyłam, wiedziałam, że pewnego dnia zostanie moim mężem.

– Czy nie był wtedy żonaty?

– Tak, technicznie rzecz biorąc, ale nie był szczęśliwy – odparła, jakby małżeńskie problemy Dowana usprawiedliwiały jej wtargnięcie na teren zastrzeżony dla pierwszej pani Purcell. –

Poznałaś Fionę. Jest tylko sześć miesięcy młodsza od Dowana, ale wygląda, jakby skończyła setkę. Pije. Pali dwie paczki papierosów dziennie. Jest też uzależniona od valium, ale o tym chyba nie wspominała. Dow skończył zeszłej wiosny sześćdziesiąt dziewięć lat, ale nigdy byś mu tyle z wyglądu nie dała. Widziałaś jego zdjęcie?

– Tak, zamieścili je w gazecie.

– Och, było okropne. Mam dużo lepsze. Poczekaj chwilę.

Podniosła się i weszła do pokoju, by wrócić po chwili z oprawionym w ramki kolorowym zdjęciem. Usiadła na leżaku i podała mi fotografię. Patrzyłam w skupieniu na twarz Dowana Purcella. Na zdjęciu, zrobionym na polu golfowym, trójka partnerów doktora była ledwo widoczna. On sam miał krótko przycięte siwe włosy i szczupłą, pociągłą twarz. Był opalony i wyglądał na mężczyznę w świetnej formie. Miał na sobie białą koszulkę do golfa, jasne płócienne spodnie i skórzaną rękawiczkę na prawej ręce. Nie mogłam dostrzec główki kija, który trzymał uniesiony przed sobą.

– Gdzie je zrobiono?

– W Las Vegas, kiedy się poznaliśmy. Jesienią 1982 roku. Pobraliśmy się rok później, kiedy zakończył się proces rozwodowy.

Oddałam jej zdjęcie.

– Czy uprawia hazard?

Crystal wpatrywała się w zdjęcie męża.

– Nie. Miał tam wykład na sympozjum lekarzy geriatrów. Uwielbiał Vegas ze względu na golfa. Grał przez okrągły rok. Był naprawdę bardzo dobry.

Zastanowiło mnie to nagłe użycie czasu przeszłego, ale postanowiłam nie drażyć tematu.

– A ty grasz?

– Trochę, ale jestem do niczego. Gram, żeby dotrzymać mu towarzystwa, kiedy nie ma partnera. To miłe, kiedy podróżujemy, bo przynajmniej mamy jakieś zajęcie. – Pochyliła się do przodu i postawiła zdjęcie na stoliku, obrzucając je przelotnym spojrzeniem, zanim znów zwróciła się w moją stronę. – I co teraz? – spytała.

– Porozmawiam ze wszystkimi, którzy mogą coś wiedzieć w tej sprawie, i spróbuję się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Widzisz? Tu jest mamusia – rozległ się nagle męski głos. Mężczyzna stał w drzwiach, trzymając w ramionach Griffitha ubranego we flanelowe śpioszki. Pod spodem widać było zarys pieluszki. Twarz chłopczyka tworzyła idealny owal, a delikatne usta rozkwitały na niej niczym świeży pączek kwiatu. Jasne włosy malca były jeszcze wilgotne, przedzielone na środku przedziałkiem i starannie zaczesane do tyłu. Jasne loki wiły się tam, gdzie włosy zdążyły już wyschnąć. Bez słowa wyciągnął rączki i znalazł się w ramionach Crystal. Oparła go na biodrze i patrząc na niego uważnie, powiedziała wysokim głosem:

– Griffie, to jest Kinsey. Powiesz jej „cześć”?

Nie wywołało to jednak żadnej reakcji ze strony chłopca.

Ujęła jego rączkę i pomachała nią w moją stronę.

– Pa, pa. Jestem gotowi do śpanka – zagaworzyła. – Musie już iść spać. Doblanoćka.

– Dobrej nocki, Griffith – odparłam wysokim głosem, próbując dopasować się do nastroju tej sceny. Było to gorsze niż rozmowa z psem, bo tam nie oczekujesz przynajmniej odpowiedzi rzuconej równie wysokim głosem. Zastanawiałam się, czy dalszy ciąg rozmowy upłynie nam pod znakiem Elmera Fudda z kreskówek o króliku Bugsie.



Spojrzałam na Randa.

– Cześć. Rand, prawda? Jestem Kinsey Millhone.

– Och, przepraszam. Zapomniałam was przedstawić.

– Miło mi poznać – powiedział Rand. Był tuż po czterdziestce, ciemnowłosy, bardzo szczupły, w dżinsach i białym podkoszulku z wilgotnymi śladami kąpieli malca. Podobnie jak Crystal chodził boso, najwyraźniej nie czując chłodu.

– Lepiej już pójdę – powiedziałam. – Będziecie mogli w spokoju położyć małego spać.

Rand wziął Griffitha od matki i przemawiając do niego ciepło, wyszedł z pokoju.

Zaczekałam jeszcze chwilę, aż Crystal zapisze mi nazwiska i numery telefonów współpracowników męża i jego najlepszego przyjaciela, Jacoba Trigga. Pożegnałyśmy się nieobowiązująco i wyszłam z jej zapewnieniem, że mogę dzwonić w każdej chwili.

W drodze do wyjścia minęłam ojczyma Leili, Lloyd'a. Przyjechał właśnie starym chevroletem ze zniszczonym podnoszonym dachem i śladami podkładu, którym zaznaczono wgnięcia i rysy przygotowane do lakierowania. Lloyd nosił krótką chłopięcą fryzurę i okulary o dużych szylkretowych oprawkach. Miał ciało biegacza lub rowerzysty – długie szczupłe nogi i ani grama tłuszczu. Nawet w tak chłodny wieczór ubrany był tylko w skąpą czarną koszulkę, szorty i buty do biegania włożone na bose stopy. Z wyglądu oceniłam go na trzydzieści parę lat, choć mijając go szybko, nie mogłam mu się dokładnie przyjrzeć. Podchodząc do drzwi skinął głową i mruknął

pod nosem „Cześć”. Kiedy przekręciłam kluczyk w stacyjce, na szybę samochodu spadły pierwsze grube krople deszczu.

Gdy tuż po siódmej zjawiłam się w tawernie Rosie, nie było tam nikogo prócz Henry'ego.

Złożyłam parasol i oparłam go o ścianę przy drzwiach. Tłumek chętnych do skorzystania z dobrodziejstw happy hour już zniknął, a okoliczni pijaczkowie jeszcze się nie zjawili, by zażyć swoją codzienną dawkę alkoholu. W mrocznej sali pachniało wołowiną i wilgotną wełną. Kilka złożonych gazet służyło przy drzwiach za wycieraczkę, a wilgotne ślady błota i strzępów papieru znaczyły ścieżkę na linoleum. Przy jednym końcu baru stał telewizor z wyłączonym dźwiękiem.

Stary czarno-biały film mrugał w ciszy na ekranie: noc, ulewa, samochód z lat czterdziestych pędzi krętą drogą. Na kierownicy mocno zaciśnięte kobiece dłonie. Ujęcie zza przedniej szyby samochodu ukazuje stojącego za zakrętem samotnego autostopowicza, co nie wróży nic dobrego.

Henry siedział samotnie przy stoliku po lewej stronie drzwi. Płaszcz przeciwdeszczowy wisiał na stojącym naprzeciw niego krześle, a parasol oparty o nogę stołu tkwił w kałuży wody.

Henry miał ze sobą brązową papierową torbę, w której Rosie przyniosła mu szpitalne rachunki swojej siostry. Przy opartym na stole łokciu postawił szklaneczkę jacka danielsa, a okulary do czytania zsunął nisko na nos. Obok niego na krześle leżała duża teczka z przegródkami, na których zaznaczył poszczególne miesiące. Patrzyłam, jak otwiera rachunek, sprawdza datę i wsuwa do odpowiedniej przegródki, by zaraz sięgnąć po następny. Przysunęłam krzesło dla siebie.

– Potrzebujesz pomocy?

– Jasne. Niektóre z tych rachunków wystawiono przed dwoma laty.

– Uregulowano je?

– Jeszcze do tego nie doszedłem. Myślę, że część tak, część nie. Straszny tu bałagan.

– Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłeś.

– Nie jest aż tak źle.

Potrząsnęłam głową, uśmiechając się lekko. Henry jest kochany i wiedziałam, że gdybym poprosiła, też nie odmówiłby mi pomocy. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, rozkładając rachunki i chowając je do odpowiednich przegródek.

– A gdzie jest Rosie? – spytałam.

– W kuchni. Przygotowuje mus z wątróbki cielęcej z sosem anchois.

– Brzmi interesująco.

Henry spojrzał na mnie z ukosa.

– No... może się okazać bardzo interesujące – poprzyłamałam się. Rosie serwowała węgierskie potrawy o niemożliwych do wymówienia nazwach, czasem bardzo dziwne w smaku, czego najlepszym dowodem był rosół z drobiu z białymi rodzynkami. Zważywszy na jej apodyktyczną naturę, zazwyczaj zamawiamy to, co każe, i próbujemy w miarę pogodnie ponosić konsekwencje naszej zbyt daleko posuniętej uległości.

Drzwi kuchni otworzyły się i wyszedł z nich William ubrany w elegancki trzyczęściowy garnitur w prążki, z wieczorną gazetą pod pachą. Podobnie jak Henry jest wysoki, ma długie nogi, urzekające niebieskie oczy i grzywę siwych włosów. Obaj panowie wyglądają jak jednojajowi bliźniacy, u których czas dokonał pewnych poprawek w wyglądzie. Twarz Henry’ego jest węższa, a William ma mocniej zarysowany podbródek i wyższe czoło. Podszedł

do stolika i spytał, czy może się do nas dosiąść, a Henry gestem wskazał mu wolne krzesło.

– Dobry wieczór, Kinsey. Jak widzę, ciężko pracujecie. Rosie zaraz przyjdzie, by odebrać od was zamówienie. Zjecie mus z wątróbki cielęcej i kalarepy.

– Przerażasz mnie – powiedziałam.

William otworzył gazetę i poszukał strony z nekrologami. Choć małżeństwo z Rosie złagodziło nieco jego hipochondrię, nadal fascynowali go ludzie, którzy opuścili ten świat z powodu jakiejś choroby. Bardzo się denerwował, gdy w nekrologu nie podawano żadnych szczegółów. W chwilach depresji lub niepewności nadal chodził na pogrzeby nieznanym i wypytywał dyskretnie żałobników o przyczynę śmierci. Pragnął poznać najwcześniejsze oznaki śmiertelnej choroby – zaburzenia widzenia, zawroty głowy, brak tchu – które w ciągu następnego tygodnia zaraz zaczynał obserwować u siebie. Uspokajał się dopiero wtedy, gdy udało mu się poznać całą prawdę. „Dolegliwości żołądkowe”, donosił nam potem z sugestywnym spojrzeniem.

„Gdyby tylko skonsultował się z lekarzem przy pierwszych oznakach choroby, mógłby dziś z nami być. Tak mówił jego brat”.

– Wszyscy musimy na coś umrzeć – odpowiadał niezmiennie Henry.

William spoglądał na brata ze złością.

– Nie musisz być aż takim pesymistą. Ja tylko pragnę zachować daleko idącą czujność.

Słuchając swego ciała...

– Moje powtarza: I tak kiedyś umrzesz, więc trochę zmądrzej, ty stary pierdoło.

Dziś wieczór Henry spojrzał uprzejmie na gazetę Williama.

– Ktoś, kogo znamy?

William potrząsnął głową.

– Paru małolatów po siedemdziesiątce, ale tylko jeden nekrolog ze zdjęciem. Zrobiono je chyba gdzieś w latach pięćdziesiątych. – Zmrużył oczy. – Mam nadzieję, że my w młodości nie byliśmy tak ulizani.

– Ty na pewno – odparł Henry. Pociągnął łyk whisky. – Jeśli umrzesz pierwszy, wiem już, jakie zdjęcie dam do gazety. Zrobione tego lata, gdy pojechaliśmy do Atlantic City. Jesteś na nim w obcisłych majtkach, masz przedziałek na środku głowy i wyglądasz, jakbyś pomalował usta szminką.

William pochylił się w moją stronę.

– Do dziś nie może mi darować, że odbiłem mu Alice Vandermeer. Rewelacyjnie tańczyła i była bajecznie bogata.

– Miała na policzku brodawkę wielkości i barwy winogrona. Gdy na nią patrzyłem, nigdy nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy, więc spuściłem ją na niego.

William przerzucił parę stron i trafił na dział z ogłoszeniami, gdzie zaczął porównywać opisy znalezionych kotów i psów z opisami zaginionych zwierzątek. Parę razy udało mu się je dopasować. Podczas gdy razem z Henrym nadal sortowaliśmy rachunki Klotyldy, William zabawiał nas, czytając ogłoszenia o oferowanych do sprzedaży zwierzętach wszelkiej maści.

Nagle spojrzał na mnie.

– To powinno cię zainteresować. Nadal szukasz biura? Powinnaś to sprawdzić. Dwadzieścia metrów kwadratowych, świeżo po remoncie, w centrum. Dwieście pięćdziesiąt za miesiąc, do wynajęcia od zaraz.

Przerwałam sortowanie i pochyliłam się w jego stronę.

– Żartujesz chyba. Pokaż.

William podał mi gazetę i pokazał ogłoszenie:

**Do wynajęcia: 20 m<sup>2</sup> w nowo odnowionym budynku w centrum miasta blisko sądu; osobna łazienka i wejście, z balkonem. 250\$**

**miesięcznie. Dzwonić do Richarda po 18:00.**

Pod spodem podano numer telefonu. Przeczytałam ogłoszenie po raz drugi, ale nic się nie zmieniło.

– Założę się, że to jakaś nora. W ogłoszeniach zawsze wszystko upiększają.

– Nic nie szkodzi zadzwonić.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Jasne.

– A jeśli już ktoś je wynajął?

– Przecież nic nie ryzykujesz. Może ten facet ma do zaoferowania jeszcze inne lokale. –

Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął z niej monetę, którą położył przede mną na stoliku. – No, dzwoń.

Wzięłam monetę i ogłoszenie i przeszłam przez salę do wiszącego w niszy automatu. Wnękę blado oświetlał neon reklamujący piwo Budweiser. Wykręciłam numer i raz jeszcze przeczytałam ogłoszenie. Po czterech dzwonkach usłyszałam męski głos.

– Chciałabym rozmawiać z Richardem.

– Przy telefonie.

Dałam mu jakieś trzydzieści lat, choć głos słyszany przez telefon może okazać się bardzo mylący.

– Dzwonię w sprawie ogłoszenia zamieszczonego w dzisiejszej gazecie. Czy biuro jest nadal do wynajęcia?

– Tak, ale szukamy kandydata na cały rok, płatność z góry za pierwszy i ostatni miesiąc plus opłata za sprzątanie.

– Przy jakiej jest ulicy?

– Floresta. Naprzeciw posterunku policji, jakieś sześć domów w dół ulicy.

– Czy podana cena jest aktualna? Dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie?

– To tylko jeden pokój. Ma małą garderobę i łazienkę, ale nie jest duży.

Od razu wyobraziłam sobie miejsce rozmiarów budki telefonicznej.

– Czy mogłabym go obejrzeć dziś wieczór?

– Mój brat właśnie układa tam wykładzinę, ja też się tam za chwilę wybieram. Jeśli chce pani obejrzeć biuro, możemy się tam umówić za piętnaście minut.

Spojrzałam na zegarek. Była 19:30.

– Świetnie. Powinnam zdażyć. Jaki jest dokładny adres?

Podał mi wszystkie szczegóły.

– Może pani wjechać na parking na tyłach budynku. Zobaczy pani światło w oknie. Mój brat ma na imię Tommy. Ja jestem Richard Hevener.

– Kinsey Millhone. Bardzo dziękuję. Do zobaczenia za piętnaście minut.

Budynek bez wątplenia był kiedyś przeznaczony dla jednej rodziny. Parterowy, z oknami w dachu i mnóstwem drewnianych ozdób. O 19:42 wjechałam na podjazd, a światła mojego volkswagena rozjaśniły panujący wokół mrok. Zwolniłam i wyrzłam przez boczną szybę. Biała farba sprawiała wrażenie świeżej, a z boku budynku widniały starannie utrzymane rabatki. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Miejsce było wprost idealne – oddalone o zaledwie jedną przecznicę od mojej obecnej siedziby – a cena nie mogła być korzystniejsza. Na wąskim asfaltowym podwórku, ogrodzonym z dwóch stron, doliczyłam się dziesięciu miejsc parkingowych. Na jednym z nich stała czarna furgonetka, reszta o tej porze była pusta. Przy zadaszonym przejściu stał duży pojemnik na śmieci. Kiedy podniosłam wzrok, dostrzegłam okna kancelarii Lonniego i mur otaczający małą parking na tyłach jego budynku. Zaparkowałam samochód i wysiadłam, próbując nie cieszyć się z góry. Na pewno się okaże, że posiadłość wystawiono na sprzedaż albo też zbudowano ją na miejscu dawnej stacji benzynowej i grunt jest zanieczyszczony benzenem lub innymi substancjami rakotwórczymi.

Na tyłach przez całą długość budynku biegł drewniany balkon z podjazdem dla wózków inwalidzkich. Nad szklanym stolikiem i czterema krzesłami rozłożono duży reklamowy parasol.

W kilku dużych glinianych donicach pachniały zioła. Zabrakło mi tchu. W środku zapalono wszystkie światła. Weszłam do małego holu. Drzwi po prawej stronie były otwarte. W powietrzu unosił się zapach świeżej farby, zmieszany z wonią nowiutkiej wykładziny. Zamknęłam oczy i pomodliłam się w duchu, gorzko żałując swoich niegodziwych uczynków i obiecując natychmiastową poprawę. Otworzyłam oczy i weszłam, obrzucając wewnątrz uważnym spojrzeniem.

Pokój miał wymiary mniej więcej cztery na cztery metry. Nowo wstawione okna zasłonięte białymi żaluzjami. W przeciwległej ścianie stało otworem dwoje drzwi. Jedne prowadziły do małej łazienki, drugie do sporej garderoby.

Rudowłosy chłopak w dżinsach, oliwkowym podkoszulku i ciężkich butach siedział na podłodze, mocując się z dużą, ciężką rolką wykładziny. W biurze zainstalowano już linię telefoniczną i aparat stał na pustym tekturowym pudełku. Wykładzina była ciemnoszara w duże, beżowe kropki. Chłopak trzymał w ręce duży nóż z zakrzywionym ostrzem i drewniany pobijak, którym umocowywał przycięte już pasy wykładziny. Na środku pokoju leżała kupka ścinków.

Obok kosza na śmieci wypełnionego po brzegi kawałeczkami wykładziny stała mała, turystyczna lodówka. W pokoju było duszno, a źródłem ciepła była rozpalona dwustuwatowa żarówka.

– Cześć, jestem Kinsey – powiedziałam. – Twój brat umówił się tu ze mną za piętnaście ósma. Tommy, prawda?

– Zgadza się. Richard zawsze się spóźnia. Masz to jak w banku. To ja jestem grzecznym chłopcem, który zawsze stawia się na czas. Poczekaj chwilę, już prawie skończyłem.

Rzucił mi szeroki uśmiech. Wokół jego ust pojawiła się siateczka zmarszczek. Od razu dostrzegłam zielone oczy i lśniące bielą zęby. W połączeniu z rudymi włosami i ogorzałą twarzą efekt był porażający, jakby w czarno-białym filmie nagle pojawiła się scena nakręcona w technikolorze. Odwróciłam wzrok, czując dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Miałam tylko nadzieję, że

bezwiednie nie jęknęłam z zachwytu.

Patrzyłam, jak chłopak pracuje. Kiedy rozwijał rolkę i przycinał odmierzone kawałki, mięśnie jego pleców i ramion drgały. Na porośniętych rudymi włosami rękach rysowały się wyraźnie żyły. Po policzku spływała strużka potu. Uniósł ramię i starł ją rękawem podkoszulka.

Po chwili odrzucił nóż i wstał wycierając ręce o spodnie. Wyciągnął rękę.

– Powiedz jeszcze raz, jak się nazywasz.

– Kinsey Millhone pisane przez dwa „l”.

Słońce zdążyło już dokonać spustoszenia na jego jasnej twarzy, pozostawiając sieć zmarszczek na czole i w kącikach oczu. Na oko dałam mu dwadzieścia parę lat. Mierzył metr siedemdziesiąt pięć i ważył około osiemdziesięciu kilogramów. Mając za sobą krótki staż w policji, zawsze traktuję mężczyzn jako potencjalnych podejrzanych, których kiedyś być może będę musiała zidentyfikować.

– Mogę się trochę rozejrzeć?

Wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo. Ale nie ma tu zbyt wiele do oglądania – powiedział. – Czym się zajmujesz?

Weszłam do łazienki i mój głos odbił się echem od ścian wyłożonych kafelkami.

– Jestem prywatnym detektywem.

Toaleta, umywalka z wiszącą nad nią szafką. Kabina prysznicowa z pleksiglasu. Podłogę i ściany do połowy wysokości wyłożono białymi kafelkami. Nad nimi widniała beżowo-biała tapeta w kwiaty. Całość wyglądała jednocześnie świeżo i staromodnie. Łatwo było także utrzymać łazienkę w czystości.

Wróciłam do pokoju i podeszłam do niewielkiej garderoby. Tam też położono wykładzinę, a ściany pomalowano na biało. Wewnątrz było dość miejsca, by ustawić szafki na akta i schować zapas przyborów biurowych. Zamocowano nawet wieszak, na którym można powiesić kurtkę.

Odwróciłam się w stronę pokoju i zaczęłam się zastanawiać, jak umeblować całość. Jeśli postawię biurko przy oknie, będę mogła wyglądać na balkon. Żaluzje były idealnym rozwiązaniem. Kiedy wpadnie do mnie klient, będę mogła zasłonić dół okna, a górę pozostawić otwartą, by do środka wpadało dość światła. Uchyliłam okno. Nic nie skrzypnęło. Oparłam się o parapet.

– Żadnych termitów? Dach nie przecieka?

– Nie, szanowna pani. Mogę to zagwarantować, bo wszystko zrobiłem tu sam. Tu jest bardzo cicho i przytulnie. Powinnaś to obejrzeć za dnia. Przez okna wpada mnóstwo światła. A kiedy będziesz miała kłopoty, gliny są tuż za ścianą – mówił z lekkim akcentem z Południa.

– Na szczęście moja praca nie jest aż tak niebezpieczna.

Wsunął ręce do kieszeni. Jego opalona twarz była obsypana delikatnymi piegami. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, więc długą chwilę trwaliśmy w milczeniu. Wreszcie przerwał je Tommy, bez szczególnej pomocy ze strony niżej podpisanej.

– Kiedy kupiliśmy ten dom, był w fatalnym stanie. Wymieniliśmy wszystkie rury i instalację elektryczną, położyliśmy nowy dach i rynny – mówił tak cicho, że z trudem słyszałam jego słowa.

– Bardzo tu ładnie. Od jak dawna jesteście właścicielami domu?

– Od roku. Jesteśmy tutaj nowi. Kilka lat temu straciliśmy rodziców. Oboje nie żyją. Richard nie znosi o tym mówić chyba jeszcze bardziej niż ja. To nadal bolesny temat. Zostaliśmy więc we dwóch. – Podeszedł do lodówki, uniósł pokrywkę i spojrzał na mnie. – Mogę ci zaproponować piwo?

– Nie, dziękuję. Zabierałam się właśnie do kolacji, gdy ktoś pokazał mi wasze ogłoszenie. Po rozmowie z Richardem wrócę tam i wreszcie coś zjem.

– Nie lubię pić i siadać potem za kierownicą – rzucił ze smutnym uśmiechem.

– O to mniej więcej chodzi – odparłam.

Pogrzebał między kostkami lodu i wyjął puszkę pepsy light. Zanim zdążyłam zaprotestować, otworzył ją.

– Naprawdę, bardzo dziękuję.

Nachmurzoną minę Tommy’ego łagodził ton udanej dezaprobaty.

– Nie pijesz piwa, pepsy też nie chcesz. Co jest? Puszka jest już otwarta. Wypij choć łyk.

Chyba nie chcesz, żeby się zmarnowało – powiedział i pomachał zachęcająco puszką. Wzięłam ją, by uniknąć sporu.

Raz jeszcze sięgnął do lodówki i wyjął butelkę piwa. Otworzył ją i trzymając za szyjkę, usiadł na podłodze. Oparł się plecami o ścianę i wyciągnął przed siebie długie nogi. Jego ciężkie buty sprawiały wrażenie ogromnych. Gestem wskazał na wykładzinę.

– Siadaj. Będzie ci wygodniej.

– Dzięki.

Wybrałam miejsce naprzeciwko niego i usiadłam na podłodze. Zanim odstawiłam puszkę na bok, wypiłam trochę pepsy, żeby nie robić mu zawodu.

Tommy pociągnął duży łyk piwa. Wyglądał na faceta, który lubi palić przy pracy.



– Kiedyś paliłem – powiedział, jakby czytając w moich myślach. – Ciężko było rzucić, ale chyba w końcu się z tym uporałem. Palisz?

– Od czasu do czasu.

– Ja nie palę już od pół roku. Raz na jakiś czas jeszcze mnie kusi, ale biorę parę głębokich oddechów, o tak... – urwał, by wciągnąć ze świstem powietrze do płuc – i ochota na fajkę szybko mija. Skąd pochodzisz?

– Mieszkam tu od dziecka. Chodziłam do szkoły średniej w Santa Teresa.

– My pochodzimy z Teksasu. Z małego miasteczka o nazwie Hatchet. Słyszałaś kiedyś o nim?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Leży tuż obok Houston. Ojciec zajmował się wydobywaniem ropy. Na szczęście zdążył sprzedać firmę, zanim źródło wyschło. Wszystkie pieniądze władował w nieruchomości.

Budował centra handlowe, biurowce, różne budynki użyteczności publicznej. Kalifornia jest bardzo dziwna. Ludzie nie są tu tak przyjaźni jak w naszych stronach. Zwłaszcza kobiety.

Większość jest strasznie nadęta.

Raz jeszcze zapadło milczenie.

Tommy pociągnął kolejny łyk piwa i wytarł dłonią usta.

– Prywatny detektyw. To dla mnie coś nowego. Nosisz broń?

– Czasami. Niezbyt często. – Nie znoszę, jak ktoś ze mnie wyciąga informacje, choć Tommy prawdopodobnie starał się tylko być uprzejmy i zabawić mnie do czasu przybycia brata.

Uśmiechnął się leniwie, jakby wyczuwając moje podenerwowanie.

– Co wolisz? Dużo starszych czy dużo młodszych facetów?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Pogroził mi palcem.

– Więc wolisz starszych.

Poczułam, że się rumienię. Dietz wcale nie był taki stary.

– Ja lubię kobiety w twoim wieku – powiedział, błyskając białymi zębami. – Masz chłopaka?

– To nie twoja sprawa.

Roześmiał się.

– Och, daj spokój. Spotykasz się z kimś regularnie?

– Mniej więcej – odparłam. Nie chciałam go denerwować, gdyż wciąż miałam nadzieję, że uda mi się wynająć to biuro.

– „Mniej więcej”. Podoba mi się. Możesz to sprecyzować?

– Chyba „więcej”.

– Nie jest to więc ognisty romans, skoro nie jesteś pewna. – Zmrużył oczy, jakby słuchał

podszepu intuicji. – Powiem ci, co myślę. Założę się, że masz problemy. Boisz się ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Mam rację?

– Nie. Nie ujęłabym tego w ten sposób.

– Ale w swojej pracy musiałaś spotkać wielu złych facetów.

– Złe kobiety też.

– To mi się też podoba. Złe dziewczyny, złe kobiety, renegaci, buntownicy... – Spojrzał na zegarek i podniósł głowę. – No, już jest. Spóźniony piętnaście minut. Pod tym względem możesz na nim zawsze polegać.

Wyjrzałam na oświetlone blaskiem reflektorów podwórko. Podniosłam się z podłogi.

Tommy wypił do końca piwo i odstawił butelkę. Trzasnęły drzwiczki i chwilę potem do pokoju wszedł Richard Hevener, poklepując się po nodze podkładką do pisania. Miał na sobie dżinsy i czarny podkoszulek, na który narzucił luźną, skórzaną kurtkę. Był ciemnowłosy, wyższy i mocniej zbudowany od brata. Jako starszy wyglądał dużo poważniej i widać było, że lubi, by traktowano go z należnym szacunkiem. To na pewno nie będzie łatwa rozmowa.

– Richard Hevener – przedstawił się, wyciągając do mnie rękę, po czym odwrócił do Tommy’ego. – Wygląda nieźle.

– Dzięki. Skończę się pakować i zmykam. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Odwróciłam się na chwilę, gdy się naradzali. Usłyszałam, że prowadzą remont jeszcze w innym budynku i Tommy ma tam zacząć pracę w przyszłym tygodniu. W obecności brata zmienił

się zupełnie, znikło na dobre przekomarzanie się i niefrasobliwość. Po zakończeniu rozmowy wziął wiaderko ze ścinkami i wyniósł je na zewnątrz, zmierzając do dużego pojemnika na parking.

– I co pani o tym myśli? – spytał Richard, odwracając się w moją stronę. – Chce pani wypełnić kwestionariusz?

Jego akcent i sposób bycia o wiele mniej pachniał Teksasem. W konsekwencji wydawał się dużo starszy i bardziej solidny od brata.

– Oczywiście – odparłam, próbując nie przyjmować błagalnego tonu.

Podał mi podkładkę i długopis.

– Płacimy za wodę i wywóz śmieci. Pani za prąd i telefon. Za ogrzewanie płacimy ratami, a wysokość opłat uzależniona jest od pogody. Mamy tu tylko jednego lokatora, księgowego z własną firmą.

– Nie mogę uwierzyć, że nikt jeszcze nie wynajął tego biura.

– Dopiero co zamieściliśmy ogłoszenie. Mieliśmy już sporo telefonów. Po pani jeszcze trzy.

Dziś wieczorem jestem umówiony z jednym facetem.

Czułam, jak mój niepokój alarmująco rośnie. Oparłam się o parapet i zaczęłam wypełniać druczek. Kwestionariusze są strasznie nużące; wymagają wpisania wielu informacji, które naprawdę nikogo nie powinny obchodzić. Podałam mój numer ubezpieczenia, numer prawa jazdy, zakreśliłam słowo „rozwidziona” w części poświęconej stanowi cywilnemu. Poprzednie adresy, jak długo tam mieszkałam, powód przeprowadzki. Wymieniłam osoby, u których można zasięgnąć informacji na mój temat, i podałam adres banku. Kilka informacji zmyśliłam.

Postawiłam kreskę w miejscu przeznaczonym na numer karty kredytowej i stan konta. Kiedy skończyłam, Tommy’ego już nie było. Usłyszałam na podjeździe jego furgonetkę, po czym zapadła cisza. Podałam Richardowi podkładkę i obserwowałam go uważnie, gdy przeglądał

kwestionariusz.

– Jeśli chce pan zastaw, mogę go panu dziś wypłacić.

– Nie ma takiej potrzeby. Zadzwoń pod podane przez panią numery i skontaktuję się z bankiem, czy nie ma tam pani problemów. W poniedziałek ma się tu zjawić jeszcze parę osób.

– Czy wie pan już, kiedy zapadnie decyzja?

– W połowie tygodnia. Proszę sprawdzić, czy podała pani numer kontaktowy na wypadek, gdybym miał jakieś wątpliwości.

Wskazałam mu odpowiednią rubrykę kwestionariusza.

– To mój telefon domowy, a to do biura. Oba mają automatyczne sekretarki.

– Czy to pani obecny adres służbowy?

– Tak. Wynajmuję biuro w kancelarii prawniczej należącej do Lonniego Kingmana. Zarówno on, jak

i mój gospodarz potwierdza, że reguluję wszystkie opłaty na czas.

– Brzmi zachęcająco. Zadzwoń, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeśli nie, skontaktuję się z panią po przejrzeniu wszystkich kwestionariuszy.

– Świetnie. Jeśli pan chce, mogę zapłacić za sześć miesięcy z góry – czułam, że zaczynam być śmieszna. Idiotka, płaszczyłam się przed nim jak jakaś życiowa niedojda.

– Naprawdę? – Patrzył na mnie ciemnymi oczami. – Tysiąc pięćset dolarów, plus sto siedemdziesiąt pięć za sprzątanie – powiedział, jakby chciał się upewnić, że wiem, na co się tak głupio porywam.

Pomyślałam o czeku na tysiąc pięćset dolarów wystawionym przez Fionę.

– Oczywiście, bez problemu. Mogę wypłacić panu tę sumę od ręki.

– Wezmę to pod uwagę – odparł.

W sobotę automatycznie otworzyłam oczy o 5:59. Spojrzałam w świetlik zalany kroplami deszczu. Całą kopułkę z pleksiglasu pokrywały małe perełki światła. Bryza wpadająca przez okno sypialni niosła ze sobą woń mokrych liści, wilgotnych chodników i ociekających wodą eukaliptusów rosnących na ulicy za domem. Szczerze mówiąc, zapach eukaliptusów praktycznie niczym się nie różni od zapachu aerozolu przeciw kociemu smrodkowi, ale nie chciałam o tym myśleć. Wsunęłam poduszkę pod głowę, szczęśliwa, że nie muszę wyczołgiwać się z łóżka i biegać. Traktuję treningi bardzo poważnie, ale nie ma nic rozkoszniejszego niż dłuższe poleżenie w łóżku. Skuliłam się pod kołdrą, ignorując świat zewnętrzny aż do 8:30. O tej porze doszłam do wniosku, że być może warto wyrzucić spod kołdry i zaczerpnąć trochę powietrza.

Wzięłam prysznic, ubrałam się, zaparzyłam dzbanek kawy i zjadłam miskę płatków z mlekiem. Przy jedzeniu przeczytałam poranną gazetę. Po śniadaniu zmieniłam pościel, włączyłam pralkę i trochę ogarnęłam mieszkanie. Gdy byłam dzieckiem, ciocia Gin zawsze wymagała, żebym w soboty – jeszcze zanim zacznę się bawić – sprzątała swój pokój. Jako że mieszkaliśmy w przyczepie kempingowej, nie miałam zbyt wiele pracy, ale nawyk pozostał.

Pościerałam kurze, odkurzyłam podłogę, wyczyściłam toalety. Te wykonywane automatycznie czynności pozwoliły mi myśleć o zupełnie innych sprawach. I tak na zmianę ustawiałam w wyobraźni meble w moim nowym biurze i zastanawiałam się, z kim powinnam teraz porozmawiać o zniknięciu doktora Purcella. Zaliczka Fiony spoczywała bezpiecznie na moim koncie, poczułam się więc zobowiązana trochę podczas weekendu popracować. Po zaledwie jednym dniu poświęconym tej sprawie oparłam się pokusie wyciągania pochopnych wniosków, ale gdybym była zmuszona na coś postawić, to na pewno zaryzykowałabym sporą sumę na to, że Purcell nie żyje. Po wszystkim, co udało mi się do tej pory ustalić, jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że odszedłby bez słowa od żony i synka. To nie tłumaczyło oczywiście zaginięcia paszportu i trzydziestu tysięcy dolarów, ale zarówno dokument, jak i pieniądze mogły się po jakimś czasie objawić. Na tym etapie nie było powodu do przypuszczeń, że obie te sprawy są ze sobą jakoś powiązane.

O jedenastej zaczęłam szukać w książce telefonicznej stron z numerami domów opieki. Było ich blisko dwadzieścia. Wiele z nich zamieściło duże reklamy, w których wyliczano rozmaite udogodnienia.

**Kompleksowa opieka zdrowotna i rehabilitacyjna... duże pokoje w spokojnej okolicy... eleganckie wnętrza... piękny nowy budynek z dużym dziedzińcem i ogrodem.**

Przy niektórych wydrukowano małe mapki, na których strzałkami zaznaczono lokalizację budynku, jakby znacznie lepiej było zegnać się z życiem w jednej z elegantszych dzielnic Santa Teresa. Większość domów nosiła wymyślne nazwy, całkowicie odbiegające od rzeczywistości: Cedar Greek Estates, Green Briar Villa, Horizon View, Rolling Hills, The Garden. Oczywiście nie sposób było sobie wyobrazić, by w takim otoczeniu ktoś mógł czuć się samotny, odrzucony, chory i zniedołężniały.

Meadows

–

dom,

którym

kierował

Dow

Purcell

–

szczył

się

dwudziestoczerogodzinną

opieką

dyplomowanych

pielęgniarek,

kaplicą

i

usługami

świadczonymi przez pastora, które bez wątpienia kiedyś musiały okazać się przydatne. Dom posiadał również certyfikat Medicare i Medicaid\*, co dawało mu sporą przewagę nad prywatnymi konkurentami. Postanowiłam złożyć tam wizytę. Podczas weekendu na pewno nie będzie pełnej obsady personelu, co w mojej sytuacji było oczywiście okolicznością bardzo sprzyjającą. Może wszystkie zarozumiałe i nadęte pielęgniarki tak jak ja przed chwilą robią w domu pranie.

Wsunęłam do torebki nowy notes z wrywanymi kartkami i włożyłam buty. Znalazłam żółtą pelerynę i parasol i zamknąwszy drzwi, ruszyłam przez podwórko, omijając kałuże. Kiedy wsiadłam do zaparkowanego przy krawężniku samochodu, zadrżałam z zimna. Po porannej mżawce rozpadało się na dobre i deszcz bębnił teraz o dach niczym spadające z nieba gwoździe.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce i pochyliłam się nad kierownicą, ruszając wolno z miejsca, otoczona falą wody rozpryskiwanej przez przednie wycieraczki.

Kiedy wjechałam na parking przed Pacific Meadows, na niebie wisały ciężkie chmury.

Światła w oknach pokoi sprawiały, że budynek wyglądał ciepło i przytulnie. Wybrałam miejsce blisko wejścia przypisane pracownikowi, którego nazwisko wymalowano na asfalcie.

Ponieważ zrobiono to czarną farbą, trudno było je odczytać. Zgasiałam silnik i poczekałam chwilę, aż minie największa ulewa. Jednak i tak musiałam biec przez zalany wodą asfalt i szybko szukać schronienia pod daszkiem osłaniającym główne wejście do budynku. Otrząsnęłam parasol

\* Medicare – największy w kraju program ubezpieczeniowy, otaczający opieką ponad 39 milionów Amerykanów.

Zapewnia ubezpieczenia dla pacjentów, którzy przekroczyli 65 rok życia. Medicaid – program ubezpieczeniowy dla Amerykanów o niższych dochodach, obejmujący swym zasięgiem ponad 36 milionów osób (przyp. tłum.).

i pelerynę i weszłam do środka. Na kołkach wisały ociekające wodą płaszcze i wielkie kapelusze. Powiesiłam tam swoją pelerynę, a parasol postawiłam w kącie.

W rozciągającym się przede mną szerokim korytarzu dostrzegłam sześć starszych osób na wózkach ustawionych pod ścianą jak usychające rośliny. Parę z nich spało, a reszta wpatrywała się w podłogę niewidzącym wzrokiem. Dwoje wyniszczonej osteoporozą pacjentów przywiązano do wózków. Jedna kobieta, bardzo chuda, przewiesiła kościstą nogę przez oparcie i kołysała nią gwałtownie, jakby dokuczał jej silny ból. Skuliłam się w sobie, jakbym nagle stała się świadkiem zderzenia czterech samochodów.

Na samym końcu korytarza dwie kobiety w zielonych fartuchach układały prześcieradła na wózku wypełnionym już po brzegi brudną pościelą. W powietrzu unosił się dziwny zapach – nie można go było uznać za przykry, ale był bez wątpienia niezwykły. Tworzyła go mieszanina różnych woni: zielonej fasolki w puszkach, plastrów, gorącego metalu, spirytusu do nacierań i mydła do prania. Żaden z tych składników nie był nieprzyjemny, ale ich połączenie nie wypadało najlepiej. Pachniało życiem, które straciło swój urok i radość.

Po mojej prawej stronie stały aluminiowe chodziki ustawione jak wózki w supermarkecie. Na ścianie za szybą niby obraz na wystawie wisało menu. Na sobotni lunch podawano pastę z kurczaka, krem z kukurydzy, sałatę, pomidory, sałatkę z owoców i owsiane ciastko. W moim świecie sałata i pomidory stanowiły jedynie ozdobę, dodatek do właściwego dania, pozostawiany zazwyczaj na brzegu talerza, by trafić potem do kosza z odpadkami. Tutaj otrzymały równe prawa, jakby były częścią wielkiej uczyty o wspaniałych właściwościach odżywczych.

Pomyślałam o frytkach i cheeseburgerze i o małym co nie uciekłam. Duże oszklone drzwi prowadziły do jadalni, gdzie dostrzegłam siedzących przy stołach pensjonariuszy. Nawet na pierwszy rzut oka widać było, że kobiet jest o trzy razy więcej niż mężczyzn. Niektórzy z pacjentów nosili normalne ubrania, lecz większość miała na sobie szlafroki i pantofle. Nie oznaczało to wcale, że powinni przez cały czas pozostawać w łóżkach, lecz wymuszał to niejako ich status rekonwalescentów. Wielu odwróciło się w moją stronę, rzucając mi pełne oczekiwania spojrzenia. Czy zjawiłam się tu z

wizytą? Czy może chcę zabrać kogoś do domu? Może jestem czyjąś długo niewidzianą córką albo siostrzenicą, gotową zabrać ich na długi spacer na świeżym powietrzu? Odwróciłam wzrok zażenowana, gdyż nie mogłam im nic zaoferować. Po chwili znów nieśmiało zajrzałam do jadalni, uniosłam rękę i delikatnie pomachałam do pacjentów. W

odpowiedzi zobaczyłam las drżących rąk odpowiadających niepewnie na moje pozdrowienie. Ich uśmiechy były tak ciepłe i wybaczące, że poczułam gorącą falę wdzięczności.

Odwróciłam się i przeszłam przez hol. Kolejne drzwi prowadziły do pokoju dziennego, teraz opustoszałego, gdzie stały kanapy o obiciach w różnych kolorach, miękkie krzesła, pianino, dwa telewizory i parę stolików do gry. Podłoga była wyłożona beżowym linoleum, a ściany pomalowano na błękitno. W oknach wisiały zasłony w żółto-niebiesko-zielony kwiatowy wzór.

Na kanapach rozrzucono całe mnóstwo haftowanych poduszek. Najwyraźniej grupa pań z kościoła musiała dać upust swoim zamiłowaniom do machania igłą. Na jednej z poduszek wyhaftowano napis – MASZ TYLE LAT, NA ILE SIĘ CZUJESZ – co było dość przygnębiające, zważywszy na stan paru pensjonariuszy, których widziałam. Przy jednej ze ścian stały złożone metalowe krzesła. Wszystko lśniło czystością, lecz „wystrój” wnętrza był bardzo skromny, wskazywał na skromny budżet i jakoś nie mieścił się w granicach dobrego smaku.

Minęłam stanowisko recepcji w niewielkiej wnęce i szłam dalej korytarzem prowadzona tabliczkami obwieszczającymi usługi specjalisty dietetyka, przełożonej pielęgniarek i całego grona specjalistów od najróżniejszych terapii. Wszystkie drzwi stały otworem, lecz biura były puste i przygaszono w nich światła. Po drugiej stronie korytarza zauważyłam napis „Izba przyjęć”. Te drzwi były zamknięte, a kiedy próbowałam przekręcić gałkę, okazało się, że są zamknięte na klucz. Na następnych wisiała tabliczka z napisem „Archiwum medyczne”, które najwyraźniej dzieliło biuro z administracją. Doszłam do wniosku, że trzeba zacząć poszukiwania właśnie tutaj.

W pokoju paliły się światła. Weszłam do środka, lecz nikogo tam nie znalazłam. Czekałam przy ladzie, wpatrując się w koszyczek wypełniony pocztą. Po chwili rozejrzałam się dookoła.

Dwa biurka przylegały do siebie, na jednym stał komputer, a na drugim mruczająca cicho elektryczna maszyna do pisania. Wszędzie było pełno segregatorów. Zauważyłam też kopiarkę i metalowe szafki na akta. Na ścianie wisiał duży zegar z poruszającą się miarowo wskazówką sekundnika, której stukot słyszałam z odległości pięciu metrów. Nikt się nie zjawiał. Oparłam łokieć o ladę i zabębniłam palcami w koszyczek z pocztą. Podnosząc lekko rogi kopert i przechylając głowę, mogłam przeczytać większość adresów zwrotnych. Rachunki za gaz i prąd, za usługi ogrodnika, dwie szare koperty ze szpitala Santa Teresa, znanego powszechnie jako St.

Terry.

– W czym mogę pani pomóc?

Przestraszona wyprostowałam się gwałtownie.

– Dzień dobry – powiedziałam.



Drzwiami łączącymi archiwum z biurem administracji weszła młoda kobieta w okularach o plastikowych czerwonych oprawkach. Miała bardzo jasną cerę, lecz sprawiała wrażenie, że przy lada okazji pokrywa się czerwonymi plamami. Jasnobrązowe nierównej długości włosy wisiały wokół twarzy, sugerując wyraźnie, że wizyta u fryzjera jest jak najbardziej pożądana. Pod zielonym fartuchem nosiła brązowe spodnie z poliestru. Na kieszonce na piersi wyhaftowano napis MERRY i PACIFIC MEADOWS.

Podeszła do lady, otwierając małe boczne drzwiczki i zajęła swoje miejsce. Na pierwszy rzut oka dałam jej jakieś trzydzieści lat, ale po chwili musiałam dziesięć odjąć. Dziewczyna nosiła na zębach aparat korekcyjny i między drucikami nadal widać było resztki lunchu. Jej oddech pachniał napięciem i niezadowoleniem. Wyraz twarzy pozostawał nieprzenikniony, lecz odezwała się do mnie ostrym tonem:

– Czy mogę zapytać, co pani tu robi?

Zmrużyłam jedno oko.

– Zgubiłam szkło kontaktowe. Mogło mi równie dobrze wypaść w samochodzie, ale dopiero teraz to zauważyłam. Pomyślałam, że może wpadło do koszyczka, ale tu go nie ma.

– Pomóc pani szukać?

– Proszę się tym nie przejmować. Mam w domu całe pudełko.

– Przyszła pani kogoś odwiedzić?

– Jestem tu służbowo – odparłam. Wyjęłam z torebki portfel i otworzyłam go. Pokazałam jej legitymację prywatnego detektywa. – Wynajęto mnie do zbadania sprawy zaginięcia doktora Purcella.

Mrużąc oczy, Merry spojrzała na moją legitymację, porównując małe zdjęcie z oryginałem.

– Kieruje pani biurem?

Potrząsnęła głową.

– Pracuję tu w weekendy. Mam zastępstwo za dziewczynę na urlopie macierzyńskim. Od poniedziałku do piątku jestem asystentką pani Stegler.

– Tak? To świetnie. Co należy do pani obowiązków?

– Przepisywanie na maszynie, archiwizowanie dokumentów. Odbieram też telefony i sortuję przychodzącą do pacjentów pocztę, czyli robię praktycznie wszystko.

– Powinnam więc porozmawiać z panią Stegler?

– Chyba tak. Jest zastępcą administratora. Niestety, będzie w pracy dopiero w poniedziałek.

Może pani zajrzeć w przyszłym tygodniu?

– A panowie Glazier i Broadus?

– Mają biuro w centrum miasta.

– To fatalnie. Przejeżdżałam tu niedaleko i postanowiłam zaryzykować. Wygląda na to, że nic nie wskóram.

Merry spojrzała na ekran komputera.

– Mogę panią na moment przeprosić?

– Oczywiście.

Podeszła do monitora, na którym wyświetlił się bursztynowy napis. Prawdopodobnie załatwiała swoją prywatną korespondencję. Przycisnęła kilka klawiszy, by wyjść z dokumentu, wróciła do lady, uśmiechając się nieśmiało.

– Ma pani wizytówkę? Mogę poprosić panią Stegler, żeby zadzwoniła do pani zaraz po przyjeździe do biura.

– Byłoby świetnie. – Grzebałam długo w torebce. – Od jak dawna pani tu pracuje?

– Pierwszego grudnia miną trzy miesiące. Nadal jestem zatrudniona na okres próbny.

Położyłam wizytówkę na ladzie.

– Lubi pani tę pracę?

– Tak, choć nie do końca. Trochę tu nudno, ale w sumie może być. Pani S. pracuje tu od wieków, a zaczynała jak ja. Nie znaczy to wcale, że chcę tu zostać tak długo jak ona. Mam jeszcze tylko dwa semestry do ukończenia college'u.

– Co pani studiuje?

– Nauczanie początkowe. Mój tata twierdzi, że nie powinno się często zmieniać pracy, bo nie wygląda to najlepiej, gdy pisze się potem życiorys. Można wyjść na nedorajdę, a taka przecież nie jestem.

– To prawda, ale jeśli interesuje panią nauczanie, nie ma sensu siłą trzymać się pracy, która pani nie odpowiada.

– Racja. Poza tym pani S. ma trudny charakter i strasznie mnie denerwuje. Jednego dnia jest słodka jak miód, a potem następuje zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ani przystęp. Nie mam pojęcia, co ją gryzie.

– A jak pani sądzi?

– Nie mam pojęcia. Wciąż szukają kogoś na jej miejsce, co ją wścieka, ale to dobrze.

Twierdzi, że powinna dostać awans, a tylko ją tu wykorzystują. Tak to ujęła.

– Jeśli dostanie awans, to kogo zastąpi?

– Panią Delacorte. To ona wyleciała.

Merry nie tylko się nudziła, ale też nie zdążyła sobie przyswoić podstawowych zasad. Jedna z nich głosi, że przenigdy nie wolno zdradzać biurowych sekretów osobom mojego pokroju.

– Jej, to fatalnie – rzuciłam. – Wielkie nieba, dlaczego ją wyrzucono? Jakieś plotki? – Moje kłamstwa i uniki zazwyczaj poprzedzane są przez „jej” i „wielkie nieba”.

– Tak naprawdę nikt jej nie wyrzucał. Pozwolono jej tylko odejść bez przeszkód.

– Ach tak. A kiedy to było?

– W tym samym czasie kiedy odeszła pani Bart. Od lat pracowała tu jako księgowa. Szukali kogoś na jej miejsce w czasie, gdy ja złożyłam tu podanie o pracę.

– Jak to możliwe?

– Co takiego?

– Zastanawiam się, dlaczego jednocześnie zwolniono księgową i administratorkę. Czy to zbieg okoliczności?

– Nie. Pani Bart odeszła, co zdenerwowało panią Delacorte, i zrobiła się afera. Pan Harrington zasugerował, że może będzie lepiej, gdy poszuka pracy gdzie indziej, i dokładnie to zrobiła. Tyle słyszałam. – Urwała i otworzyła szeroko oczy za czerwonymi okularami. – Pani tego nie notuje, prawda? Nie wolno mi plotkować. Pani S. wpadłaby w szal.

Uniosłam rękę.

– Prowadzimy tylko uprzejmą rozmowę, czekając, aż przestanie padać.

Poklepała się po piersiach.

– Uff. Przez moment nie czułam się najlepiej. Nie chciałabym, żeby odniosła pani złe wrażenie. Powiedziałam jej, że nigdy nie mieszam się do nie swoich spraw. Nie leży to w mojej naturze.

– Jesteśmy więc do siebie podobne – dodałam. – Kim jest pan Harrington? Nigdy o nim nie słyszałam.

– Pracuje dla firmy rozrachunkowej w Santa Maria.

– To on panią zatrudnił?

– Mniej więcej. Rozmawiał ze mną przez telefon, ale dopiero wtedy, gdy pani S.

zaaprobowała moje podanie. Tak to tutaj działa. Dają im do zrozumienia, że oni tu rządzą, ale tak naprawdę to my podejmujemy wszystkie decyzje.

– Myślałam, że sprawami zatrudniania i zwalniania pracowników zajmował się doktor Purcell.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Pracowałam tu dopiero dwa tygodnie, gdy on uciekł czy coś w tym stylu. Chyba dlatego do akcji wkroczył pan Harrington.

– Gdzie teraz pracuje pani Delacorte? Ktoś coś mówił?

– W szpitalu St. Terry. Wiem o tym, bo w zeszłym tygodniu wpadła tu do pani S. Okazało się, że znalazła świetną pracę, więc wszystko się dobrze ułożyło. Takie zwolnienie może się czasem okazać błogosławieństwem, choć początkowo wcale na to nie wyglądało.

– A pani Bart?

– Nie wiem, gdzie się zaczepiła.

– Znała pani doktora Purcella?

– Wiem, kim był, ale to wszystko. To jego biuro, o tam. On po prostu zniknął. Na samą myśl o tym mam gęsią skórę.

– To rzeczywiście dziwne. Zastanawiam się, co się stało.

– Nie mam pojęcia. Cały personel jest tym przygnębiony. Wszyscy pacjenci go uwielbiali.

Troszczył się, żeby wszyscy dostawali kartki na urodziny i tym podobne rzeczy. Płacił za to z własnej kieszeni, żeby ci biedni ludzie mogli choć raz poczuć się wyjątkowi.

– Czy ktoś się domyśla, co mogło się wydarzyć?

– Początkowo wszyscy o tym mówili. Ja niewiele, bo prawie go nie znałam.

– A co takiego mówili?

Widziałam, jak Merry walczy z wyrzutami sumienia. Minęło parę długich sekund, zanim to wcielenie dyskrecji pochyliło się w moją stronę.

– Proszę mi obiecać, że nikomu pani nie powtórzy.

– Nawet o tym nie wspomnę.

Zniżyła głos.

– Pani S. jest przekonana, że wyjechał z kraju.

– Z powodu? – spytał równie cicho.

– Medicare.

– Ach tak. Ktoś już o tym wspominał, ale nie miałam okazji dowiedzieć się więcej. O co chodzi?

– O-S-Z-U-S-T-W-O. W zeszłym roku w zimie BIG...

– BIG?

– Biuro Inspektora Generalnego. To część Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej.

Przefaksowali nam listę rachunków, które chcieli sprawdzić. Pani S. powiedziała, że początkowo doktor Purcell nic sobie z tego nie robił. Stosują tam takie praktyki, żeby wszyscy chodzili jak w zegarku. Ale oni nie dawali spokoju i wtedy przekonał się, że sprawa jest poważna. Stale przeglądał te zapisy, żeby sprawdzić, co mogą tam znaleźć. Nie było najlepiej. Tkwił po uszy w bagnie, tak to określiła.

– Dlatego przez ostatnie parę miesięcy pracował do późna?

– Tak.

– Zarządzili kontrolę?

– I to potężną. Najpierw zaczęli kontrolować drobne rachunki. Zażądali dokumentów z dwóch ostatnich lat. Doktor Purcell zaczął wtedy pracować jako dyrektor do spraw medycznych.

Potem był jeszcze administratorem. Pani S. powiedziała, że jeśli Pacific Meadows straci dotacje, to trzeba będzie zamknąć cały interes. Nie wspominając już o karach – no, wie pani, grzywnach i odszkodowaniach. Wspominała nawet o więzieniu, nie mówiąc już o publicznej kompromitacji.

Purcellowie są znaną w towarzystwie parą, więc może sobie pani wyobrazić, co by ich czekało.

Doktor P. miał być wystawiony na ostrzał. Musiałby ostro walczyć o swój tyłek. To jej słowa, nie moje.

– A jego pracodawcy?

– Oni nie mają nic wspólnego z bieżącymi sprawami. Jeżdżą po całym stanie, zajmując się interesami.

– Doktor Purcell znalazł się więc w trudnej sytuacji – rzuciłam.

– Na jego miejscu chyba bym umarła.

– No pewnie. Kiedy to wszystko wypłynęło?

– W styczniu, zanim zaczęłam tu pracować. Potem w marcu zjechali zniemacka dwaj faceci z izby kontroli Medicaid. Mieli całą listę pytań i dokumentów, które chcieli skontrolować.

Wszyscy zwijali się jak w ukropie i ze strachu popuszczali w majtki. Doktor Purcell został poinformowany o wszystkich nadużyciach i oszustwach. A chodziło o furę pieniędzy. Co najmniej pół miliona, a to tylko początek. Mogło się okazać, że jest oszustem na wielką skalę.

– Dziwi mnie, że nie trafiło to do gazet.

– Pani S. powiedziała, że zdecydowali się zachować wszystko w tajemnicy, dopóki cała sprawa się nie wyjaśni. Tymczasem siedzieli mu na karku, a wiedzieli, jak się to robi.

– Pani S. sądzi więc, że uciekł, by uniknąć kary?

– Ja na jego miejscu na pewno bym zwała.

– A skąd pani wie, że to on? Inni też musieli mieć dostęp do rachunków. Może dlatego zwolniono księgową – zasugerowałam.

Pochyliła się w moją stronę i spuściła wzrok.

– Przysięga pani, że nic nie powie? Słowo?

– Słowo. – Uniosłam palce w geście przysięgi.

– Pani Dorner... dyrektor personalny... jej zdaniem doktor Purcell mógł zostać uprowadzony.

Porwali go na parkingu, żeby zamknąć mu usta.

– Nooo – rzuciłam przeciągle. Skrzywiłam się lekko. – Niestety, policja nie ma na to żadnych dowodów.

– Przecież niewiele trzeba. Zaklejają usta taśmą, wrzucają gościa do bagażnika i odjeżdżają – powiedziała. – Mogli nawet wziąć jego własny samochód. Może dlatego go nie znaleziono. –

Wyraz twarzy Merry zmienił się nagle, dziewczyna zaczęła pracowicie przekładać koperty.

– Słuszna uwaga.

Obejrzałam się przez ramię. W drzwiach stała pielęgniarka w białym fartuchu. Spojrzała na nas ostro. Odchrząknęłam i powiedziałam:

– No dobra, Merry. Pójdę już i nie będę cię dłużej odrywać od pracy. Wpadnę w poniedziałek i porozmawiam z panią Stegler.

– Powiem jej o pani wizycie.

Kiedy przechodziłam przez drzwi, mijając o cal stojącą w nich pielęgniarkę, przyjrzała mi się uważnie. Opanowałam drzenie, zastanawiając się jednocześnie, ile zdołała usłyszeć.

Przy wejściu zdjęłam z wieszaka pelerynę i szczelnie się nią otuliłam. Kiedy wyszłam na zewnątrz, deszcz już tylko siąpił, a nad asfaltowym parkingiem unosiła się lekka mgiełka. Z

daszku nad wejściem od czasu do czasu nadal jednak spływały strumienie wody. Ominęłam wielką kałużę i podeszłam do samochodu. Na asfalcie mogłam teraz przeczytać wypisane czarną farbą nazwisko: P. DELACORTE.

W samochodzie wyjęłam notes i na gorąco zaczęłam spisywać swoje spostrzeżenia – każde na osobnej kartce. Pisałam tak aż do wyczerpania zgromadzonych informacji. Nie mogłam tylko pojąć, dlaczego Crystal i policja nie wspomnieli ani słowem o wielkiej aferze ze zdefraudowanymi pieniędzmi.

Jadąc z Pacific Meadows, wstąpiłam do biura. Weszłam bocznymi drzwiami i już u siebie zdjęłam pelerynę i powiesiłam ją na wieszaku. Na szczęście w kancelarii panował spokój, choć w większości pomieszczeń paliło się światło. Ekipa sprzątająca biura w sobotnie ranki zdążyła się już ulotnić. W powietrzu unosił się zapach środków czyszczących, a odkurzacze pozostawiły smugi na ciemnoczerwonej wykładzinie. Cisza błogo dźwięczała w moich uszach. Na krótką chwilę przywołałam w wyobraźni wizję samodzielnego biura przy Floresta Street. W duchu już walczyłam o nie z konkurentami.

Wyjęłam walizkową maszynę do pisania marki Smith-Corona i postawiłam ją na biurku.

Usiadłam w obrotowym fotelu i sięgnęłam po przeznaczony na nową sprawę segregator.

Uzupełniłam jego zawartość o spisane notatki. Cały czas wisiała nade mną wizja wtorkowego spotkania z Fioną. Wyobraziłam sobie, jak stoi ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i słuchając mojej relacji, uderza niecierpliwie stopą o podłogę. Nad jej głową unosiły się gigantyczne symbole dolara, gdy się zastanawiała: I ja płacę pięćdziesiąt dolarów za godzinę za coś takiego? Moja strategia polegała na przechytrzeniu jej, czemu służyć miało wręczenie pięknie opracowanego raportu, który wywoływałby od razu obraz pracy znacznie solidniejszej niż tylko mało znaczące rozmowy z paroma osobami. Nie dawała mi jednak spokoju myśl, że mój raport może wywołać dezaprobatę Fiony, bo wiedziałam doskonale, że żałuje każdego wydanego na mnie centa. Nawet jeśli jej zachowanie przy wręczaniu czeku z zaliczką było czystą manipulacją, czułam na karku bolesny koniec jej bata. Próbowałam nie roztrząsać niepotrzebnie niedającej mi spokoju myśli, że nie powinnam była w ogóle brać tej roboty.

Skoncentrowałam się na pracy. Sklecenie pierwszej wersji raportu zajęło mi mniej więcej godzinę. Przepisałam ją i poprawiłam, czytając jeszcze dwa razy. Staralam się, by moje uwagi brzmiały neutralnie, i unikałam wyciągania wniosków z informacji, które do tej pory udało mi się zebrać. Pominęłam też większość faktów usłyszanych od Crystal. Płacono mi za odnalezienie Purcella, a nie za plotkowanie o jego drugiej żonie. Kiedy ostateczna wersja dokumentu wreszcie mnie zadowoliła, przepisałam go raz jeszcze, po czym wyjęłam kalkulator i zsumowałam poświęcone sprawie godziny. Jak długo rozmawiałam z detektywem Odessą? Postukałam końcem ołówka w zęby. Trwało to maksimum dwadzieścia minut, co zaokrągliłam do pół

godziny. Nie chciałam, by Fiona pomyślała, że odpuściłam policji. Zobaczmy. Prawie dwie godziny siedziałam u Crystal i godzinę dziś rano w Pacific Meadows. Spojrzałam na wynik. Jak dotąd zarobiłam jedynie sto siedemdziesiąt pięć dolarów z tysiąca pięciuset, które mi wręczyła w formie zaliczki. Oznaczało to, że jestem jej jeszcze winna tysiąc trzysta dwadzieścia pięć w przeliczeniu na godziny. W tym tempie nigdy nie zdołam nawet wyrównać kwoty zaliczki. No, dobra. Wypełniłam rachunek i dołączyłam go do oryginału raportu, po czym wsunęłam kopie do segregatora.

Wstałam i przeciągnęłam się. Rozruszałam sztywniejącą szyję, wykonując parę skłonów głową. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, ruszyłam korytarzem, zaglądając do poszczególnych biur. Mijając pokój Lonniego, zdumiona zauważyłam, że siedzi w obrotowym w fotelu z nogami opartymi o biurko. Na



kolanach trzymał jakieś dokumenty. Najwyraźniej chciał się uporać z zaległą pracą w spokojnej o tej porze kancelarii. Zamiast eleganckiego garnituru miał na sobie flanelową koszulę w paski i sprane dżinsy. Siedział nieruchomo pochłonięty czytaniem.

Patrzyłam, jak sięga po ołówek, by podkreślić jakieś zdanie. W absolutnej ciszy rozległo się szuranie grafitu po papierze.

Lonnie wygląda jak bokser. Jest potężnie zbudowany, a poznaczony bliznami nos od razu przywołuje skojarzenia z ringiem. Jego ciemne włosy rosną we wszystkich kierunkach.

Widywałam coś takiego u noworodków i zawsze wywierało to na mnie niesamowite wrażenie: ilość włosów na głowie wydawała się niemal komiczna. Lonnie jest mężczyzną niezwykle energicznym, napędzanym przez witaminy, kawę, odżywki i ogromną ambicję. Zajmowana obecnie wygodna pozycja przy biurku była w jego przypadku szczytem relaksu i odprężenia.

– Lonnie?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się, odrzucając ołówek.

– Kinsey. Wejdz. Zastanawiałem się, co knujesz. Nie widziałem cię od tygodni.

– Nic takiego. Nawet nie wiedziałam, że tutaj jesteś. W biurze było tak cicho. Myślałam, że jestem tu sama. Nadganiaasz pracę?

– Jasne, ale to tylko wymówka. Marie wyjechała z miasta. Ma jakiś zjazd kopaczy w San Diego. Szczerze mówiąc, wolałem być tutaj, niż tkwić samotnie w domu. Siadaj – powiedział. –

A co u ciebie? Co cię tutaj sprowadza w sobotnie przedpołudnie?

– Chciałam za świeżej pamięci przepisać na maszynie notatki. Aha, zanim zapomnę. Może zadzwonić do ciebie facet nazwiskiem Richard Hevener. Będzie chciał mnie sprawdzić.

– A o co chodzi?

– Chyba znalazłam nowe biuro, ale jeszcze nic nie wiadomo. – Podałam mu szczegóły, opisując świeżo wyremontowany budynek z drewnianym balkonem. – Jest świetny. Nieduży i cichy, a lokalizacja wprost idealna.

– Jeśli zadzwoni, obiecuję, że będę cię wychwalał pod niebiosa. Nie wspomnę ani słowem o twoim króciutkim pobycie w więzieniu. Możesz jednak liczyć na to, że jeśli nic z tego nie wyjdzie, moje drzwi zawsze stoją dla ciebie otworem.

– Wielkie dzięki. Trzymaj za mnie kciuki.

– Nie ma sprawy. Ida Ruth powiedziała mi, że pracujesz nad sprawą zniknięcia doktora Purcella.

– A skąd ona o tym wie? Wzięłam to dopiero wczoraj.

Lonnie machnął ręką.

– Ida Ruth wie wszystko. Stawia to sobie za punkt honoru. Jej przyjaciółka kiedyś dla niego pracowała. Wszyscy, którzy go znali, skłaniają się teraz ku teorii, że nawiał z domu. Muszę przyznać, że mnie też czasem to mocno kusi.

– Och, daj spokój. Marie wysledziłaby cię jak pies gończy. – Jego żona jest instruktorem sztuk walki i prawdziwym ekspertem w sposobach unieszkodliwiania ludzi za pomocą bosych stóp, całkiem niewielkich zresztą rozmiarów.

– Racja. Problem ze zniknięciem polega na tym, że nie można tego zrobić ot, tak sobie. A przynajmniej nie wtedy gdy traktuje się całą rzecz poważnie. Jeśli chcesz się zaszyć na dobre, musisz to długo planować.

– Też tak uważam. Ja sama skłaniam się ku wersji, że Purcell nie żyje, ale trzeba pamiętać, że w tym samym czasie wyparował jego paszport i trzydzieści tysięcy dolarów.

– Trzydzieści tysięcy starczy na jakieś pół roku. Purcell jest przyzwyczajony do życia na wysokim poziomie. Nie potrafiłby zaciskać pasa. W jego wieku? Musiałby stracić rozum.

– Moja reakcja była podobna. Jednak z drugiej strony, gdyby zdecydował się osiedlić w jakimś kraju Trzeciego Świata, mógłby prowadzić całkiem wygodne życie, a gdyby źródło wyschło, mógłby bez żadnych dodatkowych pytań otworzyć niewielką praktykę.

– Pracować mógłby równie dobrze tutaj. Po co uciekać?

– Zapomniałam ci powiedzieć, o czym się dzisiaj dowiedziałam. – Zrelacjonowałam mu moją wizytę w Pacific Meadows i rozmowę z Merry, Patronką Plotkarzy. – Zgodnie z jej relacją, ludzie z medycznej izby kontroli depczą mu ostro po piętach. W grę wchodzi pół miliona dolarów, na które nie ma pokrycia. Winny czy nie, mógł się zdecydować na ucieczkę, gdy poczuł

ich oddech na plecach.

Lonnie skrzywił się niecierpliwie.

– Bądźże poważna. To niemożliwe. Federalni nie wsadzą takiego gościa do więzienia.

Prokurator musi udowodnić chęć popełnienia przestępstwa, a możesz mi powiedzieć, jak to zrobić? Uwierz mi, przepisy stosowane przez Medicare mogą doprowadzić uczciwego człowieka do szaleństwa. Wszyscy dochodzą więc szybko do porozumienia. Przywołuje się zaraz błędy w kodowaniu i pomyłki niekompetentnych urzędników. Mogli mu jedynie pogrozić palcem, a każdy dobry adwokat wyciągnąłby go z tego bez problemu. Wiesz, sam bym to zrobił, a przecież nie mam o tych sprawach bladego pojęcia. Po pierwsze, trzeba zanudzić ławę przysięgłych na śmierć. Wyciągasz parę zestawień i wykresów, cytujesz statystyki, aż dziewięciu z nich zacznie drzemać. Można też zasugerować, że wiekowemu panu doktorowi coś się ze starości pomieszało w głowie albo że jest marnym biznesmenem. – Rozbawiony urwał na chwilę. – Słyszałaś kiedyś o tej sprawie? Jakiś facet we Fresno został uwolniony od zarzutów, bo ława przysięgłych doszła do wniosku, że jest

za głupi, żeby sprzeniewierzyć sporą sumę pieniędzy. Jego własny adwokat przedstawił go w tak koszmarным świetle, że przysięgli zlitowali się i dali mu święty spokój.

Purcellowi na pewno nic nie grozi.

– Zgoda, ale czy on o tym wiedział? A co z publiczną kompromitacją?

– W dzisiejszych czasach nikt się tym nie przejmuje. – Lonnie wziął do ręki ołówek i narysował na kartce kwadracik. – Zapominasz o jednym. Jeśli facet jest bystry... Twierdzisz, że wyprowadził z systemu pół miliona dolców, a to stosunkowo niewielka suma. Tyle na razie wiedzą. Większego ryzyka warte są dopiero dwa miliony. Sprytny facet wyjeżdża dwa, może trzy razy za granicę. Wybiera kraj, gdzie na wypadek wytopienia go przez federalnych nie obejmie go prawo o ekstradycji. Zakłada tam konto w banku i przelewa pieniądze, aż będzie miał tyle, ile potrzeba. Potem może sobie dalej oszukiwać kogo chce, aż komuś podpadnie. Gdy zrobi się gorąco, wskakuje na pokład pierwszego samolotu i znika. W takim wypadku trzydzieści tysięcy dolarów to kwota na pokrycie wydatków związanych z podróżą.

Pomyślałam o Fionie i jej opowieści o dwukrotnym zniknięciu Dowana.

– Cenna uwaga – orzekłam. Pomyślałam też o księgowej, którą zwolniono, i o zastępczyni administratora, która odeszła na znak protestu. Może ze strony Dowa była to próba skierowania uwagi na kogoś innego. Nagle zadzwonił telefon i Lonnie podniósł słuchawkę. Sądząc po jego odpowiedziach, dzwoniła Marie. Pomachałam mu i wyszłam, by mógł w spokoju dokończyć rozmowy.

Wróciłam do siebie i raz jeszcze przeczytałam swój raport. Wydawał się w porządku, ale postanowiłam, że pozwolę mu poleżeć jeszcze jeden dzień. Będę do niego dodawać relacje z dalszych rozmów, jeśli tylko wymyślę, z kim powinnam się spotkać w następnej kolejności.

Wypisałam listę nazwisk. W pierwszej piątce znaleźli się współnicy Purcella i jego najlepszy przyjaciel. Upewniłam się, że mam wszystkie potrzebne numery telefonów. Doszłam do wniosku, że dość już zrobiłam i najwyższy czas wracać do domu.

O drugiej zrobiłam sobie zupę pomidorową z torebki i kanapki z serem, które zanurzyłam w zupie. Połączenie czerwieni zupy i chrupiącego sera było kulinarnym symbolem pociechy z czasów dzieciństwa. Ciocia Gin zaserwowała mi to danie po raz pierwszy, gdy miałam pięć lat i opłakiwałam rodziców, którzy w maju zginęli w wypadku samochodowym. Zapach stopionego sera zawsze już będzie przywoływał wspomnienie smutku i zadowolenia mieszających się na moim języku. Dziś zrobiona własnoręcznie kanapka była gwoździem programu całego weekendu. Do tego sprowadza się życie, gdy decydujesz się na celibat.

Zaraz potem zrobiłam to, co na moim miejscu zrobiłby każdy doświadczony prywatny detektyw: przesłam do salonu, zrzuciłam buty i ułożyłam się na kanapie. Przykryta miękkim pledem zaczęłam czytać książkę. Po kilku minutach przez magiczne drzwi przedostałam się do świata fikcji, podróżując z szybkością większą niż szybkość słów do królestwa pozbawionego dźwięku i prawa przyciągania.

Nagle rozległ się denerwująco przeraźliwy dzwonek telefonu. Tonęłam jak kamień w rzece snów i z trudem wydostałam się na powierzchnię. Po omacku sięgnęłam po słuchawkę aparatu stojącego na stoliku nad moją głową. Nawet nie wiedziałam, że zasnęłam. Uświadomiła mi to strużka śliny ciekącej z ust – na jawie raczej mi się to nie zdarza.

– Pani Millhone?

– Tak. – Jeśli ktoś będzie próbował mi coś sprzedać, to usłyszy parę naprawdę brzydkich słów.

– Mówi Blanche McKee.

Minęło parę sekund. Nazwisko nic mi nie mówiło. Przetarłam twarz dłonią i spytałam:

– Kto taki?

– Córka Fiony Purcell. O ile wiem, mama wynajęła panią do prowadzenia naszej sprawy.

Chciałam tylko, żeby pani wiedziała, z jak wielką ulgą przyjęliśmy tę wiadomość. Nakłanialiśmy ją do tego od chwili zniknięcia taty.

– Ach tak. Przepraszam. W pierwszej chwili nie skojarzyłam nazwiska. Jak się pani miewa?

– Usiadłam, otaczając się pledem niczym rytualną szatą.

– Dziękuję, dobrze. Mam nadzieję, że nie dzwonię w złym momencie. Chyba pani nie obudziłam?

– Ależ skąd. – Prawda wygląda tak, że mimo naszych najszczerzych zapewnień, wszyscy i tak wiedzą, że spaliśmy.

Blanche najwyraźniej wzięła moje zaprzeczenia za dobrą monetę.

– Nie wiem dokładnie, ile mama pani powiedziała... na pewno dużo... ale jeśli mogę coś dodać, to jestem do pani dyspozycji. Czy wspominała może o mojej przyjaciółce Nancy?

– Raczej nie. Nic mi to imię nie mówi.

– Tego się właśnie bałam. Mama bywa cyniczna, ale o tym chyba miała pani okazję sama się przekonać. Nancy przeniosła się niedawno do Chico, ale w każdej chwili można się z nią skontaktować telefonicznie.

– Nancy. To dobrze. Już notuję. – Kimkolwiek ta Nancy jest.

– Zakładam, że chciałaby pani usłyszeć także i moją opinię na temat tej sprawy.

– Oczywiście, bardzo chętnie.

– Tak się cieszę, że pani to mówi. Pomyślałam właśnie, że jeśli ma pani dziś po południu wolną

chwile, mogłybyśmy się spotkać i porozmawiać. Opowiedziałabym pani o moich odczuciach i niepokojach.

Zawahałam się.

– Cóż. Wie pani, w chwili obecnej bardziej interesują mnie fakty niż odczucia i niepokoje.

Bez urazy.

– Wcale nie czuję się urażona. Nie chciałam bynajmniej dać pani do zrozumienia, że nie znam także i faktów.

– Hmm. – Nie zapomniałam z trudem skrywanej pogardy Fiony dla młodszej córki, matki czwórki, a niebawem piątki dzieci. Z drugiej strony być może Fiona opowiedziała Blanche o mnie, by sprawdzić, czy rzeczywiście jestem tak dokładna i nieustępliwa, jak utrzymywałam podczas naszego spotkania.

– Jaka pora będzie pani odpowiadać? – spytała Blanche.

Zakłęłam bezgłośnie pod nosem, dodając parę ciekawych epitetów z mojej bogatej kolekcji.

– Proszę chwileczkę poczekać. Muszę sprawdzić terminarz. – Przyłożyłam słuchawkę do piersi i spojrzałam na zegarek. 16:06. Jeszcze przez chwilę udawałam, że przeglądam listę moich licznych zajęć zaplanowanych na sobotnie popołudnie. Nie miałam szczególnej ochoty spotykać się z Blanche, zwłaszcza za cenę smacznej drzemki, i nie chciałam opuszczać mojej przytulnej dziupli, szczególnie w tak paskudne, deszczowe popołudnie. Za oknami już zapadał szary, listopadowy zmrok i widziałam, jak z gałęzi uderzających w szyby opadają krople deszczu. Raz jeszcze spojrzałam na zegarek. 16:07.

Słyszałam, jak Blanche oddycha do słuchawki, a kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie.

– Kinsey, jest pani tam?

– Tak. Wygląda na to, że dziś nie uda nam się spotkać. Może jutro o dziesiątej rano?

– Niestety, zupełnie mi to nie odpowiada, a poniedziałek w ogóle nie wchodzi w grę. Czy naprawdę nie może pani wpaść choć na chwilę? Czuję, że to bardzo ważne.

Ja ze swej strony poczułam falę złości. W wyobraźni widziałam już wracającą z San Francisco Fionę, wściekłą, że nie znalazłam czasu, żeby spotkać się z Blanche. Tysiąc pięćset dolarów i nawet nie pofatygowała się pani do mojej córki?

– Mogę przyjechać o wpół do szóstej, ale najwyżej na pół godziny. Tylko tyle mogę zrobić.

– Świetnie. Mieszkamy przy Edenside na rogu Monterey Terrace. Numer 1236. To dwupiętrowy dom w stylu hiszpańskim. Na podjeździe stoi duży granatowy samochód.

Edenside Road stanowiła część małego osiedla sprytnie wbudowanego w zbocze wzgórza: pięć krętych uliczek zbiegających się na końcu w mały placyk. Architekci najwyraźniej poszli po linii najmniejszego oporu. Uliczki pięły się po wzgórzu niczym małe asfaltowe strumyki płynące z najwyższego wzniesienia. Jechałam pod górę z trudem, co sześćdziesiąt metrów zwalniając przy specjalnych progach. Okolica była wprost idealna dla dzieci, których obecność znaczyły wózki, domki do zabaw, huśtawki, rowerki, samochody i deskorolki poustawiane na niemal każdym podwórku. Wyglądało to tak, jakby w okolicy eksplodował wielki sklep z zabawkami.

Dom stojący na rogu Edenside i Monterey Terrace rzeczywiście zbudowano w stylu hiszpańskiej hacjendy z dużym dziedzińcem od frontu. Nawet w zapadającym szybko zmroku nie mogłam nie zauważyć garażu na trzy samochody, stojącego obok domu niczym złowieszcze szczęki. Kiedy się zbliżałam, na dziedzińcu zapłonęły blade światła, oświetlając fasadę domu.

Otynkowano go na bladoróżowo, a ceramiczne, pomarańczowe dachówki ułożone na kształt litery S pochodziły z masowej produkcji. Oryginalne dachówki na dachach starszych domów przybrały barwę ciemnej czerwieni porośniętej gdzieś mchem. Te miały kształt litery C w miejscu, gdzie robotnicy kładli miękką jeszcze glinę na udzie, by nadać im ostateczną formę.

Zgodnie z zapowiedzią na podjeździe stał duży granatowy samochód. Zaparkowałam przy krawężniku, wysiadłam i zwirowaną ścieżką ruszyłam w stronę domu. Okolica ucierpiała zdecydowanie w wyniku suszy: wszystko pokrywał żwir i beton, a tu i ówdzie posadzono kaktusy różnego rodzaju i inne sukulentki. Przez metalową furtkę weszłam na wyłożony płytkami dziedziniec. Na środku stała szemrząca fontanna w stylu hiszpańskim, zasilana wodą z pompy.

Zadzwoiłam do drzwi. Natychmiast usłyszałam krzyki, szczekanie psów i tupot małych stóp. Cała gromadka maluchów walczyła o pierwszeństwo otwarcia mi drzwi. Kiedy te wreszcie się otwały, mniej więcej pięcioletnia dziewczynka odwróciła się, żeby uderzyć stojącego za nią czterolatka. Po kilku sekundach w ruch poszły pięści, a zaczerwienione ze złości dzieci z potokami łez na policzkach walczyły o klamkę, pomagając sobie stopami obutymi w brązowe buciki na twardych podszewkach. Obok nich dwa nadaktywne teriery podskakiwały, jakby miały w łapach sprężyny. Potrafiły przy tym stojącego z tyłu malucha, który natychmiast zaczął wyc.

Jeszcze jedna dziewczynka szła przez duży hol, krzycząc „Mamo! Maaamoooo!!! Heather bije Josha, a psy przewróciły Quentina”.

– Amando, czy nie mówiłam ci, że nie wolno skarżyć? Josh świetnie sam da sobie radę. A teraz zajmij się swoimi sprawami i przestań gadać, bo doprowadzisz mnie do szału.

Kołysząc się lekko, Blanche weszła do holu. Jej brzuch był tak duży, że wyglądał jak ogromny księżyc utrzymywany na orbicie przez nieznane astronomom siły grawitacji. Miała na sobie bladoszare szerokie spodnie i tunikę pełną zakładek i ukrytych zapieć. Domyśliłam się, że po przyjsciu na świat dziecka będzie je mogła w każdej chwili odpiąć i bez trudu nakarmić niemowlę. Jej długie, lśniące blond włosy sięgały niemal do pasa. Porcelanowa cera nosiła ślady delikatnego makijażu, a w twarzy dominowały niebieskie oczy i łagodnie zarysowane łukowate brwi. Wyglądała jak zamorska królowna z baśni braci Grimm, z tą tylko różnicą, że oczekiwała dziecka.

Pochyliła się, podniosła z podłogi wyjącego malucha i oparła go na biodrze. Chwyciła Heather za ramię i odciągnęła ją od brata, po czym lekko popchnęła w stronę korytarza.

– Dzieci na podwórko. Amanda robi wam krakersy z masłem orzechowym. Możecie zjeść na zewnątrz. Byle nie za dużo. Za chwilę będzie kolacja. No, zmykać stąd. Już. Wszyscy na podwórko.

– Mamoooo, jest ciemno.

– Zapalcie światło na werandzie.

– Ale my chcemy oglądać kreskówki!

– Trudno. Róbcie, co mówię. I bez biegania – ostrzegła swoją gromadkę.

Heather i Josh pędzili już korytarzem, lecz zaraz zwolnili, popychając się i poszturchując nawzajem. Psy ruszyły za nimi, szczekając przeraźliwie, a Amanda weszła do kuchni, by tam bez wyraźnego protestu zająć się przygotowaniem krakersów dla rodzeństwa. Na oko siedmioletniej dziewczynce już teraz powierzano rolę zastępczej mamy.

Wydając polecenia, Blanche zdołała też uspokoić wrzeszczącego malucha. Odwróciła się i ruszyła w stronę salonu. Szłam za nią, torując sobie drogę między rozrzuconymi zabawkami.

Były dosłownie wszędzie. Próbuując uniknąć zmiżdżenia plastikowych elementów, odsuwałam stopą klocki lego rozsypane po całej podłodze. Przy prowadzących na górę schodach zamontowano małą bramkę. Drzwi do piwnicy zamknięte były na haczyk, co miało ustrzec dzieci przed wpadnięciem w ciemną otchłań.

– Twoja matka wspominała o opiekunce do dzieci. – Zawsze wychodzi ze mnie niepoprawna optymistka.

– Nie przychodzi w weekendy, a Andrew wyjechał z miasta.

– Czym się zajmuje?

– Jest prawnikiem. Prowadzi sprawy fuzji i sprzedaży firm. Do środy będzie w Chicago.

– A kiedy ma się urodzić dziecko?

– Teoretycznie za trzy tygodnie, ale chyba przyjdzie na świat wcześniej. Z poprzednimi też tak było.

W salonie stała otwarta wielka skrzynia pełna zabawek, które przewalały się przez wszystkie brzegi: lalki, misie i jasnożółty autobus szkolny wypełniony plastikowymi figurkami dzieci o okrągłych główkach. Była tam też drewniana ławeczka i młotek do wbijania drewnianych kołków, kredki, książeczki do kolorowania, małe metalowe samochodziki i drewniany pociąg. Na samym środku stał duży kojec. Zauważyłam też poruszaną mechanicznie huśtawkę, chodzik z gumowymi ochraniaczami, wysokie krzeselko, leżaczek dla niemowląt i przenośną kołyskę.

Każdy kontakt w ścianie był specjalnie zabezpieczony plastikowymi przykrywkami. Wszystkie przedmioty znajdujące się w zasięgu małych rączek starannie pochowano, jakby spodziewając się nadciągającej powodzi.

Nagle usłyszałam dobiegający z zewnątrz przenikliwy krzyk, o częstotliwości znacznie wyższej niż wcześniejsze wrzaski w holu.

– Mamo! Mamo! – krzyknęła Amanda. – Heather zepchnęła Josha z drabinki i krew mu leci z nosa!

– O Boże – szepnęła Blanche. – Weź go, proszę.

Bez chwili wahania podała mi malca i poszła do kuchni. Quentin był zaskakująco ciężki, a jego kości przypominały kamienie. Popatrzył za odchodzącą matką, po czym przeniósł wzrok na mnie. Choć nie potrafił jeszcze mówić, czułam, że w jego małym mózgu powoli rodzi się pojęcie

„Potwora”. Nagle zdał sobie sprawę z trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, i ułożył małe usteczka do porażającego wrzasku.

– Czy mogę go włożyć do kojca?

– Nie, nie znosi tego – krzyknęła Blanche, przechodząc przez drzwi na tyłach domu. Na podwórku rozległy się krzyki drugiego dziecka, najwyraźniej domagającego się w ten sposób poświęcenia mu równej uwagi. Jakby w odpowiedzi Quentin otworzył buzię tak szeroko, że początkowo nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zbierając siły, zwinął się jak pierożek. Nagle, bez ostrzeżenia, wyprężył się niczym skaczący do tyłu nurek. Gdybym go mocno nie trzymała, wysliznęłoby mi się z rąk i uderzył głową o podłogę.

– Gu gu gu – zagruchałam, jakbyśmy się świetnie bawili. Niestety, wyraz jego buzi obwieszczał coś zupełnie przeciwnego.

Próbowałam go pohuścić, jak przed chwilą robiła to Blanche, ale to tylko pogorszyło sprawę.

Teraz byłam nie tylko Potworem, ale Potworem Huśtającym Dzieci, gotowym zahuścić go na śmierć. Chodziłam w kółko, szepcząc: „No już, już”, ale malec nie chciał się uspokoić. W

ostatnim akcie desperacji wsadziłam go do kojca, zmuszając, by ugiął sztywne nóżki i usiadł

wygodnie. Podałam mu dwa klocki z literkami i kawałek na wpół zjedzonego ciasteczka. Wycie natychmiast ucichło. Cuentin wsunął ciasteczko do buzi i zaczął walić klockiem o plastikową podłogę kojca. Wstałam i poklepując się z ulgą po piersi, poszłam do kuchni zobaczyć, co się tam dzieje.

Blanche ukazała się właśnie w drzwiach z czteroletnim Joshem opartym o biodro. Jego nogi dyndały gdzieś w okolicach jej kolan. Na czole chłopca widniał guz wielkości jajka, a z rozciętej wargi ciekła krew. Jedną ręką Blanche otworzyła zamrażarkę i wyjęła parę kostek lodu, które zawinęła w ścierkę i przyłożyła do czoła chłopca. Zaraz potem ruszyła do saloniku i ciężko usiadła w fotelu. W tej samej chwili chłopiec szybko odpiął klapkę w tunice i zaczął ssać jej pierś. Zaskoczona



odwróciłam wzrok. Byłam przekonana, że dzieci w jego wieku dawno już powinny zapomnieć o takiej formie odżywiania. Blanche wskazała mi stojący obok fotel, nie zwracając najmniejszej uwagi na syna uczonego przy prawej piersi.

Spojrzałam na fotel i usunęłam niedojedzony krakers z masłem orzechowym. Usiadłam niepewnie na samym brzeżku. Kontuzja Josha najwyraźniej zachęciła pozostałe dzieci do ucieczki przed chłodem i zmrokiem panującymi na zewnątrz. W następnej chwili telewizor ryczał

już na cały regulator, a na ekranie migwały kreskówki. Heather i Amanda siedziały ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Zaraz też dołączył do nich Josh, trzymając przy czole ścierkę z zawiniętymi w nią kostkami lodu.

Próbowałam się skoncentrować na tym, co mówiła do mnie Blanche, lecz nie dawała mi spokoju myśl, że nawet w moim wieku podwiązanie jajowodów nie byłoby wcale takim złym rozwiązaniem.

Spojrzałam na zegarek, co nie uszło uwagi Blanche.

– Wiem, że się spieszysz, więc natychmiast przechodzę do sedna. Czy mama opowiadała ci o przeszłości Crystal?

– Mówiła, że przed ślubem z twoim tatą była striptizerką.

– Nie o to mi chodzi. Czy wspominała, że jej czternastoletnia córka jest nieślubnym dzieckiem?

Przez chwilę przetrawiałam tę rewelację. Pochyliłam się do przodu, nie dlatego że byłam tym szczególnie zainteresowana, lecz łomot, gwizdy i krzyki dobiegające z telewizora mogły u każdego wywołać trwałe uszkodzenie słuchu. Patrzyłam na poruszające się wargi Blanche, która składała zdania niczym aktorka dubbingująca obcojęzyczny film.

– Nie jestem nawet pewna, czy Crystal wie, kto jest jej ojcem. Potem wyszła za tego Lloyda jak mu tam i miała z nim jeszcze jedno dziecko. Chłopczyk utonął, mając zaledwie półtora roku jakieś cztery czy pięć lat temu. To był wypadek.

Zmrużyłam oczy.

– I uważasz, że jest to w jakiś sposób powiązane ze zniknięciem twojego ojca?

Wyglądała na zaskoczoną.

– No cóż, nie, ale powiedziałaś mi, że chcesz poznać wszystkie fakty. Chciałam ci wszystko opowiedzieć, żebyś wiedziała, z czym masz do czynienia.

– Czyli? – W telewizji nadszedł czas na reklamy. Zrobiło się jeszcze głośniejsze, by dzieci mieszkające po drugiej stronie ulicy też mogły poznać zalety wspaniałych płatków śniadaniowych z dodatkiem witamin, które smakują jak ambrozja.

– Czy nie sądzisz, że Crystal zachowuje się dziwnie? – spytała Blanche.

Czytanie z ruchu warg przychodziło mi z wielkim trudem, więc jej uwaga nie w pełni do mnie dotarła.

– Blanche, czy możemy przyciszyć telewizor?

– Przepraszam. – Sięgnęła po pilota i wyłączyła dźwięk. Zapadła kojąca cisza. Dzieci siedziały dalej na podłodze, otaczając telewizor niczym płonące gdzieś na polanie ognisko. Na ekranie migwały fantastyczne obrazy w barwach tak ostrych, że kiedy odwracałam wzrok, nadal miałam przed oczami kolorową plamę.

Blanche wróciła do przerwanej rozmowy.

– Nie wiem, jakie ty odniosłaś wrażenie, ale według mnie Crystal w ogóle nie przejęła się tą tragedią. Jest chłodna i opanowana, co dla mnie jest nie do pomyślenia.

– Minęło już dziewięć tygodni. Nikt chyba nie może żyć w ciągłym napięciu aż tak długo.

Zaczynają działać mechanizmy obronne. Trzeba próbować jakoś się z tym pogodzić, bo inaczej można oszaleć.

– Moim zdaniem to ciekawe, że Crystal nie zdecydowała się wystąpić publicznie i poprosić o informacje w sprawie taty. Nie wyznaczyła też nagrody. Nie rozesłała żadnych ulotek. Nie skonsultowała się z żadnym medium...

Wyprostowałam się gwałtownie.

– Myślisz, że to by pomogło?

– Na pewno by nie zaszkodziło – odparła. – Moja przyjaciółka Nancy jest naprawdę niesamowita. Ma niezwykle, rzadko spotykany dar.

– Jest medium? Dlatego proponowałaś mi jej usługi przez telefon?

– Oczywiście. Kiedy zgubiłam pierścionek z brylantem, od razu wskazała miejsce, gdzie on jest.

– A jak tego dokonała? Jestem bardzo ciekawa.

– Trudno to dokładnie opisać. Powiedziała, że czuje coś słodkiego. Widziała jakieś białe ślady, może coś związanego z morzem. Odbyła dwie oddzielne... nazwijmy to sesje... i obrazy były dokładnie takie same. Zaraz potem przypomniałam sobie, że kiedy ostatni raz widziałam pierścionek, zdjęłam go, żeby umyć ręce w umywalce w łazience. Szukałam go tam wiele razy.

Okazało się, że położyłam pierścionek na mydelniczce i przykleił się od spodu do kostki mydła.

Nancy wyczuła to dokładnie.

– A te białe ślady? Czy to była umywalka?

– Nie w tej łazience. Umywalka jest tam zgniłozielona, ale za to mydło było białe.

– Rozumiem. A skąd to morze?

Blanche przyjęła obronny ton.

– Nie należy wszystkiego brać aż tak dosłownie. Niektóre obrazy są czysto metaforyczne...

no wiesz, trzeba dopiero wyciągnąć odpowiednie wnioski.

– Morze... woda w kranie – zasugerowałam nieśmiało.

– Chodzi o to, że Nancy zaproponowała Crystal pomoc, ale ona odmówiła.

– Może nie wierzy w takie rzeczy.

– Ale Nancy jest absolutnie rewelacyjna, zaręczam ci.

– Ile bierze?

– Nie chce ani grosza. Zwykle pobiera opłatę, ale chce to zrobić z czystej przyjaźni dla mnie.

– Dlaczego Crystal musi brać w tym udział? Czy Nancy nie może po prostu odbyć sesji i powiedzieć, co widzi?

– Musi mieć dostęp do domu, żeby wyczuć otaczające tatę fluidy, jego psychiczną energię.

Zabrałam ją do jego biura i posadziłam w jego fotelu. Stale widziała go, jak zbliża się do domu i przechodzi przez frontowe drzwi. A potem nic. To musiał być dom na plaży, bo wyraźnie widziała piasek.

– To mogła być też pustynia.

Blanche zamrugnęła oczami.

– Chyba tak.

– Mów dalej. Przepraszam, że ci przerwałam.

– Ale to wszystko. Nancy widzi drzwi i potem już nic. Pustka. Bez pomocy Crystal nie może już nic więcej zrobić. Sądzymy, że wyszedł z biura i jak zwykle pojechał do domu na plaży, ale potem wydarzyło się coś złego. Crystal oczywiście zaprzecza. Twierdzi, że tata nigdy nie dotarł

do domu, ale to tylko jej słowa.

– Sądysz więc, że ona wie, gdzie on jest, i ukrywa tę informację?

– Tak – odparła zaskoczona, że w ogóle o to pytam. – Nancy wyraźnie wyczuwa jego obecność. Odnosi silne wrażenie, że został ranny. Otacza go ciemność. Nancy twierdzi, że on próbuje się z nami skontaktować, ale coś mu na to nie pozwala.

– Żyje?

– Jest tego pewna. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Twierdzi jednak, że w grę wchodzi bardzo negatywne siły. Tata jest bardzo zaniepokojony, bo nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Otaczają go wrogie fluidy. Nancy wyczuwa jego niepokój, ale nic więcej. Twierdzi, że Crystal jest z tym wszystkim powiązana. Prawdopodobnie to za jej sprawą tata znalazł się w tym straszliwym położeniu.

- Jak?
- Mogła go pozbawić przytomności, a potem gdzieś wywieźć.
- A co zrobiła z jego samochodem? Nie chcę się z tobą spierać, ale rzeczywiście dałaś mi wiele do myślenia.
- Mogła mieć współnika. Albo kogoś wynająć. Skąd mam to wiedzieć? Ale możesz mi wierzyć, że nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż pozbycie się taty.
- Dlaczego? Załóżmy, czysto teoretycznie, że kazała go uprowadzić i ojciec trzymany jest gdzieś w odosobnieniu. Jaki mogła mieć motyw? Raczej nie chodziło jej o pieniądze. Nikt nie żądał okupu ani nie chciał się w żaden sposób dogadać.

Blanche pochyliła się w moją stronę.

- Zanim Crystal wyszła za mojego ojca, podpisała umowę przedślubną, na mocy której w przypadku rozwodu nie dostanie ani grosza.
- Spokojnie. Poczekaj chwilę. Nie wyjaśniłaś mi jeszcze, jakie korzyści może jej przynieść zorganizowanie porwania męża.
- Nie powiedziałam wcale, że kazała go porwać, tylko że wie, gdzie on jest.
- A co to ma wspólnego z umową przedślubną?
- Ona ma romans.
- Twoja matka też o tym wspominała. To Clint Augustine, prawda?
- Tak. Teraz zapragnęła być znów wolna, ale chce też mieć pieniądze. Jeśli spróbuje się rozwieść, nie dostanie nic. Skorzysta tylko na śmierci taty.
- Ale zgodnie z wizją Nancy on jeszcze żyje.
- Zgadza się.
- Dlaczego miałyby ryzykować coś tak oczywistego jak romans ze swoim prywatnym trenerem? Czy to by się szybko nie rozniosło?
- On był kiedyś jej trenerem, ale już nie jest. Kiedy zaczęła się z nim pieprzyć, postanowili przestać pokazywać się razem. Ale nie zapobiegło to plotkom.
- Jak się o tym dowiedziałaś?
- Od przyjaciółki mamy, Dany Glazier. Razem z mężem mają dom w Horton Ravine. Joel jest jednym z...

– Pracodawców twojego ojca, słyszałam o tym.

– Ich posiadłość przylega do ogrodu taty, oddziela je tylko płot. Glazierowie mają tam na tyłach mały domek dla gości. Crystal spytała ich pewnego dnia, czy mogliby go wynająć jej przyjacielowi. Twierdziła, że kupił niedawno dom, ale musi go wyremontować i prace dobiegną końca dopiero jesienią. To było w styczniu. Glazierowie i tak nie korzystali z domku, więc pomyśleli: czemu nie? Zaśpiewali osiemset dolarów miesięcznie, a facet nawet nie mrugnął

okiem. Oczywiście kiedy Dana zrozumiała, co się dzieje, była przerażona. Uznała tę sytuację za odrażającą, z tym większym bólem powiedziała o tym mamie.

– A dlaczego powiedziała o tym tobie?

– Nie powiedziała. Usłyszałam o tym od przyjaciółki. Dana oczywiście wszystko potwierdziła, ale dopiero wtedy, gdy zaczęłam naciskać. Wierz mi, nie znoszę plotek.

– Mnóstwo osób ich nie znosi. Co oczywiście nie powstrzymuje ich przed przekazywaniem ich dalej. Dlaczego Dana nie wyrzuciła lokatora, skoro uznała sytuację za odrażającą?

– Podpisali umowę na pół roku. Ale teraz już się stamtąd wyniósł. I dobrze. Możesz z nią porozmawiać, jeśli mi nie wierzysz. Dana o wszystkim wie. To przecież działa się pod jej nosem.

Biedna mama. Nadal jest przekonana, że tata do niej wróci. Nie dość, że porzucił ją dla takiej...

dziry, to jeszcze ta przyprawiła mu rogi. Wyszedł na głupca.

– Jaki wniosek możemy wyciągnąć z całej tej historii?

– Crystal pragnie jego śmierci. Chce się go pozbyć – powiedziała, po raz pierwszy naprawdę poruszona. Drżały jej wargi i mrugała nerwowo oczami. Spojrzała w stronę holu, próbując się opanować. Pod cienkim materiałem tuniki dostrzegłam nagle tworzące się wybrzuszenie. Była to prawdopodobnie stopka dziecka. Zrozumiałam, dlaczego ludzie tak często pragną położyć dłoń na brzuchu przyszłej matki. Blanche mówiła teraz do przeciwległej ściany. – Wierz mi, wyszła za ojca dla pieniędzy. Umowa przedślubna była z jej strony tylko grą. Może podpisała ją świadomie, ale potem poznała Clinta i wdała się z nim w romans. Kiedy tata umrze, Crystal odziedziczy prawie wszystko. W razie rozwodu nie dostanie ani grosza. To proste.

– Blanche, nie wiesz na pewno, że twój ojciec nie żyje. Nikt z nas tego nie wie. Nawet twoja przyjaciółka Nancy twierdzi, że on żyje.

Spojrzała na mnie pałającymi niebieskimi oczami.

– Nie mów „nawet Nancy”, jakby była oszustką. Nie znoszę tego.

– Nie miałam takiego zamiaru. Cofam swoje słowa. Chodzi o to, że widzi go w trudnej sytuacji, ale żywego. Tak przynajmniej twierdzisz.

– Ale jak długo? On ma prawie siedemdziesiąt lat. A jeśli jest związany? Zakneblowany i nie może oddychać?

– Już dobrze, dobrze. Wszystko dokładnie sprawdzę. Na razie mamy do czynienia z czystą teorią, ale doceniam twoją troskę.

Zaraz po powrocie do domu usiadłam przy biurku i spisałam wszystkie uzyskane informacje.

Zaczęłam się zastanawiać, co mogło się przydarzyć doktorowi. Od razu odrzuciłam możliwość uprowadzenia, lecz może myliłam się w tym względzie. Mógł przecież zostać siłą wepchnięty do samochodu i wywieziony w jakieś nieznane miejsce, gdzie jest przetrzymywany wbrew swojej woli albo już nie żyje (przepraszam, Nancy). Spisałam wszystkie inne możliwości, notując tak szybko, jak przychodziły mi do głowy. Purcell mógł wyjechać z własnej woli, uciekając z domu lub próbując się gdzieś ukryć. Mógł też mieć wypadek samochodowy, jadąc pod wpływem alkoholu. Jeśli leżał na dnie jakiegoś wąwozu, tłumaczyłoby to również zniknięcie jego mercedesa. Mógł też dostać ataku serca lub wylewu. Jeśli rzeczywiście tak było, dziwne, że nikt nie natknął się na ciało, ale czasami takie rzeczy się zdarzają.

Co jeszcze? Mógł sobie zorganizować drugie życie, które wiódł w tajemnicy pod innym nazwiskiem. Albo też w strachu przed publicznym upokorzeniem popełnił samobójstwo. Albo też, jak sugerowała Blanche, ktoś mógł go zamordować, licząc na spore korzyści. Może zrobił to, żeby zatuszować znacznie poważniejszą sprawę. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. No nie, w grę wchodziły jeszcze dwie ewentualności. Amnezja, choć przypominało to fabułę kiepskiego filmu z lat trzydziestych, i napad rabunkowy dokonany przez zwykłego bandytę, który potraktował doktora zbyt ostro, a potem pozbył się ciała. Pozostawała jeszcze możliwość, że doktora zaaresztowano i osadzono w więzieniu, ale zgodnie z opinią detektywa Odessy jego nazwisko nie pojawiło się w żadnym systemie komputerowym policji. Doszłam więc do wniosku, że nie został zidentyfikowany jako sprawca przestępstwa ani też jako ofiara zbrodni popełnionych przez innych.

Przyglądałam się uważnie sporządzonej liście. Pewnych ewentualności nie byłam w stanie sprawdzić. Jeśli na przykład Dow nagle zachorował lub został ranny albo zabity w jakimś tragicznym wypadku, nie było mowy, żebym się o tym dowiedziała, jeśli ktoś nie przekaze stosownych informacji. Policja zbadała już wszystkie szpitale w okolicy. W tego typu przypadkach praca detektywa z małego miasteczka (na dodatek działającego w pojedynkę) jest wyjątkowo trudna. Nie miałam dostępu do informacji udzielanych przez linie lotnicze, urząd imigracyjny i celników, nie mogłam więc stwierdzić, czy Purcell wsiadł na pokład samolotu (pociągu lub statku) pod własnym nazwiskiem lub też przybranym (posługując się fałszywym prawem jazdy lub paszportem). Jeśli nadal był w kraju, mógł pozostawać w ukryciu, dopóki nie skorzystał z kart kredytowych, nie kupił ani nie wynajął nieruchomości, nie zwrócił się z prośbą o zainstalowanie telefonu, nie prowadził samochodu z nieważną rejestracją lub też w jakikolwiek inny sposób nie zwrócił uwagi na siebie bądź swój pojazd. Nie mógł głosować, wykonywać pracy, która wymagałaby podania numeru ubezpieczenia, nie mógł otworzyć konta w banku. No i oczywiście nie mógł praktykować jako lekarz, a tak przecież zarabiał na życie przez ostatnie czterdzieści lat.

Oczywiście, jeśli udało mu się sfabrykować fałszywą tożsamość, mógł robić, co mu się tylko żywnie podobało, tak długo, jak jego historia wydawała się prawdopodobna, a podane przezeń informacje

nikomu nie wydały się podejrzanym. Jeśli tak było w istocie, to odnalezienie go po zaledwie dziewięciu tygodniach graniczyło z niemożliwością. Nie upłynęło po prostu dość czasu, by jego nazwisko mogło się gdziekolwiek pojawić. Jedynym wyjściem z tej trudnej sytuacji były systematyczne rozmowy i wędrówki od przyjaciela do przyjaciela, od kolegi do współnika, od byłej żony do obecnej, od córki do córki. Wszystko to w nadziei, że wpadnę gdzieś na jakiś najmniejszy choćby ślad. Potrzebowałam tylko maleńkiego pęknięcia w materiale jego życia, które powoli zaprowadzi mnie do miejsca jego pobytu. Postanowiłam skoncentrować się na obszarach, nad którymi miałam pełną kontrolę.

Niedziela mijała leniwie. Udzieliłam sobie jednodniowego urlopu i kręciłam się po mieszkaniu, wykonując drobne prace.

W poniedziałek rano wstałam jak zwykle wcześnie, włożyłam dres i sportowe buty i tak wystrojona przebiegłam sześć kilometrów. Nad miastem wisiały ciężkie chmury, a ocean miał

barwę błota. Deszcz przestał już padać, ale chodniki były nadal wilgotne, i biegnąc do domku na plaży, gdzie zazwyczaj zawracałam, rozpryskiwałam kałuże. Wszędzie pełno było dżdżownic, które leżały na chodnikach niczym resztki zużytego mopa. Między nimi snuły się ślimaki, przechodząc przez chodnik z całym typowym dla niewiniątek optymizmem. Musiałam ciągle patrzeć pod nogi, żeby żadnego nie rozdeptać.

Po powrocie do domu wzięłam torbę z rzeczami i pojechałam do siłowni. Zaparkowałam samochód na jedynym dostępnym miejscu, wsuwając się między pick-upa i furgonetkę. Już na parkingu słyszałam szcęk metalowych przyrządów i pojękiwania siłaczy mocujących się z ciężarami. W środku dobiegająca z głośników muzyka rockowa walczyła o pierwszeństwo z porannymi wiadomościami migającymi na ekranie telewizora zawieszzonego pod sufitem. Dwie kobiety ćwiczyły pracowicie na stepperach, a trzecia oraz dwóch mężczyzn cierpliwie walczyło z ruchomą bieżnią ustawioną na podwójną szybkość. Wszyscy patrzyli uważnie w ekran.

Wpisałam się na listę i spytałam pracującego w recepcji Keitha, czy zna Clinta Augustine'a.

Keith jest młodym mężczyzną po dwudziestce, z brązowym wąsikiem i lśniąca, ogoloną na zero głową.

– Jasne, że znam. Ty też na pewno go tu widziałaś. Potężny facet z jasnoblond włosami.

Pracuje zwykle o piątej, tuż po otwarciu. Czasem przychodzi później ze swoimi klientkami, głównie mężatkami. To jego specjalność – Keith od czasu do czasu stosował sterydy, wpływające na masę jego ciała. Obecnie znajdował się w fazie skurczonej, która znacznie bardziej mi odpowiadała. Był jednym z tych facetów o potężnej klatce piersiowej i bicepsach, lecz słabo rozwiniętych dolnych partiach ciała. Być może doszedł do wniosku, że skoro i tak stoi za ladą, to nie ma sensu pracować nad mięśniami poniżej talii.

– Słyszałam, że trenował z Crystal Purcell.

– Przez jakiś czas. Przychodzili tu późnym popołudniem w poniedziałki, środy i piątki. Czy to



przypadkiem nie żona tego faceta, który zaginął jakiś czas temu? To ci dopiero szkopuł.

Musiało się wydarzyć coś bardzo dziwnego.

– Niewykluczone – odparłam. – No, biorę się do roboty. Dzięki za informacje.

– Nie ma sprawy.

Włożyłam rękawiczki do ćwiczeń i znalazłam spokojne miejsce. Wyciągnęłam się na szarej macie i zaczęłam od ćwiczeń mięśni brzucha, robiąc dwie serie po pięćdziesiąt brzuszków. Ręce splotłam za głową, a nogi oparłam o ławeczkę do wyciskania ciężarów na leżąco. W nozdrza uderzył mnie zapach kleju unoszący się z asfaltowoszarej wykładziny. Atlasy do ćwiczeń wyglądały jak skomplikowane konstrukcje wzniezione z naturalnych rozmiarów zestawów konstrukcyjnych dla dzieci: metalowe pręty, zasuwki, przekładnie, ruchome łączenia. Kiedy skończyłam brzuski, zabrałam się do ćwiczeń wzmacniających nogi. Po piętnastu powtórkach wyobraziłam sobie, jak moje ścięgna pękają i zwijają się niczym zepsute żaluzje. Ćwiczenia rozciągające były bolesne jak diabli, ale przynajmniej nie niosły ze sobą ryzyka kalectwa. Po chwili przyszedł czas na plecy, klatkę piersiową i ramiona. Sesję zakończyłam, podnosząc przez chwilę sztangę, a na sam koniec zostawiłam sobie moje ulubione ćwiczenie: rozciąganie tricepsów. Wyszłam z sali cała spocona.

Po powrocie do domu wzięłam prysznic, włożyłam sweter, džinsy i buty, przegryzłam coś na śniadanie i spakowałam sobie kanapki na lunch. Do biura dotarłam o dziewiątej. Zaraz zadzwoniłam na posterunek policji, gdzie detektyw Odessa zapewnił mnie, że raz jeszcze sprawdzi w komputerze, czy gdzieś nie pojawiło się nazwisko doktora Purcella. Zdążył już przejrzeć parę biuletynów opisujących niezidentyfikowane ciała, które znaleziono w całym stanie. W grupie wiekowej Purcella nie było żadnego białego. Co tydzień przypominano miejscowej policji, pracownikom biura szeryfa i oficerom patrolującym autostrady, że powinni mieć oczy szeroko otwarte. Odessa postanowił wzmocnić wysiłki i rozesłał wiadomości do większości szpitali w sąsiednich okręgach na wypadek, gdyby Purcell trafił tam z zanikiem pamięci lub w śpiączce.

Opowiedziałam Odessie o przeprowadzonych do tej pory rozmowach. Kiedy wspomniałam o prowadzonym przez Medicare dochodzeniu w sprawie oszustwa finansowego, powiedział:

– Tak, wiemy o tym.

– To dlaczego pan milczał?

– Bo to działka Paglii, a my jesteśmy jego podwładnymi.

Pod koniec rozmowy stało się jasne, że wszyscy nadal poruszamy się po omacku, choć wyglądało na to, że jest mi wdzięczny za podzielenie się z policją zdobytymi informacjami.

Podszedł nawet bardzo spokojnie do propozycji Blanche, by skontaktować się z medium, co w pewnym sensie mnie zdziwiło. Często zapominam jednak, że detektywi, choć z natury twardo stąpają po ziemi, nie lekceważą tego typu rozwiązań.

Po chwili wyjęłam numer Jacoba Trigga, który zdaniem Crystal był najlepszym przyjacielem Dowa.

Zadzwońiłam i wyjaśniłam mu, kim jestem. Umówiłam się o dziesiątej rano we wtorek u niego w domu. Zazaczyłam ten termin w kalendarzu, po czym wykręciłam służbowy numer Joela Glaziera. Sekretarka poinformowała mnie, że szef pracuje dziś w domu, i podała mi telefon.

Raz jeszcze wyjaśniłam, kim jestem i kto mnie zatrudnił. Glazier sprawiał wrażenie sympatycznego faceta. Podał mi swój adres i umówił się ze mną na pierwszą po południu.

Kolejny telefon zaprowadził mnie do szpitala Santa Teresa, gdzie się dowiedziałam, że Penelope Delacorte jest przełożoną pielęgniarek i pracuje od dziewiątej do piątej. Zapisalam sobie uzyskane informacje i postanowiłam zadzwonić do niej później, po spotkaniu z Glazierem.

Ostatni telefon, już we własnej sprawie, wykonałam do Richarda Hevenera. Zostawiłam mu na sekretarce wiadomość z pytaniem o moje zgłoszenie. Próbowałam przybrać szczególnie uwodzicielski ton w nadziei, że przechylili to szalę na moją korzyść.

Przerwę na lunch spędziłam w biurze, jedząc przyniesioną z domu kanapkę z masłem orzechowym. O dwunastej trzydzięci wyszłam i zaczęłam spacerować po okolicy w nadziei, że przypomnę sobie, gdzie zaparkowałam samochód. Znalazłam mojego volkswagena w nienaruszonym stanie stojącego na rogu Capillo i Olivio, znacznie bliżej niż myślałam i w zupełnie przeciwnym kierunku.

Już piąty dzień z rzędu niebo zasnuwały ciemne chmury, grożące w każdej chwili deszczem.

Santa Teresa otoczone jest od północy górami, a od południa rozciąga się szumiący Pacyfik.

Rozwój miasta jest więc w znacznym stopniu ograniczony. Najdalej wysunięte na zachód przedmieścia sięgają aż do Colgate, wschodnie zaś do Montebello, gdzie ceny nieruchomości osiągają astronomiczne rozmiary. Horton Ravine, dokąd właśnie zmierzałam, stanowi enklawę tych najzamożniejszych. Działkami w tej okolicy gubernatorzy Kalifornii nagradzali dowódców wojskowych za sprawne zabijanie ludzi w kolejnych wojnach. W rezultacie ponad trzy tysiące akrów przechodziło z bogatych w jeszcze bogatsze ręce do czasu, gdy ostatni ze spadkobierców, hodowca owiec Tobias Horton wpadł na pomysł, by podzielić cały teren na jeszcze mniejsze działki i wystawić je na sprzedaż. Na nagrodę – choć w nieco innej, brzęczącej postaci – nie musiał długo czekać.

Dojechałam autostradą 101 do zjazdu w La Cuesta i skręciłam w lewo, zmierzając do głównego wjazdu, który tworzyły dwa wysokie filary z zawieszonym między nimi wykutym w żelazie napisem HORTON RAVINE. Wąwóz był rzeczywiście urzekający, a pnie wielkich drzew pociemniały od unoszącej się po deszczach w powietrzu wilgoci. Większość ulic nosi tutaj nazwę

„Via coŃtam”. Po drodze minęłam klub jeździecki w Horton Ravine,jechałam dalej mniej więcej półtora kilometra, po czym skręciłam w prawo i zaczęłam piąć się w górę.

Glazierowie mieszkali przy Via Bueno („Dobra droga”... jeśli pamiętam co nieco z wieczorowych kursów hiszpańskiego). Ich dom, zbudowany w latach sześćdziesiątych, stanowił

masę oślepiająco białych abstrakcyjnych kształtów zlepionych w jedną nieregularną bryłę.

Wznoszące się pod różnym kątem trzy piętra podpierająca wysoka wieża, strzelająca w niebo z samego środka tej pozornie bezładnej konstrukcji. Na każdej ze ścian biegły szerokie balkony, a same ściany nie były niczym innym jak tylko wielkimi taflami szkła, na których biedne ptaki często kończyły swój ostatni w życiu lot. Kiedy poznałam Dane Jaffe, mieszkała w malutkim szeregowcu w Perdido, czterdzieści kilometrów na południe stąd. Zastanawiałam się, czy w równym stopniu jak ja uświadamia sobie, jak daleko w życiu zaszła.

Zaparkowałam na okrągłym podjeździe i ruszyłam w stronę szerokich schodów prowadzących do frontowych drzwi. Nacisnęłam przycisk dzwonka. Po kilku minutach drzwi otworzyła Dana. Mogłabym przysiąc, że miała na sobie taki sam strój jak podczas naszego pierwszego spotkania – obcisłe wyblakłe džinsy i biały podkoszulek. Jej włosy nadal miały barwę miodu z tą tylko różnicą, że teraz gdzieś lśniły srebrne pasma. Nosila je też krócej obcięte i starannie wycieniowane. Od czasu do czasu jej brązowe oczy rzucały zielonkawe błyski pod delikatnie zarysowanymi brwiami. Jednak w jej twarzy najbardziej rzucały się w oczy piękne usta, sprawiające wrażenie jeszcze pełniejszych dzięki lekko wysuniętym do przodu górnym zębom.

– Witaj, Kinsey – powiedziała. – Joel wspominał, że do nas wpadniesz. Wejdz, proszę.

Pozwól, że to wezmę.

– Pięknie tu – orzekłam, wchodząc do środka i podając jej pelerynę. Kiedy wieszala ją w szafie, miałam trochę czasu, żeby się rozejrzeć. Wnętrze przypominało nieco katedrę; olbrzymią przestrzeń wieńczył sklepiony sufit wznoszący się na dobre dziewięć metrów. Nieregularne poziomy domu łączyły przejścia i podesty, a wpadające do środka promienie światła tworzyły na gładkiej kamiennej podłodze geometryczne wzory.

– Fiona wspominała pewnie, że remontujemy dom – powiedziała Dana, stając obok mnie.

– Tak. Mówiła mi też, że poleciłaś jej moje usługi, za co jestem ci wdzięczna.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Muszę wyznać, że nie bardzo za tobą przepadałam, ale sprawiałaś wrażenie uczciwej i nieustępliwej. Ściagałaś Wendella niczym mały terier. Twój przyjaciel, Mac Voorhies z firmy ubezpieczeniowej, twierdzi, że to dzięki tobie mogłam zatrzymać pieniądze.

– Sporo się nad tym zastanawiałam. Kiedy ostatni raz słyszałam o całej tej sprawie, nadal debatowali nad tym nieszczęsnym odszkodowaniem. Cieszę się, że wszystko poszło po twojej myśli. Czy dobrze znałaś Dowana?

– Od czasu do czasu wpadaliśmy gdzieś na siebie, ale nie byliśmy przyjaciółmi. Poznałam Fionę już po ich rozwodzie, więc raczej trzymam jej stronę. Kiedy się spotykamy, jestem uprzejma, ale to wszystko. Joel rozmawia w tej chwili przez telefon, ale kiedy tylko skończy, zaprowadzę cię do gabinetu. Czy chciałabyś się trochę rozejrzeć?

– Bardzo chętnie.

– Robimy wszystko po kawałku. Oczywiście nie tak to sobie wyobrażałam. Razem z Fioną chciałyśmy załatwić to za jednym zamachem.. Byłoby o wiele więcej zamieszania, ale i więcej zabawy. Joel niestety sprzeciwił się naszym planom, więc podzieliliśmy całość prac na poszczególne etapy. To jest oczywiście salon...

Opisywała mi przeznaczenie poszczególnych pokoi, gdy szłam posłusznie za nią.

– Pokój wypoczynkowy, biblioteka, jadalnia. Kuchnia jest tam. Gabinet Joela znajduje się na górze, w, jak to nazywamy, „bocianim gnieździe”.

Widać było wyraźnie, że wszędzie trwają prace. Podłogi w pokojach pokrywały ogromne wschodnie dywany, sądząc po wyszukanych wzorach i nieco wyblakłych kolorach, prawdopodobnie dość stare. Meble, wybrane najwyraźniej przez zmarłą panią Glazier, w większości antyki, były ogromne. Część z nich wykonano z połyskującego mahoni. Niektóre fotele i krzesła obito prostym, białym materiałem. Na krzesłach poukładano próbki materiałów, a na ścianach w różnych miejscach przyczepiono próbki kolorów. Części z przeznaczonych na obicia materiałów nie widziałam od czasów dzieciństwa, kiedy ciocia Gin zabierała mnie z wizytą do swoich przyjaciół. Wtedy miałam okazję po raz pierwszy oglądać egzotyczne rośliny, skórę lamparta, palmy, bambusy i zygzaki w różnych odcieniach pomarańcza i żółci. Jeśli chodzi o ściany, rozważano przede wszystkim zieleń znaną z łazienek z lat trzydziestych, zanim przemalowano je na jakże nowoczesne połączenie różu i czerni.

– Fiona znalazła dla nas biurko pokryte skórą rekina, które stanie pod tą ścianą. Ma też lustro Andre Groulta. Jesteśmy tym bardzo podekscytowani.

– Wyobrażam sobie – mruknęłam. Doszłam do wniosku, że ukochana przez Fionę art deco nie będzie tu całkiem nie na miejscu, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić tych chłodnych, eleganckich pokoi wypełnionych czarną laką, plastikiem, skórą i emalią.

– Joel owdowiał cztery lata temu – przypomniała mi Dana. – Mieszkał tu z żoną przez ostatnie dwadzieścia lat. Ja chciałabym to wszystko jakoś wyrównać, ale on nie widzi w tym sensu.

Ma rację, pomyślałam.

– Jak się miewa Michael? – Bałam się zapytać o jej młodszego syna Briana, bo kiedy ostatnio go widziałam, wracał właśnie do więzienia.

– Razem z Brendonem miewają się świetnie. Juliet odeszła. Chyba miała już dość małżeństwa i macierzyństwa.

– Wielka szkoda.

– No cóż – rzuciła szybko – sprawdzę, czy Joel skończył już rozmawiać.

Uświadomiłam sobie, że równie mocno jak ja pragnie uniknąć rozmowy o Brianie. Podeszła do interkomu w jadalni i przycisnęła guzik łączący ją z gabinetem męża.

– Kochanie, jesteś już wolny?

Usłyszałam jego stłumioną odpowiedź.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Czeka na górze. Odprowadzę cię do windy. Może porozmawiamy jeszcze chwilę, gdy skończycie?

– Z przyjemnością.

Gabinet Joela Glaziera znajdował się na trzecim piętrze wieży. Był to duży, przestronny pokój z oknami na wszystkich czterech ścianach. Nie było w nich zasłon, ale zauważyłam żaluzje podciągnięte do góry, by do środka wpadało jak najwięcej światła. Widok zapierał dech w piersiach: ocean, wybrzeże, góry i zachodnia granica Horton Ravine. Gruba warstwa chmur zalewała okolicę szarością, podkreślając jednocześnie błękit gór i ciemnozieloną roślinność.

Zamiast biurka w pokoju stał duży stół. Pozostałe meble były bez wątpienia cennymi antykami z wyjątkiem dużej sofy obitej aksamitem w kolorze rdzy, z białymi wypustkami na szwach. Podobnie jak w pokojach na dole, także i tutaj na podłodze leżał duży wschodni dywan o wymiarach jakieś pięć na siedem metrów. Z powodu braku miejsca na ścianach nie wisały żadne obrazy. Półki na książki i szafki wbudowano pod parapetami dużych okien. W pokoju panował

wzorowy porządek. Papiery i dokumenty ułożono równiutko na biurku, a ołówki i długopisy leżały rzędem obok bibularza.

Joel Glazier wstał, by się ze mną przywitać. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Byłam zaskoczona jego wyglądem. Uroda Dany Jaffe wywierała na mnie tak wielkie wrażenie, że spodziewałam się poznać równie przystojnego mężczyznę. Tymczasem moja reakcja na jego widok przypominała zaskoczenie, gdy zobaczyłam pierwsze zdjęcia Jackie Kennedy i Arystotelesa Onassisa –

księżniczka i żaba. Joel był po sześćdziesiątce, jego mocno przerzedzone włosy siwiały na skroniach. Oczy patrzące na mnie zza szkieł bez oprawek były brązowe, otoczone siateczką zmarszczek. Kiedy wstał, uświadomiłam sobie, że jest niższy ode mnie; miał może metr sześćdziesiąt wzrostu. Był dość korpulentny, a na widok jego przygarbionych ramion od razu postanowiłam sprawdzić, ile wapnia zawiera moja codzienna dieta. Uśmiech Joela odsłaniał

szparę między pożółkłymi, lekko krzywymi przednimi zębami. Miał na sobie nieskazitelnie białą koszulę i rzucające się w oczy eleganckie spinki. Marynarka wisiała swobodnie na oparciu fotela.

Wyczułam delikatny cytrynowy zapach jego płynu po goleniu.

– Miło mi panią poznać. Proszę siadać. Słyszałem, że znała pani wcześniej moją żonę.

Usadowiłam się w wygodnym fotelu z brązowej skóry, która pasowała doskonale do kremowo-rdzawo-beżowego dywanu.

– Poznałyśmy się bardzo dawno temu – odparłam. Nie wiedziałam, ile Dana opowiedziała mu o swoim poprzednim życiu, a jej historia była zbyt skomplikowana, by poruszać ją w przypadkowej rozmowie.

Usiadł w swoim fotelu, opierając prawą rękę o blat stołu. Na środkowym palcu załśnił złoty sygnet.

– Nieważne. Spotkaliśmy się przecież, żeby porozmawiać o Dowanie. Fiona powiedziała nam, że postanowiła skorzystać z pani usług. Powiem pani wszystko, co wiem, ale obawiam się, że to

niewiele pomoże.

– Rozumiem. Czy możemy zacząć od Pacific Meadows? Wiem, że zaistniały tam pewne problemy z rachunkami i do akcji wkroczyło Medicare.

– To wyłącznie moja wina. Nie mogę sobie tego darować. Powiniennem osobiście kontrolować działalność ośrodka. Razem z Harveyem Broadusem... nie wiem, czy pani go poznała... to mój wspólnik...

Potrząsnęłam przecząco głową, pozwalając mu mówić dalej.

– Przez ostatnie sześć miesięcy prowadziliśmy wiele różnych projektów. Jesteśmy wspólnikami od lat. Ja zajmuję się przede wszystkim finansami i prowadzę interesy, a jego domeną są nieruchomości i budownictwo. To idealne połączenie. Poznaliśmy się piętnaście lat temu na polu golfowym i postanowiliśmy zawiązać spółkę, budującą domy spokojnej jesieni i domy opieki. Nasi rodzice już wtedy nie żyli, ale wcześniej bezskutecznie szukaliśmy odpowiedniego miejsca, gdzie otoczono by ich fachową opieką. Ale żeby nie przeciągać... udało nam się w końcu stworzyć całą sieć takich instytucji. Pacific Meadows nabyliśmy w 1980 roku.

W tym czasie mocno podupadł i był fatalnie prowadzony. Miał w sobie ogromny potencjał, ale tracił pieniądze w zastraszającym tempie. Remont i wprowadzenie najnowszych udogodnień kosztowało nas blisko milion dolarów. Dobudowaliśmy też nowe skrzydło. Jakiś czas później podpisaliśmy umowę najmu z Genesis Financial Management Services. Ktoś, zapomniałem już kto, podsunął Genesis pomysł zatrudnienia Dowa na stanowisku administratora. Znałem go wcześniej towarzysko i wiedziałem, że cieszy się dużym szacunkiem w środowisku medycznym.

Zamknął właśnie prywatną praktykę i szukał jakiegoś zajęcia, by wypełnić sobie czas. Wyglądało więc na to, że znaleźliśmy idealne rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych.

– I co się stało?

– Chciałbym to wiedzieć. Często wyjeżdżamy z Harveyem z miasta, przemierzając cały stan.

Prawdopodobnie wzięliśmy na siebie więcej, niż mogliśmy udźwignąć, ale Harvey jest do mnie bardzo podobny; obaj lubimy pracę w nieustannym napięciu... – Rozległ się dzwonek stojącego na stole telefonu. Joel obrzucił go przelotnym spojrzeniem.

– Chce pan odebrać?

– Dana się tym zajmie. Chyba powiniennem pani wyjaśnić, przynajmniej w przybliżeniu, jak funkcjonuje ten cały biznes. Mamy tu do czynienia z trzema oddzielnymi podmiotami. Razem z Harveyem jesteśmy właścicielami nieruchomości, które należą do firmy Century Comprehensive założonej przez nas jeszcze w 1971 roku. Mam tu na myśli teren i budynek zajmowany przez Pacific Meadows. Działalnością domu opieki kieruje wspomniana już przeze mnie firma Genesis, która dzierżawi od nas budynek. Zajmuje się też finansami: przychodami i rozchodami, fakturami wystawianymi dla Medicare i Medicaid, zakupami sprzętu medycznego. Genesis jest częścią

większej firmy – Millenium Health Care. Millenium jest spółką publiczną i jako taka jest zobowiązana prawem do przedstawiania sprawozdań finansowych w centrali ubezpieczeń społecznych. Trafia tam więc lista aktywów, zobowiązań i zestawienie zysków. Sprawozdanie musi zostać potwierdzone przez posiadającego specjalne uprawnienia księgowego. Dziesięć, piętnaście lat temu właściciel takiej instytucji był jednocześnie zarządcą, ale czasy się zmieniły.

Zgodnie z wymogami prawa funkcje te muszą obecnie być wyraźnie oddzielone. Dzięki temu można sprawować nad wszystkim skuteczniejszą kontrolę.

– A gdzie tu miejsce dla doktora Purcella?

– Już do niego dochodzę. Firma zarządzająca ośrodkiem zatrudnia Dowa jako administratora do spraw medycznych, odpowiedzialnego za podejmowane codziennie decyzje dotyczące funkcjonowania ośrodka. I tutaj mogą się pojawić kłopoty.

– Jesteście współnikami?

– Nie. Dow tak to określa, ale nie jest to do końca zgodne z prawdą. Dla laika jest to najprostsze wytłumaczenie łączących nas układów. Ale nie moglibyśmy wejść w spółkę z Dowem czy też z firmą kierującą ośrodkiem. Proszę mi wierzyć, że rząd bardzo nieufnie podchodzi do każdej umowy, która nie została zawarta w wyniku długich negocjacji; innymi słowy, zawierające ją strony nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego. Dow nie mógłby podejmować obiektywnych decyzji, gdyby mógł liczyć na jakiś zysk. Prawdopodobnie ma pani na myśli fakt, że jest właścicielem akcji Millenium Health Care. My też mamy udziały w tej sieci. To w pewnym sensie czyni nas współnikami. Wszyscy pracujemy w jednym biznesie, świadcząc usługi dla starszych mieszkańców naszej społeczności. Oczywiście nie mieliśmy w tej sprawie zbyt wiele do powiedzenia, ale razem z Harveyem doszliśmy do wniosku, że z doświadczeniem i reputacją Dowa Pacific Meadows będzie dla niego wprost idealnym miejscem.

Teraz zaczynam rozumieć, że wbrew moim wcześniejszym założeniom chyba nie miał dobrej głowy do interesów. Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o zamieszaniu z Medicare w maju.

Pomyślałem wtedy i nadal w to wierzę, że powodem wszelkich niedopatrzeń były błędy popełnione przez urzędników i pomyłki w kodowaniu, a nie wypaczanie wyników finansowych z zamiarem popełnienia oszustwa. Dow Purcell jest zbyt uczciwym człowiekiem, by zniżyć się do czegoś takiego. Podejrzewam, że albo nie rozumiał do końca zasady działania Medicare, albo też nie miał dość cierpliwości do wszystkich tych bzdur, których wymaga od nas daleko posunięta biurokracja. Nie mogę go za to winić. Jako lekarz zawsze na pierwszym miejscu stawia dobro pacjenta. Mógł się zżymać na widok ogromu bezsensownej papierkowej roboty, która często okazywała się ważniejsza od pensjonariuszy lub – jeszcze gorzej – mógł dojść do wniosku, że rząd nie będzie mu nic dyktować.

– Sądzi więc pan, że mógł trochę nagiąć przepisy?

– Wolę to wyjaśnienie od oskarżenia o defraudację wysuwanego przez inspektora. A jeszcze bardziej skłaniam się ku temu, że był po prostu nieostrożny i pochopnie aprobował rozwiązania wymagające większej uwagi. Wizja Dowa sprzeniewierzającego państwowe pieniądze po prostu nie mieści mi się w głowie.



– Założmy, że jednak to zrobił. Nie rozumiem, jak mógł na tym skorzystać. Jeśli rachunki wystawiane dla Medicare i Medicaid były zawyżone, czy nie powinna na tym skorzystać firma kierująca ośrodkiem? Wygląda na to, że to jej działka, prawda?

– Oczywiście. Ale firmy z zewnątrz, zajmujące się na przykład transportem chorych i dostawami sprzętu medycznego, mogą otrzymywać tysiące dolarów za niewyświadczone nigdy usługi, nie dostarczone towary lub też wystawiać mocno zawyżone rachunki. Jeśli ktoś na stanowisku Dowa wszedłby z nimi w układ, do tych firm mogłyby trafiać ogromne sumy. On zaś dostałby odpowiednią gratyfikację, być może w postaci specjalnej zniżki lub wynagrodzenia za konsultację. I teraz do akcji wkracza HCFA... Przepraszam za te wszystkie skróty, to Health Care Financing Administration, zajmująca się finansowaniem opieki zdrowotnej. Pod jej egidą działają Medicaid i Medicare...

– Trochę to skomplikowane – zauważyłam.

– Bardzo. No, ale kiedy HCFA zbadała sprawę dokładnie, zażądała dokumentów potwierdzających każdą zawartą transakcję, w tym także umowy o dzierżawę. I tu my wkraczamy na boisko.

– Ale nie sądzi pan, że Dowa jest winny.

– Nie. Ale sprawy wcale nie przedstawiają się różowo.

– Myśli pan, że wyjechał, by uniknąć kompromitacji?

– To możliwe – odparł. – Jeśli się bał, że zostaną mu postawione poważne zarzuty. Nie wiem, jak poradziłby sobie z całym tym zamieszaniem, gdyby do akcji wkroczył prokurator. Nie mam pojęcia, jak każdy z nas zachowałby się w takiej sytuacji. Dow ma poważne kłopoty, ale nie chciałbym go traktować jak zwykłego tchórza.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni? Pamięta pan?

– Oczywiście. To było dwunastego września. Tego dnia zniknął. Zabrałem go na lunch.

– Nie wiedziałam o tym. To była pana inicjatywa czy jego?

– Jego. Zadzwoił z prośbą o spotkanie. Oczywiście wyraziłem zgodę. Wiedziałem już o jego kłopotach. Miałem coś do załatwienia w tej części miasta, więc spotkaliśmy się w małej knajpce niedaleko Pacific Meadows. To taka dziupla o nazwie „Dickens”, nieudolnie naśladowująca angielski pub. Ale jest tam cicho i spokojnie, a wiedziałem, że Dow pragnie odrobiny prywatności.

– Czy mówił o kłopotach z Medicare?

– Nie bezpośrednio. Opowiadał mi o dochodzeniu. Był nim mocno poruszony. Najwyraźniej pragnął zapewnić, że razem z Harveyem staniemy w jego obronie. Staralem się go uspokoić, ale wyjaśniłem, że nie mogę odkręcić niczego, co już się stało. Nie chciałem, by zabrzmiało to pompatycznie, ale jeśli udowodnią mu stawiane zarzuty, to poczynania Dowa nie okażą się tylko nieetyczne, ale będą zwykłym przestępstwem. Choć bardzo go podziwiam, nie zamierzałem go kryć, nawet gdybym mógł.

– Ale dlaczego miałyby podejmować tak wielkie ryzyko? Szczególnie w jego wieku i z taką pozycją społeczną. Na co mogłby potrzebować tych pieniędzy?

– Nie wiem. Dow zawsze dobrze radził sobie finansowo, ale Crystal to droga przyjemność.

Sporo go kosztuje. Dow ma do utrzymania dwa domy – wie pani, że Crystal nalegała, by kupił jej domek na plaży. Po prostu musiała go mieć. Musi płacić alimenty Fionie, a to też spora sumka.

Crystal lubi podróżować i robi to w wielkim stylu. W grę wchodzi więc bilety lotnicze pierwszej klasy dla nich i dla opiekuna Griffitha, no i oczywiście jego utrzymanie. Crystal bardzo też lubi prezenty – na urodziny, rocznice, Boże Narodzenie, dzień zakochanych. Lubi dostawać biżuterię, i to drogą. Dana twierdzi, że gromadzi w ten sposób zabezpieczenie na wypadek jakiegoś krachu.

Telefon zadzwonił raz jeszcze. Tym razem Joel nie zwrócił na niego uwagi, więc ciągnęłam dalej.

– Sądzi pan, że wyszła za niego dla pieniędzy?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Tego bym nie powiedział. Myślę, że szczerze go kocha, ale przez całe życie była biedna.

Chce czuć się bezpieczna na wypadek, gdyby coś mu się przytrafiło.

– A co z plotkami na temat jej romansu?

– Musi pani zapytać o to Danę. To ona zauważyła, co się dzieje. Ja wolałbym się trzymać od tego z daleka.

– Czy doktor Purcell wspominał o czymś, co mogłoby sugerować ucieczkę?

Joel potrząsnął głową.

– Nic takiego sobie nie przypominam. Czy policja skłania się ku takiej ewentualności?

– Nie mogą jej wykluczyć. Zaginął jego paszport, brakuje też sporej sumy pieniędzy.

Joel patrzył na mnie, przetrawiając tę informację.

– Gdyby zdecydował się na ucieczkę, musiałby uciekać już do końca życia.

– Może to nie jest takie złe wyjście w porównaniu z tym, co mogło go czekać tutaj. Z tego co pan powiedział, można jasno wywnioskować, że był przerażony.

– Tak. Bał się śmiertelnie, że postawią go w stan oskarżenia.

– Rozmawiałam z prawnikiem, który twierdzi, że nie byłoby to aż tak groźne. Być może musiałby zapłacić grzywnę, ale nie trafiłby wcale do więzienia.

– On tak tego nie odbierał. Był ogromnie przygnębiony. Rząd stoi na bardzo twardym stanowisku. Dow wiedział doskonale, że może posłużyć jako przykład dla innych. Mówimy tutaj przede wszystkim o utracie twarzy, a tego na pewno by nie zniósł. – Urwał, przesuwając ołówki z jednego końca biurka na drugi. Patrzył na nie niewidzącym wzrokiem.

– O czym pan myśli?

Potrząsnął głową.

– Bałem się komukolwiek o tym wspominać. Po spotkaniu z nim tamtego dnia przyszło mi do głowy, że mógłby się targnąć na życie. Próbował ukryć zdenerwowanie, ale sytuacja mogła go przerosnąć. Nie był pewny, czy Crystal stanie u jego boku, gdy skandal wyjdzie na jaw. Trzeba zadać sobie pytanie, jak bardzo był zrozpaczony i jak daleko gotów był się posunąć. Powinienem był go zapytać, jak się czuje. Powinienem był go uspokoić, podtrzymać na duchu, ale nie zrobiłem tego.

– Joel?

Odwróciliśmy się oboje. W drzwiach stała Dana.

– Na drugiej linii czeka Harvey. Dzwoni już drugi raz.

– Przepraszam. Chyba muszę z nim porozmawiać.

– Oczywiście. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. Możliwe, że niebawem będę chciała spotkać się z panem ponownie.

– W każdej chwili.

Wstał, gdy podniosłam się z fotela, i uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie. Kiedy dotarłam do drzwi, rozmawiał już przez telefon.

Dana odprowadziła mnie do małej, dwuosobowej windy, która bardziej przypominała budkę telefoniczną. Jazda trwała tak długo, że szybciej zbiegłabym po schodach.

– Co to za sprawa z tym Clintem Augustine?

– To proste. Przez pół roku Augustine wynajmował od nas domek dla gości. Kiedy Dow wyjeżdżał do pracy, Crystal natychmiast wymykała się tylnymi drzwiami i biegła do niego przez ogród. Spędzała tam mniej więcej godzinę, po czym wracała ukradkiem do domu. Rand w tym czasie zajmował się małym, spacerując po Horton Ravine. Cała okolica aż huczała od plotek. –

Dotarliśmy do holu na parterze.

– Można to jakoś inaczej wytłumaczyć?

Dana uśmiechnęła się zjadliwie.

– Może popijali razem herbatę.

Szpital Santa Teresa – St. Terry – wznosi się w zachodniej dzielnicy miasta, gdzie niegdyś rozciągały się pola uprawne, winnice, stały mleczarnie i stajnie, a wszystko to ze wspaniałym widokiem na góry wyznaczające północną granicę miasta. Stare czarno-białe zdjęcia tej okolicy przedstawiają szerokie, pokryte kurzem drogi, chaty otoczone zagajnikami drzew cytrusowych i orzechów. Wszystko to zniknęło dawno temu. Dziś teren wygląda dziwnie łyso i płasko: połacie ziemi porasta trawa i mikroskopijnych rozmiarów sosenki. Z dawnych czasów pozostało tu tylko parę domów, które wśród nowoczesnych budynków wyglądają jak prawdziwe skarby. Resztę –

kościół, pierwszy budynek sądu, drewniane domostwa, budynek misji, szopę na wózki i liczne trzypiętrowe podrzędne hoteliki – zmiotły nawracające trzęsienia ziemi i pożary, potężne siły pozostające na usługach natury.

Była druga po południu, gdy zaparkowałam samochód w bocznej uliczce i przeszłam dwie przecznice dzielące mnie od frontowego wejścia do St. Terry. Coraz silniejszy wiatr targał

gałęziami drzew. Od czasu do czasu spadał z nich niewielki deszczyk. W powietrzu wyczuwało się chłód, więc z radością weszłam do ciepłego holu przez otwierane automatycznie szklane drzwi. Po mojej lewej stronie w szpitalnej kawiarence siedziało parę osób z personelu szpitala i kilku odwiedzających. W informacji skierowano mnie do biura przełożonej pielęgniarek.

Minęłam toaletę dla pań i rozejrzałam się pobieżnie, po czym ruszyłam we wskazanym kierunku.

Penelopę Delacorte znalazłam w małym biurze z oknem wychodzącym na ulicę. Blask jarzeniówek ostro kontrastował z szarością panującą na zewnątrz. Penelopa siedziała przy biurku, podkreślając ołówkiem linijki odbitego na kserokopiarce dokumentu. Kiedy zapukałam we framugę drzwi, spojrzała na mnie znad okularów do czytania w szylkretowych oprawkach. Była tuż po pięćdziesiątce i nie zdecydowała się jeszcze, czy ufarbować siwiejące włosy, czy nie.

Wyobraziłam ją sobie, jak dyskutuje z fryzjerką, nie mogąc podjąć decyzji, czy wybrać szampon koloryzujący, czy farbę. Na pewno spierały się też w sprawie uczesania, gdyż Penelopa nie chciała zrezygnować z długiej do ramion fryzury na pazia, którą nosiła od lat. Grzywkę miała zdecydowanie zbyt krótką i zastanowiłam się, czy przycina ją sama pomiędzy wizytami w salonie fryzjerskim. Teraz zdjęła okulary i położyła na biurku.

– Słucham?

– Pani Delacorte?

– Tak – odparła ostrożnie, jakby w obawie, że bez ostrzeżenia zarzucę jej biurko stosem papierów.

– Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem i wynajęto mnie do zbadania sprawy zaginięcia doktora Purcella. Może mi pani poświęcić parę minut?

Bez specjalnej zachęty z jej strony weszłam do pokoju, zdjęłam pelerynę i usiadłam na krześle stojącym przy biurku. Torbę i pelerynę położyłam na podłodze.

Penelopa wstała i zamknęła drzwi. Nie sprawiała wrażenia zadowolonej z mojej wizyty.

Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, była szczupła i konserwatywnie ubrana w granatową szmizjerkę z małymi metalowymi guziczkami. Granatowe czółenka na niskim obcasie wyglądały na buty zdrowotne przepisane przez ortopedę.

Usiadła i splotła ręce na kolanach.

– Nie wiem, co mogę pani powiedzieć. Kiedy doktor... zagiął, nie pracowałam już w Pacific Meadows.

– A jak długo pani tam pracowała?

– Przez ostatnie osiem lat aż do dwudziestego ósmego sierpnia byłam administratorką. Przez ostatnie czterdzieści siedem miesięcy pracowałam z doktorem Purcellem. – Starannie modulowała głos i zachowywała się bardzo uprzejmie, jakby jakiś wewnętrzny głos powtarzał jej stale: „Bądź miła”.

– Myślałam, że to on był administratorem.

– Był dyrektorem do spraw medycznych i administratorem, a ja zastępcą, więc ma pani chyba rację.

– Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego zdecydowała się stamtąd odejść?

– Genesis, firma nadzorująca działalność Pacific Meadows, otrzymała informację, że Medicare prowadzi ostrą kontrolę naszych dokumentów.

Podniosłam rękę.

– A co było tego powodem? Jak pani sądzi?

– Prawdopodobnie jakaś skarga.

– Z czyjej strony?

– Jednego z pacjentów, opiekunów, niezadowolonego pracownika. Nie jestem pewna, ale wyglądało na to, że oni wiedzą, co robią. Klinikę podejrzewano o wiele nieprawidłowości, od zawyżonych rachunków wystawianych współpracującym z nami firmom po przedstawianie sfałszowanych lub zawyżonych rachunków za usługi. Doktor Purcell wpadł w panikę i zaczął

obwiniać o wszystko księgową Tinę Bart. To było absurdalne i niesprawiedliwe. Pani Bart pracowała w Pacific Meadows, jeszcze zanim ja się tam zjawiłam i spełniała swoje obowiązki bez zarzutu. Wspierałam ją, bo nie zamierzałam pozwolić, żeby obarczyli ją winą za wszystko.

Ona nawet nie regulowała rachunków; wszystkie przechodziły przez Genesis. Zajmowała się zamówieniami i przygotowywała rachunki dla poszczególnych pacjentów za sprzęt, terapię, wszystko... oprócz lekarstw. Związane to było z Medicare, Medicaid, prywatnym ubezpieczeniem i

opłatami wnoszonymi przez pensjonariuszy. Te same informacje trafiały także do mnie. Nie wystawiała dokumentów, przetwarzała tylko te, które trafiały na jej biurko.

– Dlaczego Genesis nie ponosi odpowiedzialności, skoro to ta właśnie firma za wszystko płaciła?

– Ale korzystała z danych dostarczanych przez nas. Nigdy ich nie kontrolowała, nie robiła tego również pani Bart.

– Ale i tak ją zwolniono.

– Tak. Ja napisałam prośbę o zwolnienie tego samego dnia. Chciałam nawet złożyć skargę w Wydziale Spraw Pracowników.

– Jak na to zareagowali?

– Nie posunęłam się aż tak daleko. Przemysślałam sprawę i postanowiłam dać sobie spokój.

Tina Bart nie chciała robić zamieszania. Podobnie jak ja nie chciała zwracać zbyt wielkiej uwagi na sytuację doktora Purcella.

– Jego sytuację?

– Tak. Wszyscy bardzo go lubiliśmy. To uroczy człowiek i wspaniały lekarz. Brak talentu do interesów nie jest przecież przestępstwem. Od samego początku stawiałam sprawę jasno. On po prostu nie miał pojęcia o przepisach stosowanych przez Medicare. Nie wiedział, za które usługi przysługuje zwrot kosztów, a które zostaną automatycznie odrzucone. Nie miał pojęcia o odliczeniach, rachunkach, refundacjach. Proszę mi wierzyć, to bardzo skomplikowane sprawy.

Wystarczy popełnić jeden błąd, nie daj Boże, umieścić kod w złym miejscu albo zostawić jedno okienko w formularzu puste, a dokument natychmiast wraca, zwykle bez najmniejszej wskazówki, gdzie został popełniony błąd.

– Ale doktor Purcell nie zajmował się fakturami i rachunkami.

– Oczywiście, ale do jego obowiązków należało sprawdzanie próśb o zwrot kosztów.

Odpowiadał też za kody i aprobował wydatki na wszystkie dodatkowe usługi. Muszę podkreślić z całą stanowczością, że zawsze troszczył się o pacjentów i w kwestii opieki nad nimi wykazywał się wielką inicjatywą. Zawsze leżało mu na sercu ich dobro.

– Nie musi pani aż tak bardzo go bronić – powiedziałam. – Wierzę pani. Rozumiem jednak, że nie radził sobie z obowiązkami administratora.

– Chyba tak, choć to może zbyt mocno powiedziane.

– Czy panowie Glazier i Broadus wiedzieli, co się dzieje?

– To nie leżało w ich gestii. Oni nabyli dom od poprzedniego właściciela, przeprowadzili kosztowny remont i sfinansowali budowę nowego skrzydła. Reszta należała do Genesis i doktora Purcella. To tylko moja prywatna opinia, ale miałam okazję pracować z wieloma lekarzami.

Przekonałam się, że im są lepsi w swoim zawodzie, tym gorzej radzą sobie z interesami.

Większość nie chciała się do tego przyznać. Ludzie traktują ich jak bogów. Ich opinie rzadko bywają kwestionowane. Nie mają pojęcia o własnych ograniczeniach, więc łatwo wprowadzić ich w błąd i oszukać. Mogą mieć ogromną wiedzę medyczną, ale ani grama zdrowego rozsądku, gdy przychodzi do zarządzania sporymi sumami pieniędzy. No, ale to tylko dygresja. Próbuję wytłumaczyć, w jaki sposób doktor Purcell mógł się wplątać w cały ten bałagan.

– Czy próbowała mu to pani wyjaśnić?

– Wiele razy. Słuchał uprzejmie i zgadzał się ze mną, ale lista błędów rosła.

– Skoro podejrzewała pani, że doktor nie radzi sobie z administrowaniem czy nie mogła się pani zwrócić do firmy zarządzającej domem?

– Za jego plecami? Nie, jeśli chciałam pracować tam dalej.

– Ale i tak straciła pani pracę.

Pani Delacorte zacisnęła usta, a na jej policzkach wykwitł rumieniec.

– Czułam, że muszę złożyć rezygnację, gdy zwolniono panią Bart.

– A czy sądzi pani, że doktor Purcell świadomie dopuścił się oszustwa?

– Wątpię. Nie bardzo widzę, w jaki sposób mógłby na tym skorzystać, no, chyba że zawarł

jakąś tajną umowę z Genesis lub innymi dostawcami. Problem polega na tym, że doktor Purcell był na miejscu. W Pacific Meadows nie było ani pracowników Genesis, ani panów Glaziera i Broadusa. On był za wszystko odpowiedzialny i w konsekwencji to jemu postawiono by wszelkie zarzuty.

– Co się pani zdaniem z nim stało?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. W tym czasie już mnie tam nie było.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie złożyła pani skargi. Jeśli Tina Bart została niesłusznie zwolniona z pracy, czyż nie mogło to stanowić podstawy do dochodzenia własnych praw?

Przez chwilę milczała i widziałam, jak zmaga się ze sobą, zanim zdecydowała się odpowiedzieć.

– Nie chciałyśmy stawać do otwartej walki.

– Z kim?

– Ze wszystkimi – usłyszałam. – W Santa Teresa trudno znaleźć pracę, a wieści rozchodzą się bardzo szybko, zwłaszcza w kręgach medycznych. Choć jest tu wielu lekarzy, działają tylko trzy szpitale. Z moimi kwalifikacjami nie jest łatwo znaleźć tu pracę. Jestem bardzo związana z tym miastem. Mieszkam tu już blisko trzydzieści lat. Nie mogę sobie pozwolić na to, by przylgnęła do mnie etykietka aferzystki lub malkontentki. Może to pani uznać za tchórzostwo, ale jestem wdową i mam na utrzymaniu starą matkę. Chyba udzieliłam już pani wyczerpujących odpowiedzi, więc proszę mi wybaczyć... – Zaczęła przekładać papiery na biurku. Ułożyła je równo i wygładziła brzegi. Na jej szyi pojawiły się – niczym wyrzuty sumienia – czerwone plamy.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Gdzie znalazła pracę Tina Bart?

– To pani jest detektywem. Proszę się dowiedzieć.



Kiedy wróciłam do biura, znalazłam zapisaną przez Jennifer na karteczce wiadomość:

„Dzwonił Richard Hevener. Oddzwoń, proszę”. Idąc korytarzem do mojego pokoju, czułam, jak serce zaczyna mi walić w piersi. Wiadomości od Richarda spodziewałam się najwcześniej w środę. Rzuciłam torbę na biurko i chwyciłam słuchawkę. Dwa razy łączyłam się ze złym numerem, zanim się zorientowałam, że Jennifer, zapisując pracownice telefon, przestawiła dwie ostatnie cyfry. Za trzecim razem dodzwoniłam się wreszcie, gdzie trzeba.

– Dzień dobry, Richard. Kinsey Millhone. Prosiłeś, żebym oddzwoniła.

– Rzeczywiście. Dziękuję. Jak się miewasz?

– Świetnie. Czym mogę ci służyć?

– Przeglądałem resztę zgłoszeń i żaden z kandydatów mi nie odpowiada. Zgraja jakichś lumpów i tyle. Jeśli nadal chcesz wynająć biuro, jest twoje.

– Naprawdę? Świetnie. Bardzo się cieszę. Kiedy mogę się zainstalować?

– Jadę tam teraz. Jeśli masz wolną chwilę, może przywiozłabyś mi czek. Przypominam, że suma wynosi 1675 dolarów, razem z opłatą za sprzątnięcie. Wypisz go dla Hevener Properties.

– Oczywiście, nie ma sprawy. Jestem dosłownie po drugiej stronie ulicy. Okna budynku, w którym teraz siedzę, wychodzą prosto na twój dom

– Tak? Nie wiedziałem. Wpadnij więc na chwilę, a kiedy tylko podpiszemy umowę najmu, dam ci klucz. – Jak wiele osób, nie czuł się najlepiej, rozmawiając o pieniądzu. Zaczęłam się zastanawiać, jakie może mieć doświadczenie w kontaktach na linii właściciel-najemca.

– O której?

– Za pięć, dziesięć minut?

– Do zobaczenia. I dziękuję.

Odłożyłam słuchawkę i odtańczyłam taniec radości, myśląc już o technicznych aspektach przeprowadzki. Na szczęście w czasie trzech lat pobytu w kancelarii Kingman and Ives nie zdążyłam wszystkiego rozpakować, więc nie powinno mi to zająć dużo czasu. Biurko, fotel, kanapa, sztuczny fikus. Moment i po wszystkim. Będę mogła parkować na moim własnym miejscu, pięć metrów od wejścia. Będę mogła jadać lunch przy drewnianym stoliku przed budynkiem...

Otworzyłam drzwi szafy i wyjęłam dwa duże pudła, szukając miarki. Znalazłam ją na dnie drugiego pudła. Był to jeden z tych metalowych przyrządów, które zwijają się tak szybko, że wystarczy chwila nieuwagi i można stracić mały palec. Wrzuciłam ją do torby, chwyciłam żółty notes i ołówek i

sprawdziłam, czy działa automatyczna sekretarka. Zaraz potem narzuciłam pelerynę i ruszyłam do mojego nowego biura. Miałam ochotę skakać z radości. Ciekawe czy w dzisiejszych czasach dzieci jeszcze to robią.

Idąc przez podjazd na tyłach budynków, czułam się już niemal jak właścicielka lokalu.

Należący do braci Hevener dom widziałam co prawda z okien kancelarii Lonniego, ale aby tam dotrzeć, musiałam minąć dwie przecznice. W całym domu świeciły się światła, a gdy trochę podskoczyłam, dostrzegłam w oknie księgowego, który zajmował biuro od frontu. Przy najbliższej okazji będę musiała zawrzeć z nim znajomość. Na parkingu stał ciemnogrnatowy sedan, najwyraźniej należący do księgowego, a dwa miejsca dalej czarna furgonetka Tommy'ego.

Przed tylnymi drzwiami starannie wytarłam buty o zniszczoną wycieraczkę. Biuro było otwarte i poczułam zapach świeżej farby. Zajrzałam do środka. Tommy na czworakach malował

białą farbą listwy podłogowe. Uśmiechnął się do mnie i wrócił do pracy. Miał na sobie kombinezon w kolorze khaki i po raz kolejny pomyślałam, że jest niesamowicie przystojny.

Ciemnorude włosy rzucały miedziany poblask, a dzięki siateczce piegów skóra sprawiała wrażenie ogorzałej od wiatru i słońca.

– Cześć. Jak leci? – spytałam.

– W porządku. Pomyślałem, że dobrze będzie to skończyć. Jesteś podobno naszą nową lokatorką.

– Na to wygląda. Richard umówił się tutaj ze mną, żeby załatwić wszystkie formalności. –

Dobrze, że musiał się koncentrować na wykonywanej pracy. Dzięki temu ja mogłam obserwować jego szerokie ramiona i delikatne rude włoski w miejscu, gdzie podwinął rękawy. Widziałam ślady białej farby na knykciach. Beładnie wijące się na szyi włosy aż się prosiły o bliższy kontakt z fryzjerem.

Spojrzał na mnie przez ramię.

– Pomyślałem, że sobie poszłaś. Tak cichutko stoisz.

– Nadal tu jestem. – Z braku innych możliwości podeszłam do okna. – Taras jest wspaniały.

– Zaczęłam się zastanawiać, czy ma dziewczynę.

– Sam go zbudowałem. Chciałem dodać jeszcze trochę kratek, ale to już chyba byłoby za dużo szczęścia.

– Wygląda bardzo ładnie. Czy to sekwoja?

– Tak, proszę pani. Słowo. Nie lubię tanich materiałów. Richard się wścieka, ale dzięki temu i tak zaoszczędzimy. Co tanie, to drogie, bo trzeba stale naprawiać.

Nie przyszła mi do głowy żadna stosowna uwaga. Otworzyłam i zamknęłam okno.

Bezwiednie podniosłam słuchawkę telefonu i usłyszałam sygnał.

– Chcesz gdzieś zadzwonić?

Byłam ciekawa, czy działa. Będę chyba musiała wpaść do firmy telefonicznej i poprosić o przeniesienie mojego numeru.

– Jak się miewa twój chłopak?

– W porządku.

Tommy zanurzył pędzel w puszcze z farbą.

– Mam nadzieję, że dobrze cię traktuje.

– Nie ma go teraz w mieście. – Pożałowałam, że to powiedziałam, bo na pewno zabrzmiało jak zachęta.

– A czym się zajmuje? Lata w garniturku do sądu?

– Jest prywatnym detektywem jak ja. Ale teraz pracuje dużo mniej. Przez jakiś czas był w ogóle wyłączony, bo przeszedł operację kolana. – W wyobraźni przewróciłam oczami.

Opisywałam Dietza jakby był starym prykiem, który ledwo powłóczy nogami. A prawda wyglądała tak, że rozstaliśmy się bardzo dawno i traktowanie go jako mojego chłopaka było po prostu śmieszne.

– Coś mi się zdaje, że to staruszek.

– Ależ skąd. Ma dopiero pięćdziesiąt trzy lata.

Tommy uśmiechnął się pod nosem.

– Widzisz? Od początku wiedziałem, że wolisz starszych. A ty ile masz lat? Trzydzieści pięć?

– Trzydzieści sześć.

– Ja mam dwadzieścia osiem, a moim zdaniem to najlepszy wiek dla faceta – zauważył.

Uniósł lekko głowę. – Nadciąga Richard.

– Jak ty to robisz? Nawet nie słyszałam, jak podjeżdża.

– Mam w głowie radar – odparł. Wyprostował się i stał przez chwilę, przyglądając się krytycznie listwom. – Coś ominąłem?

– Nie zauważyłam.

Tommy znalazł przykrywkę i szczelnie zamknął puszkę z farbą.

W drzwiach stanął Richard w czarnym długim płaszczu przeciwdeszczowym z paskiem zawiązanym mocno na plecach. Nie był tak przystojny jak brat i z pewnością nie tak sympatyczny. Spojrzał na mnie z zaledwie przelotnym błyskiem w oku.

– Myślałem, że masz dziś co innego do zrobienia – powiedział do Tommy’ego.

– Tak, ale chciałem to skończyć. Nie lubię tandety – odparł Tommy, nie patrząc na brata.

Coś między nimi iskrzyło, ale nie miałam pojęcia, co to może być. Wiało od nich lodem, jakby prowadzona w tej chwili rozmowa była częścią jakiejś poważniejszej kłótni. Tommy wszedł do łazienki. Słyszałam, jak puszcza wodę, żeby wypłukać pędzel. Po chwili znów się pojawił i zaczął zbierać narzędzia. Czułam się tak, jakbym oglądała powtórkę z pierwszego wieczoru, jednak tym razem żaden z nich się nie odezwał.

– Wypiszę ci czek – powiedziałam, próbując nieco ocieplić atmosferę. Sięgnęłam do torby.

Wyjęłam książeczkę czekową i długopis, i opierając się o ścianę, wypisałam datę. – Hevener Properties, Inc.?

– Zgadza się – Richard stał z rękami w kieszeniach płaszcza, patrząc, jak wypisuję sumę.

Zauważyłam, że kiedy Tommy zmierzał do drzwi, wymienili spojrzenia. Zaraz potem Tommy spojrzał na mnie, uśmiechnął się przelotnie i wyszedł.

Wydarłam czek z książeczki i podałam go Richardowi, a on wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza umowę. Zauważyłam, że wypełnił już wszystkie rubryki. Zaczęłam czytać drobny druk pod baczny spojrzeniem Richarda.

– Mam nadzieję, że ci się nie naprzykrza.

– Kto, Tommy? Ależ skąd. Rozmawialiśmy o tarasie. Wpadłam, żeby to i owo pomierzyć.

Chciałabym powiesić tu parę półek.

– Oczywiście. Wszystko poza tym w porządku?

– Tak. Tommy świetnie się spisał.

– Kiedy się przeniesiesz?

– Mam nadzieję, że na początku przyszłego tygodnia.

– Dobra. To moja wizytówka. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń właśnie do mnie.

Skoncentrowałam się na umowie, czytając ją bardzo dokładnie. Wyglądało na to, że wszystko jest w

porządku; żadnych kruczków, podstępów, nieuzasadnionych ograniczeń.

Richard cały czas mnie obserwował.

– Jakimi sprawami się zajmujesz?

– Różnymi. Obecnie badam sprawę zaginięcia pewnego doktora. Zniknął dziewięć tygodni temu. W styczniu szukałam zaginionego dziedzica fortuny.

– Działasz głównie w okolicy?

– Tak. Czasami poruszam się poza granicami stanu, ale dla klienta jest taniej, gdy wynajmuje detektywa z okolicy. Nie musi wtedy pokrywać kosztów podróży, które mogą być bardzo wysokie. – Podpisałam się na końcu umowy, wręczyłam mu jedną kopię, a drugą schowałam dla siebie. – Zawsze to mówię, ale ta praca jest nudniejsza, niż można by przypuszczać. To głównie sprawdzanie dokumentów i starych gazet w archiwum. Kiedyś pracowałam dla firmy ubezpieczeniowej. Tropiłam podpalaczy i ludzi wyludzających odszkodowania, ale wolę działać na własną rękę. – Nie chciałam wyjść na niedojdę, więc delikatnie pominęłam fakt, że to firma ubezpieczeniowa wylała mnie na zbity łeb. Miałam nadzieję, że nie będzie dalej drążył tematu, bo nie chciałam być zmuszona do kłamstwa na tak wczesnym etapie naszej znajomości.

– Dam ci klucz. – Pogrzebał w kieszeni i wyjął duże kółko, na którym wisiało z dziesięć, piętnaście kluczy. Chwilę trwało, zanim wybrał właściwy. Zdjął go z kółka i położył mi na dłoni.

– Może będziesz chciała dorobić drugi, gdyby ten zginął.

– Zajmę się tym, dzięki. – Wyjęłam swój breloczek i dołączyłam klucz do mojej skromnej kolekcji.

Po wyjściu Richarda wyciągnęłam miarkę i zaczęłam mierzyć pokój: odległość między oknami, głębokość garderoby, odległość do drzwi. W notatniku zrobiłam szkic pomieszczenia, po czym usiadłam na środku podłogi. Przyglądałam się ścianom, uderzając delikatnie końcem ołówka w dolną wargę. Wypełnione zapachem nowej wykładziny i świeżej farby biuro było czyste i eleganckie jak nowy samochód. Za oknem było szaro i ponuro, lecz tu w środku czułam, że zaczynam coś nowego.

Już miałam zacząć się zbierać, kiedy zadzwonił telefon. Zerwałam się na równe nogi i patrzyłam oniemiała na aparat. Ktoś na pewno szukał Richarda lub Tommy'ego, bo przecież nie mógł dzwonić do mnie. Odebrałam po piątym dzwonku.

– Słucham? – rzuciłam niepewnie.

Znów ten gardłowy akcent.

– Cześć, to ja. Mój brat jeszcze tam jest?

– Właśnie wyszedł.

– Pomyślałem, że może wpadniemy gdzieś na drinka. – Jego głos w słuchawce brzmiał

bardzo uwodzicielsko. Czułam, że się uśmiecha, trzymając słuchawkę tuż przy ustach.

- Po co?
- Po co? – Zaśmiał się. – A jak myślisz?
- Masz jakieś problemy z Richardem?
- Na przykład?
- Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że nie był zachwycony naszym spotkaniem. Teraz zapraszasz mnie na drinka, a ja nie wiem, czy powinnam się zgodzić.
- Jesteś naszą lokatorką. A Richard trzyma się ostro zasad. Ale mimo wszystko to nie jego zakichana sprawa.
- Nie chcę, żebyś przeze mnie wpadł w tarapaty.

Roześmiał się.

- Nie przejmuj się. Dam sobie radę.
- Nie to miałam na myśli. Nie chcę się stać przyczyną sporów.
- Już ci mówiłem. Nie ma sprawy. Przestań się wykręcać i pozwól, że postawię ci kieliszek wina.
- Jest dopiero czwarta.
- To co?
- Mam jeszcze trochę pracy.
- A kiedy skończysz?
- Powinnam się z tym uporać do szóstej.
- Świetnie. Możemy więc umówić się na kolację.
- Nie. Na drinka. I to tylko jednego.
- Ty rozdajesz karty. Podaj miejsce, a na pewno się tam zjawię.

Zastanawiałam się przez chwilę, kuszona wizją tawerny Rosie, położonej z dala od uczęszczanych szlaków. Cała ta sprawa była trochę nieczysta. Czułam, że Richard nie powinien oglądać nas razem. Ale nie potrafiłam się dopatrzeć niczego zdrożnego w wypiciu jednego drinka.

- Jest takie miejsce niedaleko plaży – powiedziałam i podałam mu adres Rosie. – Wiesz, gdzie to jest?

– Znajdę.

– Mogę się trochę spóźnić.

– Poczekam.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniłam błędu.

Nie powinno się mieszać spraw zawodowych z osobistymi. Byłam teraz związana z nimi umową i jeśli coś pójdzie nie tak, będę musiała zacząć szukać nowego biura. Z drugiej strony, miałam przecież zaplecze w osobie Lonniego Kingmana, więc z tym nie powinno być kłopotów. Myśl o kolejnym spotkaniu z Tommym bardzo podniosła mnie na duchu. Przy odrobinie szczęścia okaże się wariatem i propozycja utrzymania dalszych kontaktów spotka się z mojej strony z uprzejmą odmową.

Tymczasem musiałam się zająć sprawą zniknięcia Dowana Purcella. Należało wrócić do punktu wyjścia, czyli do Pacific Meadows i wieczoru, kiedy pan doktor dosłownie zniknął z powierzchni ziemi.

Tym razem parking przy Pacific Meadows był pełny. Wjechałam moim volkswagenem na ostatnie wolne miejsce z lewej strony, wciskając się tuż obok żywopłotu. Zamknęłam samochód i przeskakując przez płytkie kałuże, ruszyłam do wejścia. Wiatr wiał mi mocno w plecy, a kiedy dotarłam pod dach, moje skórzane buty były wilgotne. Oparłam parasol o ścianę i powiesiłam pelerynę na wieszaku. Dziś w powietrzu unosił się zapach pomidorów, goździków, wilgotnych wełnianych skarpet, ziemi do kwiatów i zasyпки dla dzieci. Przeczytałam menu wywieszone przy podwójnych drzwiach prowadzących do jadalni. Na obiad serwowano żeberka z grilla, fasolkę, mieszankę kalafiora i brokułów (to ci dopiero atrakcja), a na deser galaretkę z owocami. Miałam tylko nadzieję, że galaretka ma smak wiśniowy, ukochany przez każdą grupę wiekową. W

zwykły dzień tygodnia po korytarzu kręciło się więcej pensjonariuszy.

Pokój dzienny był prawie pełny. Zasunięto zasłony i wewnątrz panowała znacznie przytulniejsza atmosfera. Część pacjentów oglądała wiadomości w telewizji, a inni czarno-biały film z Idą Lupino i George'em Raftem. W kącie pokoju kobieta w średnim wieku prowadziła gimnastykę dla grupy sześciu starszych pań. Podnosiły ramiona i tupały nogami, siedząc na składanych krzesłach. Przeznaczeniem naszego ciała jest ruch i kobiety te robiły co w ich mocy, by utrzymać formę. Chwała im za to.

Skinęłam głową w stronę kobiety siedzącej w recepcji, jakbym była tu stałą bywalczynią. Nie zatrzymywana udałam się do biura administracji, gdzie znalazłam Merry układającą pasjansa.

Spojrzała na mnie pełnym skruchy wzrokiem, zebrała karty i szybko wsunęła je do szuflady.

– Cześć. Jak się miewasz? – powiedziała. Byłam pewna, że mnie rozpoznała, ale nie może sobie przypomnieć nazwiska.

– Kinsey Millhone – rzuciłam szybko. – Pomyślałam, że wpadnę i sprawdzę, czy pani Stegler jeszcze tu jest. Mam nadzieję, że nie poszła do domu.

Merry wskazała na prawo. Z biura wychodziła właśnie kobieta z sekatorem i paroma suchymi gałązkami w rękach.

– No, znacznie lepiej – powiedziała. – Gdyby doktor P. tutaj był, nie pozwoliłby mi nawet dotknąć swoich ukochanych roślinek. – Spojrzała na mnie zaskoczona, ale poszła dalej, do kosza na śmieci, by wyrzucić gałązki.

Nosiła krótko przycięte nad uszami włosy, z gęstą szopą na czubku głowy. Była ubrana w męskie w kroju spodnie i obszerny brązowy żakiet z jedwabną chusteczką o barwie złota w kieszonce na piersiach. Noski eleganckich czółenek wysuwały się spod szerokich nogawek spodni. Zdecydowanie powinna je skrócić o parę centymetrów.

– Pani Stegler? Kinsey Millhone. Mam nadzieję, że udzieli mi pani paru informacji na temat doktora Purcella.

Wyjęła chusteczkę higieniczną z pudełka stojącego na biurku Merry i starannie wytarła ręce.

Dopiero potem wyciągnęła dłoń w moją stronę.

– Merry wspominała o pani sobotniej wizycie. Nie jestem pewna, czy będę mogła pani pomóc. Z zasady nie rozmawiam o pracodawcach, jeśli nie zostałam do tego przez nich upoważniona.

– Rozumiem. Ale nie proszę pani o łamanie zasad. Zna pani Fionę Purcell?

– Oczywiście. To pierwsza żona doktora.

– Wynajęła mnie w nadziei, że pomogę go odnaleźć. Zjawiłam się tutaj na jej wyraźną sugestię. Była zdania, że rozmowa z panią jest najrozsądniejszym punktem wyjścia.

Pani Stegler potrząsnęła głową.

– Przykro mi, ale kiedy pan doktor wyszedł z pracy tamtego wieczoru, mnie już tutaj nie było

– powiedziała z naciskiem. Czuję, że jest zadowolona, nie mogąc udzielić żadnych informacji.

– Czy rozmawiała z nim pani tamtego dnia?

Pani Stegler rzuciła mi znaczące spojrzenie, dając w ten sposób znak, że Merry słyszy każde słowo.

– Może wejdziemy do jego biura. Będziemy tam mogły spokojnie porozmawiać.

Podniosła klapę lady i weszłam do środka. Miała małe okrągłe oczka, bladoniebieskie z czarną obwódką wokół tęczówki, jak u papugi. Kiedy wchodziłyśmy do biura, powiedziała do Merry:

– Dopilnuj, żeby nam nikt nie przeszkadzał.



– Dobrze, proszę pani – odparła, przewracając oczami w nieokreślonym kierunku.

Bardzo intrygowała mnie możliwość obejrzenia biura doktora Purcella. Było małe i panował w nim wzorowy porządek. Biurko, obrotowy fotel, dwa miękkie krzesła dla gości i biblioteczka wypełniona książkami medycznymi i podręcznikami dotyczącymi opieki nad chorymi. Na krawędzi biurka stał świeżo przycięty bluszcz, który wyglądał jak cocker-spaniel po wiosennym strzyżeniu. Dużo bym dała, żeby móc przejrzeć zawartość szuflad, ale szansę na to były niewielkie.

Pani Stegler najwyraźniej uważała, że nie powinna siadać za biurkiem doktora. Przysiadła na brzeжку krzesła, a ja zajęłam drugie. Nasze kolana niemal się stykały. Odsunęła trochę swoje i założyła nogę na nogę, odsłaniając kawałek białej skóry nad wełnianą skarpetką.

– Mam nadzieję, że nie zabrmi to fałszywie, ale nie znoszę plotek. Prowadząc sprawę, nigdy nie namawiam nikogo, by okazał się nielojalny, zwłaszcza w takich przypadkach jak ten.

Spojrzała na mnie podejrzliwie, jakby wyczuwała podstęp. A może mi się tylko zdawało.

– W tej sprawie w pełni się z panią zgadzam.

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciała mi pani opowiedzieć o ostatnim dniu pracy doktora.

– Opowiedziałam już o wszystkim policji. I to niejednokrotnie.

– Chciałabym to usłyszeć jeszcze raz. Detektyw Odessa powiedział mi, że okazała się pani bardzo pomocna.

Spojrzała niepewnie na moją torbę leżącą na podłodze przy krześle.

– Nie nagrywa pani naszej rozmowy, prawda?

Pochyliłam się i otworzyłam torbę, by mogła zajrzeć do środka. Jedynym przedmiotem, który mógł choć trochę przypominać magnetofon, był plastikowy pojemnik na tampony.

– I nie będzie pani cytować moich wypowiedzi wyrwanych z kontekstu?

– W ogóle nie będę pani cytować.

Milczała przez chwilę, wpatrując się w swoje kolana. Wreszcie przemówiła.

– Od wielu lat jestem rozwiedziona.

Znów zamilkła. Nie przerywałam ciszy żadnym komentarzem. Widziałam wyraźnie, że walczy ze sobą. Skrzywiła się nagle i zesnurowała wargi, jakby ktoś pociągnął za niewidzialne sznurki. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał tak chrapliwie, że z trudem rozumiałam, co mówi.

– Mogę chyba uznać... doktora Purcella... za jedynego przyjaciela... jakiego miałam. Trudno mi

uwierzyć, że go tu nie ma. Kiedy przyszedłam do pracy w poniedziałek rano, wszyscy szeptali po kątach, że... zniknął. Byłam wstrząśnięta. On był... takim uroczym człowiekiem... uwielbiałam go. Gdybym wiedziała, że widzę go ostatni raz w życiu, podziękowałabym mu z całego serca...

za dobroć, jaką mi okazał. – Odetchnęła głęboko, pojękując ze smutku, którego nie potrafiła ubrać w słowa. Po chwili opanowała się, choć widać było, że z trudem się trzyma. Wyjęła chusteczkę z kieszonki na piersiach i głośno wydmuchała nos. Niestety, jedwab nie najlepiej się do tego nadawał. Splotła ręce na kolanach, mnąc palcami wilgotny materiał. Widziałam, jak spada na nie łza, potem druga, niczym krople wody ze źle zakręconego kranu.

Uświadomiłam sobie, że poza Blanche jest jedyną osobą, która zareagowała tak emocjonalnie na zniknięcie doktora. Pochyliłam się i ujęłam jej zimne dłonie.

– Wiem, że jest pani ciężko. Powoli, nigdzie się nam nie spieszy.

Odetchnęła głęboko.

– Proszę mi wybaczyć. Nie powinnam się tak zachowywać i obarczać pani tym ciężarem.

Mam tylko nadzieję, że doktor jest bezpieczny. Nie obchodzi mnie wcale, co zrobił. – Urwała, przyciskając chusteczkę do ust. Jeszcze jeden głęboki oddech. – Już w porządku. Naprawdę. Nie wiem, co mnie napadło. Bardzo panią przepraszam.

– Rozumiem. Z tego, co do tej pory usłyszałam, wnioskuję, że doktor był wspaniałym człowiekiem. Chcę tylko pomóc. Musi mi pani zaufać. Nie przyszedłam tutaj po to, żeby stwarzać dodatkowe problemy.

– Czego pani chce?

– Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani wie.

Zawahała się. Niechęć do plotek była zakorzeniona zbyt głęboko, by ustąpić w jednej chwili.

Postanowiła jednak mi zaufać, bo odetchnęła głęboko i zaczęła mówić.

– Tego ostatniego dnia wydawał się czymś bardzo zaprzątnięty. Chyba bardzo się martwił...

ale czy mogło być inaczej? Pani Purcell... przepraszam, jego pierwsza żona, wpadła, żeby się z nim zobaczyć, ale on wyszedł na lunch. Czekala przez chwilę w nadziei, że szybko wróci, a potem zostawiła mu liścik. Kiedy wrócił, do końca dnia pracował u siebie. Pamiętam, że na biurku stała szklaneczka whisky. Ale to już było wieczorem.

– Czy wyszedł gdzieś na kolację?

– Raczej nie. Zazwyczaj jadał późno albo w ogóle rezygnował z kolacji. Wiele razy jadł coś przy biurku... jakieś krakersy, owoce... działo się tak wtedy, gdy jego żona wychodziła i nie gotowała w domu. Kiedy zapukałam do niego, żeby się pożegnać, siedział dalej przy biurku.

– Czy leżały przed nim jakieś papiery? Akta lub dokumenty?

– Raczej tak. Ale nie zwróciłam na nie uwagi. On nigdy nie siedział beczynn timer. Wiem, że to nie leżało w jego naturze.

– Rozmawialiście?

– Wymieniliśmy zwyczajowe grzeczności. Nic ważnego.

– Wie pani o jakichś telefonach lub gościach?

Potrząsnęła głową.

– Nie przypominam sobie. Kiedy przyszłam do pracy w poniedziałek, jego gabinet był pusty, rzecz prawie niespotykana. Zawsze przychodził do pracy o siódmej, przed wszystkimi. Tego dnia w całym biurze huczało już od plotek. Ktoś... nie pamiętam już kto... powiedział, że doktor w ogóle nie wrócił do domu w piątek wieczorem. Początkowo nie zwróciliśmy na to uwagi. A potem zaczęliśmy się martwić, że doszło do jakiegoś wypadku lub że zachorował. Kiedy przyjechała policja, byliśmy przerażeni, ale nadal wierzyliśmy, że za dzień, dwa doktor się znajdzie. Wiele się nad tym wszystkim zastanawiałam, ale już nic więcej nie pamiętam.

– Przeczytałam w gazecie, że tego wieczoru rozmawiał krótko ze starszą panią siedzącą w holu. To prawda?

– To na pewno była pani Curtsinger. Ruby. Jest z nami od 1975 roku. Poproszę Merry, żeby panią do niej zaprowadziła. Ale proszę jej nie denerwować.

– Obiecuję.

Merry prowadziła mnie korytarzem. Stały tam metalowe wózki, a na półkach ustawiono tace z kolacją dla tych, którzy woleli jeść w swoim pokoju. Nie minęła jeszcze piąta i podejrzewałam, że tak wczesna pora kolacji była ze strony kuchni próbą połączenia wszystkich trzech posiłków w jedną długą zmianę.

– Pamiętasz tę pielęgniarkę, która stała w drzwiach w sobotę, gdy wychodziłaś? To Pepper Gray. Zaczęła ostro o ciebie wypytywać. Nie puściłam pary z ust, powiedziałam tylko, że wrócisz tu dzisiaj, żeby porozmawiać z panią S. Niezłe mnie objechała. Dowiedziałam się, że nie powinnam z nikim rozmawiać o sprawach kliniki. Wkurzyła mnie jak diabli. Jakim prawem tak mnie traktuje? Nawet nie pracuje w moim dziale.

– Ile mogła usłyszeć?

– To nie ma znaczenia. Nie jej interes. Pomyślałam jednak, że powinnaś o tym wiedzieć, gdybyś się gdzieś na nią natknęła.

Skręciłyśmy w lewo, mijając pokój dla personelu, magazyn i kilka pokoi pacjentów. Wiele drzwi było zamkniętych, a na niektórych przyklejono kartki z życzeniami i wianuszki z zasuszonych kwiatów. Gdzieś tam kolorowe litery zawieszono na cienkich sznureczkach układały się wesoło w imiona mieszkańców danego pokoju. Przez drzwi, które pozostawiono otwarte, widać było stojące w środku duże łóżka przykryte narzutami w kwiaty i zdjęcia członków rodziny ustawione na komodach. Każdy pokój był urządzonej w innej tonacji kolorystycznej, a okna wychodziły na niewielki ogród, gdzie liście krzewów drżały od pierwszych kropel padającego deszczu. Minęłyśmy starszą kobietę sunącą przez korytarz z pomocą balkonika. Szła bardzo energicznym krokiem, a kiedy dotarła do rogu, odwróciła się tak gwałtownie, że o mało nie upadła. Merry wyciągnęła rękę i pomogła jej utrzymać równowagę.

Kobieta przechyliła się lekko, zatoczyła szeroki łuk i ruszyła dalej.

Ruby Curtsinger siedziała na miękkim krześle przy przesuwanych drzwiach, które lekko uchylono, by wpuścić do środka trochę chłodnego, wilgotnego powietrza. Stopy opierała na małym podnóżku. Na gałęzi rosnącego w ogrodzie drzewa wisiał karmnik. Na jego brzegu siedziało kilka małych brązowych ptaków, a reszta czekała w kolejce na podtrzymujących konstrukcję sznurkach. Ruby była drobną, zasuszoną kobietą o małej kościstej twarzy i rękach chudych jak patyczki. Miała rzadkie siwe włosy, lecz wyglądały na świeżo umyte i ułożone.

Zwróciła na nas jasnobłękitne oczy i uśmiechnęła się, pokazując mocno przerzedzone zęby.

Merry przedstawiła mnie i wyjaśniła, w jakiej sprawie przychodzę, po czym zniknęła.

– Musi pani porozmawiać z Charlesem – powiedziała Ruby. – On widział doktora Purcella po tym, jak ja się już z nim pożegnałam.

– Nie wiem, kto to taki.

– To sanitariusz pracujący na nocnej zmianie. Pewnie gdzieś się tu kręci. Lubi przychodzić wcześniej do pracy, żeby odwiedzić panią Thomson i inne dziewczyny. Grają w remika na pieniądze i musi pani koniecznie posłuchać, jak przy tym wrzeszcza. Kiedy nie mogę zasnąć, dzwonię po niego i wozi mnie po holu na wózku. Czasem siadam w pokoju dla personelu i gramy w euchre\*. On uwielbia karty. Jadam posiłki u siebie w pokoju. Nie przepadam za towarzystwem ludzi w jadalni. Jedna kobieta je z otwartymi ustami. Nie chcę na to patrzeć przy stole. To obrzydliwe.

Tej nocy, o którą pani pyta... kiedy ostatni raz widziałam doktora, wzięłam pigułki, ale nie pomogły mi zasnąć. Zadzwoiłam więc po Charlesa. Powiedział, że zabierze mnie na Szaleńczą Jazdę. Tak nazywał nasze wieczorne wypadki. Miał straszną ochotę na papierosa, więc zostawił

mnie w holu i wyszedł na zewnątrz. Dlatego tu siedziałam. Charles próbuje rzucić palenie i jest przekonany, że kiedy pali ukradkiem, to się nie liczy. Doktor Purcell nie pozwala nikomu palić w budynku. Twierdzi, że i tak wiele osób ma kłopoty z oddychaniem. To jedna z rzeczy, o których wtedy rozmawialiśmy.

– Która była godzina?

– Chyba za pięć dziewiąta. Nie rozmawialiśmy długo.

– Czy pamięta pani coś jeszcze?

– Powiedział mi, że jestem piękna. Zawsze mi to powtarza, choć wiem, że żartuje. Zapytałam go też o synka. Zapomniałam, jak ma na imię.

– Griffith.

– Zgadza się. Doktor prosił żonę, żeby przywoziła go tu co tydzień z wizytą. Oczywiście, po jego zniknięciu nie pokazała się ani razu. Nóżki tego dziecka prawie nigdy nie dotykały podłogi.

Nosili go stale na rękach, a kiedy chciał coś dostać, pokazywał tylko rączką i pochrząkiwał.

Powiedziałam doktorowi: „Nigdy nie nauczy się mówić, jeśli będziecie go tak traktować”. Od razu się ze mną zgodził. Rozmawialiśmy też o pogodzie. Był piękny wieczór. Zupełnie jak wiosną i księżyc był niemal w pełni. Potem wyszedł i nigdy więcej już go nie widziałam.

\* Euchre – amerykańska gra karciana (przyp. tłum.).

– Czy może mi pani powiedzieć, w jakim był nastroju? Był zły? Smutny?

Przyłożyła palec wskazujący do policzka i przez chwilę się zastanawiała. Artretyzm wykrzywił jej zupełnie kciuk, który sterczał nienaturalnie i żałośnie.

– Powiedziałabym, że był jakby nieobecny. Musiałam go dwa razy zapytać, czy zorganizuje nam jakieś wyjście. Karmią nas tu całkiem nieźle. Nie chcę narzekać, ale jedzenie na mieście jest takie zabawne. Moglibyśmy się stąd wyrwać na jakiś czas. Każde małe odstępstwo od codziennej rutyny jest bardzo mile widziane.

W drzwiach pojawiła się Latynoska w szpitalnym fartuchu.

– Przyniosłam pani kolację – powiedziała. – Chce pani zjeść przed telewizorem i obejrzyć swój ulubiony program? Zaczyna się za pięć minut i chyba nie chce się pani spóźnić. Początek jest zawsze najlepszy.

Podeszła do krzesła Ruby i postawiła tackę na małym stoliku na kółkach. Zdjęła aluminiową pokrywkę, odsłaniając żeberka z zapowiedzianymi w menu dodatkami. W zielonej galaretkce tonęły kawałki owoców w syropie.

– Dziękuję – powiedziała Ruby i uśmiechnęła się do mnie. – Przyjdzie pani jeszcze do mnie, moja droga? Miło się z panią rozmawiało.

– Postaram się. I wie pani? Następnym razem przyniosę pani wielkiego cheeseburgera.

– I Big Maca. Widziałam w telewizji reklamy. Wygląda bardzo smakowicie.

– To prawda. Może pani na mnie liczyć.

Ruszyłam korytarzem w stronę pokoju dla personelu.

Wsunęłam głowę do środka.

– Szukam Charlesa – rzuciłam.

Mężczyzna siedzący z gazetą przy stole był po pięćdziesiątce. Podobnie jak kobieta roznosząca tace z jedzeniem miał na sobie szpitalny fartuch. Był szczupłym, wąskim w ramionach Mulatem. Odłożył gazetę i wstał z krzesła.

– Charles Biedler – przedstawił się. – W czym mogę pani pomóc?

Wyjaśniłam, kim jestem, i zrelacjonowałam mu moją rozmowę z Ruby Cartsinger.

– Wiem, że odpowiadał już pan na wiele pytań, ale byłabym wdzięczna, gdyby raz jeszcze powiedział mi wszystko, co pamięta.

– Mogę pani pokazać, gdzie doktor zaparkował samochód tego wieczoru i gdzie ja stałem.

– Wspaniale.

Wziął złożoną gazetę i razem ruszyliśmy do wyjścia. Zatrzymałam się, by wziąć parasol i zdjąć z wieszaka pelerynę. Trzymałam ją nad głową, a Charles osłaniał się gazetą przed atakującą nas ostro falą deszczu. Zatrzymał się na końcu podjazdu i wskazał stojące na parkingu samochody.

– Widzi pani tego niebieskiego volkswagena? Tam było miejsce doktora. Widziałem, jak przechodzi przez parking. Wsiadł potem do samochodu i tędy wycofał.

– Nie widział pan nikogo innego?

– Nie, ale o dziewiątej wieczór w tamtej części parkingu jest ciemniej niż teraz. Było dość ciepło. Miałem na sobie koszulkę z krótkimi rękawami, ale nie było mi zimno jak teraz. Jak zawsze, coś do niego krzyknąłem, on mi coś odpowiedział, nic ważnego.

– I nie wydarzyło się nic niezwykłego?

– Nie przypominam sobie.

– Próbuję to sobie wyobrazić. Ruby powiedziała, że przerzucił przez ramię marynarkę. Czy niósł coś jeszcze?

– Raczej nie. A jeśli nawet, to nie pamiętam.

– A kluczyki?

– Musiał trzymać je w ręce. Nie pamiętam, żeby sięgał do kieszeni.

– Otworzył więc drzwiczki i co potem?

– Nic sobie nie przypominam.

– Czy w samochodzie zapaliło się światło?

– Być może. Wsiadł i dopiero po chwili włączył silnik. Skręcił tutaj, żeby móc swobodnie wyjechać przez bramę.

– Zwykle tak robił?

Charles zamrugał oczami i przytaknął.

– Tak.

Jego gazeta zaczęła przemakać. Trzeba było wracać pod daszek.

– Schowajmy się przed tym deszczem.

Wróciliśmy do wejścia i zatrzymaliśmy się chwilę przed drzwiami.

– Czy pamięta pan coś jeszcze? Cokolwiek, nawet jeśli wydaje się to panu mało ważne.

– Nie zawołał „dobranoc”, jak robił to zawsze, gdy mnie mijał. Groził mi też palcem, bo wiedział, że postanowiłem rzucić palenie.

– Czy szyba w samochodzie była opuszczona?

– Nie jestem pewny.

– Nie widział pan w samochodzie nikogo poza doktorem?

Charles potrząsnął głową.

– Na pewno?

– Tak. To wszystko, co wiem.

– Bardzo panu dziękuję. Jeśli przypomni pan sobie cokolwiek, proszę do mnie zadzwonić, dobrze? – Wyjęłam z torby wizytówkę. – Można mnie złapać pod tym numerem. Jeśli muszę wyjść, zawsze włączam automatyczną sekretarkę.

Ruszyłam w stronę parkingu. Po chwili odwróciłam się. Charles nadal tam stał, więc pomachałam mu na pożegnanie.

Przez chwilę siedziałam w samochodzie zaparkowanym w miejscu, gdzie dwunastego września stał mercedes doktora Purcella. Rozejrzałam się wokół. Co mu się mogło przytrafić?

Krople deszczu uderzały o dach samochodu, jakby ktoś stukał palcami o blat stołu. Nikt go nie napadł. Siedział przez jakiś czas w samochodzie... co tam robił? Przekręciłam kluczyk w stacyjce i wyjechałam z parkingu, kierując się podobnie jak Purcell w stronę Dave Levine Street.

Obejrzałam się do tyłu. Charles już zniknął. Podjazd był pusty, a w padającym deszczu oświetlone wejście do ośrodka było lekko zamazane.

Skręciłam w prawo. Przyglądałam się bacznie obu stronom ulicy. Szpital Santa Teresa znajdował się o cztery przecznice stąd. W okolicy było sporo budynków związanych z opieką medyczną, stało też parę bloków i domów jednorodzinnych. I tyle. Żadnych barów czy restauracji, gdzie doktor mógł wpaść na drinka. Dojechałam do następnego skrzyżowania; nie miałam pojęcia, w jakim kierunku pojechał tego feralnego wieczoru.

Wróciłam do biura i o 17:30 wystukiwałam na maszynie kolejną część raportu. Dobrze jest, gdy trzeba ubrać wszystko w słowa i nadać im zwartą formę. Odjęłam od zaliczki kolejne cztery godziny pracy. Pozostało mi do odpracowania jeszcze tysiąc sto dwadzieścia pięć dolarów.

Powoli ogarniał mnie niepokój. Nie zbliżyłam się ani o krok do rozwiązania tajemnicy zaginięcia doktora Purcella. Nie miałam nawet określonego planu i nie wiedziałam, co dalej począć. Co jeszcze mogłam zrobić? Fiona chciała poznać efekty mojej pracy. Niby szłam do przodu, ale cel jakoś nie chciał się przybliżyć. Spojrzałam na zegarek. 18:02. Zerwałam się z miejsca. Już byłam spóźniona. Wrzuciłam raport do torby, żeby się nim później zająć, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Na zalanych deszczem ulicach panował spory ruch. Stojąc na światłach, odwróciłam lusterko wsteczne, by sprawdzić, jak wyglądam. Rzadko się maluję, więc nie zauważyłam żadnej różnicy.

W świetle lamp ulicznych byłam blada, z grzywą brązowych włosów na głowie. W dzinsach i swetrze nie prezentowałam się zbyt atrakcyjnie, ale trudno. Nie miałam czasu, by wpaść do domu i zmienić ubranie. A co niby miałabym włożyć? W szafie nie mam żadnych eleganckich ciuchów.



Zaparkowałam samochód przed domem i przebiegłam truchtem odległość dzielącą mnie od restauracji Rosie. Otworzyłam drzwi, wrzuciłam parasol do stojaka i powiesiłam pelerynę na wieszaku. W piątek wieczorem z powodu brzydkiej pogody restauracja świeciła pustkami, lecz dziś panował straszliwy tłok. Szafa grająca i telewizor ryczały na cały regulator. Przy barze zgromadziła się grupka kibiców z przejęciem oglądająca poniedziałkowy mecz. W powietrzu wisiały kłęby dymu z papierosów, a wszystkie stoliki były zajęte. Z prowadzących do kuchni drzwi wyszedł William z uniesioną nad ramieniem tacą, a Rosie w ekspresowym tempie otwierała butelki z piwem. Rozejrzałam się dookoła, zastanawiając się, czy udało mi się zjawić przed Tommym. Nagle poczułam, że ktoś ciągnie mnie za rękaw. Odwróciłam się i zauważyłam go siedzącego w pierwszym boksie po prawej.

O mój Boże.

Był gładko ogolony i miał na sobie białą koszulę, na którą naciągnął niebieski sweter.

Powiedział coś, lecz nie dosłyszałam jego słów. Pochyliłam się i poczułam zapach aqua velva.

Kiedy odezwał się raz jeszcze, dreszcz przeniknął całe moje ciało aż do stóp.

– Chodźmy stąd. – Wstał i zdjął z krzesła płaszcz przeciwdeszczowy.

Skinęłam głową i zaczęłam przepychać się do wyjścia. Czułam, że idzie za mną, gdyż jedną rękę położył mi na plecach. Gest ten wprowadzał pewną intymność, która powinna wzbudzić mój sprzeciw, ale, niestety, tak się nie stało. Zatrzymaliśmy się przy wejściu, żebym mogła wziąć parasol i pelerynę. Tommy włożył płaszcz i podniósł kołnierz.

– Dokąd pójdziemy? – spytał.

– Niedaleko stąd, przy plaży, jest mała knajpka. Możemy tam pójść piechotą.

Jego parasol był większy, więc rozłożył go i trzymał nad moją głową, gdy wyszliśmy w ulewny deszcz. Położyłam dłoń na rączce zaledwie o milimetry od jego palców. Ruszyliśmy niepewnym krokiem, jak dzieje się zawsze, gdy dwie osoby idą pod jednym parasolem. Lało jak z cebra, a przez materiał parasola spadała na nas delikatna mgiełka. Obok przejechał samochód, rozchlapując zalewającą ulicę wodę.

Tommy zatrzymał się.

– To szaleństwo. Tu stoi mój samochód. – Wyjął z kieszeni kluczyki i otworzył drzwiczki nowiutkiego czerwonego porsche z rejestracją HEYNER 2. Wsunęłam się do środka, co nie było wcale łatwe, zważywszy na to, że samochód był bardzo niski, a wzdłuż krawężnika płynęły strumienie wody. Tommy zatrasnął drzwiczki od strony pasażera i obszedł samochód. Wnętrze wyłożono skórą w kolorze karmelu. Pachniało wielkimi pieniędzmi jak w pokoju z uprzężą w stajniach milionerów.

– Gdzie twoja furgonetka? – spytałam.

– To samochód do pracy. Ten jest dla przyjemności. Pięknie wyglądasz. Stęskniłem się za tobą.

Podczas krótkiej jazdy do restauracji rozmawialiśmy o błahostkach. Tommy wysadził mnie przy samych drzwiach. Weszłam do środka i zamówiłam stół, podczas gdy on szukał miejsca do zaparkowania. Po chwili siedzieliśmy przy dwuosobowym stoliku koło okna w wąskiej bocznej sali. W powietrzu unosił się zapach smażonego czosnku, cebuli, pieczonych kurczaków i marynaty. Panowała bardzo intymna atmosfera, bo z powodu ulewy tylko połowa stolików była zajęta. Rozlegał się szmer przyciszonych rozmów i szcęk sztućców. W mroku migotały płomyczki świec. Kelner przyniósł nam dwie karty i po krótkiej konsultacji Tommy zamówił

butelkę kalifornijskiego chardonnay. Czekając na realizację zamówienia, bawił się widelcem, suwając nim po papierowej serwetce. Na ręce miał zegarek z białego złota i złotą bransoletkę z wygrawerowaną grupą krwi. Ciężkie zapięcia lśniły na jego opalanej skórze.

– Przeczytałem twój kwestionariusz. Jesteś rozwiedziona.

Podniosłam dwa palce.

– Ja nigdy nie byłam żonaty – powiedział. – Jestem zbyt niezależny.

– Jakoś zawsze podobam się facetom, którzy nigdzie nie mogą zagrzać miejsca.

– Może cię zaskoczę, kto wie. Masz jakąś rodzinę?

– Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy miałam pięć lat. Wychowywała mnie siostra mamy, Gin. Ona też już nie żyje.

– Nie masz rodzeństwa?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– A twoi mężowie? Kim byli?

– Pierwszy był gliną. Poznałam go na stażu.

– Ty też pracowałaś w policji?

– Przez dwa lata.

– A drugi?

– Był muzykiem. Bardzo utalentowanym. Dochowanie wierności przychodziło mu z trudem, ale poza tym był bardzo miły. Gotował i grał na pianinie.

– Talenty godne podziwu. Gdzie jest teraz?

– Nie mam pojęcia. Wspominałeś, że twoi rodzice nie żyją.

- To dziwne uczucie, kiedy zostajesz sierotą w dorosłym wieku, ale nie jest aż tak źle. Czym się zajmował twój ojciec?
- Był listonoszem. Rodzice byli małżeństwem od piętnastu lat, gdy pojawiłam się na świecie.
- Byliście więc razem tylko przez pięć lat.
- Tak. Wiesz, nigdy się nad tym nie zastanawiałam.
- Biedna mała.
- Wszyscy jesteśmy biedni. Takie jest życie – ucięłam.

Do stolika podszedł kelner z chardonnay i obserwowaliśmy, jak zgodnie z przyjętym rytuałem otwiera butelkę i nalewa odrobinę wina do spróbowania. Po chwili napelnił dwa kieliszki. Nie zdążyliśmy nawet spojrzeć na menu, więc poświęciliśmy parę minut na podjęcie decyzji. W końcu zamówiłam piezzonego kurczaka, a Tommy *pasta puttanesca*. Postanowiliśmy jednak zacząć od sałatki. Gdy zjawiała się na stole, Tommy powiedział:

- Opowiedz mi o swoim chłopaku. Jak się wam układa?

Opuściłam widelec i nagle zapragnęłam bronić Dietza.

- Dlaczego miałabym ci o nim opowiadać?
- Nie bądź taka drażliwa. Chciałbym wiedzieć, do czego zmierzamy.
- Do niczego. Jemy tylko kolację.
- Chyba zanoszą się na coś więcej.
- Naprawdę? A na co?
- Nie mam pojęcia. Dlatego pytam.
- Mamy określić, co nas łączy? Znam cię zaledwie od godziny.

Na jego ustach pojawił się uśmiech. Moja obcesowość, nad którą nie potrafiłam zapanować, jakoś nie robiła na nim wrażenia.

- Raczej od dwóch. Spotkałem cię w biurze dwa razy, a teraz to. – Wypił wino i napelnił

swój kieliszek ponownie, najpierw jednak dolał wina do mojego. Jego oczy były niesamowicie zielone.

- No cóż, na pewno nie znam cię wystarczająco długo. Poza tym jesteś za młody.

Uniósł brwi, a ja poczułam, że się rumienię.

– Dlaczego postanowiliście zamieszkać w Santa Teresa? – spytałam.

– Zmieniasz temat.

– Nie lubię, gdy ktoś mnie naciska.

– Porozmawiajmy o seksie. Powiedz mi, co lubisz w łóżku, na wypadek, gdybyśmy mieli kiedyś tam się znaleźć.

Roześmiałam się.

– Porozmawiajmy o szkole średniej. Ja mojej nie znosiłam. A ty?

– Było nieźle. I zabawnie. Przez dwa lata z rzędu byłem dowódcą drużyny obrony cywilnej.

Zaliczyłem cztery różne college, ale żadnego nie skończyłem. Może jeszcze kiedyś spróbuję.

Chciałbym mieć dyplom.

– Ja mam za sobą dwa semestry, ale bardzo mi się tam nie podobało. Potem chodziłam na kurs hiszpańskiego dla dorosłych, ale pamiętam tylko *ole* i *buenos dias*.

– Umiesz gotować?

– Nie, ale jestem bardzo pedantyczna.

– Ja też. Mój brat to prawdziwe prosię. Na pierwszy rzut oka nigdy byś go o to nie posądziła.

Lubi się dobrze ubrać, ale w samochodzie ma chlew.

– Ja wożę na tylnym siedzeniu puszki oleju silnikowego.

– To część twojej pracy – podsumował wspaniałomyślnie.

Rozmawialiśmy dalej w tym tonie i stwierdziłam, że podoba mi się jego twarz. Nie mogłam też powiedzieć, by jego ciało nie wywarło na mnie sporego wrażenia; był szczupły i pięknie umięśniony. Ciekawe, co porabia dziś wieczorem Dietz. Nie znajdował się nigdzie w pobliżu, więc co za różnica? Podoba mi się bardzo niewielu mężczyzn, ale nie dlatego, że jestem wybredna. Próbuję się chronić, co oznacza, że odrzucani ich w przedbiegach z wyjątkiem tych...

jakich? Nie wiedziałam, co sprawia, że w towarzystwie niektórych mężczyzn decyduję się wyłączyć mechanizmy obronne. Chyba chemia. Skoncentrowałam się na kurczaku i spróbowałam tłuczonych ziemniaków, które uwielbiam i stawiani na równi z masłem orzechowym.

Tommy dotknął mojej dłoni.

– Dokąd mi umknęłaś?

Podniosłam wzrok i spojrzałam prosto w jego zielone oczy. Wysupłałam palce z jego uścisku.

– Czy to randka?

– Tak.

– Ja nie chodzę na randki.

– To widać.

– Mówię poważnie – odparłam. – Nie jestem dobra w te klocki.

– Musisz być. Dwa razy wyszłaś za męża, a teraz masz chłopaka.

– Po drodze miałam jeszcze paru. To nie znaczy, że dobrze sobie z tym wszystkim radzę.

– Moim zdaniem całkiem nieźle. Podobasz mi się. Nie musisz się zgrywać. No, rozchmurz się.

– Dobra – rzuciłam pokornie.

Kiedy o dziewiątej wyszliśmy z restauracji, na ulicach było jeszcze mokro, choć deszcz już nie padał. Dostrzegłam porsche Tommy'ego zaparkowane po drugiej stronie ulicy. Na placu zabaw dla dzieci było ciemno, a zacumowane w porcie łodzie rozjaśniały mrok kropeczkami świateł. Czekałam, aż Tommy otworzy drzwiczki.

– Chciałbym ci coś pokazać – powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Jest jeszcze wcześniej. Dobrze?

Ruszył z miejsca i zawrócił na Cabana Boulevard. Skierowaliśmy się na zachód, mijając z lewej strony port jachtowy i Santa Teresa City College z prawej. Wjechaliśmy na wzgórze i skręciliśmy w lewo na najbliższym skrzyżowaniu. Nie musiał mi mówić, że zmierzamy do Horton Ravine. Uśmiechnął się.

– Chcę ci pokazać nasz dom.

– A co z Richardem? Nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Pojechał na pokera do Bell Garden.

– A jeśli przegra i wróci wcześniej do domu?

– Na pewno nie wróci przed świtem.

Przemknęliśmy obok filarów stojących przy wjeździe do Horton Ravine. Droga była szeroka i ciemna. Brak ogrodzeń przy wielu posesjach stwarzał wrażenie, że jedziemy przez wieś, mijając pastwiska, stajnie i światła domów migające wśród drzew. Tommy wybrał mocno okrężną drogę.

Podejrzałam, że chce zademonstrować drzemiące w porsche możliwości. Po chwili skręcił w prawo i wjechał na półokrągły podjazd. Spojrzałam przelotnie na potężną budowlę o białych ścianach i czerwonym dachu. Wszystkie podcienia i balkony zalewał blask zainstalowanych na zewnątrz lamp. Tommy otworzył pilotem bramę garażu i wjechaliśmy do wielkiego surowego wnętrza, pachnącego jeszcze świeżą farbą. W garażu, który mógł pomieścić cztery samochody, trzy miejsca były puste. Doszłam do wniosku, że Richard jeździ sportowym samochodem równie imponującym jak porsche brata. Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam. Tommy szukał w kieszeni kluczy. W garażu nie było żadnych półek, narzędzi ani rupieci. Nigdzie nie widać też było ogrodowych mebli ani kartonowych pudeł z napisem „Boże Narodzenie”. Tommy otworzył

drzwi i weszliśmy do kuchni. Na centralce alarmu nie migotało żadne światełko. Po lewej stronie znajdowała się mała łazienka i słuźbówka, a po prawej pralnia. Na blatach w kuchni spostrzegłam całe stosy przysyłanych pocztą ulotek i katalogów. Osobno leżały instrukcje obsługi automatycznej sekretarki, kuchenki mikrofalowej i elektrycznego piekarnika, który najwyraźniej nigdy jeszcze nie był używany. Podłogę wyłożono czerwoną meksykańską terakotą, wypolerowaną na błysk. Tommy rzucił klucze na lśniący biały blat.

– I co o tym myślisz?

– Żadnego alarmu? To dziwne w takim domu jak ten.

– Mówisz jak glina. Zainstalowaliśmy alarm, ale nigdy go nie włączamy. Kiedy się tu sprowadziliśmy, Richard tak często uruchamiał go przez przypadek, że firma zaczęła nam liczyć pięćdziesiąt dolców od każdego fałszywego wezwania, a policja nie chciała już przyjeżdżać.

Stwierdziliśmy, że gra niewarta świeczki.

– Miejmy nadzieję, że włamywacze o tym nie wiedzą.

– Jesteśmy ubezpieczeni. Chodź, za dziesięć centów masz niepowtarzalną okazję zwiedzić dom.

Oprowadził mnie, zatrzymując się tu i ówdzie, by opowiedzieć o planach wystroju wewnątrz.

Na parterze podłogi z szerokich dębowych desek ciągnęły się przez salon, jadalnię, pokój dzienny, wyłożony boazerią gabinet i dwa pokoje dla gości. Na piętrze podłogi pokrywała w całości gruba wełniana wykładzina w kolorze kawy z mlekiem. Znajdowały się tam dwie duże sypialnie, pokój do ćwiczeń i dość miejsca w szafach dla dziesięcioosobowej rodziny. Całość przypominała wzorcowy, idealny dom pokazywany na targach budownictwa. Wiele pokoi było pustych, a te, w których ustawiono parę sztuk mebli, mimo wszystko też sprawiały takie wrażenie. Nigdzie nie było widać żadnych drobiazgów, pamiątek ani zdjęć. Uświadomiłam sobie, że Tommy, podobnie jak ja, lubi podróżować przez życie bez zbędnego bagażu – żadnych dzieci, zwierzaków i roślin w doniczkach. Pokój dzienny to przede wszystkim bogato wyposażony bar, mnóstwo czarnej skóry i ogromny telewizor do oglądania transmisji z rozgrywek sportowych.

Nie zauważyłam nigdzie żadnych dzieł sztuki ani książek, ale może nie zdążyli ich jeszcze rozpakować.

W sypialniach zrozumiałam, że kupili gotowe wyposażenie w salonie meblowym. Wszystkie meble doskonale do siebie pasowały. W pokoju Tommy'ego królowało jasne drewno w nowoczesnym stylu. U Richarda łóżko, komoda, szafa i dwa stoliki przy łóżku wykonano z ciężkiego, ciemnego drewna, a całość z uchwytyami z ciężkiego metalu kojarzyła się hiszpańskimi hacjendami. Wszystko było nieskazitelnie czyste. Na pewno co tydzień zjawiała się tu co najmniej trzyosobowa ekipa sprzątająca.

Obeszliśmy cały dom i wróciliśmy do kuchni. Oboje doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że upłynęło sporo czasu. Pomimo wcześniejszych zapewnień Tommy podobnie jak ja obawiał się, że Richard może się tu zjawić w każdej chwili. Miał co prawda wrócić dopiero za parę godzin, ale czułam jego obecność niemal w każdym pokoju. Tommy nie wspomniał ani słowem o lodowatym zachowaniu brata, a ja nie chciałam drażnić tematu. Byłam pewna, że ich wzajemny chłód nie ma ze mną nic wspólnego.

– Masz ochotę na drinka? – zapytał Tommy, wykazując się niezwykłą odwagą.

– Nie, dziękuję. Mam jeszcze sporo pracy. Dzięki za zwiedzanie. Dom jest naprawdę piękny.

– Trzeba jeszcze włożyć trochę pracy, ale podoba nam się tutaj. Musisz obejrzeć wszystko za dnia. Okolica jest przepiękna. – Spojrzał na zegarek. – Teraz lepiej odwiozę cię do domu.

Wzięłam torbę i ruszyłam za nim. Poczekaliśmy w samochodzie, aż zamknął dom. W

pachnącym skórą wnętrzu porsche uświadomiłam sobie, że coś się między nami zmieniło.

Rozmawialiśmy po drodze, ale ja robiłam to tylko po to, by ukryć, jak bardzo mi się podoba.

Tommy znalazł miejsce do zaparkowania niedaleko Rosie, kawałek od mojego domu. Kiedy wysiadałam z samochodu, podał mi rękę, a ja próbowałam wysunąć się ze środka z jak największym wdziękiem. Sportowe samochody powinny zdecydowanie być wyposażone w urządzenia do katapultowania.

Z restauracji Rosie dochodził nieco już przyciszony szum rozmów, ale i tak uderzył mnie kontrast między tym miejscem a cichą knajpką, w której jedliśmy kolację. Z pobliskich drzew spadały uwięzione w liściach krople deszczu, a płynąca wzdłuż krawężników woda szumiała niczym miejski potok. Staliśmy tak przez chwilę, nie wiedząc, jak się pożegnać. Tommy wyciągnął rękę i poprawił metalową klamerkę na przedzie mojej peleryny.

– Nie chcę, żebyś przemokła. Czy mogę cię odprowadzić?

– Mieszkam tuż obok. Dom nawet stąd widać.

Uśmiechnął się.

– Wiem. Znalazłem adres w twoim kwestionariuszu i sprawdziłem to wcześniej. Wygląda sympatycznie.

– Wścibski jesteś.

– Tylko jeśli chodzi o ciebie – odparł.

Uśmiechnął się raz jeszcze, a ja musiałam odwrócić wzrok. Powiedzieliśmy chórem „No cóż” i wybuchnęliśmy śmiechem. Zrobiłam parę kroków do tyłu i patrzyłam, jak otwiera drzwiczki samochodu i sadowi się za kierownicą. Po chwili zamruczał silnik. Rozbłyły reflektory i Tommy ruszył z piskiem opon. Odwróciłam się i poszłam w stronę domu, gdy szum samochodu rozplynął się gdzieś na końcu ulicy. Muszę wyznać, że moja bielizna zrobiła się nagle ciepła i lekko wilgotna.



Wtorkowy poranek wstał we mgle i wilgoci. Swoją codzienną porcję joggingu odbyłam w tak szybkim tempie, że wróciłam do domu cała spocona. Po śniadaniu przez jakiś czas pracowałam w domu, kończąc przeznaczony dla Fiony raport. Może potraktuje te starannie wystukane na maszynie strony jako dowód postępu w moich poszukiwaniach. Czułam jednak, że mogę ponieść w tej sprawie porażkę i byłam przerażona. Oczekiwałam powrotu Fiony z takim samym entuzjazmem, z jakim w dzieciństwie czekałam na zbliżający się nieuchronnie zastrzyk.

Wyszłam z domu o 9:35. Na chwilę przestało padać i między szarymi chmurami na niebie pojawiły się plamy błękitu. Trawa była szmaragdowozielona, a liście na drzewach lśniły od wilgoci. Na dziesiątą umówiłam się z najlepszym przyjacielem Dowa Purcella, Jacobem Triggim. Przystudiowałam plan miasta i znalazłam jego adres w samym sercu Horton Ravine.

Skierowałam się na wschód Cabana Boulevard i wjechałam na wzgórze. Skręciłam w Promontory Drive i znalazłam się na drodze prowadzącej wzdłuż plaży. Raz jeszcze skręciłam w lewo i od tyłu wjechałam w Horton Ravine. Nagle pomyślałam o Tommym i zrobiło mi się głupio, gdy poczułam, jak na usta wypływa mi szeroki uśmiech.

Mniej więcej po dwóch kilometrach znalazłam ulicę, której szukałam. Skręciłam w prawo w labirynt krętych uliczek i wjechałam na wzgórze. Wszędzie płynęła woda, która zalewała wysypane żwirem podjazdy. Rosnące płytko drzewo przewróciło się, wyrwijąc z ziemi bruzdę kształtu półksiężyca. Mimo gęstej zabudowy wyglądało na to, że Matka Natura pragnie odzyskać to, co się jej prawnie należy.

Spojrzałam przez szybę od strony pasażera, odczytując nazwiska umieszczone na skrzynkach pocztowych. Wreszcie znalazłam dom o numerze, który podał mi Jacob Trigg. Wielka żelazna brama stała otworem, wjechałam więc w długą krętą alejkę biegnącą wzdłuż kamiennego muru.

Na końcu biegnącego w górę podjazdu nagle zrobiło się płasko. Dwupiętrowy dom wzniesiono we włoskim stylu. Był elegancki i prosty, z symetrycznymi oknami i małą, otoczoną balustradą werandą od frontu. Teren dookoła był bardzo starannie utrzymany.

Zaparkowałam samochód i wysiadłam. Wszystkie okna na parterze były nieprzyjemnie ciemne. Przy drzwiach wejściowych nie było dzwonka i nikt nie odpowiedział na moje wielokrotne pukanie. Obeszłam dom, szukając zapalonych świateł lub jakiegoś innego śladu mieszkańców. Wszędzie panowała cisza, przerywana od czasu do czasu szumem kropel spadających z rynien. Czy Trigg mnie wystawił? Rozejrzałam się. Po obu stronach domu rozciągał się elegancki ogród, ale nigdzie nie widziałam ani śladu ogrodnika. Prawdopodobnie było zbyt mokro na jakiegokolwiek prace.

Ruszyłam spadzistym trawnikiem w nadziei, że znajdę kogoś, kto mi powie, czy Trigg jest w domu. Przez następny kwadrans snułam się po posiadłości, następując od czasu do czasu na nasiąkniętą wilgocią kępki trawy. Na końcu rzędu ozdobnych grusz dostrzegłam cieplarnię, do której przylegała niewielka szopa. W pobliżu zaparkowano elektryczny wózek golfowy.

Ruszyłam naprzód świadoma, że podeszwy moich butów toną w błocie.

W środku zauważyłam mężczyznę pracującego przy wysokiej ladzie. Pomimo chłodu miał

na sobie szorty w kolorze khaki i zabłocone sportowe buty. Na obu niemal pozbawionych mięśni nogach miał szyny spięte przy kolanach potężnymi śrubami. Obok oparte o ladę stały kule.

Mężczyzna nosił na głowie czapkę z daszkiem, która przykrywała siwiejące włosy. Na ladzie przed nim stało pięć usychających roślin w doniczkach.

Nie chcąc wchodzić do środka bez pozwolenia zatrzymałam się w progu. Drzwi na tyłach szopy prowadziły do cieplarni. Większość bocznych, przeszklonych ścian pomalowano na biało, lecz gdzieś tam pozostawiono czyste miejsca, by do środka wpadało więcej światła. W

pomieszczeniu było ciepło, a w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi i mchu.

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam pana Trigga.

Mężczyzna nie podniósł wzroku.

– To ja. Czym mogę pani służyć?

– Jestem Kinsey Millhone.

Odwrócił się i spojrzał na mnie przelotnie, marszcząc krzaczaste, czarnoszare brwi.

Domyśliłam się, że musi być po sześćdziesiątce. Miał siwiejące wąsy, czerwony nos i mocno umięśnioną klatkę piersiową, która przechodziła w pokaźnych rozmiarów brzusek.

– Miałam nadzieję, że odpowie mi pan na kilka pytań związanych z zaginięciem doktora Purcella – przypominałam.

– Och, bardzo panią przepraszam – rzucił z uśmiechem. – Zapomniałem zupełnie o pani wizycie. Czekałbym przecież w domu.

– Powinnam była zadzwonić i przypomnieć się. Jestem bardzo wdzięczna, że zechciał mi pan poświęcić trochę czasu.

– Mam nadzieję, że choć trochę pani pomogę – powiedział. – Wszyscy mówią do mnie

„Trigg”, więc może sobie pani darować tego „pana”. Jakoś to do mnie nie pasuje. – Oparł się o ladę i zamieszał płyn w jednym ze stojących przed nim wiader. Sięgnął po miniaturową różę oplecioną pajęczyną. Ujął ją od dołu, odwrócił do góry nogami i zanurzył w wiaderku. – Jestem zaskoczony, że mnie tu znalazłaś. Mieszkam z córką, ale dziś rano wyszła z domu.

– Trochę sobie pospacerowałam. Cieszę się, że nie trzymasz sfory psów obronnych.

– Zamknąłem je na chwilę – odparł bez zastanowienia.

Miałam nadzieję, że jest to tylko przykład jego specyficznego poczucia humoru. Trudno to było ocenić, gdyż ton jego głosu i wyraz twarzy nie uległy zmianie.

– Gdybyś się zastanawiała, czym się zajmuję, wyjaśniam od razu, że jestem ogrodnikiem.

Moja córka ma firmę, która opiekuje się roślinami mieszkańców Horton Ravine. Współpracuje też z hotelami – Edgewater, Montebello Inn i tak dalej. Jej działka to rośliny doniczkowe. Do układania wielkich kompozycji z kwiatów ciętych wynajmują specjalistów. Córka przywozi do mnie chore rośliny i ja opiekuję się nimi, aż wróca do zdrowia. – Przeniósł ociekający płynem różany krzaczek i zanurzył go w czystej wodzie. Po chwili wyciągnął roślinkę, otrzepał i przyjrzał się Jej dokładnie. – Ten mały cierpi z powodu ataku maleńkich pajęczków. Są mikroskopijnych rozmiarów, a spójrz tylko, jakie szkody potrafią wyrządzić. Ten krzaczek miał

kiedyś bujne liście, a teraz zostały tylko suche patyki. Zatrzymam go na jakiś czas. Korzenie też wyglądają na przegniłe. Ludzie leją za dużo wody, starając się bardzo między kolejnymi wizytami Susan. A ty masz dobrą rękę do roślin?

– Nie za bardzo. Miałam kiedyś dużą paproć, ale musiałam ją wyrzucić.

– Paskudnie śmierdzi – powiedział, potrząsając głową. Odstawił różę na bok i sięgnął po roślinę w doniczce z terakoty. Patrzyłam, jak zmywa gąbką szary nalot z liści. – To pleśń –

rzucił, jakby odpowiadając na moje niezadane pytanie. – Często wystarczy woda z mydłem. Nie mam nic przeciwko środkom chemicznym, ale w walce z czymś takim lubię najpierw spróbować tradycyjnych metod. Nieźle sprawdza się też bezwodnik maleinowy albo siarczek nikotyny.

Chyba jestem w tych sprawach bardzo konserwatywny. Susan często się ze mną nie zgadza, ale nie może nie dostrzegać moich małych zwycięstw.

– Rozumiem, że jesteś starym przyjacielem doktora Purcella?

– Znamy się od ponad dwudziestu lat. Byłem kiedyś jego pacjentem, a on moim świadkiem w procesie po wypadku samochodowym.

– Zanim jeszcze zajął się geriatrią?

– Oczywiście – odpadł.

– A czym ty się zajmowałeś? – spytałam z uśmiechem.

– Sprzedawałem lekarstwa. Działałem w trzech okręgach. Odwiedzałem lekarzy prowadzących prywatną praktykę. Poznałem Dowa, gdy miał jeszcze swój gabinet niedaleko szpitala St. Terry.

– Musiałeś sobie świetnie radzić. Posiadłość jest naprawdę przepiękna.

– Bo takie też było odszkodowanie. Trudno je jednak uznać za stosowne zadośćuczynienie.

Dużo kiedyś biegałem i grałem w tenisa. Niestety, nie zwracamy uwagi na swoje ciało, dopóki nas nie zawiedzie. To było straszne, ale i tak miałem więcej szczęścia niż inni. – Urwał i spojrzał

na mnie uważnie. – Wnioskuje, że rozmawiałaś już z Crystal. Zadzwoń do mnie i powiedz, że będziesz się chciała ze mną spotkać. Jak się sprawy mają?

– Nie najlepiej. Rozmawiałam z wieloma osobami, ale udało mi się zebrać tylko garść teorii.

A mnie potrzebne są niezbite fakty.

Ściągnął gęste brwi.

– Podejrzewam, że jeszcze bardziej wszystko zamieszam. Wiele o nim myślałem, raz jeszcze wracałem pamięcią do niedawnych wydarzeń. Policja przesłuchiwała mnie zaraz w pierwszym tygodniu po zaginięciu Dowa i byłem tym równie zaskoczony jak wszyscy inni.

– Jak często się widywaliście?

– Raz czy dwa razy w tygodniu. Wpadał rano na kawę po drodze do Pacific Meadows.

Wiem, wiem, wy dziewczyny jesteście przekonane, że mężczyźni nigdy nie rozmawiają o swoich osobistych problemach... tylko o sporcie, samochodach i polityce. My z Dowem byliśmy inni, może dlatego, że miał okazję przejść razem ze mną przez wielki ból i cierpienie. I to bez słowa skargi. Był raczej małomówny i zamknięty w sobie i cenił podobne cechy u innych. Był tylko osiem lat starszy ode mnie, ale traktowałem go jak ojca. Czuję, że mogę mu powiedzieć o wszystkim. Darzyliśmy się zaufaniem i po pewnym czasie on też zaczął mi się zwierzać.

– Ludzie go podziwiali.

– Mieli ku temu wszelkie podstawy. Dow jest bardzo dobrym człowiekiem... albo był. Nie bardzo wiem, w jakim czasie powinniśmy o nim mówić. Mam nadzieję, że nadal w teraźniejszym, ale to się z czasem okaże. Crystal powiedziała mi, że to Fiona postanowiła skorzystać z twoich usług.

– Tak. Wyjechała w interesach do San Francisco, ale wraca dziś po południu. Rozmawiam z kim się tylko da i zbieram informacje w nadziei, że uda mi się ją przekonać, że nie wyrzuciła pieniędzy w błoto.

– Nie przejmowałbym się tym aż tak bardzo. Trudno ją zadowolić – powiedział. – Kto jeszcze oprócz mnie znalazł się na twojej liście?

– Rozmawiałam z jednym z jego wspólników...

– Z którym?

– Z Joelem Glazierem. Nie spotkałam się jeszcze z Harveyem Broadusem. Rozmawiałam też z pracownikami kliniki i z jego córką Blanche. Z Melanie jeszcze nie.

Na dźwięk tego imienia uniósł brwi, ale powstrzymał się od komentarza.

– A co z Lloydem Muscoe, byłym mężem Crystal? Spotkałaś się z nim?

– Nie zamierzałam, ale mogę to zrobić. Widziałam go u Crystal w piątkowe popołudnie, gdy przyjechał po Leilę. Jaką rolę tu odgrywa?

– Może mało ważną, ale kto wie. Jakies cztery miesiące temu Dow wspominał, że spotkał się z Lloydem. Doszedłem do wniosku, że ma to coś wspólnego z Leilą, ale może niekoniecznie.

Leila przez krótki czas mieszkała z Lloydem. Opowiadała wszystkim naokoło, że jest już wystarczająco dorosła, by sama podejmować decyzje. Crystal miała już dość kłótni, więc Leila przeniosła się do Lloyd'a. Zaczęła właśnie ósmą klasę. Nie było jej w domu tylko dwa miesiące, a sprawy wymknęły się zupełnie spod kontroli. Zaczęła łapać złe stopnie, chodziła na wagary, pojawił się alkohol i narkotyki. Dow postanowił wziąć sprawy we własne ręce i tak Leila trafiła do Fitch Academy. Teraz kontrolują każdy jej ruch, a ona oczywiście obwinia o wszystko Dowa.

Widzi w nim tyrana, a za takowego uważa każdego, kto nie pozwala jej robić tego, na co ma ochotę.

– Na Lloyd'a też jest wściekła. Kiedy odwiedziłam Crystal, nie chciała się z nim widzieć, ale Crystal w końcu postawiła na swoim.

– Nie wątpię, że się na niego wścieka. Uważa, że powinien ją stamtąd zabrać. Oczywiście Leila sobie nie ma nic do zarzucenia. W jej wieku zawsze szuka się winy u innych.

– A co się stało, gdy Dow pojechał do Lloyd'a? Pokłócili się?

– Nie znam szczegółów, ale nawet gdyby Lloyd chciał mu wyrządzić krzywdę, bałby się, że sprawa szybko wyjdzie na jaw. Jest na to za sprytny.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam starą kopertę, żeby móc coś zapisać.

– Czy mógłbyś mi podać jego adres?

– Nie znam go na pamięć. Ale mogę ci powiedzieć, gdzie to jest. To duży dom z żółtymi okiennicami. Stoi na rogu Missile i Olivio. Lloyd wynajmuje małe studio na tyłach.

– Chyba znam to miejsce – odparłam. – Domyślam się, że stosunki między Lloydem i Crystal układają się poprawnie.

– Mniej więcej. Ona nadal gotowa jest czołgać się u jego stóp. Zawsze była pod jego wielkim wpływem.

– Jak to?

– Żyli z jej zarobków, gdy pracowała jako striptizerka w Las Vegas. To był jeden z tych ognistych związków, pełen alkoholu i kłótni. Kończyło się na tym, że jedno lub drugie wzywało policję. Byli

gotowi się pozabijać. Dzięki Crystal Lloyd trafiał do aresztu, lecz ona potem szybko zmieniała zdanie i odmawiała złożenia oficjalnej skargi. On oskarżał ją o napaść i pobicie, a potem szybko dawali sobie buzi i godzili się. Historia stara jak świat. Kiedy poznała Dowa, rzuciła to wszystko i przeniosła się z córką do Santa Teresa. Potraktowała go chyba jako bilet do lepszego życia, bo tak w istocie było. Problem polegał na tym, że Lloyd przyjechał za nią i wpadł

w szal. Nie mógł uwierzyć, że go rzuciła, po tym wszystkim, przez co razem przeszli. Jednak chyba bardziej chodziło mu o to, że stracił nad nią kontrolę.

– Skąd o tym wiesz?

– Od Dowa. Martwił się chyba, że Lloyd znajdzie jakiś sposób, by odzyskać utraconą władzę nad Crystal. Ona sprawia wrażenie silnej kobiety, ale kiedy w grę wchodzi Lloyd, zaczyna odczuwać wyrzuty sumienia. On z kolei twierdzi, że jest mu coś winna za to, że wywróciła jego życie do góry nogami.

– Ma jakąś pracę?

– Jeśli tak, to nierzucającą się w oczy. Przez pewien czas pracował w firmie budowlanej, ale twierdzi, że nadwerżył sobie plecy. Będzie żył z odszkodowania, dopóki źródło nie wyschnie.

To jego sposób na życie. Po co się przemęczać, jeśli można się bez tego nieźle w życiu ustawić.

– Ale Crystal uwolniła się już chyba spod jego wpływu?

– Kobieta taka jak ona nigdy nie uwolni się spod wpływu mężczyzny.

Wsunęłam kopertę do torby, zastanawiając się nad innym godnym uwagi tematem.

– A książka Dowa? To jeden z powodów, dla których Crystal twierdzi, że coś mu się stało.

Jej zdaniem nie mógłby tak po prostu wyjechać: po pierwsze z powodu Griffitha, a po drugie z powodu książki, nad którą pracował.

Przez twarz Trigga przemknął grymas bólu.

– Wyjaśnijmy jedno: Dow był bardzo przejęty tym projektem, ale okazał się on o wiele trudniejszy, niż myślał. I chyba coraz bardziej się do niego zniechęcał. Martwił się też Fioną.

Żądała od niego coraz więcej pieniędzy. Była przekonana, że do niej wróci, wiedział o tym doskonale i to nie dawało mu spokoju. Dlatego tam się wybierał.

– Co masz na myśli, mówiąc „tam”?

– Zamierzał spotkać się z Fioną, żeby wszystko raz na zawsze wyjaśnić.

– Tego wieczoru, gdy zniknął?

– Tak mi powiedział. W ten piątek zjedliśmy razem śniadanie. Mówił, że Fiona koniecznie chce się z nim spotkać. Ona zawsze stawiała mu jakieś żądania. Wybacz, że tak to ujmę, ale ta baba potrafi dać nieźle w dupę. Raz jeszcze powiedziałem mu to, co powtarzałem do znudzenia: ona nie odpuści, dopóki nie wyrwie mu wszystkiego. Nie mogła go powstrzymać, gdy odchodził, ale na pewno każe mu za to drogo zapłacić.

– Jakim cudem mogła dojść do przekonania, że Dow opuści Crystal i wróci do niej?

– Powiedział mi, że wszystko sobie ułożyła i wytłumaczyła. Twierdziła, że tylko ona potrafi go zrozumieć i być z nim na dobre i na złe. Rozumiem, że w tym wypadku chodziło przede wszystkim o „na złe”.

– Słyszałam od Fiony, że Dow już wcześniej dwa razy zniknął z domu. Wiesz, dokąd jeździł?

– Do kliniki odwykowej. Wspomniał, że był na „farmie osuszającej”.

– Alkohol?

– Tak. Nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Bał się, że pacjenci stracą do niego zaufanie, gdy się dowiedzą, że nie potrafi zapanować nad nałogiem.

– Słyszałam od paru osób, że znów zaczął popijać.

– To prawdopodobnie sprawka Fiony. Ona z każdego byłaby w stanie zrobić alkoholika.

– Czy także i tym razem nie mógł się zaszyć w jakiejś klinice?

– Mam taką nadzieję. Ale przecież dałby już komuś znać. Minęło tyle czasu.

– Fiona twierdzi, że wtedy też nikomu nie powiedział ani słowa.

– To nie do końca prawda. Mnie powiedział.

– A co wiesz o tym zamieszaniu w Pacific Meadows?

Trigg potrząsnął głową.

– Niewiele. Wiem, że sprawy nie miały się najlepiej. Poradziłem mu, żeby wynajął

adwokata, ale on odparł, że jeszcze na to za wcześnie. Coś podejrzewał, ale chciał to najpierw sam sprawdzić.

– Podobno bał się, że Crystal go opuści, gdy sprawa stanie się głośna. – Trigg wrzucił gąbkę do wiaderka. – Może Fiona właśnie na to liczyła – podsumował.

Do biura wróciłam o 11:25. Znalazłam tam Jennifer pochyloną nad szufladą. Miała na sobie spódniczkę tak krótką, że można było bez trudu podziwiać zarys jej pośladków. Jej długie nogi były

pięknie opalone dzięki wolnym dniom spędzonym na plaży w towarzystwie przyjaciół.

– Jennifer, naprawdę musisz zacząć nosić dłuższe spódnice – powiedziałam. – Pamiętasz ten wierszyk: „Widzę lampki, widzę świeczki, widzę też twoje majteczki?”.

Wyprostowała się gwałtownie i zaczęła nerwowo obciągać brzeg spódnicy. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że wyglądała na prawdziwie zawstydzoną. Podreptała do biurka ze stukotem kłapek na drewnianych podszwach. Usiadła, odsłaniając nagie uda tak wysoko, że musiałam odwrócić wzrok.

– Były dla mnie jakieś wiadomości? – spytałam.

– Tylko jedna. Pani Purcell powiedziała, że wróciła już do domu i czeka na ciebie o drugiej.

– Kiedy? Dzisiaj czy jutro?

– Och.

– Nie ma sprawy. Dowiem się. Coś jeszcze?

– To. – Podała mi kopertę poczty kurierskiej. Wewnątrz znalazłam podpisaną przez Fionę umowę. Cholera. Już zdążyłam zniechęcić pocucie, że jestem z nią prawnie związana.

– Masz też gościa. To jakaś pani. Wprowadziłam ją do twojego pokoju i poczęstowałam kawą.

To zwróciło moją uwagę.

– Zostawiłaś ją samą w moim pokoju?

– Mam dużo pracy. Nie mogłam tam z nią siedzieć.

– A skąd wiesz, że nie grzebie teraz w moim biurku? – Wiedziałam, że na jej miejscu na pewno bym to zrobiła.

– Raczej nie. Sprawia wrażenie miłej osoby.

Czułam, że jeszcze chwila i eksploduję.

– Ja też sprawiam wrażenie miłej osoby. I co z tego? Jak długo tam siedzi? – Szczerze mówiąc, wyzywałam się na biednej Jennifer za Fionę, ale i tak byłam nieźle wkurzona.

Jennifer skrzywiła się na znak, że mocno się zastanawia.

– Niedługo. Jakies dwadzieścia minut. Może dłużej.

– Czy to przynajmniej ktoś, kogo znam?

– Chyba tak – odparła słabo. – Nazywa się Mariah jakaś tam. Doszłam po prostu do wniosku, że



wygodniej jej będzie czekać na ciebie tam niż tutaj.

– Jennifer, przez ten czas mogła mnie już okraść ze wszystkiego.

– Już mi to mówiłaś. Przepraszam.

– Lepiej nie przepraszaj i nie rób tego więcej. – Ruszyłam korytarzem, lecz spojrzałam na nią raz jeszcze. – I włóż rajstopy – rzuciłam. Kiedy mijalam biurko Idy Ruth, ta unikała mojego wzroku. Bez wątplenia była zachwycona, że nareszcie miałam do czynienia z próbką możliwości Jennifer.

Drzwi mojego pokoju były zamknięte. Kiedy weszłam do środka, zobaczyłam kobietę siedzącą na krześle przeznaczonym dla gości. Pusty kubek po kawie postawiła przed sobą na biurku. Obrzuciłam baczny spojrzeniem blat i mogłabym przysiąc, że moje dokumenty są lekko przesunięte. Gdy spojrzałam na nią zaskoczona, zwróciła na mnie oczy niebieskie jak u syjamskiego kota.

Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia sześć lat, lecz włosy miała zupełnie siwe. Była bez makijażu, a jej skóra lśniła ciepłym blaskiem przy srebrnych, zaczesanych gładko do tyłu włosach. Miała ładnie zarysowaną szczękę; nos i podbródek zdradzały zdecydowanie, a brwi wznosiły się łagodnym łukiem nad błękitnymi oczami. Spódnica eleganckiego szarego kostiumu była dość krótka, a czarne lśniące rajstopy podkreślały smukłość nóg. Na jednym kolanie miała wyraźną bliznę. Po lewej stronie krzesła postawiła czarny neseser. Wyglądała jak prawniczka z potężnej firmy adwokackiej. Może ktoś postanowił wytoczyć mi proces.

Podeszłam niepewnie do biurka i usiadłam w fotelu. Kobieta zdjęła żakiet i zgrabnym ruchem powiesiła go na oparciu krzesła. Z kształtu mięśni jej ramion wywnioskowałam, że ćwiczy znacznie więcej ode mnie.

– Mariah Talbot – przedstawiła się. Jedwabny top zaszeleścił, gdy pochyliła się, by podać mi rękę. Długie, wypielęgnowane paznokcie pomalowane były lakierem w neutralnym kolorze.

Całość stwarzała wrażenie chłodnej, wypracowanej w każdym szczególe elegancji. Jedyłą rzucającą się w oczy rzeczą była biała blizna, prawdopodobnie po oparzeniu, na prawym przedramieniu.

– Czy byliśmy umówione? – spytałam. Nie potrafiłam ukryć nieufności.

– Nie, ale przychodzę tu w sprawie, która na pewno panią zainteresuje – odparła z niezmaconym spokojem. Moja postawa najwyraźniej nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia.

Siedziała niczym uosobienie opanowania, kompetencji, skuteczności i determinacji. Zaciętego wyrazu jej twarzy nie łagodził nawet uśmiech, który zresztą rzadko się na niej pojawiał.

– O co chodzi?

Pochyliła się i położyła przede mną na biurku swoją wizytówkę. MARIAH TALBOT, WYDZIAŁ SPRAW SPECJALNYCH, FIRMA UBEZPIECZENIOWA GUARDIAN, dalej adres i numer telefonu, którymi nie zaprzętałam sobie głowy. Logo firmy przedstawiało czterolistną koniczynę. Na każdym z listków umieszczono napisy: Dom, Auto, Życie i Zdrowie.

– Musimy porozmawiać o człowieku, od którego wynajmuje pani pokój.

– O Henrym?

– O Richardzie Hevenerze.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale tego na pewno nie.

– A o co chodzi?

– Może pani o tym nie wie, ale Richard i Tommy są dwujajowymi bliźniakami.

– Naprawdę? – spytałam, myśląc jednocześnie: A kogóż to do cholery obchodzi?

– I jeszcze jedna rzecz, o której pani pewnie też nie wie. Richard i Tommy zamordowali swoich rodziców w Teksasie w 1983 roku.

Czułam, jak lekko rozchylają mi się wargi, jakbym przygotowywała się do śmiechu na dźwięk puenty świetnego dowcipu.

Połączenie błękitnych oczu i srebrnych włosów było naprawdę uderzające. Nie mogłam od niej oderwać wzroku.

– Wynajęli kogoś, by włamał się do domu – ciągnęła obojętnym tonem. – O ile mi wiadomo, plan polegał na tym, by włamywacz rozpruł sejf i wyszedł z domu z pokaźną ilością gotówki i biżuterii, której wartość oblicza się na blisko milion dolarów. Matka chłopców, Brenda, była starszą z sióstr pochodzących z bardzo zamożnej teksańskiej rodziny Atchesonów. Odziedziczyła oszałamiającą kolekcję biżuterii, którą zapisała w testamencie swojej jedynej siostrze Karen. Te cacka były w rodzinie przekazywane z pokolenia na pokolenie od lat.

Sięgnęła do nesesera i wyjęła duży segregator. Znalazła tam teczkę i wyciągnęła ją w moją stronę.

– To wycinki z gazet. I kopie każdego z dwóch testamentów.

Otworzyłam teczkę i spojrzałam na pierwsze wycinki. Pochodziły z 15, 22 i 29 stycznia 1983

roku. Wszystkie trzy artykuły ilustrowano zdjęciami Richarda i Tommy’ego. Stojąc w towarzystwie adwokata ubranego w trzyczęściowy garnitur, wyglądali bardzo poważnie.

Nagłówki głosiły, że bracia przesłuchiwani są w sprawie morderstwa Jareda i Brendy Hevener.

Pozostałe artykuły opisywały postępy śledztwa, które ciągnęło się przez rok. Odpuściłam sobie testamenty.

Mariah Talbot mówiła dalej:

– Proszę zauważyć, że w niektórych artykułach pojawia się nazwisko ich ciotki Karen.

Włamania dokonał Casey Stoneheart, punk, którego przymykali już sześć razy za różne przestępstwa, począwszy od drobnych kradzieży po podpalenie. To jego specjalność. Jesteśmy przekonani, że otworzył sejf dzięki otrzymanej od braci kombinacji cyfr. Potem wyłączył

czujniki dymu i podpalił dom, by zatrzeć ślady zbrodni. Prawdopodobnie – to oczywiście tylko nasze przypuszczenie – miał za to dostać większość biżuterii, którą mógł bez problemu dzięki swoim kontaktom sprzedać. Chłopcy mieli wziąć gotówkę i może kilka bardziej wartościowych precjozów, a potem zwrócić się do firmy ubezpieczeniowej o odszkodowanie za dom, jego zawartość i oczywiście biżuterię. Nie zapominajmy też o samochodach. Pożar zniszczył dwa mercedesy. Państwa Hevener znaleziono związanych i zakneblowanych w sypialni. Zmarli w wyniku zacinania. Na szczęście oszczędzono im śmierci w płomieniach. Nigdzie jednak nie można było znaleźć chłopców. Cudownym zrzędzeniem losu obaj wyjechali z miasta i mieli żelazne alibi. – Stoneheart, chłopak, który wykonał brudną robotę, zniknął jakiś czas potem.

Prawdopodobnie nie żyje, lecz nie mamy na to żadnych dowodów. Nikt go od tamtej pory nie widział, więc można przypuszczać, że się go pozbyli. Wspólnik zbrodni zawsze stanowi słabe ogniwo w tego typu układach.

– Może się gdzieś zasztył?

– Gdyby tak było, to na pewno skontaktowałby się ze swoją rodziną. To zgraja nieudaczników i lumpów, ale są lojalni do szpiku kości. Nie obeszloby ich wcale to, co zrobił.

– Skąd pewność, że ta lojalność nie każe im milczeć i nie zdradzać jego kryjówek?

– Szeryf zarządził kontrolę poczty i podsłuch. Proszę mi wierzyć, nie dotarła do nich żadna wiadomość. Ten dzieciak nie potrafi być sam. Gdyby żył, nie mógłby znieść rozstania z rodziną.

Odchrząknęłam.

– Kiedy to się zdarzyło? – Wiedziałam, że już o tym wspominała, ale jakoś to do mnie nie docierało.

– W 1983 roku. W Hatched w Teksasie. Dość szybko zaczęliśmy podejrzewać chłopców, ale oni byli niezwykle sprytni. Niewiele elementów wskazywało na rolę, jaką w tym wszystkim odegrali... poza tymi oczywistymi. Finansowo stanęli na nogi. To było dla nich lepsze niż wygrana na loterii. Wszyscy wiedzieli, że żyli z rodzicami w zgodzie, nie było żadnych kłótni, nikt nie podnosił w ostatnim czasie sumy ubezpieczenia. Praktycznie nic ich też nie łączyło z Caseyem Stoneheartem. Nie zarejestrowano żadnych rozmów telefonicznych pomiędzy nim i braćmi. Nikt nie podejmował z kont bankowych znaczącej sumy, co mogłoby sugerować zaliczkę dla Casey'a. Ten dzieciak był nikim, nie miał nawet własnego konta. Pieniądze trzymał w materacu, najlepszym słomianym banku świata. Chodzili razem do szkoły średniej. Casey rok niżej od braci Hevenerów, ale nic ich bezpośrednio nie łączyło. Nie grali w kręgle w tej samej lidze ani nie trzymali się razem.

Wszystkie moje uczucia dla Tommy'ego wyparowały w jednej chwili.

– A co z testamentem rodziców? Czy jest tam coś ciekawego?

Mariah potrząsnęła głową.

– Nikt nie wprowadzał tam żadnych zmian od czasu powstania tych dokumentów tuż po narodzinach chłopców. Adwokat okazał się pod tym względem trochę opieszły. Bliźniacy osiągnęli pełnoletność i trzeba było dokonać pewnych zmian. Ciotka Karen nadal pozostaje ich prawną opiekunką, gdyby coś przydarzyło się rodzicom.

– Co zwróciło na braci uwagę policji?

– Żaden z nich nie jest dobrym aktorem. Bardzo się starali, ronili łzy, ale widać było, że to tylko na pokaz. W tym czasie obaj nadal mieszkali z rodzicami. Tommy był jednym z tych wiecznych studentów; nie chciał za nic dorosnąć i zacząć żyć na własny rachunek. Richard z kolei uważał się za „przedsiębiorcę”, co oznaczało, że pożyczal pieniądze, by natychmiast je wydać. Jared był oburzony. Nazywał synów pijawkami i miał ich serdecznie dość. Brenda też.

Dowiedzieliśmy się o tym później od ich bliskich przyjaciół.

– Rozumiem, że braci postawiono w stan oskarżenia?

Mariah potrząsnęła głową.

– Detektywom nie udało się zebrać dość dowodów, by przekonać prokuratora. Firma ubezpieczeniowa oczywiście nie chciała wypłacić odszkodowania, ale chłopcy oddali sprawę do sądu i zmusili ją do podjęcia odpowiednich kroków. Ponieważ nie zostali aresztowani, oskarżeni ani skazani, firma Guardian nie miała wyjścia – musiała zapłacić.

– Ile?

– Po dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dwie polisy na życie. Ubezpieczenie za dom i samochody zamknęło się w kwocie blisko siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Proszę nie zapominać, że mówimy o Teksasie. Wartość nieruchomości jest znacznie niższa niż tutaj. Poza tym mimo niewątpliwego talentu do interesów Jared nigdy nie zdołał zbić prawdziwej fortuny.

Wiele transakcji zawierał bez wątpienia pod stołem, więc trudno mówić o udokumentowanych dochodach. Jeśli jednak do ubezpieczenia dodamy gotówkę z sejfu – a było tam blisko sto tysięcy

– i biżuterię, widać jasno, że chłopcy nieźle się obłowili. Firma Guardian i Karen Atcheson, ciotka chłopców, przygotowują się do procesu, by odzyskać utracone pieniądze. Jesteśmy przekonani, że bracia nadal mają biżuterię, ale ciężko będzie to udowodnić. Mnie powierzono przeprowadzenie wstępnego dochodzenia.

– Dlaczego dopiero teraz, skoro morderstwo popełniono trzy lata temu? Wiem, że w sprawach cywilnych o wiele łatwiej o dowody, ale i tak musicie się nimi wykazać.

– Pojawił się informator... ale boi się mówić. To bardzo delikatna sprawa. Sam jest podpalaczem, zawodowcem, który dwa razy rozmawiał z Caseyem – raz przed podpaleniem, a drugi zaraz po. Casey korzystał z jego doświadczeń, bo zadanie trochę go przerosło. W swojej żalösnej karierze

nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił.

– A co wspólnik dostał w zamian?

– Część łupu Caseya. Kiedy dowiedział się o zabójstwie, nie chciał się do niczego przyznać.

Bał się, że go w to wrobią albo – co gorsza – że bracia go zabiją. Teraz zdecydował się mówić i dlatego sądzymy, że powinniśmy spróbować.

– Dlaczego nie pójdzie na policję?

– Pójdzie, jeśli firma Guardian przedstawi dowody.

Odsunęłam od siebie teczkę.

– A w jakiej sprawie przychodzi pani do mnie?

Mariah uśmiechnęła się pod nosem, jakby rozbawiona moim pytaniem.

– Trochę tu węższłam. Wygląda na to, że pieniądze się kończą i bracia zaczynają sobie skakać do oczu. Szczerze mówiąc, liczyliśmy na to, że kiedyś zaczną mieć problemy z forszą.

Dlatego Richard zgodził się wynająć pani biuro, jeśli jeszcze sama pani na to nie wpadła.

Zaproponowała mu pani czynsz za sześć miesięcy z góry, a on bardzo potrzebuje gotówki.

– Skąd pani o tym wie?

– Podstawiliśmy innego kandydata, pisarza szukającego spokojnego miejsca z dala od domu.

Odrzucając jego kandydaturę, Richard wspomniał o gotówce, jaką ma dostać. Spory między braćmi mogą okazać się dla nas niezwykle korzystne. Zawsze miałam nadzieję, że jeden z nich się załamie i wsypie drugiego. Tropimy ich od trzech lat i teraz jesteśmy już bardzo blisko.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Chcielibyśmy, żeby pani dla nas pracowała.

– Jak?

– Mogłaby pani wspomnieć o pewnym paserze w Los Angeles. To jubiler. Jego interes jest niby legalny, ale pod tą przykrywką zajmuje się paserstwem. Interesują go kradzione precjoza, pod warunkiem że ich jakość lub ilość warte są ryzyka. Kiedy braciom zaczną brakować pieniędzy, być może zapragną sięgnąć do zapasów, bo chyba ich jeszcze nie naruszyli.

– Ale od pasera dostaną znacznie mniej, niż te rzeczy są warte.

– Co innego mogą zrobić?

– Być może powinni spróbować sprzedać je na aukcji, w domu Sotheby albo Christie?

– Tam wymagaliby dokumentu potwierdzającego, że te precjoza rzeczywiście do nich należą, a tego przecież nie mogą dostarczyć. Mogą też spróbować je sprzedać osobie prywatnej i dlatego postanowiliśmy trochę ich pogonić.

– Przekażę im więc informacje o jubilerze i co wtedy?

– Poczekamy, czy chwycą przynętę, a potem ich przygwoździmy. Prokurator okręgowy z Houston rozmawiał już z tutejszym i są gotowi do gry. Kiedy będziemy wiedzieli, że biżuteria jest w domu braci, zdobędziemy nakaz i wejdziemy do środka.

– Na jakiej podstawie?

– Będziemy mieli pasera, a on przynajmniej część kolekcji. Braciom ciężko się będzie z tego wytłumaczyć.

– A jeśli się z nim nie skontaktują?

– Opracowaliśmy też inny plan, którego na razie wolałabym nie zdradzać. Może chce pani obejrzyć tę biżuterię? – Raz jeszcze sięgnęła do nesesera, tym razem po mniejszy segregator ze zdjęciami. Wyjmowała jedno po drugim i kładła przede mną na biurku, krótko opisując przedstawione na zdjęciu cacko. – Naszyjnik z brylantów wart sto dwadzieścia tysięcy dolarów.

Bransoletka z brylantów i szafirów w stylu art deco – dwadzieścia cztery tysiące. Pierścionek z brylantem o masie 7,63 karata. Wartość sześćdziesiąt cztery tysiące. I jeszcze to: naszyjnik z osiemdziesięciu sześciu brylantów. Gdzieś pomiędzy czterdziestoma trzema a pięćdziesięcioma tysiącami. Przepraszam za jakość tych zdjęć. To polaroidy. Wszystkie dobre odbitki krążą po południowej Kalifornii. – Skończyła rozkładać zdjęcia. Recytowała ceny jak akwizytor wędrujący z towarem od drzwi do drzwi.

– Skąd pewność, że jeszcze je mają?

– Mamy ku temu pewne podstawy – odparła. – Wiemy, że nabyli sejf. Zainstalowali go w domu, żeby móc się nawzajem obserwować. Problem polega jednak na tym, że nie mamy żadnych podstaw prawnych, żeby tam wejść.

– To zabawne. Byłam tam wczoraj wieczorem.

– Jak się to pani udało?

– Richard wyjechał. Tommy zaprosił mnie i oprowadził po domu.

– Nie zauważyła pani jednak sejfu.

– Niestety, nie. Nie ma tam prawie mebli, ściany są puste. Mogę pani tylko powiedzieć, że alarm nie działa. Podobno Richard tak często go uruchamiał, że w końcu postanowili wszystko rozłączyć. Teraz

jest już tylko ozdobą w oknach.

– To interesujące. Będę musiała to przemyśleć. Kiedy się pani znów z nim spotka?

– Nie zamierzam się już wcale z nim spotykać! Po tym co mi pani powiedziała?

– Szkoda. Mogłaby nam pani bardzo pomóc. Tommy nieraz interesował się już kobietami, ale Richard zawsze wszystko ucinał. Nie ufa swojemu braciszкови, który bardzo lubi mówić.

Richard chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wielkie zagrożenie pani sobą przedstawia.

– Ja?

– Oczywiście. Tommy panią podrywa, a to daje pani władzę. Niewielką, ale zawsze. Ma pani dostęp do domu.

– Nie zamierzam się tam zakradać i węszyć. Po co miałabym jeszcze raz oglądać dom? A poza tym, nawet gdyby udało mi się znaleźć sejf, i tak nie miałabym pojęcia, jak go otworzyć.

– Wcale byśmy tego od pani nie wymagali. Zależy nam tylko na tym, by go zlokalizować, a to chyba nie jest takie trudne. Nie chcemy, żeby chłopcy pozbyli się zawartości, zanim zdobędziemy nakaz rewizji.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Nie zrobię niczego, co jest sprzeczne z prawem.

Mariah uśmiechnęła się.

– Proszę dać sobie z tym spokój. Z tego co wiemy, wynika jasno, że kiedy trzeba, gotowa jest pani trochę to prawo obejść.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Sprawdziliście mnie?

– Musieliśmy wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Prosimy panią tylko o przekazanie informacji o paserze z Los Angeles.

– Nie podoba mi się to. Za duże ryzyko.

– Nie ma ryzyka, nie ma zabawy. Zgadza się?

– Może dla pani.

– Powiedziałałam już, że wynagrodzimy poświęcony dla nas czas.

– Nie chodzi o pieniądze. Nie mam zamiaru dawać dupy, żebyście mogli przygwoździć braciszków.

Jestem wielką fanką sprawiedliwości, ale nie zamierzam płacić za jej wymierzenie własnym ciałem.

– Nikt panią nie prosi o to, żeby poszła z nim do łóżka. Pani życie osobiste pozostaje pani wyłączną sprawą. – Urwała nagle. Sama często stosuję tę sztuczkę, dając rozmówcy czas na przemyślenie sprawy.

Ujęłam ołówek w dwa palce i zaczęłam nim lekko uderzać o blat biurka.

– Zastanowię się nad tym i dam pani znać.

– Byle nie za długo. – Położyła na biurku karteczkę z nazwiskiem i adresem. – To nazwisko tego jubilera. Sposób przekazania tej informacji pozostawiam już wyłącznie pani. Może nam pani wystawić rachunek za poświęcony sprawie czas i benzynę. Jeśli uzna pani, że nie chce nam pomóc, trudno. Ufamy jednak, że nie wspomni pani o tym nikomu.

Wzięłam kartkę do ręki i spojrzałam na nazwisko.

– Pod jakim numerem mogę panią znaleźć?

– Będę stale w ruchu. W nagłych wypadkach może pani zadzwonić pod numer z mojej wizytówki, ale lepiej będzie, jeśli to ja się do pani odezwę za parę dni, by sprawdzić, jak się sprawy mają. Nie chcę, żeby chłopcy dowiedzieli się o mojej obecności w mieście. Depczę im po piętach od lat, a z tymi włosami na pewno rzucam się w oczy. Jeśli dowiedzą się o naszej rozmowie, będzie pani miała kłopoty, więc proszę na siebie uważać.



Potwierdziwszy spotkanie z Fioną o 13:45, raz jeszcze wyruszyłam Old Reservoir Road.

Niebo miało kolor stali, a plamy błękitu zniknęły na dobre pod grubą warstwą chmur. Spojrzałam na prawo, napawając się widokiem jeziora Brunswick. Podmuchy wiatru marszczyły tafelę wody, a rosnące nad brzegiem drzewa potrząsały grzywami liści. Podobnie jak za pierwszym razem zaparkowałam samochód przy dwupasmowej ulicy. Sięgnęłam po torbę i szarą kopertę z raportem. Spojrzałam na dom wbity w zbocze wzgórza jakby w obronie przed groźnym atakiem.

Minęły tylko cztery dni, lecz po tak obfitych opadach posesję zaczęły porastać chwasty.

Nie paliłam się zbytnio do tego spotkania, ale było chyba lepsze niż nieustanne zastanawianie się nad tym, czego się dowiedziałam o Richardzie i Tommym. Na samą myśl o tym czułam ucisk w gardle. Moją pierwszą reakcją była chęć natychmiastowego wypowiedzenia umowy wynajmu i tym sposobem zerwania wszelkich kontaktów z braćmi, ale (tak, jestem małostkowa) nie bardzo chciałam się pożegnać z sumą ponad tysiąc sześciuset dolarów. Cała sprawa była mocno podejrzana. Pominąwszy kwestie moralne, nie należy chyba utrzymywać bliskich stosunków z dwójką zabójców. Ale jak mogłam się z tego wypłatać? Nawet w Kalifornii nakazy etykiety były mocno zagmatwane. Czy należy być do końca uprzejmym? Czy zrywając zawartą w majestacie prawa umowę, należy podać powody? Pomyślałam o lśniących łagodnym blaskiem zielonych oczach Tommy'ego, a potem wyobraziłam sobie, jak starannie związuje ręce matki przed podpaleniem domu. Jeśli do mnie zadzwoni, czy mam nawiązać w rozmowie do tragicznej śmierci rodziców, czy też tylko znaleźć zgrabną wymówkę? Chciałam działać szybko i sprawnie. Jednak zrywając wszelkie kontakty z braćmi, jednocześnie odmawiałam Mariah Talbot wszelkiej pomocy. A przecież rzadko cofam się przed ryzykiem i – jak niegrzecznie zauważyła Mariah – lubię trochę naginać prawo, gdy zajdzie taka potrzeba.

Zamykając drzwiczki samochodu, dostrzegłam Trudy, młodą suczkę, którą spotkałam tu podczas mojej pierwszej wizyty. Biegła radośnie ulicą, z całą energią szczeniaka, zadowolonego, że znalazł się poza domem. Psina nie mogła mieć więcej niż rok. Zbliżyła nos do chodnika i pracowicie węszyła, a potem ruszyła odnalezionym tropem. Może przed chwilą przebiegł tędy królik lub opos, a może zabłąkany szop. Właścicielka suczki śledziła bacznie jej wędrówkę na wypadek, gdyby Trudy spotkała się z czymś znacznie większym od siebie. Kiedy wspierałam się na strome schody prowadzące do domu Fiony, zniknęły mi już z oczu. Henry i Rosie od dawna przekonywali mnie, że powinnam przygarnąć jakiegoś psa, ale nie widziałam takiej potrzeby. Po co zawracać sobie głowę stworzeniem, które nie potrafi nawet korzystać z toalety?

Fiona musiała na mnie czekać, bo ledwie dotknęłam przycisku dzwonka, otworzyła drzwi.

Tym razem miała na sobie bluzkę z krepy z długimi rękawami, spiętą w talii paskiem, przypominającą powojenne kurtki Eisenhowera. Czarna wełniana spódnica sięgała do połowy łydki, odsłaniając najmniej atrakcyjną część kobiecej nogi. Buty na wysokich szpilkach miały mnóstwo paseczków zapiętych wokół kostki. Na brązowych lokach nosiła aksamitną czapeczkę z cekinami, przypominającą kształtem wojskowe czapki kobiecych oddziałów armii amerykańskiej. Poczułam

zapach dymu papierosowego i perfum Shalimar.

Nagle przypomniał mi się dezodorant, który moja ciotka rozsmarowywała pod pachami koniuszkami palców.

– Trzeba było zaparkować na podjeździe za domem, zamiast wspinać się na te schody –

powiedziała Fiona. Treść jej słów była nieszkodliwa, lecz ton był pełen nienawiści, jakby marzyła o kłótni ze mną.

– Trochę ruchu nie zaszkodzi – odparłam, nie podejmując rzuconej rękawicy.

Cofając się do środka, spojrzała ukradkiem na zegarek, jakby chciała sprawdzić, czy się nie spóźniłam. Jak zwykle zjawiłam się na czas, więc wchodząc za nią, pomyślałam złośliwie: Ha, ha, tu cię mam.

W holu nadal stały rusztowania, a przykrywające podłogę wielkie szmaty wyglądały jak warstwa świeżego śniegu. Od naszego spotkania w piątek nic się nie zmieniło. Podejrzewałam, że nie ufa robotnikom na tyle, by pozwolić im pracować pod swoją nieobecność. A może to oni doszli do wniosku, że bez niej lepiej nic nie ruszać. Należała do osób, które przestąpiwszy próg, natychmiast kazałyby wszystko poprawiać. Zauważyłam, że na ścianie nadal widnieją próbki różnych odcieni bieli.

Kiedy podałam Fionie szarą kopertę, z jej reakcji można by wywnioskować, że podsuwam na tacy jakiegoś paskudnego robala.

– Co to? – spytała podejrzliwie.

– Życzyła sobie pani dostać raport.

Otworzyła kopertę i obrzuciła zapisane starannie strony przelotnym spojrzeniem.

– Dziękuję, jestem wdzięczna za trud – podsumowała krótko moją pracę. – Mam nadzieję, że nie będzie miała pani nic przeciwko temu, jeśli porozmawiamy w sypialni. Chciałabym się rozpakować.

– Nie ma sprawy. – Szczerze mówiąc, bardzo chciałam obejrzeć resztę domu.

– Lot do domu był koszmary. Rzuciło tą łupiną na wszystkie strony. Myślałam, że już nigdy nie wylądujemy.

– To pewnie wina tej burzy.

– Nigdy więcej nie polecę małym samolotem. Wolę jechać pociągiem, nawet gdyby miało mi to zabrać pół dnia.

Wzięła walizeczkę z kosmetykami, którą zostawiła w holu. Spojrzała przelotnie na dużą walizkę.

– Proszę mi pomóc – powiedziała.

Taszcząc za nią po schodach walizę, czułam się jak juczny muł. Draństwo było ciężkie jak diabli. Obserwowałam migające przede mną łydki Fiony. Nosiła pończochy ze szwami. Przy jej uwielbieniu dla lat czterdziestych dziwiło mnie, że nie rysuje pisakiem linii na nogach, jak robiły to kobiety w trudnych czasach drugiej wojny światowej i tuż po niej. Na podeście schodów skręciłyśmy w prawo, wchodząc do dużej pomalowanej na biało sypialni. Jedna oszklona ściana wychodziła na ulicę. Kiedy Fiona zniknęła w łazience, podeszłam do okna, by podziwiać widok.

Linia brzegowa tonęła we mgle, a czarne burzowe chmury wisiały w oddali niczym wierzchołki groźnych gór. Wzgórza pokrywała soczysta zieleń, efekt obfitych opadów deszczu.

Jeziro Brunswick lśniło srebrem, a jego tafla przypominała antyczne, lekko zmatowiałe lustro.

Odwrociłam się. Duże łóżce Fiony było tak ustawione, że leżąc, mogła podziwiać ten wspaniały widok: słońce wschodzące z lewej strony i zachodzące po prawej. Próbowałam sobie wyobrazić, jak się śpi w tak wielkim pokoju. W jednej ze ścian otwarte podwójne drzwi prowadziły do garderoby tak dużej jak całe moje mieszkanie. Po drugiej stronie znajdował się kominek, a przed nim dwa wygodne fotele i niski stolik do kawy. Wyobraziłam sobie Fionę i Dowa popijających tu drinki, gdy wpadał do niej wieczorem. Ciekawe, czy kiedykolwiek – przez wzgląd na stare czasy

– poszli razem do łóżka.

Fiona wyszła z łazienki i zbliżyła się do łóżka, gdzie na narzucie leżała otwarta druga walizka. Zaczęła powoli wyjmować ubrania, które wcześniej starannie tam poukładała.

– Proszę mi opowiedzieć o wszystkim od samego początku.

Zaczęłam swoją relację od streszczenia przeprowadzonych rozmów. Opowiedziałam o spotkaniu z detektywem Odessą, potem przeszłam do mojej wizyty u Crystal i w Pacific Meadows, nawiązując do problemów, z którymi zmagał się jej były mąż. Nie zdążyłam się jeszcze rozgrzać, gdy w mój ton wkradła się nuta goryczy. Fiona wędrowała tam i z powrotem między łóżkiem i garderobą, przenosząc bluzki i spódnice, które wieszała na obszytych atłasem wieszakach.

– Proszę za mną chodzić. Inaczej nie będę wszystkiego słyszeć i będzie pani musiała powtarzać swoją relację. Mam wciąż zatkane uszy. To jeszcze jeden z powodów przemawiających za jazdą pociągiem.

Stałam w drzwiach garderoby i tam kontynuowałam moją relację.

– W sobotę po południu zadzwoniła do mnie Blanche i pojechałam się z nią zobaczyć...

Fiona odwróciła się gwałtownie.

– Pojechała pani spotkać się z Blanche? A po co, u diabła?

– Zadzwoniła do mnie do domu. Odniosłam wrażenie, że pani wcześniej z nią rozmawiała.

– Nic takiego nie zrobiłam i nie mogę uwierzyć, że zdecydowała się pani na to spotkanie bez konsultacji ze mną. Nikogo nie wolno włączać do tej sprawy, jeśli ja nie wyrażę na to zgody.

Gdybym chciała, żeby spotkała się pani z Blanche, podałamby pani jej numer.

– Myślałam, że tak się stało.

– Podałam pani numer Melanie, a nie jej. Co ona pani powiedziała?

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Naprawdę bardzo mi przykro, ale odniosłam wrażenie, że wszystko o mnie wie, więc założyłam, że rozmawiała z panią bądź Melanie. Powiedziała mi, że obie poczuły wielką ulgę, bo od chwili zaginięcia ojca nakłaniały panią do wynajęcia kogoś do zbadania tej sprawy.

– To bez znaczenia. Jeśli zajdzie taka potrzeba, sama poinformuję dziewczęta o wszystkim, ale nie powinny dowiadywać się o niczym od pani. Jasne?

– Oczywiście – odparłam urażona. Po przekazaniu Richardowi Hevenerowi otrzymanych od Fiony pieniędzy nie miałam już ani grosza, by zwrócić jej zaliczkę. Po odjęciu pięćdziesięciu dolarów za rozmowę z Triggim, byłam jej nadal winna tysiąc siedemdziesiąt pięć dolarów i gdybym zdecydowała się zrezygnować z tej sprawy, musiałabym poważnie naruszyć swoje oszczędności.

– Proszę mówić dalej – powiedziała, nie przerywając pracy.

Byłam wściekła i musiałam się mocno hamować, by nie powiedzieć jej, dokąd moim zdaniem może się wynosić. Zdołałam jednak zapanować nad sobą tylko do chwili, gdy otworzyłam usta.

– Wie pani co? Może to i jest zabawne, ale mam już serdecznie dość wysłuchiwania pani cierpkich uwag. Harowałam jak wół przez cały weekend i jeśli moje metody pani nie odpowiadają, to spadam stąd.

Po raz drugi w tak krótkim czasie udało mi się ją zaskoczyć. Wracając szybkim krokiem do łóżka, wyglądała na szczerze zaniepokojoną.

– Nie to miałam na myśli. Przykro mi, jeśli panią uraziłam. Nie miałam takiego zamiaru.

Nic nie zbija mnie z tropu skuteczniej niż szczerze słowa przeprosin. Opanowałam się równie szybko jak ona i przez kilka minut przyglądałyśmy nastroszone piórka, by móc spokojnie kontynuować rozmowę.

Fiona zapytała mnie o dalsze plany. Tak jakbym je miała.

– Jak zamierza go pani odnaleźć?

– No cóż – odparłam. – Muszę jeszcze porozmawiać z paroma osobami i zobaczymy. –

Prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, co począć.

Jej oczy zabłyśły na moment i pomyślałam, że znów mnie zaatakuje, ale zdążyła się opanować.

– Mam jeszcze dwa pytania – powiedziałam. – Ktoś wspominał w rozmowie, że w czasie swoich wcześniejszych nieobecności w domu Dow przebywał w klinice odwykowej. Czy istnieje możliwość, że mógł się wówczas wybrać za granicę?

– A co to zmienia?

– Zwrócił mi na to uwagę Lonnie Kingman. To prawnik, od którego wynajmuję biuro.

Zasugerował, że Dowan mógł przelewać pieniądze na konta za granicą, przygotowując ucieczkę.

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Mnie też, ale podczas naszego pierwszego spotkania wspominała pani, że mógł wyjechać do Europy lub Ameryki Południowej.

– Tak, ale nie wierzę, by planował coś takiego od lat.

– Czy oglądała pani kiedykolwiek jego paszport?

– Oczywiście, że nie. Po co miałabym to robić?

– Tak sobie pomyślałam. Może dlatego paszport zniknął. Zabrał go ze sobą, żeby nikt nie mógł sprawdzić, gdzie wyjeżdżał podczas swoich wcześniejszych nieobecności.

– Wspominała pani o dwóch pytaniach.

Poczekalam, aż spojrzy mi w oczy.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani, że wybierał się tutaj tego piątkowego wieczoru?

Położyła dłoń na szyi obronnym gestem, jakby w obawie, że ktoś będzie chciał przeciąć jej tętnicę.

– Nigdy tu nie dotarł. Pomyślałam, że zaszło nieporozumienie. Próbowałam się do niego dodzwonić następnego dnia, ale on już zniknął.

– Po co się tu wybierał?

– To chyba nie ma znaczenia, skoro się nie pojawił.

– Czy ktoś oprócz pani był w domu tego wieczoru? – spytałam.

– Żeby mógł potwierdzić moje słowa?

– Byłoby miło, nie sądzi pani?

– Niestety, nie mogę pani pomóc. To małe miasto. Ludzie kochają plotki. Nawet nie pozwalałam mu

zaparkować na podjeździe. Kazałam wjeżdżać do garażu. Nikt nie wiedział o jego wizytach.

– Tak pani sądzi. – Od razu poczułam wyrzuty sumienia, bo w jej oczach dostrzegłam błysk zawiedzionego zaufania.

– Przysięgał, że nie powie o tym Crystal. Twierdził, że sprawi jej to przykrość, a żadne z nas tego nie chciało.

– Nie powiedziałam, że poinformował o tym Crystal. O wizytach wiedział ktoś inny.

– Trigg.

– Tak – odparłam. W końcu chodziło tu o jej pieniądze. Miała prawo dowiedzieć się o wszystkim. Rzadko miewam skrupuły, a jeśli nawet, to często działają wybiórczo. – A Lloyd Muscoe? Czy Dow kiedykolwiek o nim wspominał?

– Tak. Nie lubili się i za wszelką cenę unikali wzajemnych kontaktów. Początkowo zachowywali się jak rywalizujące o samicę zwierzęta. Crystal na pewno się to podobało. Później ich nieporozumienia dotyczyły raczej stosunków Leili z Lloydem.

– Słyszałam, że zdaniem Dowa Lloyd miał na dziewczynkę zły wpływ.

– Nie znam Lloyda, więc wolałabym nie wypowiadać się na ten temat.

– Proszę spróbować. Na pewno pani coś wie.

– To prostak i tyle.

– Na szczęście w tym stanie nie jest to traktowane jak przestępstwo, bo sama musiałabym trafić do aresztu.

– Wie pani doskonale, co mam na myśli. Płacą duże pieniądze za szkołę Leili. Nie widzę powodu, dla którego miałyby spędzać połowę weekendów z kimś takim jak on.

– Ale Lloyd jest jedynym ojcem, jakiego zna. Crystal musi zależeć na tym, by utrzymywała z nim bliskie stosunki.

– Jeśli rzeczywiście o to jej chodzi. Może woli mieć więcej wolnego czasu. Zachowanie Leili przekracza normy typowe dla dziewczynek w jej wieku. Widać wyraźnie, że dziewczyna ma problemy. Jestem pewna, że Lloyd nie mógł znieść Dowa i jego ingerencji w tę sprawę. Zamiast tracić czas z Blanche, powinna pani była porozmawiać z Lloydem.

Trigg powiedział mi, że Lloyd mieszka w małej pracowni na tyłach domu stojącego na rogu Missile i Olivio. Zaparkowałam na ulicy i pieszo ruszyłam wąskim podjazdem. Po obu stronach rosły gęste krzewy, z których – gdy przechodziłam – spadały krople wody. Na trawie na końcu podjazdu stał zaparkowany chevrolet rocznik 1952. Na masce leżało parę wilgotnych liści, ale poza tym samochód był czysty i dobrze utrzymany. Podwórko na tyłach domu było zarośnięte, a mała drewniana

pracownia mogła kiedyś służyć jako szopa na narzędzia. Weszłam na dwa drewniane schodki i zapukałam do drzwi.

Nikt nie odpowiadał. Obeszłam domek dookoła, zaglądając przez okna do środka.

Dostrzegłam cztery małe pomieszczenia: pokój dzienny, kuchnię i dwie sypialnie połączone łazienką. Nigdzie nie było żywego ducha. Podeszłam raz jeszcze do frontowych drzwi i nacisnęłam klamkę. Drzwi się otworzyły. Stałam w progu, ale nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Kiedy weszłam do środka, moje kroki odbijały się echem na kamiennej podłodze.

W domku pachniało wilgocią. Podłogi pokrywało zniszczone linoleum. W pierwszej sypialni wszędzie leżały porozrzucane wieszaki na ubrania. Szafa była pusta. W drugiej sypialni na podłodze leżał nagi materac, a kiedy otworzyłam drzwi szafy, zauważyłam schowane po prawej stronie dwa ciasno zwinięte koce. Okno w tej sypialni było uchylone, czego nie zauważyłam, obchodząc dom dookoła. Może Lloyd zakradał się tutaj na noc. Każdy mógł przemknąć niezauważony w cieniu żywopłotu i wśliznąć się do domku. W łazience nie znalazłam nic poza wanną na nóżkach w kształcie łap i toaletą z plamami rdzy. Szafki w kuchni były otwarte. Na blacie stał plastikowy kubek z resztkami jakiegoś napoju. Pachniał jak cola z bourbonem lub coś równie mocnego. Otworzyłam wszystkie szuflady. Jako optymistka z natury zawsze mam nadzieję, że uda mi się trafić na jakiś ślad, najlepiej na kartkę z adresem prowadzącym prosto do celu.

Szybko obeszłam domek jeszcze raz, ale nic nie znalazłam. Wychodząc, zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam przez podwórko w stronę dużej werandy na tyłach białego domu. Kuchenne drzwi były w połowie oszklone, dostrzegłam więc w środku kobietę w fartuchu zajmującą się zgrają kotów. Doliczyłam się siedmiu: dwa były łaciate, jeden czarny, dwa bure, jeden rudy i jeden długowłosej pers wielkości sporego mopsa. Zastukałam w okno. Kobieta podniosła wzrok i rzuciła mi groźne spojrzenie.

Była wysoka i bardzo szczupła, z siwymi warkoczami upiętymi w koronę. W kuchni odbywała się najwyraźniej ceremonia karmienia kotów, gdyż zwierzaki otaczały kobietę z nabożną czcią, ocierały się o jej nogi i otwierały pyszczki, by miauczeniem domagać się swojej porcji. Dla mnie przypominało to trochę niemy film, gdyż zza szyby nie dobiegał na zewnątrz żaden dźwięk. Widziałam, że kobieta coś do nich mówi, pewnie stwierdza po raz kolejny, że są strasznie rozpuszczone i dokuczliwe. Kiedy postawiła miski na podłodze, wszystkie zabrały się ostro do jedzenia – siedem łepków pochyliło się niczym do kociej modlitwy. Kobieta otworzyła drzwi i zaraz dobiegł mnie charakterystyczny zapach.

– Nie jest do wynajęcia – powiedziała głośno. – Widziałam, jak pani oglądała ten domek, ale nic z tego. Następnym razem, zanim pani gdzieś się wdrze, proszę najpierw spytać, czy wolno. –

Miała dość luźną sztuczną szczękę, którą przy każdym zdaniu poprawiała ruchem warg i języka.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

– To chyba widać, prawda? – odparła. – Przez szesnaście lat wynajmowałam ten domek za dwieście dolarów miesięcznie. I miałam za lokatorów samych lumpów. Stale się zmieniali, a większość to

zwykli włóczędzy. Dopiero Paulie wytłumaczyła mi, że za takie pieniądze nie mogę się spodziewać niczego lepszego. Teraz żądam osiemset pięćdziesiąt, ale domek stoi pusty. Też mi poprawa.

– Szukam Lloyda Muscoe. Zdaje się, że tam mieszkał.

– Kiedyś tak. Dwa razy spóźnił się z czynszem, a raz w ogóle nie zapłacił, więc go wyrzuciłam.

– I bardzo dobrze. – Gdzie już słyszałam to imię, Paulie? Ach tak, podczas sprzeczki Crystal z Leilą w domu przy plaży. – Paul jest pani wnukiem?

– Wnuczką. Ma na imię Pauline. Wychowuję ją od dnia, gdy miała pięć lat, a jej pijana mamuska porzuciła ją na progu mojego domu.

– Czy nie jest przypadkiem przyjaciółką Leili?

– Kogo?

– Córki Lloyda, Leili.

– Już nie. Jej matka zabroniła. Powiedziała, że Paulie jest zwariowana. A to ten Lloyd dopiero jest szurnięty. Myślał, że uda mu się mnie podejść, bo jestem stara i głucha, ale się zdziwił. Wyrzuciłam go na zbity łeb i jeszcze ściągnęłam szeryfa, żeby mi się nie stawiał. Ludzie tacy jak on mogą wszystko zdemolować, jeśli coś nie idzie po ich myśli.

– Wie pani, dokąd sobie poszedł?

– Nie i nic mnie to nie obchodzi. Pani jest komornikiem?

– Nie, prywatnym detektywem.

– Ma jakieś kłopoty?

– Nie. Ale chciałabym z nim porozmawiać.

– Nie potrafię pani pomóc. Myślę, że kręci się gdzieś w mieście. Nie mogę mu nawet odsyłać rachunków i muszę wszystkie wyrzucać do śmieci. To przystojny facet, ale mocno zakręcony.

– Tak też słyszałam. Dziękuję.

– Nie ma za co – powiedziała i zamknęła drzwi.

Siedziałam w samochodzie i zastanawiałam się, co dalej. Najprościej byłoby zapytać Crystal, gdzie jest teraz Lloyd. Opiekują się przecież wspólnie Leilą, więc musi to wiedzieć. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i raz jeszcze skierowałam się w stronę Horton Ravine.

Dom doktora Purcella zbudowano na zalesionej działce, a jeśli ktoś wspiął się lekko na palce, mógł dostrzec wąskie pasemko oceanu. Sama rezydencja nie prezentowała się zbyt imponująco.



Na nic przechwałki Fiony o wielkim talencie do projektowania. Wykorzystała tu najprostsze z rozwiązań, układając kondygnacje jedna na drugiej aż po płaski, betonowy dach. Przed domem zaprojektowano sadzawkę, w której można było podziwiać odbicie budynku. Styl, w jakim go zbudowano, choć z założenia futurystyczny, wydawał się mocno przestarzały i naśladował prace architektów znacznie bardziej utalentowanych od Fiony. Zdecydowanie nie pasował do Crystal i rozumiałam już, dlaczego zrywała się na myśl, że musi tu zamieszkać. Po ukochanym, jasnym domku na plaży tutaj musiała czuć się jak w więzieniu. Na podjeździe stały zaparkowane białe volvo i kabriolet audi razem z małym czarnym jaguarem, którego wcześniej nie widziałam.

Kiedy zadzwoniłam do drzwi, nie usłyszałam za nimi żadnego ruchu, ale mniej więcej po minucie zjawiała się Crystal. Miała na sobie wysokie buty, czarne wełniane spodnie i długi czarny sweter. Jasne włosy zaczesła do tyłu, lecz niesforne pasma wymykały się tu i tam, tworząc wrażenie nieładu.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła. – Może ty nam pomożesz. Nica, to Kinsey! Wchodź szybko

– powiedziała wyraźnie poruszona.

– Co się stało? – spytałam, wchodząc do środka.

– Anica przyjechała właśnie z Fitch. Leila opuściła bez pozwolenia szkołę i próbujemy ją znaleźć, zanim wszystko się wyda. Wyrzucą ją natychmiast, kiedy tylko się okaże, że uciekła.

Mną się nie przejmuj, chyba zaraz oszaleję, ale to nic. Na szczęście Rand zabrał Griffa do zoo.

Z kuchni wyszła Anica w granatowych spodniach i czerwonym rozpinanym swetrze z emblematem Fitch Academy wyszytym na kieszonce na piersi. Uzupełnieniem stroju była biała elegancka bluzka i granatowe czółenka na niskim obcasie. W całym tym zamieszaniu udało się jej uśmiechnąć.

– Zawsze wpadasz, gdy coś się dzieje. Witaj, Kinsey. Miło cię znów widzieć. Jak się masz? –

Wyciągnęła do mnie dłoń.

– Świetnie. Przykro mi z powodu Leili. Myślisz, że zmierza w stronę domu?

– Miejmy taką nadzieję – orzekła Crystal. Minęła nas po drodze do kuchni, cały czas mówiąc przez ramię. – Zrobię kawy i zastanowimy się, co dalej. Leila wie, że nie wolno jej podróżować autostopem. Wyraźnie jej tego zabroniłam...

– I prawdopodobnie dlatego to robi – podsumowała Anica.

– Odchodziłabym od zmysłów z niepokoju, gdybym nie była na nią tak wściekła. Jaką chcesz kawę, Kinsey?

– Czarną proszę.

Kiedy razem z Anica szłyśmy za nią do kuchni, obrzuciłam szybkim spojrzeniem salon znajdujący się

po prawej stronie od wejścia. Wnętrze domu było w istocie dość dziwne: kamienne podłogi, surowe białe ściany, brak zasłon w oknach i zimne oświetlenie – to wyraźny wpływ Fiony. Crystal próbowała odcisnąć własne piętno na pozbawionych wdzięku pokojach: na podłodze niczym kawałki układanki rozrzuciła wschodnie kolorowe dywany, a wytarte obicia mebli przykryła materiałem w pastelowe kwiaty. Antyczne stoliki były białe, a siedzenia krzesel

wyłożono materiałem w biało-zieloną kratkę. Tu i ówdzie stały duże okrągłe fotele z wikliny. W

pokoju ustawiono też kanapę z pomalowanego na biało kutego żelaza, zarzuconą wielkimi różnobarwnymi poduszkami. Na stoliku do kawy leżały rozrzucone książki, a w całym pokoju poustawiano wazony z kwiatami. W ten sposób stworzono jednocześnie wrażenie wygody i nieładu; powstało miejsce, gdzie dzieci mogły biegać bez obaw, że coś zniszczą, bo wszystko od początku i tak wyglądało na mocno zniszczone.

W kuchni dokonano podobnych zmian. Zimne, gładkie powierzchnie i zaokrąglone w stylu art deco rogi zdradzały rękę Fiony. Crystal wprowadziła tu oszklone szafki i długą półkę, na której poustawiała swoją kolekcję porcelanowych talerzy. Kuchnia wyglądała przytulnie i staroświecko; sprawiała wrażenie miejsca, w którym babcia z rozkoszą smażyłaby konfitury z brzoskwiń. Zamontowano tu jednak najnowocześniejszy sprzęt: sześciopalnikową kuchenkę, dwie zmywarki i cztery elektryczne piekarniki. Przez środek pomieszczenia biegła wyłożona szarym granitem lada. Na belkach pod sufitem pozawieszano pęki ziół i miedziane rondle. W

jednym kącie stał kominek z czerwonej cegły. Zbudowano go na pewno już po odejściu Fiony, gdyż był zbyt prostacki jak na jej gust.

Nica usiadła na jednym z wysokich stołków przy ladzie. Crystal wyjmowała z szafki filiżanki i spodeczki.

– Już ona mnie popamięta – burknęła. – Przysięgam, że długo nie ruszy się z domu ani na krok. O której uciekła?

– Musiało być chyba piętnaście po dziewiątej – wyjaśniła Nica. – O dziewiątej zgłosiła się na lekcję gimnastyki, ale powiedziała, że ma dreszcze i musi iść do pielęgniarki. Ze mną była umówiona na dziesiątą. Kiedy się nie zjawiała, odnalazłam jej współlokatorkę Amy, która powiedziała mi, że widziała, jak Leila wymyka się z plecakiem z terenu szkoły.

Crystal spojrzała na zegarek.

– Gdzie się, do diabła, podziewa?

– Mam tylko nadzieję, że Amy nie wspomniała o tym władzom szkoły – westchnęła Anica.

– Czy mogę zajrzeć do pokoju Leili? Może wpadnę na jakiś ślad.

– Oczywiście – odparła Crystal. – Drugie drzwi na prawo na piętrze.

Drzwi do pokoju Leili były zamknięte, na szczęście nie na klucz, więc bez trudu weszłam do środka.

Przez chwilę stałam w progu, rozglądając się dookoła. Cały pokój utrzymany był w pastelowej tonacji. Leila znajdowała się na tym etapie rozwoju, w którym plakaty przedstawiające półnagie gwiazdy rocka ocierają się o ukochane pluszowe zabawki. Wszędzie pełno było najróżniejszych drobiazgów i pamiątek. Większość stanowiły przedmioty, które tak chętnie wręczają sobie nastoletnie panienki: kubki z dowcipnymi napisami, figurki, biżuteria, buteleczki wody toaletowej. Korkowa tablica do przypinania pełna była starych biletów, programów koncertowych i kolorowych zdjęć przedstawiających wyścigi dzieci, dziewczyny strojące głupie miny, chłopców pijących piwo, palących skręty i oddających się innym równie zbożnym czynnościom. Jak na kogoś, kto twierdzi, że nie ma przyjaciół, Leila posiadała imponującą kolekcję pamiątek. Podłoga pokoju zarzucona była ciuchami, które zwisały też z oparcie krzesła, drzwi komody, parapetu i dwóch foteli.

Szybko, lecz dokładnie zbadalam zawartość szuflad. Większa część bielizny Leili znajdowała się już na podłodze, co znacznie ułatwiło mi pracę. Zajrzałam też do garderoby.

Pełno tam było starych gier, sprzętu sportowego i letnich ciuchów. Okrążyłam też pokój na czworakach, zaglądając pod krzesła, łóżko i komodę. Jedyнным interesującym odkryciem było wąskie, zamykane na kluczyk metalowe pudełko schowane pod materacem. Kiedy nim potrząsnęłam, usłyszałam tylko delikatny szelest. Być może kryło zapas narkotyków. Nie miałam czasu zajmować się zamkiem, wsunęłam więc pudełko na miejsce. Przeszukawszy pokój, poczułam się trochę lepiej, choć moje starania nie przyniosły żadnych wymiernych efektów.

Wracając do kuchni, zatrzymałam się przy stoliku, na którym leżał rozłożony duży rodzinny kalendarz. Każdy miesiąc miał własną stronę ilustrowaną zdjęciami psów ubranych w stroje dla dzieci. Listopadowi przypisano cocker-spaniela w granatowym marynarskim ubranku. Pies miał

wielkie brązowe oczy i sprawiał wrażenie straszliwie zawstydzonego swoim strojem.

Każdy dzień miesiąca miał swoją rubryczkę. Informacje o spotkaniach towarzyskich i innych wydarzeniach naniósł trzy różne osoby. Sądząc po charakterze pisma i naturze towarzyskich zobowiązań, doszłam do wniosku, że Leila pisze bardzo zamaszyście. Do Crystal należało eleganckie, pochylone pismo i uwagi wpisane czerwonym atramentem. Namalowane w pośpiechu niebieskim długopisem bazgroły były bez wątpienia dziełem Randa. Wszystkie notatki dotyczyły umówionych spotkań, lekcji tenisa, wizyt u lekarza i dentysty oraz cotygodniowych spotkań Griffa z rówieśnikami. Dowiedziałam się też, że na początku miesiąca audi trafiło do przeglądu. Na marginesach zanotowano numery telefonów. Co drugi tydzień zaznaczono przyjazd Leili ze szkoły. W tym tygodniu nie zaplanowano wizyty w domu, gdyż Leila była u Crystal tydzień wcześniej.

Gdzieś za mną Crystal i Nica z zapalem obrzucały nieobecną pannicę najgorszymi epitetami.

Przerzuciłam kartki kalendarza, trafiając na lipiec i sierpień. Znalazłam tam czwarty charakter pisma: zdecydowane, drukowane litery, pisane czarnym atramentem. Założyłam, że są dziełem doktora Purcella, którego obecność w domu zaznaczona była aż do poniedziałku 8 września, cztery dni przed zniknięciem. Dowan zanotował informację o dwóch zebraniach zarządu, sympozjum medycznym na UCLA i meczu golfowym w klubie country. Żadna z nich nie wydała mi się szczególnie ważna, a poza tym miałam nadzieję, że policja już to wszystko sprawdziła.

– Mam już tego dość – powiedziała nagle stanowczo Crystal. – Nie wiem, dlaczego w ogóle się denerwuję. Jej przecież dokładnie o to chodzi.

– Prawdopodobnie jest w drodze do Lloyd’a – odparła Nica. – To do niej podobne: polecieć prosto do niego.

– Świetnie. Niech on się z nią użera. Ja mam już tego po dziurki w nosie. Jeśli nie zjawi się tu niebawem, zadzwonię na policję. Wystarczy, że poinformuję ich o nastolatce, która wymyka się spod kontroli rodziny, a będzie ugotowana na dobre.

– Ale co to da? – spytała Anica. – Wiem, że jesteś wściekła, ale kiedy mała trafi do sądu dla nieletnich, od razu tego pożałujesz.

– To ona pożałuje. To wszystko sprawka Paulie. Nie mam żadnych wątpliwości.

– Och, daj już spokój z tą Paulie. To nie ma sensu.

Wzięłam kalendarz ze stolika i podeszłam do lady, gdzie czekał na mnie kubek z kawą.

– Mogę o coś zapytać?

Crystal spojrzała na mnie trochę rozkojarzona.

– O co chodzi?

Położyłam kalendarz na ladzie i postukałam palcem w jedną ze stron.

– Leila nie przyjeżdża do domu na każdy weekend, prawda?

– W większości wypadków tak. Wymieniamy się z Lloydem, ale czasem coś nagle wyskoczy.

– Na przykład?

Crystal spojrzała na kalendarz i wskazała drugi tydzień lipca.

– Na ten weekend dostała zaproszenie od koleżanki, Sherry, która mieszka w Malibu. Jej ojciec pracuje w przemyśle filmowym i zabiera dziewczynki na wszystkie galowe premiery.

Wskazałam na weekend dwunastego września, gdy zaginął Dow Purcell.

– A ten?

– Mniej więcej to samo, tyle tylko że u innej przyjaciółki. Rodzina Emily ma ranczo w Point Dunne i sporą stadninę. Leila uwielbia jeździć konno. Z tego weekendu nic jednak nie wyszło –

Emily zachorowała – i Leila wylądowała u Lloyd’a. Dlaczego o to pytasz?

Wzruszyłam ramionami, sprawdzając inne miesiące. Leila miała wiele różnych planów, ale

wyglądało na to, że regularnie raz w miesiącu odwiedza którąś ze szkolnych przyjaciółek.

– Myślę, że mogła opuścić szkołę z jedną z koleżanek.

– Możliwe, ale wątpię w to. Większość jej przyjaciółek przygotowuje się do dalszej nauki w college'u. Żadna nigdy nie zaryzykowałaby wydalenia ze szkoły. – Odwróciła się do Niki. – Co o tym sądzisz?

– Nie zaszkodzi sprawdzić. Też o tym pomyślałam, przywiozłam więc ze sobą notes z telefonami, gdybyśmy chciały zadzwonić do rodziców którejs z nich. – Anica sięgnęła do dużej granatowej torby leżącej na podłodze i wyjęła z niej spory notes z logo szkoły na okładce. –

Chcesz, żebym przejrzała nazwiska?

– Poczekaj chwilę – odparła Crystal. – Zadzwonię jeszcze raz do Lloyd'a. – Podeszła do stolika i podniosła słuchawkę. Wystukała siedem cyfr i przez chwilę nasłuchiwała, po czym się rozłączyła. – Nadal nie odpowiada. To ojczym Leili – wyjaśniła.

– Wiem. Widziałam go w domu na plaży, gdy przyjechałam do ciebie pierwszy raz.

– Wydzwaniam do niego od chwili przyjazdu Niki. Wiem, że tam jest. Ale stale ścigają go jacyś wierzyciele, więc nie podnosi słuchawki. Zostawiłam mu sześć wiadomości. Musi wiedzieć, że sprawa jest poważna. Mógłby przynajmniej oddzwonić.

– Posłuchaj. I tak powinnam z nim porozmawiać. Może pojedę do niego i sprawdzę, czy Leila tam jest? Jeśli nie, zacznę się rozglądać na ulicach.

– To nie jest zły pomysł. My zostaniemy tu z Niką na wypadek, gdyby zdecydowała się wrócić do domu. – Crystal wzięła długopis i napisała coś na kartce, którą potem wyrwała z notesu. – To moje numery telefonów i adres oraz telefon Lloyd'a.

– Masz dwie linie?

– Tak. Ta jest prywatna. A tamta służbowa.

Wskazałam na pierwszy numer.

– Zostaw tę wolną. Możesz skorzystać z tej drugiej, kiedy będziesz dzwonić do rodziców przyjaciółek Leili.

– Jeśli znajdziesz Lloyd'a, powiedz mu, proszę, że nie mam ochoty dłużej borykać się z tym sama. Najwyższy czas, żeby przejął część rodzicielskich obowiązków.

Idąc do samochodu, zastanawiałam się, jak dzieciom rozwiedzionych rodziców udaje się przeżyć wszystkie te kłótnie i awantury.

Lloyd mieszkał przy Gramercy Lane, jednej z ulic, które wiły się u stóp wzgórz.

Sprawdziłam na planie Santa Teresa, jak się tam można dostać. Po chwili wiedziałam już, że będę musiała przejechać Gramercy w jakimś miejscu, a potem skrócić i sprawdzić numery domów, by się zorientować, jak trafić do Lloyd'a. Zostawiłam rozłożony plan na fotelu pasażera i przekręciłam kluczyk w stacyjce. Deszcz znów zaczął padać i wielkie krople odbijały się jak piłeczki od maski mojego volkswagena. Włączyłam wycieraczki i spojrzałam na zegarek. Było kwadrans po trzeciej. Listopadowe dni robiły się coraz krótsze, a warstwa ciężkich chmur wisząca nad miastem sprawiała, że zmrok zaczynał zapadać już koło czwartej. Nie ukrywam, że w tej chwili miałam znacznie większą ochotę zaszyć się w ciepłym domu, niż przemierzać miasto w poszukiwaniu zbuntowanej nastolatki.

Przejechałam przez kamienną bramę prowadzącą do Horton Ravine i skręciłam w prawo.

Kiedy zatrzymałam się na pierwszych światłach, raz jeszcze spojrzałam na plan. Gramercy Lane, a przynajmniej jej część, znajdowała się w promieniu trzech kilometrów od posiadłości Purcellów. Jeśli Leila zdecydowała się na podróż autostopem, to jadąc z Malibu na północ autostradą 101, prawdopodobnie poprosiła, by ją wysadzono przy Little Pony Ride, która znajdowała się o parę przecznic na południe. Kiedy zmieniły się światła, wraz ze strumieniem innych samochodów ruszyłam powoli zewnętrznym pasem. Do Little Pony Road miałam mniej więcej półtora kilometra.

Na samą myśl o Leili i jej podróży autostopem zdrzałam. Istniało oczywiście prawdopodobieństwo, że trafiła na przyzwoitych obywateli, ale na drogach nie brakowało też zbrodniców. Czternastoletnia dziewczynka nie zdaje sobie jeszcze sprawy z czających się wszędzie zagrożeń. Napady, gwałty i morderstwa są dla niej jedynie tematami doniesień prasowych, jeśli w ogóle gazety czyta. Perwersja i zboczenie są słowami, których szuka w słowniku, a nie synonimami niebezpieczeństwa. Miałam tylko nadzieję, że jej anioł stróż do końca zachował czujność.

Powoli dojechałam do Little Pony Road. Skręciłam w lewo i ruszyłam w stronę gór, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Wycieraczki na przedniej szybie podskakiwały wesoło, rozcierając zamasyście wielką plamę kurzu i brudu. Minęłam jakąś parę skuloną pod parasolem. Szli po mojej stronie ulicy; widziałam jednak tylko ich plecy. Wypatrywałam samej Leili, więc początkowo nie zwróciłam na nich uwagi. Zauważyłam tylko, że oboje są bardzo młodzi. Dopiero kiedy ich minęłam i spojrzałam w lusterko wsteczne, rozpoznałam jasne włosy Leili i jej długie nogi. Idący z nią chłopak był wysoki i szczupły, ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Niósł przerzucony niedbale przez ramię plecak. Oboje mieli na sobie dżinsy i traperki, a idąc, kulili się przed deszczem. Mogłabym przysiąc, że palą na spółkę skręta. Zwolniłam i zatrzymałam się przy krawężniku przed nimi. W lusterku bocznym zauważyłam, że Leila zawahała się, po czym rzuciła coś na ziemię i przydeptała. Kiedy mijali mój samochód, przechyliłam się i opuściłam szybę od strony pasażera.

– Może cię podrzucić?

Leila pochyliła się do przodu. Spojrzała na mnie i na jej twarzy pojawił się wyraz zmieszania. Wiedziała, że mnie zna, ale nie pamiętała skąd. Towarzyszący jej dzieciak spojrzał

na mnie z mieszaniną wrogości i pogardy. Zauważyłam jasną, gładką cerę, wilgotne od deszczu brązowe włosy i biały podkoszulek pod czarną skórzaną kurtką. Zaskoczył mnie widok piersi, bo zakładałam, że mam do czynienia z chłopakiem. Tymczasem to musiała być Paulie. Widziałam wyraźnie, że wyrośnie na prawdziwą piękność, choć na razie była zaniedbana, a każda cząsteczka jej szczupłego ciała aż kipiała od buntu i pogardy. Na pewno nie była tradycyjnie ładna, ale miała w sobie coś dzikiego, co od razu przykuwało uwagę: ogromne ciemne oczy i wystające kości policzkowe. Utalentowany fotograf obdarzony dobrym instynktem mógłby zarobić fortunę, prezentując światu wizję wojowniczej seksualności, jaką emanowała.

Postanowiłam skoncentrować się na Leili.

– Cześć. Jestem Kinsey Millhone. Poznałyśmy się w zeszły piątek w domu na plaży. Jadę właśnie od twojej mamy. Bardzo się o ciebie martwi. Powinnaś ją zawiadomić, że opuszczasz szkołę.

– Wszystko gra, ale proszę jej powiedzieć, że jestem wdzięczna za troskę – rzuciła pełnym sarkazmu tonem. Na pewno chciała zrobić wrażenie na przyjaciółce, ale trudno zachować buntowniczą postawę, gdy z twarzy spływają strużki deszczu. Dwa pasma włosów przyłgnęły jej do policzka, a tusz do rzęs rozmazał się pod oczami.

– Myślę, że powinnaś sama jej to powiedzieć. Mama musi wiedzieć, że nic ci się nie stało.

Dziewczynki wymieniły spojrzenia. Paulie powiedziała coś konspiracyjnym szeptem. Obie próbowały jakoś wybrnąć z tej trudnej sytuacji i pogodzić się z myślą, że zostały przyłapane.

Paulie zdjęła plecak i podała go Leili. Rzuciwszy szeptem jeszcze kilka słów, ruszyła w stronę autostrady krokiem, który miał sugerować daleko posuniętą nonszalancję.

Leila przysunęła się bliżej do otwartego okna. Powieki miała pomalowane grubą warstwą turkusowego cienia i podkreślone czarnymi kreskami. Ciemnobrązowa szminka była o wiele za mocna dla jej jasnej cery.

– Nie możesz mnie zmusić do powrotu do domu.

– Nie przyjechałam tutaj, żeby cię do czegokolwiek zmuszać – odparłam. – Może będziesz po prostu chciała schronić się gdzieś przed deszczem.

– Zrobię to, jeśli obiecasz, że nie powiesz mamie, kto ze mną był.

– Zakładam, że to Paulie.

Leila nie odpowiedziała, co przyjąłam za potwierdzenie moich przypuszczeń.

– No, wsiadaj. Podrzucę cię do ojca.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym otworzyła drzwi i wsunęła się do środka. Plecak rzuciła na podłogę. Jej wielokrotnie rozjaśniane włosy sprawiały wrażenie sztucznych, a niezwykła mieszanka dredów i warkoczyków musiała przyprawiać władze szkoły o przyspieszone bicie serca. A może w

Fitch panowały nowe zwyczaje? Może była to jedna z tych nowoczesnych szkół, gdzie uczniowie mogą się „swobodnie wypowiadać” także przez udziwniony wygląd i niekonwencjonalne zachowanie. W ciepłym wnętrzu samochodu wyczułam wyraźnie zapach eau de marihuana i woń damskiej bielizny noszonej o parę dni za długo.

Obejrzałam się przez ramię i włączyłam do ruchu, gdy minął mnie strumień samochodów. W

lusterku wstecznym widziałam oddalającą się postać Paulie, która z daleka przypominała figurkę ołowianego żołnierzyka.

– Ile Paulie ma lat? – spytałam.

– Szesnaście.

– Rozumiem, że twoja mama za nią nie przepada. O co chodzi?

– Mamie nie podoba się nic, co robię.

– Dlaczego opuściłaś szkołę bez pozwolenia?

– Skąd wiedziałaś, dokąd pójde? – spytała, omijając zgrabnie kwestię wagarów.

– Twoja mama na to wpadła. Kiedy dotrzemy do telefonu, chcę, żebyś do niej zadzwoniła i powiedziała, gdzie jesteś. Odchodzi w domu od zmysłów. – Nie wspomniałam, że jest też nieźle wkurzona.

– A czemu ty tego nie zrobisz? I tak będziesz z nią rozmawiać.

– Oczywiście. Jesteś nieletnia. Nie zamierzam jeszcze pogarszać twojej sytuacji. – Przez chwilę jechałyśmy w milczeniu. – Nie kapuję, co cię gryzie.

– Nienawidzę Fitch. To właśnie mnie gryzie, jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć.

– Myślałam, że trafiłaś do Fitch, bo sparałaś sprawy w państwowej szkole.

– Tam też nie mogłam wytrzymać. Banda idiotów i zgrywusów. Same młoty, nudziłam się tam na śmierć. Lekcje przypominały kabaret. Mam dużo ciekawszych rzeczy do roboty.

Przejechałyśmy przez autostradę i wjechałyśmy w dzielnicę domów jednorodzinnych South Rockingham.

– A co jest nie tak w Fitch?

– Te dziewczyny to zgraja snobów. Interesuje je tylko, ile forsy zarabiają ich tłuści tatulkowie.

– Myślałam, że masz tam sporo przyjaciółek.



– Nie.

– A Sherry?

Leila spojrzała na mnie ukradkiem.

– Co z Sherry?

– Ciekawa jestem, jak się bawiłaś w Malibu.

– Świetnie. Było bardzo zabawnie.

– A Emily?

– Dlaczego zadajesz mi tyle pytań?

– Twoja mama mówiła mi, że lubisz jeździć konno na ranchu rodziców Emily.

– Emily jest w porządku. Nie jest z tych najgorszych.

– Co jeszcze robiłyście?

– Nic wielkiego. Piekłyśmy grzanki z serem na grillu.

Strzałka na moim wewnętrznym urządzeniu do mierzenia poziomu wciskanego mi kitu zatrzymała się na czerwonym polu. Kiedy miałam tyle lat, ile Leila, kłamałam o wiele lepiej.

– Powiem ci, co o tym wszystkim myślę. Moim zdaniem odpuściłaś sobie obie te wizyty i spędziłaś oba weekendy z Paulie.

– Ha, ha, ha – usłyszałam w odpowiedzi.

– Daj spokój. Mnie możesz powiedzieć. To przecież nic nie zmienia.

– Nie muszę nic mówić, jeśli nie mam ochoty.

– Leila, prosiłaś mnie, żebym trzymała język za zębami. Możesz przynajmniej powiedzieć mi prawdę.

– Jeśli nawet spotkałam się z Paulie, to co z tego? O co ten cały szum?

– A te inne weekendy, które rzekomo spędzałaś u koleżanek ze szkoły?

Znów zapadła cisza. Spróbowałam z innej beczki.

– Jak się poznałyście?

– W izbie dziecka.

– Zatrzymała cię policja? Kiedy?

– Rok temu w lipcu. Zgarnęli całą naszą paczkę.

– Za co?

– Gliny twierdziły, że za włóczęgostwo i wejście na teren prywatny, ale to bzdura. Nic złego nie robiliśmy, snuliśmy się tylko po okolicy.

– Gdzie to było?

– Nie wiem – rzuciła ostrym tonem. – Koło jakiegoś starego domu.

– O której godzinie?

– A co ty jesteś, prokurator okręgowy? Było późno, gdzieś druga nad ranem. Połowa dzieciaków uciekła. Gliniarze zgarnęli resztę. Mama przyjechała po mnie z Dowem. Byli nieźle wkurzeni.

– A Paulie? Czy ona też miała kłopoty z prawem?

– Przejechałaś ulicę taty – powiedziała nagle.

Zwolniłam i wjechałam w najbliższy podjazd, po czym wycofałam. Wróciłam do Gramercy i skręciłam w lewo. Ta część ulicy była bardzo krótka, a wzdłuż niej stał rząd rozpadających się domków, gdzie kiedyś mogli mieszkać robotnicy zatrudniani do zbierania awokado na pobliskich plantacjach. Ulica nie była brukowana, nie było też chodników. Na całej jej długości dostrzegłam tylko jedną latarnię. Leila wskazała mały domek w kształcie litery A, stojący na niewielkim wzniesieniu. Wyróżniał się zdecydowanie wśród znacznie podlejszej zabudowy. Wjechałam na podjazd i zgasiałam silnik.

– Sprawdzisz, czy jest w domu? Chciałabym z nim porozmawiać.

– A o czym?

– O doktorze Purcellu, jeśli nie robi ci to różnicy.

Leila gwałtownie otworzyła drzwi i sięgnęła po plecak. Byłam jednak szybsza i chwyciłam go jedną ręką.

– Zostaw go tutaj. Przyniosę ci go z przyjemnością, jeśli tata będzie w domu.

– Dlaczego nie mogę go sama zabrać?

– To moje zabezpieczenie. Nie chcę, żebyś mi związała. I bez tego masz już dość kłopotów.

Westchnęła ciężko, ale zrobiła, co jej kazałam. Postanowiłam zignorować trzaśnięcie, z jakim zamknęła drzwi samochodu. Patrzyłam, jak zwirowaną ścieżką idzie w stronę domku. Po zboczu

wzgórza płynęły strumienie wody, a pod ich naporem ustępowały źdźbła wysokiej, dawno nie ścinanej trawy. Leila dotarła do werandy osłoniętej prymitywnym drewnianym daszkiem. Zapukała do drzwi i czekała, stojąc z założonymi na piersiach ramionami. Obejrzała się w moją stronę i zapukała jeszcze raz. Nadal nic. Podeszła do okna i zwijając dłoń, zajrzała do środka. Zapukała raz jeszcze, po czym wróciła do samochodu.

– Pewnie zaraz wróci. Wiem, gdzie trzyma klucz, więc mogę na niego poczekać.

– Świetnie. Poczekaam razem z tobą. Możemy posiedzieć w samochodzie.

Nie wydawała się zachwycona moją propozycją. Kopnęła plecak końcem zabłoconego buta.

– Chcę wejść do środka. Muszę zrobić siusiu.

– Dobra. Ja też.

Wysiadłyśmy z samochodu. Zamknęłam drzwi i ruszyłam za Leila. Kiedy dotarliśmy do domu, przesunęła doniczkę z uschniętą pelargonią i wyjęła klucz z tego mało oryginalnego schowka. Czekałam, aż otworzy drzwi i wpuści nas do środka.

– Czy ojciec wynajmuje ten dom?

– Nie. Tylko się nim opiekuje. Dom należy do jego przyjaciela, który wyjechał na Florydę, ale wraca już w przyszłym tygodniu.

Wnętrze domku zajmował właściwie jeden duży, wysoki pokój. Po prawej stronie wąskie schodki prowadziły na antresolę. Drewniane meble były dość prymitywne, przykryte imitacjami indiańskich dywaników. Podłóg z surowego drewna nie przykrywał żaden chodnik i słyszałam, jak pod podszewkami moich butów trzeszczy żwir. Stary czarny piec pachniał popiołem. Lada oddzielała pokój od kuchni, która nawet z tej odległości wyglądała na straszliwie zapuszczoną i brudną.

Zauważyłam stojący na małym stoliku telefon.

– Chcesz zadzwonić do mamy, czy ja mam to zrobić?

– Ty zadzwoń. Ja idę do łazienki. Nie martw się, na pewno nie ucieknę.

Kiedy wyszła, połączyłam się z Crystal. Związana obietnicą, nie wspomniałam na razie ani słowem o Paulie.

– Zostanę tutaj do powrotu Lloyda. Jeśli zrobi się późno, postaram się przekonać Leilę, żeby wróciła do domu.

– Szczerze mówiąc, jestem na nią tak wściekła, że nie bardzo mam ją ochotę oglądać.

Poczuję się trochę lepiej, jak zrobię sobie drinka. Anica zadzwoni do szkoły. Nie mam jednak pojęcia, co im powie. Leili dobrze by chyba zrobiło, gdyby ją zawiesili w prawach ucznia, a może

nawet wyrzucili.

– Dobra – odparłam. – Będę cię informować o dalszych postępach w rozmowach. Życz mi szczęścia.

Usłyszałam szum spuszczonej w toalecie wody. Leila wyszła z małej łazienki pod schodami.

– Co powiedziała?

– Niewiele. Na pewno nie skacze ze szczęścia.

Leila podeszła do kanapy. Ignorując mnie zupełnie, otworzyła plecak i wyjęła zapinaną na zamek kosmetyczkę. Znalazła tam puderniczkę i zaczęła się przeglądać w lusterku. Wytarła rozmazany pod oczami tusz.

– Cholera jasna. Wyglądam do dupy. – Schowała puderniczkę z powrotem. Wzięła ze stolika pilota i włączyła telewizor. Spojrzawszy na mnie, wyciszyła dźwięk.

– W twoim wieku byłam dokładnie taka sama.

– Super. Mogę zapalić?

– Nie.

– Dlaczego? To tylko słomki.

– Leila, nie drażnij się ze mną. I bez tego paskudnie tu śmierdzi. Opowiedz mi o Dowanie. I proszę cię, przestań się stawiać. Mam już tego dość.

– A co chcesz wiedzieć?

– Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– Nie zaprzęłam sobie głowy takimi rzeczami.

– Pomogę ci. Dwunastego września był piątek. Emily zachorowała i odwołała wizytę, więc musiałaś wrócić. Byłaś w domu na plaży?

– Nie. Tutaj.

– Pamiętasz, co robiłaś tego wieczoru?

– Prawdopodobnie oglądałam wideo, bo zwykle to robię. A co?

– Ciekawa jestem, kiedy ostatni raz rozmawiałaś z Dowanem.

– A skąd mam to wiedzieć? Staram się w ogóle z nim nie rozmawiać.

– Musicie to robić od czasu do czasu. Jest przecież twoim ojczymem.

– Wiem, kim jest – rzuciła. – Myślałam, że nie wolno ci przesłuchiwać dziecka pod nieobecność rodziców.

– To dotyczy tylko przypadków, gdy dziecko zostaje zatrzymane przez policję.

– A ty kim jesteś?

– Prywatnym detektywem. Phillipem Marlowem w przebraniu. – Z wyrazu jej twarzy wywnioskowałam szybko, że Phillipa Marlowe’a uważa za zespół rockowy, ale jest na tyle bystra, by się do tego nie przyznawać. – Ile miałaś lat, gdy mama wyszła za Dowa?

– Jedenaście.

– Lubisz go?

– Jest w porządku.

– Jak się wam układa?

– A jak sądzisz? Jest stary. Nosi sztuczną szczękę. Śmierdzi mu z ust i wprowadza mnóstwo idiotycznych zasad: „Masz być o dziesiątej w łóżku. Nie życzę sobie, żebyś spała do południa.

Pomagaj matce opiekować się bratem” – mówiła, naśladowując ton Dowa. – Zaraz mu powiedziałam, że od tego jest Rand, a ja nie jestem jej pieprzoną służącą. Muszę mieć idealne stopnie, bo inaczej mam szlaban na wyjścia z domu. Nie pozwala mi nawet mieć własnego telefonu.

– Masz rację, to drań – stwierdziłam. – Gdzie twoim zdaniem teraz jest?

– W Kanadzie.

– To ciekawe. A dlaczego tak sądzisz?

Wpatrywała się w ekran, przeskakując z kanału na kanał.

– Leila?

– Co!

– Pytałam, dlaczego sądzisz, że Dowa jest w Kanadzie.

– Bo jest totalnym zerem – rzuciła. – Przejmował się tylko tym, czy dobrze wygląda.

Słyszałam, jak rozmawiał przez telefon z jakąś babą. Jakies sześć miesięcy temu w klinice zjawili się ci ludzie. Zaczęli sprawdzać sprawozdania finansowe i karty pacjentów. Myślałam, że się zesra ze strachu. Mógł chyba za to trafić do pudła, więc postanowił szybko się stąd zmyć.

– Z kim rozmawiał?

– Nie wiem. Nie wymienił jej imienia, a ja nie rozpoznałam głosu. Usłyszał wtedy, że podniosłam słuchawkę, więc nic więcej już nie powiedział, dopóki jej nie odłożyłam.

– Podśluchiwałaś?

– Byłam u siebie w pokoju. Chciałam zadzwonić. Skąd miałam wiedzieć, że on rozmawia?

– Kiedy to było?

– Parę tygodni przed jego zniknięciem.

– Powiedziałaś o tym policji?

– Nikt mnie nie pytał, a poza tym to tylko domysły. Mogę teraz pooglądać telewizję?

– Jasne.

Przycisnęła guzik na pilocie i w pokoju zagrzmiało MTV.

Poszłam do łazienki, która wcale nie była tak obskurna, jak myślałam. Zamknęłam drzwi.

Wyglądało na to, że Lloyd czynił skromne starania, by wanna i umywalka pozostawały względnie czyste. Woda w spluczce była niebieska dzięki kostce dezynfekującej zawieszanej w zbiorniku. Kiedy już załatwiłam swoją potrzebę, zajrzałam do szafki na lekarstwa i sprawdziłam zawartość kosza na brudną bieliznę.

Po powrocie do pokoju znalazłam Leilę w tym na wpół hipnotycznym stanie, jaki zazwyczaj wywołuje oglądanie telewizji. W domku robiło się coraz ciemniej, więc włączyłam światła. Jako że Leila nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi, skorzystałam z okazji i przeszukałam biurko.

Większość szuflad pełna była śmieci należących do właściciela domku. W zasadzie nie szukałam niczego szczególnego, ale nie mogłam się oprzeć pokusie, żeby nie wetknąć nosa w nieswoje sprawy. Przerzuciłam plik rachunków Lloyda; termin płatności już dawno minął. Po chwili przeniosłam się do kuchni. W lodówce nie znalazłam wiele, za to spiżarnia była o wiele lepiej zaopatrzona od mojej. Makaron, słoiki z sosem, zupy w puszkach, przyprawy, masło orzechowe, dziwne pomarańczowe kluski z serem, które znajdują uznanie wyłącznie u dzieci i psów. No cóż, muszę przyznać, że się nudziłam i byłam coraz bardziej głodna.

Przeszłam przez pokój i stromymi schodkami wspięłam się na antresolę, spoglądając w dół

przez poręcz. Leila nie odrywała oczu od migających na ekranie kolorowych obrazków. Nie mogłam uwierzyć, że pozwala mi tu myszkować do woli. Łóżko Lloyda nie było zaścienione. Na stoliku stała duża fotografia przedstawiająca go razem z Leilą. Wzięłam ją do ręki i przyjrzałam się dokładnie. Musiała zostać zrobiona podczas przyjęcia urodzinowego, gdyż Lloyd i Leila siedzieli przy stole w kuchni, a przed nimi stał rozpływający się lekko tort czekoladowy ze świeczkami. Przytulali się do siebie głowami, wykrzywiając się komicznie do obiektywu. Prawe ucho Lloyda było przekłute. Na stole widniała też mała paczuszka, a Lloyd trzymał przy uchu nowy koleczyk – małą złotą trupa

czaszkę i skrzyżowane pod nią kości – najwyraźniej prezent od Leili. Trudno było ocenić, kiedy zrobiono to zdjęcie. Sądząc po włosach Leili, nie dalej jak przed rokiem.

Przeszukanie szuflad komody nie przyniosło żadnych ciekawych zdobyczy poza odkryciem imponującej kolekcji bokserek. Odwróciłam się i rozejrzałam dookoła. Przy oknie na statywie stał teleskop, który mnie bardzo zainteresował. Podeszłam do okna i wyrzałam na zewnątrz jeszcze nieuzbrojonym okiem, by zorientować się w okolicy. Nie wiedziałam, gdzie jestem, i nie miałam pojęcia, co Lloyd mógł stąd oglądać. Zaskoczona uświadomiłam sobie, że domek stoi po drugiej stronie zbiornika wodnego, który oddziela go od rezydencji Fiony Purcell. Przez mgłę i padający deszcz dostrzegłam zarys jej domu, przyczepionego do wzgórza niczym forteca. Lloyd oglądał z okna góry, podczas gdy Fiona mogła podziwiać ocean i odległe o czterdzieści kilometrów wyspy. Pochyliłam się i mrużąc oczy, spojrzałam przez obiektyw teleskopu.

Wszystko było czarne. Zdjęłam klapkę ochronną, co znacznie poprawiło widoczność, choć początkowo widziałam tylko własne oko. Krajobraz za oknem był jedną wielką plamą, a przedmioty zniekształcone przez ogromne powiększenie.

Podniosłam głowę i znalazłam mechanizm ustawiający ostrość obrazu. Raz jeszcze spojrzałam przez obiektyw i poruszyłam gałką. Natychmiast rozmazany gdzieś daleko brzeg stał

się ostry i wyraźny. Głaz i złobiące go rysy widziałam tak wyraźnie, jakby kamień leżał o pół

metra ode mnie. Powierzchnia wody marszczyła się tam, gdzie spadały krople deszczu. Po prawej stronie zauważyłam jakiś ruch i przesunęłam obiektyw o parę milimetrów.

Trudy, znana mi już suczka, oszczekiwała zawzięcie jakiś patyk. Widziałam, jak otwiera i zamyka pysk niczym przedstawiająca psa kukielka. Przez okno nie dobiegał do mnie żaden dźwięk. Całym jej kosmatym ciałem wstrząsało podniecenie znaleździem. Miała zabłocone łapy, a na jej sierści osiadły krople deszczu. Tuż za Trudy ciągnęła się wydeptana ścieżka i dostrzegałam wyrwane z korzeniami młode sadzonki. Może ktoś przejechał tędy przyczepą z łodzią, by potem zwodować ją na powierzchni zbiornika. W oddali usłyszałam cichutki dźwięk gwizdka właścicielki psa, a potem jej ledwie słyszalny okrzyk: „Trudy! Truuudy!”.

Psina obejrzała się z żalem, rozdarta pomiędzy ceną zdobyczą a nakazem posłuszeństwa. To drugie okazało się jednak silniejsze. Pobiegła, podskakując w górę i zniknęła za krawędzią drogi.

Przesunęłam obiektyw na dom Fiony, gdzie od czasu do czasu zapalały się światła, włączane prawdopodobnie przez specjalnie programowane urządzenie. W oknie sypialni nie widać było żadnego ruchu. Dziwne, że mieszka tak blisko. Mogłabym niemal wyciągnąć rękę i dotknąć jej szyby, ale samochodem musiałabym jechać ponad dwa kilometry. Brzeg jeziora zajmowany przez Fionę szczylił się wystawnymi, eleganckimi domami, podczas gdy z tej strony był

zapuszczony i zrujnowany. Ciekawe czy Lloyd wie, czyj dom ma tuż pod nosem. Może podgląda, jak Fiona rozbiera się wieczorem w sypialni.

Raz jeszcze przesunęłam obiektyw, czując się jak ptak lecący nad gładką powierzchnią zbiornika.

Zatrzymałam się przy wąskim końcu, gęsto zarośniętym roślinnością. Stała tam tablica ostrzegawcza. Mogłam bez trudu dojrzeć większe litery. Kąpiel i pływanie łódkami były surowo zabronione. Szybko robiło się coraz ciemniej, a ja nagle zeszywniałam. Podniosłam wzrok i wpatrywałam się w zapadającą ciemność. Co to było?

Zamknęłam oczy, a gdy otworzyłam je ponownie, poczułam niewielką zmianę w polu widzenia, jakbym przeprowadzała test mający sprawdzić, które oko jest dominujące. Podczas takich testów zakrywasz lewe oko dłonią i patrzysz na palec wskazujący prawej ręki trzymany na odległość ramienia. Potem odkrywasz lewe oko i zakrywasz prawe. Kiedy będziesz patrzeć okiem dominującym, położenie palca się nie zmieni. W drugim przypadku poczujesz, jakby palec odskoczył lekko na bok. Ale tak naprawdę nic się przecież nie zmienia, jedynie twój mózg odnotowuje różnicę. Poczułam nagłe ukłucie niepokoju i serce zaczęło mi walić jak szalone.

Odwrociłam się i szybko zbiegłam po schodkach. Leila otrząsnęła się z transu na tyle, by obrzucić mnie niedbałym spojrzeniem. Leżała wyciągnięta na kanapie, opierając o poręczę stopy w skarpetkach. Zabłocone traperki stały na podłodze.

– Muszę wyjść na parę minut – powiedziałam. – Dasz sobie sama radę?

– Zawsze jestem tu sama – odparła urażona.

– Świetnie. To nie potrwa długo, ale będę ci wdzięczna, jeśli do mojego powrotu nigdzie się stąd nie ruszysz, dobra?

– Dobra. – Znow skierowała całą swoją uwagę na ekran i zaczęła przeskakiwać kanały. W końcu zdecydowała się na kreskówkę z Tomem i Jerrym.

Zamknęłam za sobą drzwi wejściowe i ruszyłam błotnistą ścieżką do samochodu. Robiło się coraz ciemniej i chłodniej. Deszcz nie zacinał zbyt mocno, ale i tak był denerwujący.

Otworzyłam drzwiczki i wsunęłam się za kierownicę. Pochyliłam się i otworzyłam schowek.

Wyjęłam stamtąd latarkę i z radością przekonałam się, że nadal działa. Położyłam ją na fotelu pasażera i wycofałam samochód z wąskiego podjazdu. Po chwili wjechałam w główną ulicę. Na skrzyżowaniu skręciłam w prawo, przejechałam może kilometr i raz jeszcze skręciłam w prawo w Old Reservoir Road. Zaczęłam się mozolnie piąć do góry.

Zakręty wyglądały znajomo, ale jechałam z bijącym mocno sercem, żalując, że przed wyjściem z domu raz jeszcze nie poszłam do łazienki. Strach jest niesamowicie moczopędny.

Wysoko nad sobą zobaczyłam dom Fiony i zaparkowałam na poboczu. Chwyciłam latarkę, wysiadłam i ruszyłam przed siebie. Było jeszcze na tyle jasno, że widziałam przed sobą ścieżkę.

Wspięłam się na porośnięte wilgotną trawą wzgórze, ślizgając na błotnistej dróżce. Raz o mało nie straciłam równowagi. Zatrzymałam się na szczycie wzgórza i nad taflą wody spojrzałam na dom Lloyda. Jaśniejące w oknach światło sprawiało, że domek wyglądał jak mała kapliczka usadowiona



bezpiecznie na przeciwległym wzgórzu. Miałam tylko nadzieję, że Leila nie zniknie podczas mojej nieobecności.

Schodzenie ze wzgórza było jeszcze bardziej niebezpieczne. Na w górę idąc, na w górę

zjeżdżając, dotarłam w końcu na dół i włączyłam latarkę. Wokół było bardzo cicho, a w powietrzu unosił się zapach wilgoci. Przy brzegu woda wydawała się zupełnie czarna i nie widać było żadnych niebezpiecznych prądów. Gdzieś tam widziałam ślady łap Trudy. Przejechałam latarką po brzegu, by odnaleźć widziany z okna głaz i wydeptaną ścieżkę. Z mojego miejsca nie widziałam drogi. Skierowałam latarkę na powierzchnię wody, szukając płycizn. Dno zbiornika w pewnym miejscu gwałtownie opadało, ale mimo to dostrzegłam zarys chromowanego zderzaka lśniący w ciemności niczym ukryty skarb. Nie udało mi się odczytać napisu na tablicy rejestracyjnej, ale wiedziałam, że ciemna woda skrywa zazdrośnie bagażnik srebrnego mercedesa Dowa Purcella.

Miejsce wypadku przypomina nocą jarzący się od świateł uliczny jarmark. O ósmej było już prawie całkiem ciemno. Samochód koronera, furgonetka-laboratorium i ford sedan stały zaparkowane na poboczu. Obok nich migały czerwono-niebieskie światła na dachach dwóch wozów patrolowych, a z radia raz po raz padały rzucane ostrym głosem komendy. Dwaj umundurowani policjanci byli pogrążeni w rozmowie, a policyjny dyspozytor ostrym głosem przekazywał listę wykroczeń i zbrodni, popełnianych właśnie na ulicach miasta: skargi z powodu hałasu, domowa burda w sąsiedniej dzielnicy, włamanie, pijak sikający na ulicy. Santa Teresa liczy osiemdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców, a celem przestępców częściej staje się własność prywatna niż ludzie.

Pięć minut po znalezieniu zatopionego mercedesa wbiegłam na wzgórze i skierowałam się w stronę schodów prowadzących do domu Fiony. Przeskakiwałam po dwa stopnie naraz, nie zatrzymując się wcale, by złapać oddech. Wreszcie stanęłam przed drzwiami i zaczęłam walić w nie pięścią i przyciskać guzik dzwonka. Nie chciałam zostawiać miejsca zbrodni bez nadzoru, ale musiałam przecież zawiadomić policję. Zadzwoiłam raz jeszcze. Po chwili doszłam do wniosku, że Fiona nie wróciła jeszcze do domu. Obserwując jej dom z sypialni Lloyda, nie dostrzegłam przecież żadnych śladów jej obecności. Aby się do końca upewnić, przebiegłam na tył domu. Na podjeździe nie stał żaden samochód, a drzwi do garażu były zamknięte.

Najbliższy sąsiad Fiony mieszkał po drugiej stronie ulicy. Zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że pukanie do przypadkowych drzwi może się okazać bezskuteczne. Co prawda nie było jeszcze późno, ale zapadł już zmrok. Wszyscy na pewno znali opowieści o bandytach, którzy pod byle pretekstem wdzierają się do domów swoich ofiar. Nie miałam jednak wyboru. Mogłam tylko wskoczyć szybko do samochodu i starać się znaleźć automat telefoniczny. Przycisnęłam guzik dzwonka, powtarzając cały czas w duchu: Proszę, bądź w domu. Otwórz. Pomóż mi. Zajrzałam do środka przez oszklone boczne drzwi. Widziałam, że ktoś rusza się w kuchni, prawdopodobnie przygotowując kolację. Nagle w holu pojawiła się kobieta i podeszła do frontowych drzwi.

Pomachałam do niej, starając się wyglądać jak praworządny obywatel, a nie jakiś maniak opętany żądzą zbrodni. Ubrana w sweter i spodnie kobieta była w średnim wieku. W pasie zawiązała kuchenny fartuszek. Jeśli była zaskoczona moim nagłym pojawieniem się na progu, to nie zdradziła tego ani jednym gestem. Zapaliła światło na werandzie i przyglądała mi się badawczo.

Zaczęłam mówić bardzo głośno w nadziei, że usłyszy mnie przez drzwi.

– Jestem znajomą Fiony. Nie ma jej w domu, a ja muszę zadzwonić.

Zauważyłam, jak obrzuca spojrzeniem posesję sąsiadki. Upewniła się, że łańcuch jest dobrze założony, i uchyliła drzwi. Nie pamiętam już, co jej powiedziałam i jakich argumentów użyłam, ale musiało to zabrzmieć bardzo przekonująco, gdyż wpuściła mnie do środka i bez słowa zaprowadziła do telefonu.

Siedem minut później zjawił się pierwszy czarno-biały wóz patrolowy.

Minęły niecałe dwie godziny, gdy na drogę wyszli mieszkańcy okolicznych domów. Stali zbici w

niewielkich grupkach, chroniąc się od deszczu parasolami. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Najwyraźniej ktoś puścił w obieg informację, że znaleziono samochód doktora. W

normalnych okolicznościach mieszkańcy nie mieli okazji spotykać się zbyt często. Domy stały w pewnym oddaleniu od siebie, właściciele w większości pracowali, więc ich ścieżki rzadko się krzyżowały. Teraz czekali cierpliwie we włożonych pospiesznie płaszczach i butach, jakby połączeni wspólną troską spełniali jakiś magiczny rytuał. Przed podejściem bliżej powstrzymywała ich prowizoryczna zapora z plastikowych płótków i taśmy. Stamtąd, gdzie stali, nie mogli wiele zobaczyć. Prowadząca w strony miasta droga była ciemna, gdyż nie zainstalowano tu latarni. Za ostatnim zaułkiem rozciągały się już tylko mroczne i posępne wzgórza porośnięte szalwią i niskimi, kolczastymi krzewami.

Zmarznięta siedziałam w samochodzie. Od czasu do czasu zapalałam silnik, żeby nagrzać trochę wnętrze i przejechać wycieraczkami po szybie. Monotonny stukot kropel deszczu o dach działał straszliwie usypiająco. Po mojej prawej stronie pod kątem trzydziestu stopni wyrastało wzgórze, by po jakichś stu metrach zacząć powoli opadać w stronę jeziora. Znad powierzchni wody unosił się blask reflektorów oświetlający parę niskich drzew przy samym brzegu. Od czasu do czasu pojawiała się też sylwetka policjanta. Rozmawiałam chwilę z detektywem Odessą zaraz po tym, jak zjawił się na miejscu wypadku. Poprosił, żebym została. Wyjaśnił, że skorzystają z pomocy nurka, by obejrzeć dokładnie wnętrze samochodu przed wyciągnięciem go na powierzchnię. Po chwili ruszył w dół długim zboczem, a ja cierpliwie czekałam.

W pewnym momencie pojawiła się Leila w towarzystwie ojczyma, który wrócił do domu w czasie, gdy ja odkrywałam leżący na dnie zbiornika samochód Dowa. Stali razem z boku pod czarnym parasolem, trzymając się z dala od sąsiadów. Domyśliłam się, że zwabił ich tu blask reflektorów i szybko wskoczyli do samochodu Lloyda. Przynajmniej tym razem na twarzy Leili nie malował się wyraz znudzenia ani pogardy. Z grubą warstwą cienia na powiekach i mocno wytuszowanymi rzęsami wyglądała jak wielkookie, porzucone na pastwę losu dziecko. Stojąc w ciemnościach, nie mogła opanować drżenia. Wiedziałam, że powinnam podejść i przedstawić się Lloydowi, ale nie mogłam się do tego zmusić. Niedaleko przy drodze dostrzegłam dwie ekipy z kamerami, jedną z KWST-TV, drugą z KEST-TV. Blond reporterka z KEST już zbierała materiały i wywiady do wiadomości o jedenastej. Stała pod dużym czarnym parasolem i rozmawiała z jednym z sąsiadów. Nie zauważyłam innych dziennikarzy, ale na pewno gdzieś się tutaj kręcili.

Przekręciłam trochę lusterko wsteczne i obserwowałam, jak zza rogu wyłaniają się dwa reflektory samochodu. Miałam nadzieję zobaczyć w nim Fionę, ale okazało się, że jest to białe volvo Crystal. Zbliżając się do miejsca wypadku, zwolniła. Poczekała chwilę, aż minie ją grupka ludzi, po czym zaparkowała na poboczu tuż przede mną.

Chwyciłam leżącą na tylnym siedzeniu pelerynę. Opuściłam ciepłe wnętrze volkswagena i trzymając ją nad głową, podeszłam do samochodu Crystal. Odwróciła się, a kiedy mnie rozpoznała, opuściła szybę. Była bardzo blada, włosy związała niedbale w węzeł na karku.

Zamiast eleganckich czarnych spodni i swetra miała teraz na sobie wciągnięte w pośpiechu dzinsy i szarą bluzę z reklamą naszej siłowni.

– Byłam już w szlafroku, kiedy zjawiała się u mnie policja – powiedziała. – Sierżant chciał

mnie tu przywieźć samochodem, ale wolałam mieć własny środek transportu. Co się tu dzieje?

– Nic wielkiego. To gorsze niż plan filmowy. Ci ludzie stoją tu i gapią się nie wiadomo na co. Gdzie jest Anica?

– Musiała wrócić do szkoły. Wskakuj.

– Dzięki – powiedziałam. Otworzyłam drzwiczki i wsunęłam się na przednie siedzenie. Na tylnym przypięto fotelik Griffitha, zasypywany lawiną okruchów ciasteczek i połamanych precelków. Plastikowa butelka z sokiem jabłkowym zostawiła lepki ślad w miejscu, gdzie oparłam rękę. Na podłodze u moich stóp leżała różowa pluszowa wiewiórka. Wyobraziłam sobie, jak malec, siedząc w foteliku, rozrzuca dookoła wszystko, co wpadnie mu w ręce. W

samochodzie pachniało kwiatowo-korzennymi perfumami Crystal.

– Jak się czujesz? – spytałam.

– Jestem jak otępiała.

– Samochód mógł zostać tu porzucony – rzuciłam bez związku.

– Miejmy nadzieję, że tak było. – Przekręciła lusterko w swoją stronę i wytarła rozmazany tusz pod okiem. Wyciągnęła się potem wygodnie w fotelu i zamknęła oczy. Patrząc na nią z profilu, zauważyłam mocno nieregularne rysy. Nos był zbyt ostry, a dolna szczęka zbyt szeroka przy wąskim czole. „Zrobiona” wyglądała o wiele lepiej niż w tej chwili.

– Kiedy się tu zjawiaś? – spytała jakby przez sen.

– Dawno temu. O szóstej.

– Powiedzieli mi, że nie muszę się spieszyć. Oglądałam telewizję, gdy policjant zadzwonił do drzwi.

– Szczęściara z ciebie. Ja umieram z głodu. Nie jadłam kolacji. Zjem chyba zaraz własną rękę.

Crystal sięgnęła do schowka.

– Proszę. – Wyjęła lekko sfatygowany batonik czekoladowy i podała mi go. – Jak znaleźli samochód?

– To ja go zauważyłam i zaraz wezwałam policję. Gliny zajmują się tam teraz Bóg jeden wie czym. – Odwinęłam papierek. W powietrzu rozeszła się woń czekolady. Połamałam batonik na kawałki i wsunęłam jeden do ust. Rozkosznie rozpływał się na języku.

– Skąd wiedziałaś, że to jego samochód?

– Ma bardzo charakterystyczną tablicę rejestracyjną.

Przez chwilę nie odzywałyśmy się ani słowem. Crystal włączyła radio, ale zaraz zmieniła zdanie i przekręciła gałkę z powrotem. Deszcz delikatnie uderzał o dach samochodu, niczym perkusista przesuwający miotełkami po talerzach. W samochodzie zapanowała dziwnie intymna atmosfera. Obie znalazłyśmy się w niezwykłych okolicznościach, w nieznanym otoczeniu, połączone wspólnym oczekiwaniem.

– Rozumiem, że jeszcze nie wydobyli samochodu z wody – powiedziała w końcu Crystal.

– Czekają na ciężarówkę z wyciągarką. Odessa powiedział, że natychmiast da nam znać, jeśli coś znajda. – Zjadłam jeszcze jeden kawałek batonika, a resztę wsunęłam do torby.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach, na próżno próbując trochę się rozgrzać.

Crystal westchnęła, lecz kryło się w tym coś jeszcze: napięcie, niecierpliwość, zwykłe znużenie.

– Wiedziałam, że on nie żyje. To jedyne rozsądne wytłumaczenie. Mówiłam ci, że nigdy nie porzuciłby Griffa.

– Crystal, jeszcze nie wydobyli samochodu. Nawet nie wiemy, czy on jest w środku.

– Jest. Leila zupełnie się załamie.

– Dlaczego? Przecież go nie lubi.

– Jasne, że nie. Traktowała go jak powietrze, ale mimo wszystko nie wiem, jak sobie z tym poradzi.

Zawahałam się, ale bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej. Crystal jeszcze nigdy nie wydawała się tak bezbronna i to mogła być moja jedyna szansa.

– Co ją tak wścieka?

– Sprawa jest zbyt skomplikowana, żeby ją teraz roztrząsać.

– Nic nie jest zbyt skomplikowane, jeśli on nie żyje.

Crystal wyprostowała się i odwróciła w moją stronę.

– Dlaczego miałabym ci mówić? Przecież nie pracujesz dla mnie.

– Ale nie jestem też przeciwko tobie. Na czym polega problem Leili?

– Czemu tak cię to martwi?

– Nie martwi, jeśli tak chcesz to ująć, ale możesz być pewna, że cała sytuacja znacznie się pogorszy.

– W to nie wątpię – odparła. A po dłuższej chwili dodała: – Leila już dość przeszła w życiu.

Potrzebuję pomocy, żeby sobie z tym poradzić.

– Chodzi do psychoanalityka?

– Od lat. Początkowo trzy razy w tygodniu. Teraz jest już lepiej i może go odwiedzać tylko dwa razy w miesiącu, gdy przyjeżdża do domu ze szkoły.

– Lekarz przyjmuje ją w weekendy?

– To lekarka.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że psychiatrzy aż tak bardzo przejmują się pacjentami.

– Ona tak. Rewelacyjnie radzi sobie z dziećmi. To już piąta lekarka w karierze Leili.

Naprawdę byłam u kresu wytrzymałości.

– Jak ją znalazłaś?

– Choć raz miałyśmy szczęście. Anica chodziła z Charlotte Friedman do szkoły. Jej mąż przeszedł na emeryturę i przenieśli się tutaj z Bostonu.

– Co gryzie Leilę? Nadal nie bardzo rozumiem.

Crystal wyraźnie walczyła ze sobą. Patrzyła prosto przed siebie, a gdy zaczęła mówić, jej głos brzmiał bezbarwnie jak stara płyta gramofonowa.

– Miałam synka, który utonął. Był to ogromny wstrząs dla nas wszystkich, a dla mnie i Lloyda początek końca. Po pewnych przejściach nigdy nie można dojść do siebie. Jednym z nich jest śmierć dziecka.

– Co się stało?

– Jordie, mój maleńki, miał półtora roku. Pewnego wieczoru musiałam iść do pracy i zostawiłam go pod opieką sąsiadki. Rozmawiała przez telefon, a Jordie wyszedł przed dom i wpadł do basenu. Kiedy go znalazła i wezwała pogotowie, było już za późno.

– Tak mi przykro.

– Myślałam, że umrę, ale Leila przeżyła to jeszcze mocniej. Dzieci nie są przygotowane na stratę najbliższych. Nic nie rozumieją i trudno im wytłumaczyć pojęcie śmierci w jasnych i zrozumiałych dla nich kategoriach. Nigdy nie byłam religijna. Nie chciałam opowiadać jej bajek, w które sama nie wierzyłam. Doktor Friedman twierdzi, że w obliczu śmierci rodzeństwa niektóre dzieci zachowują się, jakby nic się nie stało. Inne, jak Leila, zaczynają przedstawienie.

Sama widziałaś, jaka jest trudna. Zbuntowana. Pełna sprzecznych emocji. Rozmawiałam z lekarką, oczywiście za zgodą Leili. Charlotte jest zdania, że zachowanie Leili jest formą budowania bariery

pomiędzy nią a światem, który uznała za okrutny i zdradziecki. Jeśli nie będzie jej na nikim zależeć, to nikt nie będzie jej w stanie zranić. Zdaję sobie sprawę, że za bardzo staram się ją osłaniać. Nie wiem nawet, jak jej powiedzieć o tym wszystkim.

– Ona tutaj jest. Nie widziałaś jej? Stoi z Lloydem.

Crystal wyprostowała się gwałtownie.

– Nie miałam pojęcia. Gdzie?

– Po drugiej stronie drogi, jakieś trzy samochody za nami. Tam przynajmniej widziałam ich jakiś czas temu.

– Lepiej sprawdzę, jak to wszystko znosi. – Crystal sięgnęła po duży czarny parasol leżący na podłodze. Uchyliła drzwiczki samochodu i przycisnęła guziczek automatycznego zamka.

Parasol rozwinął się z szumem.

– Dzięki za batonik. Uratowałaś mi życie.

– Nie ma sprawy.

Nadjechała ciężarówka z wyciągarką, oświetlając potężnymi reflektorami drogę aż do następnego zakrętu. Otworzyłam drzwiczki samochodu, rozłożyłam pelerynę nad głową i wysiadłam. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, jak z szoferki ciężarówki wyskakuje pomocnik kierowcy. Crystal minęła go, idąc wzdłuż drogi, a kierowca zakręcił i zaczął powoli wjeżdżać na zbocze. Ciężkie opony żłobiły dwie głębokie koleiny w wilgotnej trawie. Kierowca obejrzał się przez ramię, jedną rękę nadal trzymając na kierownicy. Jego pomocnik gwizdnął przeciągle i zaczął mu dawać znaki, pokazując kąt nachylenia zbocza. Blondwłosa reporterka zauważyła Crystal i zrobiła ruch w jej stronę. Crystal potrząsnęła jednak głową, dając jej do zrozumienia, by nie podchodziła.

Wróciłam do swojego samochodu i przekręciłam kluczyk w stacyjce. Deszcz zdążył się już zamienić w lodowatą mgiełkę i osiadał na ubraniach gapiów, nadal cierpliwie stojących przy drodze. Pod moją nieobecność w samochodzie znacznie się oziębiło, a słabutki ciepły podmuch z grzejnika był równie skuteczny jak mój własny oddech. Patrzyłam, jak ciężarówka ślizga się po zboczu, a potem wjeżdża na szczyt wzgórza. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, w jaki sposób zdołają wydobyć mercedesa z wody, a potem wciągnąć go na górę.

Odwróciłam się, by sprawdzić, jak sobie radzi Crystal. Dotarła już do Leili stojącej na poboczu wraz z Lloydem, który obejmował ją ramieniem. Leila zauważyła Crystal i natychmiast rzuciła się prosto w jej ramiona. Crystal objęła ją i mocno przytuliła, chowając twarz we włosach córki. Po chwili zaczęli się we trójkę naradzać. Leila wyglądała na załamana, ale z twarzy Lloyd'a trudno było cokolwiek wyczytać. Nie wiadomo, co było przedmiotem ich rozmowy, ale Crystal wyraźnie postawiła na swoim. Wracając do samochodu, matka i córka minęły mój samochód.

Crystal mówiła o czymś z wielkim przekonaniem, a Leila szlochała. Patrzyłam, jak Crystal otwiera przed córką drzwiczki, po czym obchodzi volvo od tyłu, by wsunąć się za kierownicę.

W lusterku wstecznym obserwowałam bacznie Lloyda, który ruszył w stronę własnego samochodu z pochyloną głową i rękami w kieszeniach dżinsów. Może oboje z Crystal ostro rywalizowali o tytuł tego lepszego z rodziców? Nagrodą była Leila, a w tej rundzie Lloyd musiał

się to końcu poddać. Zauważyłam, jak zapala papierosa, i po chwili w wilgotnym powietrzu poczułam zapach dymu. Ciekawe, jak daleko musiałabym odejść od samochodu, by móc spokojnie zrobić siusiu i nie zostać oskarżoną o obnażanie się w miejscu publicznym.

Na szczycie wzgórza pojawił się detektyw Odessa w dużej kurtce z kapturem i zaczął ostrożnie schodzić w dół. Zauważył volkswagena i ruszył w moją stronę. Pochyliłam się i opuściłam szybę o parę centymetrów. Zajrzał do środka. Jego kurtka lśniła od wilgoci, a wzdłuż szwów płynęły małe strumyczki wody. Detektyw miał zdecydowanie za duży nos, a jego kształt sprawiał, że nie można było uznać Odessy za uderzająco przystojnego mężczyznę. Wskazał

gestem na rząd świateł na szczycie wzgórza.

– Chciałbym, żebyś spotkała się z detektywem Paglą.

– Nie ma sprawy – odparłam. Podkreśliłam okno i zgasiłam silnik. Wysiadłam i szybko włożyłam pelerynę. Razem ruszyliśmy pod górę, ślizgając się na trawie. Odessa trzymał mnie pod ramię, szukając zarówno fizycznego, jak i psychicznego wsparcia.

– Jak wam idzie?

– Ciężko. Widziałem tu Crystal. Posłałem do niej do domu sierżanta, gdyż doszedłem do wniosku, że powinna wiedzieć, co się tu dzieje.

– A co z Fioną? Wiadomo, gdzie jest?

– Nie. Zawiadomiliśmy córkę, ale nie może tu przyjechać, póki niańka nie wróci z kolacji.

– Czy wie, gdzie jest matka?

– Nie. Powiedziała, że wykona parę telefonów i postara się ją znaleźć. Inaczej będziemy musieli czekać i mieć nadzieję, że niebawem wróci do domu.

Pokonaliśmy z trudem ostatnie parę metrów i stanęliśmy razem na szczycie wzgórza, wpatrując się w tafle jeziora. Światło padające z dużych reflektorów pozbawiło otoczenie barw.

Para wodna unosiła się jak dym z rozgrzanych metalowych powierzchni, na które spadły krople deszczu. Tu i tam stały małe grupki ludzi, najwyraźniej w oczekiwaniu na dodatkowych specjalistów lub sprzęt. Tuż pod powierzchnią wody dostrzegłam zielony poblask w miejscu, gdzie swoją pracę wykonywali nurkowie. Tył mercedesa lśnił złowieszczo w świetle reflektorów.

– Czy on tam jest? – spytałam.



– Jeszcze nie wiemy. Mamy w wodzie nurka. Jakieś trzy, cztery metry od brzegu robi się nagle głęboko mniej więcej na sześć metrów. Samochód musiał zahaczyć o jakiś głaz, bo inaczej szybko poszedłby na dno, a my nie mielibyśmy tyle szczęścia.

Z wody wyłonił się nurek w granatowym kombinezonie. Wyjął ustnik przewodu tlenowego i ruszył powoli przed siebie. Na płetwach miał pełno wodorostów. Zdjął maskę i przesunął ją wysoko na czoło. Kiedy już znalazł się na brzegu, natychmiast podeszli do niego koroner i mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. Słuchali z uwagą jego relacji, którą podkreślał

bardzo wyrazistymi gestami.

Tymczasem ciężarówka zdołała zbliżyć się do brzegu. Dwaj mężczyźni w wysokich po uda gumowych butach i pelerynach weszli do wody, przygotowując operację wydobycia samochodu.

Jeden z nich przymocowywał już łańcuch do osi mercedesa. Nagle stracił równowagę i wpadł do głębszej wody, a jego peleryna unosiła się na wodzie jak nadmuchiwana tratwa ratunkowa.

Mężczyzna walił rękami w powierzchnię wody, przeklinając pod nosem, a jego partner zdusił śmiech i ruszył do przodu, by pomóc koledze.

Odessa skinął głową w kierunku nurka.

– Tam z koronerem stoi Paglia.

– Domyśliłam się.

Jakby na dany sygnał detektyw Paglia odwrócił się i zauważył nas. Przeprosił

towarzyszących mu mężczyzn i ruszył w naszą stronę po grząskim gruncie. Padający przez wiele dni deszcz zatarł już co prawda ślady opon samochodu, ale zabezpieczono i przeszukano jego przypuszczalną drogę w dół. Po tak długim czasie policja nie mogła, niestety, liczyć na zbyt dużo dowodów.

Detektyw zbliżył się do nas i wyciągnął rękę.

– Pani Millhone? Jim Paglia. Con Dolan sporo mi o pani mówił. – Miał niski głos, bez śladu wyraźnego akcentu. Na oko dałam mu pięćdziesiąt lat. Miał ogoloną głowę, a piegowate czoło znaczyła dodatkowo siateczka zmarszczek.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wymieniliśmy zwyczajne w takich sytuacjach grzeczności.

Porucznik Dolan był szefem wydziału zabójstw aż do czasu, gdy atak serca zmusił go do przejścia na wcześniejszą emeryturę.

– Jak się teraz miewa?

– Dobrze, ale nie rewelacyjnie. Brakuje mu roboty. – Czarne brwi Paglii unosiły się na końcach niczym para małych skrzydeł. Nosił małe owalne okulary w metalowych oprawkach.

Jeśli osiadające na szklach krople deszczu denerwowały go, nie dawał tego po sobie poznać.

Jeszcze nad jeziorem zaczął palić cygaretkę z plastikowym ustnikiem, ale zgasła na deszczu.

Teraz wyjął ją z ust i przyjrzał się koniuszkowi.

– Wiele pani zawdzięczamy. Jak go tu pani znalazła?

Odessa dotknął delikatnie mojego rękawa.

– Pogadajcie sobie. Zaraz do was wrócę.

Patrzyłam, jak podchodzi do nurka i zaczyna z nim rozmawiać z dala od osób, które mogłyby ich usłyszeć. Po chwili skierowałam całą uwagę na detektywa Paglię, który niepokojąco patrzył

mi w oczy. Uznałam go za byłego żołnierza, który wiele razy oglądał śmierć z bliska i być może sam często ją zadawał. Jego sposób bycia był przyjazny, lecz pozbawiony krępującego czasem ciepła. Jeśli sprawiał wrażenie miłego i sympatycznego, działało się tak dlatego, że takie właśnie wrażenie chciał wywierać na rozmówcach. Był uprzejmy, bo uprzejmość pozwalała mu zdobyć to, czego pragnął, a w jego przypadku były to informacje, współpraca i szacunek. Gdybym była przestępcą, na pewno bardzo bym się go obawiała. A zważywszy na moje wcześniejsze zamiłowanie do mijania się z prawdą, oszukiwania, wdzierania się tu i tam bez pozwolenia i drobnych kradzieży, postanowiłam podejść do całej sprawy bardzo ostrożnie i uważać na każde słowo. Nie przyszło mi oczywiście do głowy, że mógłby mnie o cokolwiek podejrzewać, postanowiłam jednak sprawiać wrażenie uczciwej do szpiku kości, co nie było znowu aż takie trudne, gdyż (przynajmniej w tym wypadku) miałam do zaoferowania wyłącznie prawdę.

– Nie wiem, jak to wszystko opisać. Byłam w domku Lloyd'a. To były mąż Crystal.

– Ojczym Leili.

– Tak jest. Tego ranka Leila opuściła szkołę bez pozwolenia i Crystal doszła do wniosku, że na pewno zjawi się u Lloyd'a. Obiecałam, że postaram się ją znaleźć, zaczęłam więc jeździć w okolicy Little Pony Road i autostrady 101. Leila musiała podróżować autostopem, bo zauważyłam ją na poboczu. Jakoś udało mi się ją przekonać, że powinna pojechać do Lloyd'a.

Kiedy tam dotarliśmy, nie było go w domu, ale Leila wiedziała, gdzie trzyma klucz. To tamten domek. – Wskazałam na drugi brzeg jeziora. Pod baczny spojrzeniem Paglii postanowiłam sprawę dokładnie wyjaśnić. – Tak naprawdę domek nie należy do niego, ale do jego przyjaciela.

Lloyd opiekuje się nim tylko podczas nieobecności kumpla, który wyjechał na Florydę. Czekałam na Lloyd'a, kręciłam się trochę po domku. Leila oglądała telewizję, a ja wyszłam na antresolę.

Zobaczyłam teleskop i pomyślałam, że fajnie będzie rozejrzeć się po okolicy. Zdumiałam się bardzo,

bo nie miałam pojęcia, że ta część Gramercy leży dokładnie po drugiej stronie jeziora, naprzeciwko domu Fiony.

– Myśli pani, że istnieje jakiś związek?

– Między Lloydem i Fioną? Nie wiem, ale szczerze w to wątpię. Nie doszły mnie na ten temat żadne informacje.

Paglia wyjął z kieszeni pudełko. Otworzył je i wrzucił do środka niedopałek cygaretki. Na dnie zauważyłam trochę popiołu – najwyraźniej nie chciał zaśmiecać miejsca przestępstwa.

Schowwał pudełko do kieszeni i spojrzał na mnie szarymi oczami.

– Czy stoimy na miejscu zbrodni? – spytałam.

– Samobójstwo też jest zbrodnią – odparł. – Proszę mówić dalej. – Jego dolne zęby zachodziły na środku na siebie i były pokryte drobnymi plamkami. Był to jedyny element wyglądu, który wymknął mu się spod kontroli.

– Kiedy spojrzałam przez teleskop, zobaczyłam psa. To owczarek niemiecki, wabi się Trudy.

Spotkałam go już dwa razy podczas wcześniejszych wizyt u Fiony. Biegał po całej okolicy z głośnym szczekaniem.

– Psy potrafią wyczuć zapach ciała nawet pod wodą – zauważył Paglia. Była to pierwsza informacja, jakiej mi udzielił.

– Naprawdę? Nie wiedziałam o tym. Widziałam, że psina jest bardzo podekscytowana, ale nie miałam pojęcia, dlaczego. Oprócz Trudy zauważyłam też rysy na głazie leżącym w połowie zbocza. – Wskazałam palcem jak piątoklasista przepytany pod tablicą. – Zniszczono też rośliny, część sadzonek była wyrwana z korzeniami. Początkowo pomyślałam, że ktoś przeciągał

tędy przyczepę, by spuścić na wodę łódź, ale potem zauważyłam tablicę z zakazem pływania.

Patrzył na mnie uważnie z wyrazem chłodnej uprzejmości na twarzy.

– Nadal nie rozumiem, jak pani to wszystko ze sobą powiązała.

– Nagle zaczęło to nabierać sensu. Doktora Purcella po raz ostatni widziano w klinice.

Słyszałam, że wybierał się właśnie tutaj na spotkanie z Fioną, więc...

– Kto pani o tym powiedział?

– Przyjaciół Purcella, Jacob Trigg. Dow powiedział mi, że umówił się wieczorem z Fioną.

– Rozmawiała z nią pani na ten temat?

– No cóż, spytałam ją. A niby czemu nie? Byłam wkurzona. Pracuję dla niej. Powinna mnie była o tym poinformować w chwili, gdy zdecydowałam się przyjąć tę pracę.

– I co powiedziała?

– Twierdziła, że Purcell się nie pokazał, nazwała to „nieporozumieniem”. Doszłam do wniosku, że wystawił ją do wiatru, a ona ze wstydu nie chciała się do tego przyznać.

– Fatalnie, że nie powiedziała o tym w rozmowie z nami. Mogliśmy tutaj trafić znacznie wcześniej. Ktoś mógł słyszeć samochód. A teraz, po dziewięciu tygodniach, kto będzie coś takiego pamiętał?

Gdzieś za nim usłyszałam pisk wrzucanego biegu i grzechot metalowej liny na obracającym się bębnie, gdy ekipa zabrała się do wyciągania mercedesa. Woda płynęła ostrym strumieniem z otwartych okien, z podwozia, z kół. W pobliżu na trawie stała zaparkowana furgonetka koronera.

Tylne drzwi były otwarte. Asystent koronera i umundurowany policjant wysuwali ze środka długą metalową skrzynię. Był to pojemnik ze stali nierdzewnej, przeznaczony do transportu topielców.

– Kinsey – powiedział Paglia.

Spojrzałam na niego i nagle zrobiło mi się bardzo zimno.

– Nurek powiedział, że na przednim siedzeniu widział ciało.

Mercedes wisiał teraz na linie przodem w dół. Trzy okna były otwarte. Woda chlustała z każdej szczeliny i załamania, zalewając teren, i tak bardzo podmokły po wielu dniach deszczu.

Patrzyłam, jak wciągają samochód w górę zbocza niczym wielki zbiornik wody, który nagle zaczął przeciekać. Okno po stronie kierowcy było rozbite, a dolna jego część, wyszczerbiona i pokruszona, nadal tkwiła w metalowej ramie. Na przednim siedzeniu dostrzegłam zarys ciała, które już tylko w niewielkim stopniu przypominało człowieka. Napuchnięte, pokryte błotem i mułem, z twarzą zwróconą w stronę okna, jakby chciało przez nie wyrzeć po raz ostatni. Po kilku tygodniach w wodzie nabrało perłowozielonkawej barwy. Nieszczęśnik nadal miał na sobie marynarkę, ale z mojego miejsca nie mogłam już dostrzec nic więcej. Odwróciłam gwałtownie głowę i bezwiednie cicho jęknęłam. Ciało było gąbczaste, kończyny zwisały bezładnie, a oczodoły wypełniała galaretowata substancja. Mężczyzna miał otwarte usta i opuszczoną nisko szczękę. Jego wargi rozsunęły się szeroko w ostatnim wyrazie radości lub zaskoczenia – może w okrzyku wściekłości.

– Poczekam w samochodzie – powiedziałam.

Paglia już mnie nie słyszał. Ruszył w kierunku mercedesa. Ekipa z kostnicy cofnęła się.

Kątem oka dostrzegłam błysk fleszy, gdy policyjny fotograf wykonywał dokumentację miejsca zbrodni. Ja nie mogłam już dłużej tego oglądać. Nie mogłam już tu dłużej być. Ci wszyscy ludzie byli przygotowani na widok śmierci, znali jej odór, wiedzieli, jak układają się ciała na zawsze żegnające się z życiem. Zwykle na taki widok, po pierwszym wstrząsie potrafię się zdobyć na dystans do całej sytuacji. Tutaj nic z tego nie wychodziło. Nie mogłam wyzbyć się poczucia, że jestem świadkiem

czegoś bardzo złego. Purcell – założywszy oczywiście, że to on siedział w samochodzie – albo popełnił samobójstwo, albo został zabity. Nie było bowiem sposobu, żeby mógł wjechać na wzgórze i wpaść do jeziora przypadkiem.

Kiedy wróciłam do siebie, było już po dziesiątej. Ekipy techniczne nadal pracowicie zabezpieczały miejsce zbrodni nad jeziorem, choć nie bardzo mogłam sobie wyobrazić, co jeszcze można tam robić. Postanowiłam wrócić do domu. Nie jadłam kolacji. I o ile pamięć mnie nie zawodziła, nie jadłam też obiadu. Głód dawał o sobie znać, po czym szybko zniknął dwa razy w ciągu tego długiego wieczoru, a teraz spowodował uporczywy ból głowy. Byłam jednocześnie napięta i wykończona, co stanowiło dość dziwne połączenie.

Na szczęście deszcz przestał siąpić i trochę się ociepliło. Nad ulicami jak dym unosiła się para. Chodniki były nadal wilgotne, a z gałęzi drzew cicho spływała woda. Rynsztoki bulgotały radośnie, tworząc niewielkie rzeczki, których bieg zakłócały od czasu do czasu porzucone tu i ówdzie jakieś śmieci. Nad miastem powoli zaczynała się gromadzić mgła, cały świat stał się wyciszony i niedostępny. Okolice mojego domu wydała mi się nagle obca. Wszystko stało się nagle jakby dwuwymiarowe, a gałęzie drzew przypominały narysowane czarnym atramentem kreseczki. W mieszkaniu było ciemno. Opuściłam je o dziesiątej rano, prawie przed dwunastoma godzinami i nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby zostawić zapalone lampy. Otwierając drzwi, zawahałam się. W oknie kuchni Henry'ego paliło się światło, tworząc jasny kwadracik w otaczającej wszystko mgle. Wsunęłam klucze do kieszeni i przeszłam przez podwórko.

Zajrzałam do środka przez oszkloną górną część drzwi kuchennych. Henry siedział przy zarzuconym papierami stole. Dostrzegłam całe stosy zaświadczeń lekarskich, unieważnionych czeków i recept. Wszystko było starannie poukładane. Henry miał na sobie niebieski flanelowy szlafrok, spod którego wystawała piżama w niebiesko-białe paski. Na krześle położył segregator, do którego wkładał rachunki Klotyldy, a obok postawił kosz na śmieci. Wpadła mi też w oko szara torba, którą wręczyła mu Rosie, i wyglądało na to, że jest nadal co najmniej w połowie pełna. Kiedy tam stałam, Henry przesunął dłonią po włosach, pozostawiając kosmyki sterczące w trzech różnych kierunkach. Sięgnął po szklaneczkę Jacka Daniela i pociągnął spory łyk. Skrzywił

się, gdy zauważył, że lód już się stopił. Wstał i podszedł do zlewu, gdzie wylał resztę zawartości szklanki.

– Henry! – zawołałam i zastukałam w szybę. Obejrzał się i gestem dał mi znak, żebym weszła do środka. Spróbowałam przekręcić gałkę. – Są zamknięte.

Henry otworzył drzwi. Kiedy zdejmowałam pelerynę i wieszałam ją na oparciu krzesła, otworzył zamrażarkę i wyjął garść kostek lodu, które wrzucił do szklanki. Nalał sobie świeżą porcję whisky. W powietrzu wyczułam zapach pieczonego ciasta – mieszaninę cynamonu, olejku migdałowego, masła i żółtek.

Z bliska rozłożone na stole papiery wyglądały jeszcze gorzej.

– Jak ci leci? – Rozejrzałam się dookoła. – Chyba nie powinnam pytać.

– Okropność. Po prostu okropność. Te kody są nie do przejścia. Nie potrafię odcyfrować, kto i ile jest winien i które z tych rachunków zostały zapłacone. Ułożyłem je według dat, ale okazało się, że to

nie ma sensu. Teraz układam je według lekarzy, szpitali i zabiegów. Wygląda na to, że jednak coś z tego będzie, ale nadal nie mam pojęcia, jak ludzie mogą się w tym wszystkim połączyć. To czysta abstrakcja.

– Mówiłam ci, żebyś się do tego nie zabierał.

– Wiem, ale obiecałem, że pomogę, a bardzo nie lubię łamać danego słowa.

– Och, daj spokój. Przestań być taki szlachetny i jak najszybciej oddaj jej te wszystkie śmieci.

– A co ona z nimi robi?

– Coś wymyśli albo każe się tym zająć Williamowi. Przecież Klotylda była jego szwagierką.

Dlaczego ty masz się z tym męczyć?

– Żal mi jej. Klotylda była jedyną siostrą Rosie, a ta sprawa wygląda na bardzo trudną.

– Rosie nawet nie lubiła Klotyldy. Prawie ze sobą nie rozmawiały, a kiedy już się spotkały, to zaraz wybuchała kłótnia.

– Nie bądź dla niej taka surowa. Rosie ma bardzo dobre serce – oznajmił.

Wypowiedziawszy parę ostrych słów, czuł się teraz winny, że obgadywał ją za plecami.

Widziałam wyraźnie, że dalszy spór tylko pogorszy całą sprawę.

Przewróciłam w wyobraźni oczami.

– No, na razie dam ci spokój, ale pamiętaj, że nigdy nie odpuszczam.

Henry usiadł przy stole.

– A co u ciebie? Wyglądasz na przybitą.

– Bo jestem. – Zdjęłam stosik rachunków z krzesła i stałam niepewnie, nie wiedząc, co z nimi zrobić.

Henry zerwał się natychmiast.

– Daj, ja się tym zajmę. – Podał mi drinka i odsunął część papierów na bok, robiąc trochę miejsca na blacie stołu. Zdjął szarą torbę i segregator i położył je na podłodze razem z papierami, które wyjął mi z ręki.

– Dzięki – powiedziałam i wypiliśmy łyk jacka danielsa, który zapiekł mnie w przełyku niczym nagły atak zgagi. Po chwili poczułam, że napięcie trochę ustępuje, i nieco zbyt późno uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem zmęczona. W głowie czułam bolesne pulsowanie.

Podałam szklankę Henry'emu i usiadłam na opróżnionym przez niego krześle.

– Co jest?

– Znaleźliśmy samochód doktora Purcella i jego ciało. Zakładając oczywiście, że to on.

Jeszcze nie bardzo mogę o tym mówić. Daj mi parę minut, żebym mogła się jakoś pozbierać.

– Zrobić ci drinka?

– Nie, dziękuję, ale jeśli masz gdzieś pod ręką środki przeciwbólowe, to mogłabym zażyć chyba ze czterdzieści i to o podwójnej mocy.

– Dam ci coś lepszego. Nie ruszaj się.

– Nie ma sprawy. I tak nie dam rady. Zaraz ci o wszystkim opowiem, jeśli wcześniej nie urwie mi się film.

Skrzyżowałam ręce przed sobą na stole i oparłam o nie głowę. Czułam, jak całe moje ciało się rozluźnia. Była to pozycja, którą w przedszkolu przyjmowaliśmy tuż przed drzemką, i do dziś przynosi mi wielką ulgę. Mając pięć lat, potrafiłam zapaść w głęboki sen w chwili, gdy moja głowa dotykała rąk. Budziłam się po dziesięciu minutach, ze zdrętwiałymi koniuszkami palców i rozpalonymi od snu policzkami.

Słyszałam, jak Henry podchodzi do lodówki i przekłada jakieś pojemniczki na ladę.

Napawałam się przyjemnym odgłosem stukających słoików i sztućców. Czułam się tak, jakbym leżała chora w łóżku i nasłuchiwała dobiegających z sąsiedniego pokoju kojących odgłosów.

Musiałam zasnąć na parę sekund. Podobna utrata świadomości za kółkiem sprawia, że z hukiem wylatujesz z autostrady. Słyszałam oddalające się i powracające dźwięki, tracąc na chwilę kontakt z rzeczywistością.

– Co robisz? – mruknęłam, nie podnosząc głowy.

– Przygotowuję ci kanapkę. – Głos Henry’ego dobiegał z bardzo daleka. – Z pieczoną wołowiną, którą pokroiłem w cieniutkie plasterki.

Oparłam policzek na dłoni i patrzyłam, jak jedna przy drugiej kładzie dwie kromki pieczonego w domu chleba. Posmarował je grubą warstwą majonezu, ostrej musztardy i chrzanu.

– To bardzo ostre, ale tego właśnie ci potrzeba. Postawi cię na nogi. – Przekroił kanapkę na pół i położył ją na talerzu obok gałązki zielonej pietruszki, paru oliwek i marynowanych papryczek.

Postawił talerz przede mną i wrócił do lodówki. Otworzył zamrażarkę i wyjął z niej kufel tak zimny, że w zderzeniu z ciepłym powietrzem natychmiast pokrył się warstewką szronu. Otworzył

butelkę piwa i napełnił ostrożnie kufel, by nie powstało zbyt dużo piany. Wziął do ręki swoją szklaneczkę i usiadł naprzeciwko mnie.



Ugryzłam kawałek kanapki. Chrzan był tak ostry, że łzy stanęły mi w oczach. Jego zapach podrażnił mi też zatoki i poczułam, że cieknie mi z nosa.

– Mmmm. Pycha. Aż nie do wiary. Jesteś genialny. – Urwałam i wytarłam nos serwetką.

Wołowina była kruchotka, a przyprawy doskonale podkreślały jej smak. Od czasu do czasu wypijałam łyk piwa, czując w gardle przyjemny chłód. W ten sposób życie zostało sprowadzone do czterech podstawowych składników: powietrza, jedzenia, picia i dobrego przyjaciela. Zjadłam ostami kęs, oblizałam poplamione musztardą palce i jęknęłam z wdzięczności. Odetchnęłam głęboko i ze zdziwieniem zauważyłam, że ból głowy przeszedł jak ręką odjął.

– Już mi lepiej.

– Tak też myślałem. A teraz opowiedz mi o doktorze.

Zrelacjonowałam pokrótce wydarzenia, które doprowadziły do mojego odkrycia. Henry doskonale podążał za moim tokiem myślenia, więc mogłam sobie oszczędzić niepotrzebnych szczegółów. W większości wypadków intuicja polega na skojarzeniu pozornie niezwiązanych ze sobą faktów. Czasami wydarzenia łączy się na zasadzie prób i błędów; czasem też poczynione obserwacje przywołują na myśl nierozwiązany jeszcze problem i odpowiedź sama się nasuwa.

– Zauważyłam nie tyle ten samochód, ile pozostawione przez niego ślady na wzgórzu.

– Twoja praca dobiegła więc końca.

– Raczej tak, choć nie rozmawiałam jeszcze z Fioną.

– I co teraz?

– To co zwykle. Doktor Yee przeprowadzi rano sekcję zwłok. Nie wiem, ile zdołają się dowiedzieć, zważywszy na stan ciała. Samochód prawdopodobnie leżał w wodzie od chwili zniknięcia doktora. Kiedy skończą, ciało zostanie poddane kremacji.

– Bardzo mi przykro.

– Jest o wiele gorzej, gdy sprawa pozostaje nierozwiązana. Teraz przynajmniej jego rodzina już wie i może próbować żyć dalej.

Rozmawialiśmy dalej w tym tonie, wymieniając spostrzeżenia aż do wyczerpania tematu.

Henry wziął mój talerz i zaniósł go do zlewu.

– Mogę to sama zrobić – zaprotestowałam.

– Nie ruszaj się. – Puścił gorącą wodę i wziął do ręki gąbkę na plastikowej rączce, do której wlewało się płyn do zmywania. Umył talerz i postawił go na suszarce. – A tak przy okazji, to widziałem dziś wieczór twój przyjaciela.

– Tak? Kogo?

Włożył do zlewu deskę do krojenia i zaczął chować przyprawy do szafki.

– Tommy Hevener przyszedł dziś wieczór do Rosie. Szukał oczywiście ciebie, ale pogawędziliśmy sobie przez dłuższą chwilę. Wygląda na porządnego faceta i jest tobą wyraźnie zauroczony. Zadawał mi wiele pytań na twój temat.

– Ja też mam wiele pytań na jego temat. To część mojego dnia, o której nie zdążyłam ci jeszcze opowiedzieć.

Zatrzymał się z ręką opartą o drzwi lodówki.

– Nie podoba mi się ten ton.

– Reszta też ci się nie spodoba. – Czekałam, aż wróci do stołu i usiądzie.

– Co jest? – spytał z obawą, jakby wcale nie chciał usłyszeć, co mam mu do powiedzenia.

– Okazało się, że Tommy Hevener razem z bratem wynajęli w Teksasie jakiegoś punka, żeby włamał się do ich domu i ukraść kosztowności, w tym biżuterię wartą blisko milion dolarów.

Chłopak zrobił, co mu kazali, po czym podpalił dom, żeby zatrzeć ślady. Bracia zapomnieli mu jednak powiedzieć, że w garderobie zamknęli związanych i zakneblowanych rodziców, którzy zaczęli się na śmierć, gdy wokół szalał ogień.

– Nie. – Henry aż cofnął się z przerażenia.

– Tak.

– To nie może być prawda.

– Ale jest – powiedziałam. – Dziś rano przyszła do mnie do biura pani inspektor z firmy ubezpieczeniowej, Mariah Talbot. Pokazała mi wycinki z Hatchet Daily News Gazette czy jak tam się to piśmidło nazywa. Szkoda, że zostawiłam je w biurze, bo mógłbyś wszystko zobaczyć na własne oczy.

– Ale jeśli tak było w istocie, to dlaczego nie siedzą w więzieniu?

– Nigdy nie udało się zebrać dość dowodów, a ponieważ „chłopcom” nigdy nie przedstawiono formalnych zarzutów, mogli odebrać odszkodowanie, spieniężyć polisy na życie rodziców i odziedziczyć po nich spadek. Jednym słowem, udało im się zebrać parę ładnych milionów. Ich ciotka i firma ubezpieczeniowa szykują się do procesu cywilnego w nadziei, że uda im się jeszcze co nieco odzyskać.

– Ale skąd wiedzą, że włamywacz nie działał w pojedynkę? Mógł zastać rodziców w domu, choć początkowo sądził, że wyjechali. Może to on ich związał i zakneblował.

– Niestety, od tamtej pory wszelki ślad po nim zaginął. Podejrzewają, że jego też się pozbyli.

– Ale nie mają pewności.

– Dlatego postanowili wznowić śledztwo. Ostatnio pojawił się jakiś informator i firma Guardian Casualty gotowa jest znów wkroczyć do akcji na podstawie uzyskanych od niego informacji.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Też nie mogłam, dopóki nie zobaczyłam tych wycinków. Jedna rzecz nie daje mi spokoju.

Pamiętasz, jak pierwszy raz spotkałam Tommy’ego w biurze? Powiedział mi, że jego rodzice zginęli w wypadku. Nie życzył sobie jednak, żebym wspominała o tym w obecności Richarda, bo jego brat nadal nie chciał o tym mówić. Strasznie mi się zrobiło ich żal. Pomyślałam od razu o moich rodzicach. Nie mogę sobie darować, jak łatwo dałam się nabrać. Jak mogłam dać sobie wcisnąć taki kit. Przeczytałam w tej gazecie, że zaoferowali nawet sporą nagrodę – sto tysięcy dolarów – za „jakiegokolwiek informacje, które doprowadzą do aresztowania i skazania zabójcy bądź zabójców Jareda i Brendy Hevener”. Dlaczego nie parę milionów? Nie będą musieli wypłacić nagrody, jeśli jeden nie wyda drugiego.

– Jak możesz utrzymywać z nimi kontakty?

– Do tego właśnie zmierzam. Podpisałam umowę na rok i zapłaciłam za sześć miesięcy z góry plus opłata za sprzątanie. Nie chcę zapomnieć o tym drobiazgu. Teraz nie mam pojęcia, jak się z tego wszystkiego wypłatać. Jestem gotowa machnąć ręką na te pieniądze, ale wkurza mnie to straszliwie.

– Niech Lonnie się tym zajmie. On będzie wiedział, co robić.

– Niezły pomysł – uznałam. – Ale to jeszcze nie koniec.

– Dlaczego?

– Mariah jest przekonana, że biżuteria nadal znajduje się w tym ich pięknym domu. Liczy na to, że uda mi się zlokalizować sejf, dzięki czemu policja załatwi potem nakaz rewizji.

Powiedziała mi, że braciom zaczyna brakować pieniędzy. Używali życia i teraz są bliscy bankructwa. Ma teraz nadzieję, że będą chcieli sprzedać przynajmniej część biżuterii. Jako że odebrali odszkodowanie i stanowczo zaprzeczają, jakoby wiedzieli cokolwiek o zaginionych kosztownościach, nie będzie to wyglądało najlepiej. Jeśli Mariah zdoła ich złapać na gorącym uczynku, policja będzie mogła wkroczyć do akcji i aresztować braci.

– Dlaczego mieliby podejmować takie ryzyko? Nie są przecież głupi.

– Nie, ale grunt zaczyna im się palić pod nogami.

– Jak zamierza ich do tego nakłonić? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– I na tym właśnie polega cały problem. Mariah chce, żebym to ja ich przekonała. – Wyjęłam z torebki kartkę papieru. – Podała mi nazwisko pasera w Los Angeles i poprosiła, żebym jakoś przekazała im tę informację.

Henry wziął kartkę, na której Mariah napisała nazwisko jubilera.

– Cyril Lambrou jest paserem?

– Jubilerem. Zdaniem Mariah prowadzi legalny interes, ale to tylko przykrywka. Zajmuje się też paserstwem, jeśli gra jest warta świeczki. W tym wypadku nie ma wątpliwości. Pokazała mi zdjęcia kosztowności: pierścionków, bransoletek, naszyjników. Wspaniałe. Naprawdę przepiękne.

– Dlaczego sama nie może im przekazać tej informacji?

– Bo wiedzą, kim jest, i nigdy na coś takiego nie pójdą.

– A czemu ty? – Henry przybrał wojowniczy ton, a ja poczułam, że się rumienię.

– Bo Tommy jest mną wyraźnie zainteresowany.

– I co z tego?

– Mariah jest sprytna. Sprawdziła mnie i wie, że od czasu do czasu lubię trochę naginać prawo.

– Czy nie przypomina to przypadkiem zastawiania pułapki?

– Dlaczego od razu pułapki? Wspomnę tylko o facecie, który skupuje biżuterię. Jeśli nie są winni, nie będą mieli nic do sprzedania. Pułapka polega na nakłonieniu kogoś do złamania prawa.

Ja nie będę ich zachęcać do kradzieży. To już mają za sobą.

– Ale oni wyczują pismo nosem. Wspomnisz niby przypadkiem nazwisko tego jubilera.

Bracia sprzedadzą mu biżuterię i zaraz potem trafią za kratki. Chyba nie mówisz poważnie.

– Ale wtedy będzie już za późno. Zamkną ich na dobre.

– Założmy, że wyznaczą kaucję. Kiedy tylko wyjdą z aresztu, zaraz zaczną cię szukać.

– Daj spokój, Henry. Za kogo ty mnie uważasz? Przecież nie pójdę do nich i nie powiem:

„Macie może trochę kradzionych cacek na sprzedaż? Znam gościa, który chętnie je weźmie”.

Wymyślę jakąś historyjkę, która zabrzmii całkiem niewinnie.

– Na przykład?

– Nie wiem. Jeszcze do tego nie doszłam.

Henry, poirytowany, oparł się o krzesło i spojrział na mnie przeciągle.

– Ile już razy prowadziliśmy podobną rozmowę? Wymyślasz jakiś zwariowany plan. Ja próbuję ci wytłumaczyć, że to głupota, ale ty robisz swoje. Zawsze znajdziesz jakieś uzasadnienie.

– Jak wszyscy inni.

– Tym większa szkoda – odparł. – Powiem ci to tylko raz i przysięgam, że więcej nie powtórzę. Nie mieszaj się w to. To nie twoja sprawa.

– Nie powiedziałam jeszcze, że to zrobię.

– A jak znajdziesz ten sejf? Będziesz musiała jakoś dostać się do ich domu.

– Tommy już raz mnie tam zabrał. Muszę go tylko przekonać, żeby zrobił to jeszcze raz.

– Co oczywiście zrobi w nadziei, że zaciągnie cię do łóżka.

– Poradzę sobie.

– Ale po co ryzykować? Moim zdaniem nie powinnaś być sam na sam z żadnym z nich.

– Nie chcę bagatelizować sytuacji, ale radziłam już sobie w gorszych przypadkach.

– Coś o tym wiem.

– Henry, obiecuję, że nie będę działać pochopnie. Nawet jeszcze nie wymyśliłam, co im powiem... no wiesz, jeśli założymy, że się zgodzę.

– A dlaczego miałabyś się w to pakować? Na pewno nie potrzebujesz pieniędzy.

– Tu nie chodzi wcale o pieniądze. Nie wolno nikogo bezkarnie mordować.

– To nie zależy od ciebie. Gdyby policja miała dość dowodów, Hevenerowie już siedzieliby z wyrokiem w więzieniu. Ale nie było żadnych dowodów. Tak działa prawo. Trzymaj się od tego z daleka. Proszę.

– Wiesz co? Kusi mnie, żeby to zrobić z tych samych powodów, dla których ty pomagasz Rosie. Bo nie możesz się temu oprzeć. Zawrzyjmy więc umowę. Chcesz, żebym odpuściła? To ty odpuść sobie rachunki Rosie i będziemy kwita.

– Nie ma nic nielegalnego ani niebezpiecznego w udzielaniu pomocy starszej pani, która chce spłacić zaległe rachunki zmarłej siostry.

Miał oczywiście rację, ale nie chciałam mu jej przyznać.

– Daj spokój. Wystarczy. Przestańmy się kłócić. Ty zajmiesz się swoim życiem, a ja swoim.

– Dobra. To nie moja sprawa. Rób, co chcesz.

– Nie musisz się od razu tak najeżać. Nie o to chodzi. Chyba za bardzo się tym wszystkim przejmujesz.

– A ty nie dość!

Wyszłam od Henry'ego o 23:03 i wróciłam do domu. Próbowaliśmy jakoś dojść do porozumienia, ale nic z tego nie wyszło. Byłam tym wszystkim podobnie jak on mocno zaniepokojona. Po wejściu do mieszkania włączyłam telewizor. Nie zdążyłam na początek nadawanych przez stację KEST wiadomości, ale udało mi się co nieco złapać: „...srebrny mercedes wydobyty dziś wieczorem z jeziora Brunswick zidentyfikowano jako należący do znanego lekarza Dowana Purcella, który zaginął 12 września. Detektyw Paglia z policji w Santa Teresa nie potwierdził...”. Komentarz dziennikarza ilustrowała seria ujęć: zbocze wzgórza przy jeziorze, Crystal nadjeżdżająca swoim białym volvo, zdjęcia Purcella, a po nim widok domu w Horton Ravine. Zaraz potem prezenter zajął się sprawą kota, który utknął gdzieś w rurze wodociągowej. Dziewięć i pół tygodnia tragedii zredukowano do niecałej minuty. Widzowie na pewno będą mieli więcej współczucia dla nieszczęsnego kociaka.

Nagle rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Pomyślałam od razu, że to Henry przyszedł mnie przeprosić. Jednak zamiast niego na progu stał Tommy Hevener.

– Cześć. Gdzie się podziewałaś? Dzwoniłem do ciebie ale włączyła się sekretarka.

Pomyślałem, że znajdę cię u Rosie.

– Henry powiedział mi, że tam byłeś.

– Tak. Miło sobie porozmawialiśmy. To wspaniały staruszek.

– Posłuchaj. Mam za sobą ciężki dzień. Coś się ruszyło w sprawie, nad którą pracuję.

– Chcesz o tym porozmawiać? Umiem dobrze słuchać.

– Raczej nie. Dzięki za propozycję, ale padam z nóg i chciałabym się położyć.

– Nie ma sprawy. Zadzwoń do mnie jutro. Chciałbym cię znów zobaczyć.

– Dobra, zadzwonię.

– Trzymaj się.

– Ty też – odparłam. Kiedy tylko zamknęłam drzwi, serce zaczęło mi walić jak szalone.

Szybko zasunęłam zasuwę i oparłam się o ścianę, nasłuchując, aż Tommy się oddalił. Usłyszałam odgłos zapalnego silnika i odjeżdżający samochód.

Nie mam pojęcia, jak udało mi się zasnąć tej nocy. Nic mnie nie łączyło z Dowem Purcellem, ale

widok jego ciała za kierownicą mercedesa nie dawał mi spokoju. Wiele razy widziałam już martwe osoby, ale jakoś nie mogłam się uwolnić od widoku tej srebrnej trumny na czterech kołach i jej makabrycznej zawartości. Ten obraz powracał raz za razem... świszczące na deszczu reflektory, woda wylewająca się z szumem ze wszystkich szczelin samochodu, zapach błota i smród gnijącej trawy, spuchnięte ciało, oczy zwrócone w stronę okna, otwarte w zdumieniu usta.

Zidentyfikowanie zwłok nie zabierze zbyt dużo czasu... najwyżej pół dnia. Dłużej potrwa badanie samochodu i opracowanie teorii, jakim sposobem znalazł się na dnie jeziora. Pozostawało jeszcze pytanie, czy Purcell wpadł do wody żywy, czy martwy. Raz jeszcze zobaczyłam tę twarz, szeroki uśmiech, niewidzące oczy...

Z trudem oderwałam się od tych okropieństw i skoncentrowałam na sprawie braci Hevenerów. Mimo wcześniejszego uporu wiedziałam, że Henry ma rację. Zawsze wtykam nos w nieswoje sprawy, a konsekwencje mojego postępowania są często poważniejsze (i bardziej niebezpieczne), niż gotowa to jestem przyznać nawet sama przed sobą. Nic mnie nie zmuszało do udzielenia pomocy Mariah Talbot i firmie Guardian Casualty, czemu więc gotowa byłam podjąć to ryzyko? Nie miałam z „chłopcami” nic wspólnego. Mariah dała mi nawet do zrozumienia, że ma w zanadru inny plan, jeśli ja nie zdecyduję się jej pomóc. A ja musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby zerwać umowę i odzyskać pieniądze. Może Lonnie napisze do nich tak oczerniający mnie list, że sami z ulgą zdecydują się mnie pozbyć? Co zaś do morderstwa ich rodziców, to musiałam wierzyć, że prędzej czy później wpadną w ręce stróżów prawa. Musiałam, niestety, przyznać ze smutkiem, że wymierzanie sprawiedliwości nie należy do moich obowiązków.

Cholera!

Większą część środy poświęciłam na porządkowanie spraw. O szóstej rano mimo nadciągającego deszczu udało mi się przebiec pięć kilometrów, po czym zaliczyłam jeszcze wizytę w siłowni. Po powrocie do domu wzięłam prysznic, zjadłam śniadanie i już o 9:15 byłam w biurze. Zaraz też zajęłam się stosem papierów, który zgromadził się na biurku. Wśród nich znalazły się również moje prywatne rachunki, które zapłaciłam z poczuciem triumfu. Lubię trzymać wyglodniałe wilki z dala od drzwi.

Dwa razy siadałam przy maszynie, żeby przygotować ostatni raport dla Fiony, gdyż doszłam do wniosku, że dobrze będzie się wreszcie z tym uporać i wysłać raport pocztą. I tu pojawił się mały problem. Poprzedni raport i rachunek wręczyłam jej przecież dopiero wczoraj, zabrakło mi więc informacji, którymi mogłabym ją zasypać. I szczerze mówiąc, zabrakło mi też gotówki.

Stwierdziłam, że policzenie czasu, jaki spędziłam, czekając na wyciągnięcie mercedesa z jeziora, będzie stanowczo nie na miejscu. Jako, że otrzymaną od niej zaliczkę przekazałam w całości braciom Hevener, pozostałe tysiąc siedemdziesiąt pięć dolarów, jakie byłam jej winna, będę musiała podjąć z konta. Jego stan opiewał tylko na czterysta dwadzieścia dwa dolary. Mam oczywiście sporo oszczędności, ale nie chciałam ich naruszać. Poza tym nadal miałam szczerą nadzieję, że Fiona powodowana wdzięcznością za szybkie efekty mojej pracy postanowi wspaniałomyślnie zrezygnować ze zwrotu nadwyżki. Wynajęła mnie przecież, żebym odnalazła Dowa, a ja znalazłam go szybciej, niż którakolwiek z nas podejrzewała, choć niekoniecznie w stanie, jakiego można by sobie życzyć. Nic nie mogłam na to poradzić, ale miałam nadzieję na dowód wdzięczności opiewający na sumę ponad tysiąc dolarów. Ha, ha, ha – już słyszałam jej śmiech.

Zastanawiałam się też, czy nie zadzwonić z kondolencjami do Crystal, ale nie mogłam się do tego zmusić. Nie byłam przecież przyjaciółką domu i bałam się, że mój telefon zostanie odebrany jako akt chorobliwej ciekawości, co oczywiście było zgodne z prawdą.

Tuż po lunchu rozłożyłam teczkę, którą zostawiła mi Mariah Talbot. Obejrzałam oba testamenty i przekonałam się na własne oczy, że cała biżuteria należąca do rodziny Atchesonów powinna trafić w ręce siostry Brendy, Karen. Przeczytałam też dokładnie wszystkie wycinki z gazet. Hatchet w stanie Teksas leżało jakieś sto kilometrów od Houston i liczyło dwa tysiące osiemset mieszkańców. W całej historii miasteczka popełniono tylko jedno morderstwo: w 1906

roku kobieta zabiła męża we śnie polanem, wymierzając mu sześć ciosów w czaszkę. Zrobiła to, gdyż wcześniej upił się o jeden raz za dużo, wybił jej zęby, podbił oczy i złamał nos.

Zadowolona ze swego czynu kobieta wrzuciła potem polano do pieca i zagotowała wodę na herbatę.

Tragiczna śmierć Jareda i Brendy Heyenerów trafiła na nagłówki gazet aż po Amarillo, gdzie Brenda urodziła się i wychowała. Zgodnie z doniesieniami, ich ciała znaleziono na pogorzeliisku na drugi dzień po pożarze. Ogień natychmiast ogarnął cały dom, karmiony łatwopalnymi substancjami. Ochotniczą straż pożarną wezwano o 1:06 nad ranem. Na miejscu zjawiała się po siedemnastu minutach. W tym czasie płomienie szalały już w całym domu, a strażacy skoncentrowali wysiłki na powstrzymaniu ognia, by nie rozprzestrzenił się na sąsiednie posiadłości. Szybko się zorientowano,



że nieznanym jest los rodziny Heyenerów. Początkowo obawiano się, że pożar zaskoczył we śnie całą czwórkę. Jednak później wyszło na jaw, że Tommy Hevener pojechał do San Antonio odwiedzić przyjaciół. Udało mu się dość szybko skontaktować z Richardem, który podróżował po południowej Francji.

Pierwsze doniesienia prasowe przepełniało przerażenie z powodu tak tragicznej śmierci szanowanych mieszkańców miasteczka i współczucie dla synów, którzy ponieśli tak straszną stratę. Zamieszczono też długie artykuły biograficzne o Brendzie i Jaredzie: opisywano jej pracę na rzecz społeczności i jego sukcesy w świecie interesów. Na pogrzebie zjawili się tłumy ludzi; orszak ciągnął się przez parę przecznic. Zrobione na cmentarzu zdjęcia ukazywały dwie trumny tonące w powodzi kwiatów i Richarda ze schyloną głową. Tommy wpatrywał się w grób z wyrazem rozpacz na twarzy. Zdolności aktorskie chłopców nie zrobiły na Mariah wrażenia, ale ich smutek można było uznać za płynący ze szczerego, udręczonego serca.

Po paru dniach zidentyfikowano zapalnik i substancje łatwopalne i powiązano je z Caseyem Stonehartem. Dwudziestotrzyletni przestępca nie okazał się zbyt bystry, gdyż potrzebne mu materiały nabył w miasteczku oddalonym o zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów. Kryminalna przeszłość i mocno wątpliwa inteligencja chłopaka szybko skłoniły policję do wysnucia wniosku, że nie mógł działać sam. Zdecydowanie nie był na tyle bystry, by samodzielnie opracować i wprowadzić w życie taki plan. W ciągu następnych sześciu miesięcy ton artykułów uległ

zmianie. Do wyników śledztwa podchodzono coraz bardziej sceptycznie i zaczęto powoli rozważać możliwość ewentualnego udziału braci. Oni ze swej strony ostro protestowali i zaprzeczali, deklarując swoją niewinność. Stojące na straży prawa władze i szef straży pożarnej odpowiedzieli na to całą serią wyważonych oświadczeń. Przygotowali je bardzo starannie w nadziei, że gdyby ich podejrzenia okazały się fałszywe, unikną procesu o zniesławienie. Całe to zamieszanie trwało przez parę tygodni, po czym ucichło. Od czasu do czasu pojawiały się jakieś dodatkowe informacje, lecz większość późniejszych doniesień powtarzała jedynie to, co wszyscy już wiedzieli. Caseyowi Stonehartowi nie poświęcono zbyt wiele miejsca w gazetach. Od czasu do czasu zastawiano się jedynie, gdzie też może się podziewać.

Czytając między wierszami, można było wyraźnie wyczuć narastające wśród urzędników państwowych napięcie. Prokuratora okręgowego oskarżono o nieudolność. Pracował w coraz większym stresie i w końcu został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Pomimo rozpoczęcia drugiego, jeszcze bardziej drobiazgowego śledztwa, nie znaleziono żadnych dowodów. W stan oskarżenia postawiono oficjalnie Caseya Stoneharta, in absentia, lecz Tommy i Richard Hevenerowie uniknęli publicznego upokorzenia. Jakiś rok później dwa krótkie artykuły doniosły o procesie, który wytoczyli firmie Guardian Casualty, próbując odebrać należne im odszkodowanie. Sześć miesięcy później wspomniano przelotnie o zakończeniu procesu i podziale majątku. Cóż za przygnębiający splot wydarzeń. Przerzuciłam artykuły jeszcze raz, by się upewnić, że niczego nie pominęłam.

Cała ta historia napęłała mnie niepokojem. Czuję, jak drzemiący we mnie Zamaskowany Mściciel szykuje się do walki, gotów wymierzyć sprawiedliwość i wyrównać rachunki.

Jednocześnie nie mogłam zapomnieć o zarzutach Henry'ego. Przyznaję, że jestem (czasami) narwana

i nie mogę znieść systemu, który nakazuje grać według ściśle określonych reguł. Nie oznacza to wcale, że nie darzę należnym szacunkiem prawa i porządku. Wręcz przeciwnie.

Irytuje mnie tylko to, że przestępcy mają tyle praw, podczas gdy ich ofiary mogą liczyć na tak niewiele. Ściganie łajdaków w sądach nie tylko kosztuje fortunę; nie gwarantuje też, że sprawiedliwości stanie się zadość. Nawet jeśli walka zakończy się sukcesem, to ciężko wywalczony wyrok dla jakiegoś bandyty nie przywróci życia osobom przez niego zamordowanym. Choć nie znoszę podchodząc do życia w sposób praktyczny i uporządkowany, zaczęłam się skłaniać ku racjom Henry'ego. Postanowiłam, że tę sprawę pozostawię własnemu biegowi.

Wyszłam z biura tuż przed trzecią i piechotą udałam się do banku. Na szczęście czek, który wypisałam dla Hevener Properties, jeszcze nie został zrealizowany. Może Richard zbierał чеки od wszystkich swoich najemców i dopiero potem pobierał gotówkę. Zablokowałam wypłatę, wróciłam do biura i napisałam do Richarda krótki liścik z przeprosinami. Wyjaśniłam mu, że z przyczyn niezależnych ode mnie i ostatecznie zdecydowałam się nie wynajmować od niego biura. Mając mój podpis na umowie, mógł mnie równie dobrze podać do sądu. Nie sądziłam jednak, by to zrobił. W swojej sytuacji na pewno wolał unikać sporów prawnych. O wpół do szóstej skończyłam pracę. Po drodze do domu przejechałam koło poczty i wrzuciłam list do skrzynki. Do domu dotarłam jakieś dwanaście minut później. Nie muszę dodawać, że było mi o wiele lżej na duszy.

Zanim weszłam do siebie, przeszłam przez podwórko i zajrzałam do Henry'ego. Chciałam mu powiedzieć, że postanowiłam posłuchać jego rady. Rezygnując z podjęcia się tej sprawy, postanowiłam, że oddam mu sprawiedliwość i przyznam, że to on poruszył we mnie resztki zdrowego rozsądku. W kuchni paliło się światło. Zapukałam lekko w szybę. Henry się nie pojawił. Nie było słychać jego pianina, nikt się w środku nie ruszał. Wyczułam w powietrzu smakowity zapach gulaszu, więc doszłam do wniosku, że nie mógł wyjść na długo.

Wróciłam do siebie, zapaliłam lampkę na biurku i rzuciłam torbę na stołek w kuchni.

Zebrałam rozsyaną na podłodze pocztę. Znalazłam tam wyłącznie reklamy, które szybko wrzuciłam do kosza. Światelko na automatycznej sekretarce migotało wesoło. Wcisnęłam guzik odtwarzania.

Tommy Hevener.

– Cześć, to ja. Myślałem o tobie. Może uda mi się złapać cię później. Zadzwoń, kiedy wrócisz.

Szybko wykasowałem wiadomość, żałując z całego serca, że nie mogę tego samego zrobić z Tommym.

Poszłam do kuchni. W sobotę otworzyłam ostatnią puszkę zupy pomidorowej, wiedziałam więc, że w domu nie ma już nic do jedzenia. Sprawdziłam jednak zawartość szafek i lodówki.

Niestety, nie widziałam nigdy przepisu, który wymagałby użycia dwóch opakowań sosu sojowego, filiżanki oliwy z oliwek, chrupiek, pasty z anchois, syropu klonowego i sześciu zwiędłych marchewek ze smutnymi resztkami natki, która wyglądała jak przeredzone, zielone włosy. Zdolna pani domu na pewno przyrządziłaby z tych składników coś bardzo smakowitego, ale ja musiałam się poddać. Raz

jeszcze zarzuciłam torbę na ramię i wyszłam z domu. Kolacja u Rosie – cóż za miła odmiana.

Wieczne powietrze było wilgotne i pachniało piwnicą. Z małymi przerwami padało już od sześciu dni. Nawet ci, którzy początkowo cieszyli się ze zmiany pogody, przeklinali teraz pod nosem dokuczliwe krople. Ziemia przypominała gąbkę, a strumienie niebezpiecznie sięgały brzegów. Jeśli wkrótce nie przestanie padać, położone niżej tereny lada moment mogą zostać zalane. Część polnych dróg pokrywał już muł, a niewidoczne pod wodą kamienie stanowiły zagrożenie dla kierowców.

W spokojnej zazwyczaj restauracji przy barze kłębił się spory tłumek. Zwabieni przez happy hour klienci znikną jednak o siódmej, gdy ceny drinków znów pójdą w górę. Podniesione głosy współgrały znakomicie z panującą w mieście atmosferą. Ludzie mieli już dość parasoli, przemoczonych butów i zarodników grzybów, które wywoływały gwałtowne ataki alergii, blokowały nosy i zatoki.

Oparłam parasol w kącie przy drzwiach, zrzuciłam pelerynę i otrząsnęłam ją z wody.

Zachowując pozory dobrego wychowania, zupełnie niepotrzebnie wytarłam buty o wycieraczkę.

Przechodząc przez wewnętrzne drzwi, zauważyłam siedzącego samotnie przy stoliku Tommy'ego Hevenera. Poczulałam się nagle osaczona. Jak mam się go pozbyć i na dobre wyrzucić z mojego życia? Popijał spokojnie martini i kiedy mnie dostrzegł, trzymał właśnie przy ustach brzeg szerokiego kieliszka. Stałam jak wryta, bo drugą osobą, którą zauważyłam, była siedząca w boksie w głębi Mariah Talbot. Adrenalina szalała w moich żyłach niczym speed. Swoje niezwykle srebrne włosy Mariah schowała pod ciemną peruką, a niebieskie oczy zasłoniła okularami w dużych plastikowych oprawkach. W obszernym płaszczu przeciwdeszczowym wyglądała na kobietę o sporej tuszy. Jeśli ktoś nie zwrócił uwagi na szlachetne rysy jej twarzy, mógł dojść do wniosku, że ma do czynienia z zanedbaną, przedwcześnie postarzałą kobietą. W

takim tłumie na pewno nie rzucała się w oczy. Tommy nie mógł się jej tu spodziewać, ale gdyby spojrzał w jej kierunku, mógłby ją rozpoznać. Trudno przecież ukryć tak klasyczną urodę.

Mariah na mój widok natychmiast wstała i zajęła miejsce po drugiej stronie stołu, odwracając się do nas tyłem. Miałam tylko nadzieję, że wyraz mojej twarzy nie zmienił się nagle, ale nie byłam pewna, czy udało mi się ukryć zdumienie. Spojrzałam znów na Tommy'ego. Patrzył na mnie trochę podejrzliwie, jakby wyczuwał moje zaskoczenie. Odwrócił się na krześle i rzucił uważne spojrzenie w głąb sali. Szybko podeszłam do jego stolika i usiadłam. Lekko dotknęłam jego dłoni.

– Przepraszam za wczoraj. Byłam okropna.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się. To moja wina. – Akcent rodem z Teksasu, który dwa dni temu uznałam za uroczy, teraz zaczynał mnie denerwować. Tommy miał na sobie popielaty sweter z kaszmiru, który doskonale podkreślał jego ogniste włosy i zielone oczy. Patrząc mi prosto w oczy, wziął

mnie za rękę i pocałował wewnątrz dłoni. Omal nie zadrżałam, lecz nie z podniecenia, tylko ze strachu.

To, co kiedyś wydawało się tak uwodzicielskie, teraz było tylko tanią gierką. Zdawał

sobie doskonale sprawę z tego, że jest przystojny i odgrywał nieśmiałego chłopaka z prowincji, bo to jeszcze dodawało mu uroku. Niestety, ja teraz wiedziałam o nim zbyt wiele, a jego męska siła wydała mi się tylko czystą manipulacją. Uświadomiłam sobie nagle, że od pierwszej chwili chciał być górą, pragnął dominować, a wszystko zaczęło się od mojej odmowy wypicia piwa.

Zaproponował mi pepsi light i otworzył puszkę, zanim zdążyłam odmówić. Wybrałam linię najmniejszego oporu, a on od razu przejął kontrolę. Potem wszystko szło już gładko i po jego myśli. Zaskarbił sobie moją sympatię, opowiadając o tragicznej śmierci rodziców, a potem rzucił

uwagę na temat nadętych kobiet z Kalifornii. Bardzo szybko postanowiłam wyprowadzić go z błędu. Jego ostatni ruch był bardzo sprytny. Jakich facetów wolisz? Dużo młodszych czy dużo starszych? Nie mogłam uwierzyć, że dałam się podejść tak łatwo.

Kątem oka zauważyłam, że Mariah wstaje od stołu i idzie do toalety. Oparłam brodę na dłoni.

– Masz trochę czasu? Moglibyśmy wpaść na kolację do restauracji przy plaży albo gdzieś indziej...

– Postaw mi najpierw drinka, to pogadamy.

Wskazałam palcem jego kieliszek.

– Co pijesz?

– Martini. – Podniósł kieliszek i zsunął oliwkę na wyciągnięty język.

Wzięłam kieliszek i wstałam.

– Zaraz wracam.

Kiedy przechodziłam obok niego, wyciągnął rękę, żeby mnie zatrzymać. Spojrzałam na jego uniesioną twarz. Poczułam zapach płynu po goleniu i ciepłą dłoń spoczywającą władczo na moich pośladkach. Wysunęłam się zręcznie i pochyliłam w jego stronę.

– Nie bądź niegrzecznym chłopcem – powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to lekko i figlarnie.

– Ja jestem niegrzecznym chłopcem – odparł niskim, pewnym siebie tonem. – Myślałem, że właśnie to ci się we mnie podoba.

– Nie byłabym taka pewna.

Podeszłam do baru, gdzie zwijał się William, nalewając piwo i mieszając drinki. Zamówiłam dwa martini. Wymieniliśmy mało ważne uwagi, gdy wlewał do shakera wódkę i dodawał

odrobinę wermutu. Postawił na blacie dwa szerokie schłodzone kieliszki.

– Możesz coś dla mnie zrobić? Kiedy skończysz, zanieś, proszę, kieliszki do tego chłopaka w szarym swetrze. Powiedz mu, że poszłam do toalety i zaraz wrócę. Nie musi na mnie czekać z pićciem.

– Z przyjemnością – odparł William. Położył na tacy dwie podstawki, ustawił na nich martini i wyszedł zza baru.

Skierowałam się do toalety pachnącej środkiem dezynfekującym. Wiedziałam z przykrego doświadczenia, że drewniana deska w jedynej kabinie jest popękana i szczypie w pośladki, gdy się na niej siada. Mariah stała przy umywalce i poprawiała przed lustrem perukę. Obok umywalki stał duży plastikowy kosz na śmieci, a zakratowane okno wychodziło na niewielkie podwórko na tyłach restauracji. Z bliska zauważyłam, że pod płaszczem przeciwdeszczowym Mariah ma na sobie gruby sweter i szerokie niebieskie spodnie z wszytą przy pasku pogrubiającą poduszką.

Stroju dopełniały mokasyny marki Birkenstock i białe skarpetki. Co za szyk.

– I co o tym myślisz? – spytała.

– To przebranie jest do niczego. Widziałam cię tylko raz w życiu i rozpoznałam bez trudu zaraz po wejściu.

Wyjęła z torebki grzebień z dużymi zębami i zaczęła podnosić pasma na czubku głowy, by fryzura wydała się wyższa.

– Cholera. Kosztowała fortunę, a nawet nie jest z prawdziwych włosów.

– Co ty tutaj robisz? Czy wiesz, że o mało wszystkiego nie spaprałaś?

– Nawet mi nie mów. Te moje wspaniałe pomysły! – rzuciła z westchnieniem. – Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale stale odzywała się sekretarka. Nie chciałam zostawiać wiadomości.

Nigdy nie wiadomo, kto może jej przypadkiem wysłuchać. Nie chciałam ryzykować, że Tommy usłyszy mój głos. Uznałam, że łatwiej będzie namierzyć cię tutaj. Weszłam przekonana, że jestem zupełnie bezpieczna, i nagle widzę go przy stoliku. Myślałam, że dostanę zawału.

– Nie tylko ty. Jak to się stało, że cię nie zauważył?

– Nawet nie pytaj. Miałam szczęście. Szukał czegoś w płaszczu, więc udałam, że dostrzegłam znajomego i szybko przeszłam do boksu w głębi. Siedziałam tam przez piętnaście minut, planując ucieczkę przez kuchnię. Nagle podniosłam wzrok i zobaczyłam ciebie. Możesz go stąd jakoś wyprowadzić?

– Postaram się, ale nie podoba mi się to. Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie do domu.

Nie wpuściłam go do środka, ale on jest strasznie namolny. Próbuję go jakoś zbyć, a teraz muszę zacząć go uwodzić, żeby ratować twój tyłek.

– Nie ma lekko. – Poprawiła parę pasemek sztucznych włosów i uśmiechnęła się do siebie. –

Mam dobre wiadomości. Bracia wyczerpali kredyt na wszystkich kartach. Mają po osiem kart i teraz muszą płacić osiemnaście procent odsetek za niezapłacone rachunki. Oszczędzają na potęgę, żeby tylko jakoś przeżyć. Mają drogie zegarki, fantastyczne samochody. Sama hipoteka za ten koszmarny dom wynosi tysiąc pięćset dolców miesięcznie. Grunt pali im się pod nogami.

– Są zrujnowani?

– Będą, jeśli nie zaczną szybko działać. – Spojrzała na mnie w lustrze. Peruka i niedbały strój sprawiły, że wyglądała okropnie, nie przypominając w niczym chłodnej, eleganckiej profesjonalistki, która zjawiała się u mnie w biurze. Może nie do końca doceniłam jej możliwości.

– Podejrzewam, że nie miałaś okazji wspomnieć Tommy’emu o tym paserze.

– Nie zrobię tego. Naprawdę nie mogę ci pomóc. Przykro mi.

– Nie przejmuj się. – Schowała grzebień i odwróciła się w moją stronę. – Dopadnę tych pieprzonych drani i bez twojej pomocy.

– Dlaczego traktujesz to tak osobiście?

– Morderstwo jest zawsze sprawą osobistą. Nigdy nie mogę się z tym pogodzić, gdy takim facetom zbrodnia uchodzi na sucho. A poza tym firma obiecała mi sporą premię, jeśli zdołam ich przygwoździć. – Jej ukryte za okularami oczy lśniły zimnym błękitem. Skinęła głową w stronę drzwi.

– Lepiej już idź. Książę z bajki czeka.

Wyszłam z toalety prosto w hałas wywołany sporymi dawkami alkoholu. W mrocznej sali wisiały chmury dymu z papierosów. Czułam się tak, jakby nie było mnie tu całą godzinę, lecz rzut oka na zegarek potwierdził, że minęło niecałe dziesięć minut. Utorowałam sobie drogę przez tłum i wróciłam do stolika, gdzie czekał na mnie Tommy. Dosiadł się do niego Henry i popijał

swojego ulubionego black jacka z lodem. Łokcie opierał na szarej kopercie. Ciekawe, czy chciał

zabrać się zaraz potem do pracy. Poczulałam nagły przyptyw nadziei. Jego obecność ocali mnie przynajmniej od zbytniej poufałości.

Usiadłam na krześle.

– Witaj, Henry. Pukałam do ciebie wcześniej, ale bez skutku. – W moim głosie słychać było sztuczne ożywienie, ale nic nie mogłam na to poradzić.

– Musiałem wyskoczyć na targ. Zabrakło mi pietruszki do gulaszu.

– Gulasz Henry’ego stał się już legendą – rzuciłam w kierunku Tommy’ego, lecz nie mogłam mu spojrzeć w oczy. Wypiłam łyk martini, po czym lekko drżącą ręką odstawiłam kieliszek.

Oblizalam dłoń w miejscu, gdzie odrobina alkoholu przelała się przez brzeg.

Wymieniliśmy z Henrym krótkie spojrzenie. Wiedziałałam, co knuje. Czuł się za mnie odpowiedzialny. Nie miał zamiaru pozostawiać mnie sam na sam z niebezpiecznym przeciwnikiem. Zamyślony spojrzał na swoją szklaneczkę.

– A tak przy okazji – powiedział – sprawdziłem tę sprawę, o której wspominałaś.

– Ach tak – odparłam myśląc: sprawę? Jaką sprawę?

– Facet, z którym chcesz się skontaktować, to Cyril Lambrou w Klinger Building przy Spring Street w centrum Los Angeles. Kobieta, z którą rozmawiałem, sprzedała mu część starej biżuterii po matce. Rzadko ją nosiła i miała już dość płacenia zawrotnych sum za ubezpieczenie.

Poczułam się przez chwilę tak, jakbym opuściła swoje ciało. Nie mogłam uwierzyć, że Henry to robi. Przed chwilą wycofałam się ze współpracy z Mariah, a on nagle zarzuca przynętę.

Postanowił wziąć sprawy we własne ręce. Wiedziałałam, dlaczego tak postąpił. Jeśli nazwisko jubilera padnie z jego ust, nie można będzie potem zwalić winy na mnie, gdyby wszystko się wydało. Wczorajszy wieczór spędzili razem. Tommy na pewno mu zaufa. Wszyscy obdarzali Henry'go zaufaniem, bo on zawsze mówił prawdę i był uczciwy jak nikt.

– Rozumiem ją – odparłam. – Sama płacę fortunę firmie ubezpieczeniowej, a mogłabym znacznie lepiej spożytkować te pieniądze. – Mój głos zabrzmiał głucho. Wysunęłam dłoń spod ręki Tommy'ego, pragnąc wypić jeszcze jeden łyk martini. Uświadomiłam sobie jednak, że cała drzę i nie uda mi się podnieść kieliszka bez zwracania na siebie uwagi. Wsunęłam więc dłoń pod udo. Nawet przez materiał dzinsów czułam, że jest lodowata.

Tymczasem Henry ciągnął dalej niczym największy oszust świata:

– Zadzwoniłem do tego faceta i opisałem mu brylant. Nie chciał decydować się przez telefon, ale sprawiał wrażenie zainteresowanego. Wiem, że nie chcesz oddawać tego pierścionka za pół

darmo, ale musisz podejść do sprawy realistycznie. Nigdy nie dostaniesz tyle, ile jest w istocie wart, ale ten jubiler może się okazać znacznie hojniejszy od innych. Chyba chce zatrzymać ten pierścionek dla siebie, więc warto spróbować.

Z jego słów spróbowałam odtworzyć wymyśloną przez niego historię. Domyśliłam się, że jestem w posiadaniu cennego pierścionka z brylantem należącego niegdyś do mojej matki i próbuję go sprzedać. Najwyraźniej zwróciłam się do Henry'ego po radę, a on zasięgnął w tej sprawie języka. Jak dotąd szło nieźle, ale nie należy przeciągać struny. Pomyślałam, że możemy jeszcze rozegrać parę rundek, ale potem należy zamknąć sprawę. Przeciąganie kłamstwa w nieskończoność może się bardzo źle skończyć.

Zaschło mi w ustach. Ile? Odchrząknęłam i spróbowałam raz jeszcze.

– Ile? Rzucił jakąś sumę?

– Coś pomiędzy ośmioma a dziesięcioma tysiącami dolarów. Powiedział, że to zależy od kamienia i

od tego, czy będzie mógł odsprzedać pierścionek dalej, ale zaklinał się, że potraktuje transakcję uczciwie.

– Pierścionek wart jest pięć razy tyle – powiedziałam ze złością. Wiedziałam, że pierścionek istnieje tylko w naszej wyobraźni, ale mimo wszystko miał dla mnie dużą wartość uczuciową. W

takich okolicznościach osiem czy nawet dziesięć tysięcy dolarów było dla mnie czystym zdzierstwem.

Henry wzruszył ramionami.

– Rozejrzyj się jeszcze. W tym budynku znajdziesz jeszcze paru jubilerów, ale on twierdzi, że lepszy znany diabeł niż obcy.

– Może. Zastanowię się.

Wyraz twarzy Tommy’ego nie zmienił się. Przysłuchiwał się uprzejmie naszej rozmowie, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie zainteresowanego.

Poczułam, jak po plecach spływa mi strużka potu.

– Co masz w tej kopercie? – spytałam.

– Ach, dobrze, że mi przypomniałaś. Mam tu dla ciebie prezent. – Podał mi kopertę, obserwując mnie uważnie, gdy ją otwierałam. W środku znalazłam spięte starannie spinaczem rachunki, najprawdopodobniej wystawione dla Klotyldy.

– No dobra, poddaję się. Co to jest?

– Zobacz sama. No, czytaj.

Wzięłam pierwszy z brzegu rachunek, na którym wymieniono kilkanaście pozycji, z których większość stanowiły środki opatrunkowe:

szczotka do włosów \$ 1,00

opatrunki jałowe, 3m 1/4 x 3 \$ 1,22

opatrunki jałowe, 3m 1/4 x 3 \$ 1,22

podkłady plastikowe 23 x 36 \$ 3,35

strzykawka jednorazowa \$ 0,14

strzykawka jednorazowa \$ 0,14

strzykawka jednorazowa \$ 0,14



kateter \$ 1,59

balsam dla niemowląt \$ 1,62

taca do irygacji \$ 2,69

kubki plastikowe \$ 0,14

W sumie naliczyłam trzydzieści pozycji. Rachunek opiewał na dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów i dziesięć centów. Żadna z pozycji nie wydała mi się niezwykła. Spojrzałam na następny dokument, tym razem rozliczający ćwiczenia rehabilitacyjne i fizykoterapię – w sumie sto trzydzieści minut podczas ostatnich dni lipca. W okienku przy każdym z dni terapeuta prowadzący ćwiczenia wpisał swoje inicjały *pg*.

Spojrzałam zaskoczona na Henry'ego.

– To rachunki Klotyldy. Natknąłem się na nie dziś rano i pomyślałem, że cię zainteresują.

Przyjrzyj się dokładnie.

Wzięłam następny rachunek. Tym razem wystawiono go za przenośny sprzęt do zdjęć rentgenowskich, jego transport i dwa zdjęcia – jedno dłoni, a drugie całej ręki. Należność wyniosła sto osiem dolarów i pięćdziesiąt centów. Spojrzałam na nagłówek dokumentu i szybko wróciłam do poprzednich. Wszystkie wystawiono w Pacific Meadows.

– Nie wiedziałam, że Klotylda była tam pacjentką.

– Ja też nie. Pokazałem rachunki Rosie i powiedziała mi, że Klotyldę przyjęto tam zeszłej wiosny. Pacific Meadows to tylko jeden z domów opieki, które zaliczyła w ciągu ostatnich paru lat. Nie wiem, czy zwróciłaś na to uwagę, ale parę razy trafiała do szpitala – raz fatalnie upadła, potem miała zapalenie płuc, złapała gdzieś infekcję podniebienia. Dzięki ubezpieczeniu w Medicare mogła leżeć w szpitalu tylko przez określoną liczbę dni, chyba sto na jedną chorobę.

Była tak zgryźliwa i nieznośna, że kilka domów odmówiło jej przyjęcia. Twierdzili, że nie mają miejsc. Nadążasz?

– Na razie tak.

– Sprawdź daty tych rachunków.

– Lipiec i sierpień.

Henry pochylił się w moją stronę.

– Klotylda zmarła w kwietniu. Kiedy wystawiano te rachunki, nie żyła już od paru miesięcy.

Przez chwilę przetrawiałam tę informację. Był to pierwszy dowód finansowych machlojek, na jaki

się natknęłam. Jak im się udało tego dokonać? Klotylda musiała umrzeć w czasie, gdy w Pacific Meadows przeprowadzano pierwszą kontrolę. Zgodnie z relacją Merry sprawdzono sporą część kart pacjentów. Może pominięto kartę Klotyldy. Próbowałam sobie przypomnieć procedurę zgłaszania zgonów w ubezpieczalni. O ile dobrze pamiętałam, w kostnicy wypełniano akt zgonu i wysyłano do lokalnego biura ewidencji ludności, które z kolei przesyłało dokument do biura okręgowego. Akt zgonu wysyłano potem do Sacramento, gdzie trafiał do archiwum, a informację przesyłano do ubezpieczalni.

– Henry, to wspaniałe. Ciekawe czy można jakoś to sprawdzić? – Zaczęłam się od razu zastanawiać, czy uda mi się nakłonić Merry, by trochę dla mnie powęszyła. Będę musiała poczekać aż do następnego weekendu, bo wtedy zastępuje koleżankę. Nie byłoby zbyt politycznie prosić ją o to w zwykły dzień pracy, gdy pani Stegler wszystkiemu się bacznie przygląda. Plan B zakładał, że sama się tym zajmę, jeśli tylko będę wiedziała, czego mam szukać. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Tommy i Henry uważnie mi się przyglądają.

– Przepraszam. Zastanawiałam się właśnie, co z tym wszystkim począć.

Tommy musiał dojść do wniosku, że już stanowczo zbyt długo był uprzejmy i miły. Położył

rękę na mojej dłoni. Mocno ją przytrzymał, nie mogłam jej więc wysunąć, nie robiąc przy tym zbędnego zamieszania.

– Henry, przepraszam, że się wtrączę, ale ta dama obiecała postawić mi kolację. Chcieliśmy tylko wypić szybkiego drinka i zmykać stąd.

– A ja lepiej wrócę do mojego gulaszu, zanim się wszystko przypali. – Henry rzucił mi szybkie spojrzenie i wstał od stolika. Wiedziałałam, że nie chce mnie zostawiać samej, ale nie odważył się nalegać. Na myśl o jego odejściu poczułam falę rozpaczy. Podobnie czułam się w dniu, gdy w wieku pięciu lat po raz pierwszy poszłam do szkoły. Wszystko było w porządku, dopóki ciocia stała nieopodal, rozmawiając z innymi rodzicami, ale kiedy zniknęła mi z oczu, wpadłam w panikę. Teraz czułam ten sam niepokój, który tłumił wszystkie inne uczucia poza pragnieniem, by ciocia nie odchodziła. W końcu jednak zostałam sama. Henry też pożegnał się z Tommym i po chwili już go nie było. Musiałam jakoś się z tego wyplątać. Próbowałam wyswobodzić rękę, ale Tommy tylko zacieśnił uścisk.

Postukałam palcem w szarą kopertę.

– Wiesz co? Naprawdę muszę to dokładnie przejrzeć. Dzisiaj chyba nici z kolacji. Mam nadzieję, że nie będziesz mi miał tego za złe.

Miał. Patrzyłam, jak uśmiech znika z jego twarzy.

– Łamiesz obietnicę.

– Może jutro wieczór. Mam dużo roboty. – Wiedziałałam, że wystawianie go do wiatru nie jest najmądrzejszym posunięciem, ale nie mogłam znieść myśli o spędzeniu z nim wieczoru sam na sam.

Mariah na pewno zdążyła się już ulotnić, a nawet jeśli nie, to jej sprawa.

Zaczął gładzić moje palce, nieco mocniej niż zwykle się to robić w takich sytuacjach.

Zabolało mnie, ale Tommy wyraźnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Skąd ta nagła odmiana?

– Proszę, puść mnie.

Wpatrywał się we mnie uporczywie.

– Czy ktoś coś ci o mnie powiedział?

Zamarłam.

– A masz coś do ukrycia?

– Nie, oczywiście, że nie, ale ludzie wymyślają różne głupstwa.

– Ja nie. Jeśli mówię, że mam dużo pracy, to jest to szczerza prawda.

Ścisnął mi mocno palce, po czym cofnął rękę.

– To chyba muszę cię puścić. Może zadzwonię jutro? Albo lepiej ty zadzwoń do mnie.

– Dobra.

Jednocześnie wstaliśmy od stolika. Poczekaliśmy, aż Tommy włoży płaszcz i weźmie parasol.

Przy wejściu wzięłam swoją pelerynę i parasol. Tommy przytrzymał drzwi. Pożegnaliśmy się bardzo szybko, a ja przez cały czas walczyłam z przemożnym pragnieniem ucieczki. Ruszyłam w stronę domu, gdy on skręcił w przeciwną, do swojego samochodu. Zmusiłam się, by iść wolnym krokiem, choć marzyłam o tym, by puścić się pędem i szybko znaleźć się jak najdalej od niego.

Weszłam do mieszkania i zamknęłam za sobą drzwi. Tommy nieźle mnie przestraszył.

Chodziłam od okna do okna, zasuważąc zasuwy. Zaciągnęłam też żaluzje, by nikt nie mógł

zajrzeć do środka. Odprężyłam się dopiero wtedy, gdy każdy najmniejszy zamek został

zamknięty i sprawdzony. Usiadłam przy biurku i znalazłam w torbie wizytówkę Mariah Talbot.

Znajomość z nią mogła się okazać bardzo niebezpieczna. Tommy najwyraźniej już zaczął coś podejrzewać. Wyobraziłam sobie, jak przeszukuje moją torbę i znajduje tam wizytówkę. Ludzie, którzy za wszelką cenę pragną wszystko kontrolować, stale muszą się upewniać, że żaden najmniejszy choćby drobiazg nie umknął ich uwadze. Chcąc uniknąć dodatkowych kłopotów, nauczyłam się numeru na pamięć i podarłam wizytówkę na drobne kawałeczki. Nie dawała mi spokoju myśl, że on nadal ma mój kwestionariusz, w którym napisałam o sobie znacznie więcej, niżbym chciała. Tommy nigdy nie uwierzy do końca, że zajmuję się wyłącznie sprawą zaginięcia Dowana Purcella. Był święcie przekonany, że cokolwiek robię, musi mieć jakiś związek z nim.

Wypaczonemu poczuciu własnej ważności towarzyszy zazwyczaj narcyzm i paranoja. Jak wielu podobnych mu psychopatów Tommy wyczuł od razu, że zaczynam się go bać. Teraz na pewno się zastanawia, kto lub co wpłynęło na zmianę moich uczuć w stosunku do niego.

Usiadłam przy biurku i wykręciłam numer kierunkowy Teksasu oraz numer podany na wizytówce Mariah. Wiedziałam, że jej nie zastanę, ale mogłam przynajmniej zostawić jej wiadomość i poprosić, żeby się ze mną skontaktowała. Przypomniałam sobie, jak zgrabnie Henry włączył do rozmowy nazwisko pasera. Podobnie jak ja kłamał jak z nut i robił to z wielką finezją.

Teraz pozostawało już tylko czekać, czy informacja ta skłoni Tommy'ego do dalszego działania.

W słuchawce usłyszałam głos automatycznej sekretarki: „Dzień dobry, tu Mariah Talbot.

Dodzwoniłeś się do biura firmy Guardian Casualty Insurance w Houston w Teksasie. Pracuję od poniedziałku do piątku od ósmej trzydzieści do siedemnastej trzydzieści. Jeśli dzwonisz o innej porze, proszę, podaj swoje nazwisko, godzinę i numer, pod którym będę mogła cię znaleźć.

Często odsłuchuję wiadomości i postaram się jak najszybciej z tobą skontaktować. Dziękuję”.

– Cześć, Mariah – powiedziałam. – Tu Kinsey. Musimy porozmawiać. Proszę, zadzwoń do mnie do biura. Jeśli mnie nie zastaniesz, zostaw na taśmie jakieś dziesięć sekund ciszy. Potem sprawdzaj często pozostawione na sekretarce wiadomości. Oddzwonię i zaproponuję czas i miejsce spotkania. Dzięki. – Mówiąc to, pochylałam się nad telefonem i osłaniałam zwiniętą dłonią słuchawkę. Co mi strzeliło do głowy? Czyżbym wyobrażała sobie Tommy'ego przyklejonego do ściany z urządzeniem do podsłuchu w ręce? No tak, chyba coś w tym stylu. I kto tu mówi o paranoi?

Po nagraniu wiadomości skoncentrowałam się na rachunkach, które dostałam od Henry'ego.

Przerzucając je, poczułam się nareszcie bezpiecznie. Pierwszy z nich nosił nagłówek

„Podsumowanie wydatków dla Medicare”, a nieco poniżej przeczytałam: „Podsumowanie zwrotów wydatków rozpatrzonych dnia 29.08.1986 r.”. Gdyby udało mi się zdobyć kartę Klotyldy, mogłabym się przekonać, jakiemu została poddana leczeniu. Znałam część jej chorób i przypadłości, ale chciałam sprawdzić, jakie lekarstwa jej przepisano. Mogłabym wtedy porównać zamówienie z rachunkiem wystawionym dla Medicare. Przerzucając dokumenty, znalazłam jeszcze formularz świadczeń medycznych, faktury z kodami, rachunki i kilka zaświadczeń o przeprowadzonym leczeniu dodatkowym – domyśliłam się, że chodzi o fizykoterapię. Nigdzie jednak nie pojawiała się diagnoza, ale w pierwszej połowie sierpnia wydatki za same lekarstwa opiewały na sumę czterystu dziesięciu dolarów i dziewięćdziesięciu pięciu centów. Już po śmierci Klotyldy zakupiono na jej konto setki dodatkowych lekarstw i środków opatrunkowych, a rachunki przesłano do Medicare. Oczywiście ktoś mógł się pomylić i przypisać rachunki niewłaściwemu pacjentowi. Przy skomplikowanym systemie kodowania nie można było tego wykluczyć. Zważywszy jednak na węgierskie nazwisko Klotyldy z jego bardzo niezwykłą pisownią, trudno było założyć, że ktoś mógł je pomylić, tak jak myli się często osoby noszące popularne nazwiska „Smith” czy „Jones”. Najbardziej pomocny okazał się fakt, że choć kod zwrotów zmieniał się prawie na każdym rachunku, numer ubezpieczenia nadany Klotyldzie przez Medicare pozostawał stale ten sam. Zanotowałam go na małej karteczce i wsunęłam do kieszeni dzinsów. Ciekawe, czy karta Klotyldy nadal znajduje się w Pacific Meadows. Raczej tak, pomyślałam. Klotylda zmarła przecież w kwietniu i założyłam, że będą trzymać jej akta pod ręką przynajmniej przez rok i dopiero potem schowają gdzieś głęboko.

Poczekaliśmy do wpół do dziesiątej, zabijając czas sprząaniem. Czyszczenie muszli klozetowej w cudowny sposób koi skołataną nerwy. Wyszorowałam też umywalkę i wannę, po czym na kolanach zmyłam podłogę w łazience. Odkurzyłam całe mieszkanie i włączyłam pranie.

Od czasu do czasu spoglądałam na zegarek, zastanawiając się, o której godzinie pensjonariusze Pacific Meadows kładą się spać. Wreszcie włożyłam czarne adidas i czarną kurtkę przeciwdeszczową, która wieczorem prezentowała się znacznie lepiej niż żółta peleryna. Zdjęłam z breloczka kluczyki do samochodu i mieszkania, wsunęłam do kieszeni dzinsów prawo jazdy i trochę pieniędzy. Postanowiłam zabrać też ze sobą skórzaną saszetkę z kolekcją wytrychów. Ten szczególny zestaw był dziełem jednego z moich wykolejonych przyjaciół, który wolny czas w więzieniu poświęcił na stworzenie wytrychów przypominających wyglądem zestaw do manikiuru. Teraz w przerwach pomiędzy włamywaniem się do zamkniętych pomieszczeń mogłam przynajmniej zadbać o paznokcie. Zabrałam jeszcze ze sobą płaską latarkę wielkości karty do gry, którą bez trudu wsunęłam za stanik. Po drodze do domu opieki wstąpiłam do McDonalda, gdzie zamówiłam całą torbę hamburgerów, dwie cole i dwie duże porcje frytek.

Kiedy przyjechałam do Pacific Meadows, parking był prawie pusty. Personel dzienny zakończył już pracę, a zmiana nocna nie była aż tak liczna. Zaparkowałam samochód w zaciemnionej części parkingu i wzięłam torbę z jedzeniem. Deszcz przestał na jakiś czas siąpić, a ciężkie chmury zawisły nad górami na pomoc od miasta. Idąc w stronę budynku, próbowałam zlokalizować pokój Ruby Curtsinger. Wiedziałam, że przed jej oknem wisi karmnik dla ptaków i miałam nadzieję, że dzięki temu znajdę ją bez trudu. Dotarłam właśnie do rogu budynku, kiedy usłyszałam nadjeżdżający samochód.

Niczym rasowy detektyw schowałam się za rynną, gdy kierowca wjeżdżał na środkową część parkingu. Samochód był bardzo elegancki, klasyczny, z wydłużoną maską. Z tej odległości nie potrafiłam zidentyfikować marki i modelu. Karoseria przypominała samochody z lat czterdziestych: kremowa, ze lśniąącym srebrem przednim zderzakiem, olśniewające białe opony, żadnych ozdób na masce. Właściciel tego cacka był równie elegancki. Wysiadając, odrzucił na bok niedopałek papierosa, który żarzył się jeszcze przez chwilę na asfalcie. Mężczyzna miał na sobie jasny płaszcz przeciwdeszczowy, a pod nim trzyczęściowy garnitur. Obcasy jego czarnych butów o wąskich noskach stuknęły mocno, gdy ruszył w stronę budynku. Kiedy zbliżył się do oświetlonego wejścia, zauważyłam gęste wąsy i grzywę siwych włosów. Gdy zniknął w środku, ruszyłam dalej ścieżką, obchodząc budynek od tyłu.

W większości pokoi było już ciemno, a w przesuwanych oszklonych drzwiach zaciągnięto zasłony. Zamknęłam oczy, próbując przywołać obraz pokoju Ruby i jego położenie w stosunku do pokoi sąsiadów. Nie było to wcale łatwe, gdyż odwiedziłam ją przecież tylko raz. Poszukałam wzrokiem karmnika wiszącego przed jej oknem. Miałam tylko nadzieję, że personel nie zatroszczył się o to, by na jednego pensjonariusza przypadał jeden karmnik. Niedaleko przede mną drzwi do jednego z pokoi były lekko uchylone i dostrzegłam migający szarym blaskiem ekran telewizora. W ogrodzie niczym mała latarenka wisiał na gałęzi karmnik. Pochyliłam się w stronę telewizora.

– Ruby?

Jej wózek stał niecały metr ode mnie. Pochyliła się i wyjrzała do ogrodu. Przez chwilę próbowała sobie przypomnieć, kim jestem.

– Jesteś znajomą Merry. Przepraszam, ale nie pamiętam jak ci na imię.

– Kinsey – powiedziałam, podnosząc torbę. – Coś pani przyniosłam.

Odsunęła zasuwę na drzwiach i gestem dała mi znak, żebym weszła do środka. Spojrzała na mnie z rozjaśnioną twarzą i wskazała palcem na pakunek.

– Co tam jest?

Otworzyłam torbę, żeby mogła zajrzeć do środka.

– Dwa big maki, dwa cheeseburgery, dwie cole, dwie duże porcje frytek i mnóstwo soli oraz ketchupu. Pomyślałam, że będzie pani miała na to ochotę. – Podałam jej torbę. – Przepraszam, ale wszystko zdążyło już chyba wystygnąć.

– Mam kuchenkę mikrofalową.

– Naprawdę? To świetnie. Mam nadzieję, że jest pani głodna.

– Pewnie. – Położyła torbę na kolanach i podjechała do niskiej komody. Na blacie stał

elektryczny dzbanek do herbaty i kuchenka mikrofalowa wielkości pojemnika na chleb. Ruby włożyła torbę do środka i ustawiła czas. – Sprawdź, proszę, czy teren jest czysty – rzuciła przez ramię.

Podeszłam do drzwi prowadzących na korytarz i uchyliłam je lekko. Lampy na korytarzu przygaszono. Na końcu widziałam tonącą w powodzi światła dyżurkę pielęgniarek. Tyłem do mnie stał przy niej mężczyzna, który wszedł przed chwilą do środka. Może był krewnym, który zdecydował się na późniejszą wizytę. Nagle drzwi po przeciwnej stronie korytarza otworzyły się gwałtownie i wyszła z nich pielęgniarka. Miała na sobie sztywny biały fartuch, wykrochmalony czepek, białe rajstopy i buty na miękkich podszewkach, które zapobiegały powstawaniu żylaków.

Nie miałam pojęcia, że pielęgniarki noszą jeszcze taki strój. Kilka z tych, które niedawno spotkałam, miało na sobie zwykłe ubranie lub też spodnie i bluzy z syntetycznego materiału.

Zorientowałam się, że mam przed sobą Pepper Gray, wredną pielęgniarkę, która podsłuchiwała moją rozmowę z Merry podczas pierwszej wizyty w Pacific Meadows. Teraz zawiesiła na szyi słuchawki i z przejętą miną patrzyła na zegarek. Odwróciła się w stronę dyżurki i szybko ruszyła korytarzem.

W pokoju rozległ się brzęczyk kuchenki. Zamknęłam drzwi. Nie można ich było zamknąć na klucz i mogłam tylko mieć nadzieję, że charakterystyczny zapach jedzenia nie zwabi tu całego personelu. Ruby wyjęła torbę z kuchenki i wróciła na swoje miejsce przy drzwiach prowadzących do ogrodu. Przysunęła stoliczek na kółkach i wskazała mi krzesło. Nie byłam pewna, czy powinnam ją objadać, ale kupiłam znacznie więcej, niż mogłaby zjeść, a sama umierałam z głodu. Ruby sprawiała wrażenie zadowolonej z towarzystwa i pochłonęła cheeseburgera niemal tak szybko jak ja. Zabierając się do frytek, obie pociągałyśmy lekko nosami.

– Mam nadzieję, że po zjedzeniu tego wszystkiego nie dostanie pani ataku serca –  
powiedziałam, pociągając łyk coli.

– A jeśli nawet, to co? Będę mogła spocząć w pokoju. – Uniosła big maca zachwycona widokiem sosu spływającego jej po palcach. Zlizwała kroplę ketchupu, która pozostała jej w kąciku ust. – Nie jest tak duży jak w telewizji, ale za to pyszny.

– Ja je uwielbiam. Jak się pani ostatnio czuła?

Pokiwała lekko głową.

– Tak sobie. Słyszałam, że znaleźli samochód doktora, więc pomyślałam, że pewnie do mnie wpadniesz. Czekałam cały dzień.

– Potrzebowałam trochę czasu, żeby zebrać się w sobie. Jak tutaj przyjęto tę wiadomość?

– Niektórzy bardzo się tym przejęli, ale nikt chyba nie był specjalnie zaskoczony. Czy to on był w samochodzie?

– Jeszcze nie wiadomo. Ale raczej tak. Dziś przeprowadzono sekcję zwłok. – Opowiedziałam jej wszystko, dodając parę bardziej przerażających szczegółów, co sprawiło jej wyraźną przyjemność. – Proszę mi opowiedzieć coś o pracownikach nocnej zmiany. Często się tu kręcą?

– Nie. Kiedy jeżdżę po korytarzu, widzę, jak siedzą przy biurku i rozmawiają albo zajmują się

papierkami. Niektórzy piją kawę albo oglądają telewizję. W nocy panuje spokój, no chyba że ktoś umrze.

– Ilu ich jest?

Ruby policzyła w myślach.

– Siedmioro, jeśli włączyć w to salowe, pielęgniarki i ich pomocnice.

– Czy regularnie sprawdzają pokoje pacjentów?

– Często nie zjawiają się nawet, jeśli dzwoniemy. A czemu pytasz? Badasz teren?

– Jak najbardziej. – Wytarłam usta i położyłam zwiniętą serwetkę na kolanach. – Muszę sprawdzić pewne dokumenty. Myśli pani, że zamykają archiwum na noc?

Ruby potrząsnęła głową i przesunęła kawałek hamburgera pod policzek, by móc odpowiedzieć.

– A kto chciałby ukraść karty staruszków?

– Stałyby pani na czatach? Przydałaby mi się odrobina pomocy.

Zawahała się i nie była już tak pewna siebie.

– O mój Boże. Nie wiem, czy potrafię. Nigdy nie byłam w tym dobra. Nawet jako dziecko.

– Ruby, wszystko wymaga odrobiny praktyki. Nie będzie pani dobra, jeśli nigdy nie spróbuje.

Jej drobna postać skuliła się jeszcze bardziej.

– No dobrze, spróbuję, ale nie wiem, czy sobie poradzę.

– Na pewno.

Chwilę potem patrzyłam przez uchylone drzwi, jak jedzie w stronę dyżurki. Miała zagadać pielęgniarki i tak się ustawić, żeby móc obserwować, czy ktoś nie zmierza w stronę biura w czasie, gdy ja będę tam myszkować. Układ korytarza pozwalał mi dostać się tam niepostrzeżenie, ale bałam się, że nagle do pokoju wejdzie pielęgniarka szukająca na przykład karty jednego z pacjentów, której nie miała akurat pod ręką. Było to co prawda mało prawdopodobne, ale gdyby tak się stało, nie miałabym nic na swoje wytłumaczenie.

Dałam Ruby dość czasu, by mogła dojechać do dyżurki, a potem wysliznęłam się z jej pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Skręciłam w prawo i ruszyłam korytarzem pewnym krokiem, jakbym miała pełne prawo tu być. Minęłam pokój dzienny, drzwi wejściowe i jadalnię. Drzwi do pokoju dziennego i jadalni były otwarte, ale w środku pogaszono wszystkie światła. Zatrzymałam się i oparłam o ścianę. Niczym drapieźnik, który wyrusza na żer, zamknęłam oczy i zaczęłam identyfikować unoszące się w powietrzu zapachy: rożki z cynamonem, sosnowy odświeżacz powietrza, świeżo wyprasowana



bawelna i gardenie. Tak, był to bez wątpienia zapach świata ludzi starszych.

Kiedy dotarłam do biura administracji, wzięłam głęboki oddech i przekręciłam gałkę w drzwiach. Zamknięte. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie użyć wytrychów, ale nie bardzo przemawiała do mnie wizja długiego manipulowania przy zamku. Na pewno można to załatwić o wiele prościej. Wróciłam do recepcji, opuszczonej i ciemnej o tak późnej porze. Wsunęłam się za ladę i przeszukałam szufladę po szufladzie. Cały czas nasłuchiwałam uważnie, by natychmiast wychwycić najmniejszy choćby dźwięk zwiastujący nadejście niepożądanego osoby. Na dnie jednej z szuflad znalazłam metalowe pudełko z przegródkami, które otworzyłam bez trudu. W

środku odkryłam całe mnóstwo kluczy – wszystkie dokładnie opisane. Punkt dla mnie. To było o wiele bardziej emocjonujące niż polowanie na grubą zwierzynę. Chcąc się zabezpieczyć, wzięłam trzy klucze: do biura administracji, izby przyjęć i archiwum medycznego. Zamknęłam pudełko i szufladę i znów ruszyłam ostrożnie korytarzem.

Zaczęłam od biura administracji. Ręce drżały mi trochę, jakieś 1,2 stopnia w skali Richtera, ale poza tym było w porządku. Kiedy już znalazłam się w środku, nie odważyłam się zapalić światła, choć same drzwi wyglądały solidnie. Bałam się jednak, że ktoś wjeżdżający na parking może się zastanowić, dlaczego o tej porze w biurze pali się światło. Sięgnęłam więc za dekollet i wyjęłam z za stanika małą latarkę. Była cała ciepła i dawała wężutki promyk światła, ale wystarczyło mi to w zupełności. Chwilę poświęciłam na zorientowanie się w terenie. Widziałam już to biuro za dnia, więc mniej więcej wiedziałam jak wygląda.

W głębi za ladą stało biurko Merry, połączone tylną ścianką z drugim, identycznym. Oprócz niego znajdowało się tam parę wózków na segregatory, kopiarka i kilka metalowych szafek przy ścianie. Ekran komputera Merry był czarny, lecz niczym małe serce pulsowała na nim bursztynowa kropeczka. W ciemności nie widziałam dużego zegara na ścianie, ale słyszałam jego nieustanne tykanie, gdy sekundnik wędrował dookoła tarczy. Po mojej prawej stronie znajdowały się drzwi do gabinetu doktora Purcella, gdzie rozmawiałam z panią Stegler. Drzwi po lewej stronie łączyły biuro z archiwum medycznym. Skierowałam promień światła na zegarek. Była 22:22.

Ostrożnie spróbowałam przekręcić gałkę w drzwiach prowadzących do archiwum. Na szczęście nie były zamknięte na klucz. O, radości. Przesunęłam słabym promieniem latarki po ciemnym wnętrzu i znalazłam tam cztery biurka, stół do pracy, kilka krzeseł i kopiarkę. Pod ścianami stały szafki na akta, a ich podwójny rząd ustawiono również na środku pomieszczenia.

W przeciwległej ścianie zauważyłam jeszcze jedno drzwi. Podeszłam do nich i przekonałam się z radością, że również nie są zamknięte na klucz. Wsunęłam głowę do środka i okazało się, że patrzę na izbę przyjęć. Wszystkie trzy pomieszczenia były połączone wewnętrznymi drzwiami.

Byłam pewna, że pracownicy archiwum, sekretarki i urzędnicy z recepcji doceniają łatwość, z jaką mogą się przemieszczać bez potrzeby wychodzenia na korytarz. Z minuty na minutę było mi coraz różniej na duszy.

Wróciłam do archiwum. Postanowiłam się skoncentrować na sprawie, w której przede wszystkim tu trafiłam, czyli na znalezieniu karty Klotyldy w całej masie dokumentów innych pensjonariuszy.

Obchodziłam pokój, oświetlając sobie drogę latarką i czytałam napisy na szufladach, pragnąc się zorientować, jakie przyjęto tu zasady. Miałam nadzieję, że zdecydowano się na porządek alfabetyczny. Niestety, nie miałam szczęścia. Otworzyłam pierwszą szufladę i obrzuciłam spojrzeniem masę znajdujących się tam dokumentów. Karty poukładano według numerów składających się z sześciu cyfr. Wybrałam piętnaście przypadkowych kart, szukając łączących je elementów, które mogłyby mnie naprowadzić na ślad systemu. Niestety, pacjentów nie łączył wiek, płeć, diagnoza ani nazwisko lekarza prowadzącego. Stałam tam bezradnie przewracając kartki. Nie widziałam żadnego związku. Otworzyłam następną szufladę. Nadal żadnych nazwisk. Schyliłam się do najniższej szuflady i wyjęłam jeszcze dziesięć kart. Nic mi się nie rzuciło w oczy. Wszędzie widać było tylko numery identyfikacyjne pacjentów: 698727...

363427... 134627. Zajrzałam do szuflady w następnej szafce. Jak mogłam znaleźć kartę Klotyldy wśród tysięcy znajdujących się tu dokumentów? Raz jeszcze zaczęłam szukać wspólnego mianownika: 500773... 509673... 604073. Wstyd mi się przyznać, ale dopiero po dłuższym czasie zauważyłam element łączący poszczególne grupy kart. Jednak w końcu oświeciło mnie, że poukładano je według dwóch ostatnich cyfr numeru identyfikacyjnego.

Wyjęłam z kieszeni dzinsów kartkę, na której zanotowałam numer ubezpieczenia Klotyldy.

Niestety nie miał żadnego związku z numerami na kartach, które najwyraźniej nadawano pacjentom w chwili przyjęcia. Byłam coraz bardziej rozczarowana. Nie znoszę, gdy moje niezgodne z prawem wysiłki nie przynoszą też żadnego efektu. Gdzieś w tym pokoju musi się znajdować alfabetyczna lista pacjentów, bo inaczej nikt nie mógłby się połączyć w tych kartach.

Zamknęłam szuflady i raz jeszcze obeszłam pokój. Promień mojej latarki stał się niepokojąco żółtawy, co sugerowało, że bateria jest już na wyczerpaniu.

Podeszłam do okna. Na parkingu nie było żywego ducha. Postanowiłam włączyć to cholerne światło. Odwróciłam się na pięcie, żeby móc się dobrze rozejrzeć dookoła. Obok drzwi zauważyłam dużą księgę w twardych okładkach, która zawierała wydrukowane na komputerze strony. Podeszłam bliżej i otworzyłam ją. Dzięki wam, o niebiosas. Był to Główny Spis Pacjentów, ułożony na szczęście alfabetycznie. Odnalazłam skomplikowane nazwisko Klotyldy, przepisałam jej numer identyfikacyjny i wróciłam do pracy. Zostawiłam zapalone światła, myśląc: A do diabła z tym! Wznowiłam poszukiwania, także i tym razem kierując się dwiema ostatnimi cyframi numeru. Znalazłam kartę Klotyldy po paru minutach, wyjęłam ją z szuflady i wsunęłam za gumkę majtek.

Zgasiłam światło i wróciłam do biura administracji. Już miałam wyjść na korytarz, kiedy nagle uderzyła mnie następująca myśl. Jeśli ktoś ma kiedykolwiek odkryć prawdę, to prowadzący kontrolę inspektorzy będą musieli znaleźć w archiwum kartę Klotyldy. Dowód znajdujący się w moich majtkach na pewno nie przekona żadnego sądu. Kiedy wyniosę stąd dokumenty, zniszczę tym samym dowody i nigdy się już nie dowiemy, czy Dow Purcell był winny, czy nie.

Cholera jasna.

Wróciłam pędem do archiwum, gdzie rozłożyłam kartę na najbliższym biurku. Strony poukładano w ten sposób, że dokumenty wystawione najpóźniej znajdowały się na samym wierzchu. Na samym

spodzie znalazłam kartę przyjęcia Klotyldy do ośrodka. Zdjęłam metalową klamrę. Z sercem bijącym jak oszalałe ze strachu i podniecenia uniosłam pokrywę kopiarki i położyłam na niej pierwszą stronę. Przycisnęłam guzik. Z lekkim szumem kopiarka zaczęła się nagrzewać. W ślimaczym tempie promień światła przejechał tam i z powrotem pod dokumentem, a gotowa kopia opadła na tacę po mojej lewej stronie. Znow uniosłam pokrywę i położyłam następną kartkę. Przynajmniej miałam dość światła. Wiele naniesionych przez lekarzy informacji było mało istotnych i widać było wyraźnie, gdzie oszuści mogli wkroczyć do akcji. Poza środkami czysto medycznymi kto mógłby wyśledzić, czy pacjentka otrzymała sterylne opatrunki, czy też może butelkę balsamu dla dzieci. Kiedy na tacę opadała kolejna strona, promień światła z kopiarki był na tyle jasny, że mogłam spokojnie kłaść następną stronę. Co zrobię, jeśli ktoś tu nagle wejdzie? Zastanawiając się nad tym, zaczęłam się jednocześnie martwić, czy stojąc tak blisko kopiarki nie zostanę na amen wysterylizowana.

Szesnaście minut później skończyłam kopiować wszystkie strony. Wygładziłam stosik kartek i wsunęłam je jeszcze ciepłe za gumkę majtek. Zebrałam kartę Klotyldy i spięłam wszystko metalową klamrą. Co teraz? Nie mogłam jej zabrać ze sobą, ale też nie mogłam mieć pewności, że ktoś nagle się tu nie zjawi i jej nie zniszczy. Wróciłam do szuflady, z której wyjęłam dokumenty. Ostatnie dwie cyfry numeru Klotyldy to było 44. Postanowiłam wsunąć je do szafki obok i schować wśród dokumentów, których numery kończyły się na 54. W ten sposób będę wiedziała, gdzie są, a urzędnicy pracujący w archiwum po prostu dojdą do wniosku, że karta gdzieś zaginęła. Zawsze istniała możliwość, że ktoś natknie się na kartę w jej nowym miejscu, ale nie miałam wyjścia – musiałam zaryzykować.

Wyszłam z archiwum, zamknęłam za sobą drzwi i wróciłam do głównego biura, którego mrok rozjaśniała pulsująca kropka na ekranie komputera Merry. Zdażyłam się już przyzwyczać do ciemności i bez większego trudu widziałam tarczę zegara. Była 23:34. Pora się zwijać.

Przeszłam przez ruchomą furtkę w ladzie i dotarłam do drzwi, gdy nagle usłyszałam na korytarzu zbliżające się kroki. Zamarłam, próbując opanować panikę. Stukot obcasów był cichy, ale wyraźny. Ktoś musiał jednak zauważyć światło w biurze, bo kroki zbliżały się zdecydowanie w moim kierunku. Nie chciałam wierzyć, że ktoś naprawdę wejdzie do środka, ale pragnąc zachować daleko posuniętą ostrożność, szybko wróciłam za ladę. Rozejrzałam się w poszukiwaniu najlepszej kryjówki. Podeszłam do biurka Merry, odsunęłam krzesło i wczołgałam się pod blat. Po chwili siedziałam już na zwoju grubych kabli, a głowę musiałam przechylić pod ostrym kątem, by nie uderzać o dno szuflady. Ostre rogi kartek wbijały mi się w żołądek i klatkę piersiową i wydały dziwny dźwięk, gdy podciągnęłam kolana pod brodę.

Drzwi do biura nagle się otwały.

Spodziewałam się, że zaraz rozbłyśnie światło, ale w pokoju nadal panował mrok. Nie miałam pojęcia, czy spod biurka nie widać przypadkiem jakiejś części mojej osoby, ale musiałam ufać opatrności, że ktokolwiek się tu zjawił, zaraz sobie pójdzie. Chwilę później drzwi otworzyły się po raz drugi i do środka weszła druga osoba. Usłyszałam wymieniane szeptem uwagi, drobną sprzeczkę, a potem skrzypienie furtki, gdy jedna, a potem druga osoba weszła za ladę, gdzie byłam (taką miałam przynajmniej nadzieję) dobrze ukryta. Kim są te osoby? Może doszło do nieoczekiwanego zlotu włamywaczy? Może każde z nas chciało ukraść jakieś dokumenty z zupełnie innych, ale równie nieuczynnych powodów? Jeśli nowo przybyli nie knują nic złego, to dlaczego nie zapalili światła?

Zaszurały stopy i nagle obie osoby stanęły przed biurkiem Merry w łagodnym blasku padającym z jej ekranu. Zamknęłam oczy jak małe dziecko. Jeśli ja ich nie będę widzieć, to może oni też mnie nie zobaczą. Usłyszałam szelest materiału, gdy ktoś zdjął płaszcz, powiesił go na oparciu krzesła Merry, po czym odsunął je na bok. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam przed sobą parę nóg w męskich spodniach i tył obcasów czarnych butów. Mogłabym przysiąc, że jest to szpakowaty mężczyzna, którego zauważyłam wcześniej na parkingu. Stał teraz tuż obok kobiety, której białe rajstopy i buty na grubych podszwach też już widziałam. Pepper Gray.

Usłyszałam całą falę trudnych do zidentyfikowania szeptów, głęboki jęk, protesty mężczyzny i pełne namiętności słowa zachęty z jej strony. Dobiegł mnie też cichy dźwięk odsuwanej klamki. O mało co nie krzyknęłam z przerażenia. Oni zamierzali się bawić w doktora, a ja utknęłam tu na dobre! Mężczyzna oparł się o biurko – widziałam, jak zaciska palce na blacie.

Tymczasem ona opadła na kolana i zabrała się ostro do pracy. Jego protesty stopniowo cichły.

Oddychał coraz szybciej i coraz bardziej chrapliwie. Najwyraźniej miał słabość do pielęgniarek, a ją podniecało ryzyko, że mogą tu zostać przyłapani.

Robiłam, co w mojej mocy, by nie zwracać na nich uwagi. Próbowałam przywoływać wzniosłe myśli, godne zapamiętania maksymy i wznieść się na wyżyny znane tylko osobom praktykującym zen. Za całą tę sytuację mogłam obwiniać tylko siebie. Postanowiłam dać sobie spokój z włamywaniem się do miejsc, w których zdecydowanie nie powinnam się była znaleźć.

Przyrzekłam, że odpokutuję za wszystkie grzechy. Nawiasem mówiąc, już płaciłam mocno wygórowaną cenę. Dla kogoś, kto tak rzadko uprawia seks jak ja, kara była stanowczo zbyt okrutna. Pepper stała niecały metr ode mnie i z radością zajmowała się pulsującą męskością swego partnera, jak określają to w powieściach obfitujących w podobne sceny. Muszę przyznać, że seksualne życie innych ludzi wcale nie jest fascynujące. Facet jęczący „Pepper, och Pep” z mojej perspektywy nie wydawał się wcale romantyczny. Poza tym trwało to strasznie długo i zaczęłam się obawiać, że Pepper zwichnie sobie w końcu szczękę. Po chwili zaczęła wydawać przytłumione, pełne zachęty dźwięki. Kusilo mnie, żeby jej zawtórować. Nawet zainstalowane pod biurkiem urządzenie regulujące napięcie wydało cichy pisk, który wyraźnie podniecił

mężczyznę. Zaczął szybciej oddychać, a jęki znacznie zyskały na intensywności. Wreszcie jęknął

tak, jakby przyciął sobie palec w drzwiach i starał się nie krzyknąć.

Cała nasza trójka była ogromnie wyczerpana i modliłam się w duchu, żeby nie czekał nas teraz wypalany po stosunku papieroszek. Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim byli gotowi do wyjścia. Szeptem wymienili kilka zdań, ustalając, że ona wyjdzie pierwsza, a on dopiero po pewnym czasie. Kiedy w końcu mogłam się wyczołgać z mojej kryjówki, byłam cała obolała.

Szyja zesztyniała mi zupełnie. Ostatni raz w życiu poprosiłam Ruby, żeby stanęła na czatach.

Pół godziny po północy po raz drugi tego wieczoru wróciłam do domu. Wcześniej odłożyłam na miejsce klucze od biura i wyszłam prosto przez frontowe drzwi. Dokumenty Klotyldy przylegały do mojego żołądka jak papierowy pas przeciw przepuklinie. Kiedy dotarłam na parking, nie było tam już eleganckiego, beżowego samochodu. Podeszłam do mojego volkswagena. Zanim wsunęłam się za kierownicę, wyjęłam spod ubrania kartki i schowałam je pod przednie siedzenie. Wyglądały okropnie; po bliskim kontakcie z moimi udami i żebrami były pogięte i miały pozaginane rogi. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i wyjechałam z parkingu.

Po powrocie do domu obeszłam ostrożnie całe mieszkanie i upewniłam się, że wszystkie drzwi i okna są nadal zamknięte. Nie przestawałam myśleć o Tommym. Miałam wielką ochotę zagłębić się w przyniesione dokumenty, ale postanowiłam dać sobie na razie z tym spokój.

Usiadłam przy biurku i zanotowałam na małych karteczkach kilka cennych informacji. Czułam się trochę dziwnie, czytając swoje wcześniejsze notatki na temat Purcella teraz, gdy wiedziałam już, że nie żyje. Nie miałam bowiem najmniejszych wątpliwości, że to jego ciało znaleziono za kierownicą mercedesa. Przy odrobinie dobrej woli można było sobie co prawda wyobrazić, że doktor podstawił ciało kogoś innego. W rzeczywistości nie było to łatwe, zwłaszcza w przypadku utonięcia, kiedy śladów nie da się zatrzeć. Patolog kryminalny nie potrzebowałby wcale dużo czasu, żeby porównać stan uzębienia i odciski palców, i w ten sposób poznać prawdziwą tożsamość ofiary.

Rozłożyłam karteczki na biurku, najpierw w porządku chronologicznym, a potem według kolejności przeprowadzanych rozmów. Nikt mi za to nie płacił, ale też nie zostałam oficjalnie zwolniona. Bezwiednie przetasowałam kartki, żeby sprawdzić, jaki to przyniesie rezultat. Był

zawsze ten sam. Dow Purcell nie żył i obojętnie, czy sam odebrał sobie życie, czy też zginął

zamordowany, pozostawił za sobą niezły bałagan. Trzy pytania nie dawały mi spokoju. Gdzie jest jego paszport i gdzie przepadło trzydzieści tysięcy dolarów? No i pozostawała jeszcze drobna, ale istotna sprawa skrytki pocztowej. Jeśli Dow nadal potajemnie z niej korzystał, dlaczego pytał Crystal, czy jeszcze ją wynajmuje?

O dziewiątej rano zadzwoniłam do Fiony. Oczywiście nie zastałam jej w domu. W

pozostawionej wiadomości powiedziałam jej, że postaram się odnaleźć brakujące trzydzieści tysięcy dolarów i dałam do zrozumienia, być może całkiem słusznie, że za kradzież może być odpowiedzialny któryś z mieszkańców domu Crystal. Zaproponowałam, że popracuję nad tym jeszcze przez parę godzin, jeśli gotowa jest pokryć koszty. Miałam nadzieję, że Fiona nie oprze się pokusie pogrążenia Crystal lub kogoś równie drogiego jej sercu. A nawet jeśli nie, to zajmę się tym sama z czystej ciekawości. W tej robocie nie zawsze przecież chodzi tylko o pieniądze.

Nie minęło jeszcze południe, gdy załatwiłam w biurze wszystkie sprawy i odpowiedziałam na pozostawione mi wczoraj na sekretarce wiadomości. Jenniffer zadzwoniła, że jest chora, co oczywiście oznaczało, że wybiera się właśnie z kumplami do Los Angeles, żeby obejrzeć koncert swojego ulubionego zespołu. Powiedziała Jill, że wracając wczoraj do domu, wrzuciła do skrzynki

przygotowaną do wysłania pocztę. Nie wątpiłam bynajmniej w jej zapewnienia, ale z czystej ciekawości usiadłam na jej krześle i zaczęłam przeszukiwać biurko. W dolnej szufladzie znalazłam stos listów przygotowanych do wysłania jeszcze przed tygodniem, a wśród nich moje rachunki z przyklejonymi świeżo znaczkami. Szybko sypnęłam sprawę Idzie Ruth, która ostro zaklęła i przysięgła uroczyście, że powie o wszystkim Lonniemu i Johnowi. W efekcie Jenniffer wyleci z hukiem z biura.

Tymczasem zebrałam swoją pocztę do pudełka i sama wrzuciłam do skrzynki. Ciekawe, kiedy Richard Hevener dostanie mój list i jak zareaguje na wieść, że nie może zrealizować mojego czeku. Ma chłopak pecha. Powinien był to zrobić jeszcze tego samego dnia. Z poczty skierowałam się na posterunek policji w nadziei, że uda mi się tam złapać detektywa Odessę, zanim wyjdzie na lunch. Niestety, wyszedł razem z innym detektywem pięć minut przed moim przyjściem. Zapytałam oficera dyżurnego, gdzie mogli się udać.

– Prawdopodobnie do Del Mar. Często tam chodzą. A jeśli nie, proszę spróbować przy okienku w Arcade. Czasami kupują tam kanapki i zjadają przy biurku.

Położyłam przed nim swoją wizytówkę.

– Dzięki. Jeśli nie uda mi się go znaleźć, proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił.

– Nie ma sprawy.

Zasunęłam zamek kurtki i zeszłam po schodkach na ulicę. Sprawdzając prognozę pogody w porannej gazecie, zobaczyłam na zdjęciu satelitarnym grubą warstwę chmur i kolejną nadciągającą nad wybrzeże burzę. Ranek miał wstać pochmurny i mglisty, a po południu zanosiło się na deszcz. Temperatura nie miała przekroczyć dwunastu stopni. Jak tak dalej pójdzie, wszyscy mieszkańcy miasta staną się nie do wytrzymania i przygnębieni paskudną pogodą wpadną w nieuleczalną depresję.

W Del Mar nie znalazłam ani śladu Odessy, więc przeszłam kawałek do Arcade, sklepu z kanapkami, gdzie w malutkim wnętrzu stały trzy stoliki z marmurowymi blatami i metalowe krzesła. Prowadzące sprzedaż na wynos okienko znajdowało się z drugiej strony budynku, gdzie pod czarno-białą markizą ustawiono dwa drewniane stoły i cztery ławki. Odessa siedział tam pochylony nad czerwonym, plastikowym koszykiem mieszczącym olbrzymich rozmiarów hamburgera i porcję frytek. Naprzeciwko niego siedział detektyw Jonah Robb. Było lepiej, niż myślałam.

Poznałam Jonaha przed czterema laty, kiedy pracował w wydziale osób zaginionych, a ja właśnie jednej z nich szukałam. Został potem przeniesiony do wydziału zabójstw, awansowany na porucznika i szefa grupy operacyjnej. Był więc szefem Paglii. Kiedy się poznaliśmy, jego małżeństwo przechodziło właśnie jeden z licznych kryzysów i przez pewien czas spotykaliśmy się w moim łóżku. Wkrótce potem jego żona Camilla i ich dwie córki wróciły do domu. Kiedy spotkałam go następnym razem, powiedział mi, że podjęła pracę urzędniczką w sądzie, ale niedługo potem porzuciła zarówno pracę, jak i męża. Tym razem wróciła w ciąży: nosiła pod sercem dziecko innego mężczyzny. Domniemany tatuś postanowił zwiać, zostawiając biedną Camillę na lodzie. Jonah oczywiście znów przyjął ją pod swój dach i ostatnio słyszałam, że z zapałem opiekuje się całą trzódką. Od samego

początku naszego związku jak na mój gust było w nim stanowczo za dużo melodramatu. Postanowiłam w końcu to przerwać, ale nie dotarłam jeszcze do etapu, kiedy mogłabym go spotykać bez uczucia lekkiego zażenowania.

Vince Odessa zauważył mnie i pomachał w moją stronę.

– Cześć, chłopaki – powiedziałam.

Jonah odwrócił się na ławce i przywitaliśmy się uprzejmie, próbując nie patrzeć sobie w oczy. Uścisk naszych dłoni przypominał pożegnanie z pastorem po niedzielnym nabożeństwie.

– Jak się miewasz? – spytał.

– W porządku. A jak dziecko? – spytałam. – Musi już mieć chyba ze cztery miesiące?

– Jest wspaniały. Urodził się 4 lipca, zgodnie z planem, i ważył ponad cztery kilo.

Prawdziwy olbrzym.

– Jak mu na imię?

– Banner.

– Jak gwiazdzisty sztandar?\*

Jonah zawahał się.

– Skąd wiesz? To Camilla wymyśliła to imię, ale ty pierwsza to skojarzyłaś.

– Czysty przypadek.

– Siadaj. – Odessa gestem wskazał mi miejsce przy stole. – Zjesz z nami lunch?

Jonah szybko podsunął mi swój plastikowy koszyczek.

\* *Star-spangled Banner* („Gwiazdzisty sztandar”) – tytuł amerykańskiego hymnu narodowego. 4 lipca to narodowe święto Amerykanów (przyp. tłum.)

– Proszę. Chętnie się z tobą podzielę. Camilla nie daje mi spokoju i stale namawia do diety.

W czasie jej ciąży przytyłem jakieś siedem kilo. Ona szybko się pozbyła swoich kilogramów, a moje jakoś nie chcą mnie porzucić. – Chwycił palcami kawałek ciała w talii, który nabrał kształtu sporej kiełbaski.

Stałam blisko niego i stwierdziłam, że byłoby niepotrzebną demonstracją, gdybym okrążyła stół i usiadła obok Odessy. Opadłam więc na ławeczkę obok Jonaha. Przyjrzałam się jego kanapce i znalazłam tam bekon, sałatę i pomidory z odrobiną guacamole i majonezu.

Przyprawiłam to jeszcze sporą ilością soli. Nie lubię sprawiać zawodu moim nerkom.

– Co knujesz? – spytał Odessa. Miałam pełne usta, więc kiedy próbowałam jak najszybciej przełknąć spory kęs kanapki, wrócił do przerwanej rozmowy z Jonahem. – Rozmawialiśmy o Purcellu. Jonah był obecny przy sekcji.

– Doktor Yee stwierdził, że zważywszy na stan ciała, nie może przeprowadzić żadnych badań biochemicznych. Wygląda na to, że śmierć nastąpiła w wyniku jednego strzału w głowę.

Znaleźliśmy broń na przednim siedzeniu. To colt python 357 z jednym wystrzelonym nabojem.

Reszta nadal tkwiła w magazynku. Yee twierdzi, że istnieje niemal stuprocentowe prawdopodobieństwo, że Purcell nie żył już, gdy samochód wpadł do wody.

– Broń należała do niego? – spytałam.

Johan wytarł usta i zmiął serwetkę w dłoni.

– Kupił ją przed rozwodem z Fioną. Ze względu na dziecko Crystal nie pozwalała mu trzymać rewolweru w domu. Sądzi, że trzymał go w szufladzie biurka w pracy lub też w schowku w samochodzie.

– Teraz próbujemy ustalić, jakim sposobem samochód trafił do jeziora – powiedział Odessa.

Podniosłam rękę.

– Miał się spotkać z Fioną. Ona twierdzi, że do niej nie dotarł, ale może kłamać.

Z pełnymi ustami Odessa pokiwał energicznie głową.

– Nie myśl tylko, że nie zwróciliśmy na to uwagi. Znajdujemy przecież martwego faceta niemal na jej progu.

– I uważaj dalej. Jest jedyną beneficjentką jego polisy na życie. To część ugody, jaką zawarli podczas rozwodu. Sprawdziliśmy to – dodał Jonah.

– Ile?

– Milion dolarów.

– Mnie by wystarczył – wyznał Odessa.

– Trochę to zbyt ryzykowne zabijać faceta tak blisko domu – zauważyłam.

– Może na tym polega cały dowcip – zasugerował Jonah. – A może zrobił to ktoś inny.

Zwabił go tam pod jakimś pretekstem, a potem strzelił prosto w głowę.



Odessa skrzywił się.

– A jak go tam zaciągnął?

– Jechali jednym samochodem – wyjaśnił Jonah. – Mógł do niego zadzwonić i umówić się na spotkanie, a potem stwierdzić, że chciałby porozmawiać w jakimś spokojnym miejscu, ale nie ma tam jak dojechać.

– A pretekst?

– A komu potrzebny jest pretekst? – powiedziałam. – Można się ukryć na tylnym siedzeniu, a potem wyciągnąć broń.

– I co potem? Jak wrócisz z miejsca zbrodni?

– Piechotą. To przecież niedaleko – odparł Jonah.

– A jeśli ktoś cię zobaczy? Teraz masz już świadka, który widział cię na miejscu zbrodni – powiedziałam.

– Mogło ich być dwóch – podsunął Odessa. – Jeden spotyka się z ofiarą i załatwia sprawę, a drugi czeka w zaparkowanym na uboczu samochodzie.

– Ale czy wspólnik nie zwiększa ryzyka całego przedsięwzięcia?

– Zależy kto nim jest.

Jonah pociągnął łyk coli i przesunął kubek w moją stronę. Wypiłam trochę i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc przed siebie.

– Z drugiej strony – zaczęłam – Purcell miał problemy z federalnymi i najprawdopodobniej czekało go sporo nieprzyjemności. Jestem pewna, że rozważał możliwość popełnienia samobójstwa. Nie zrobiłbyś tego na jego miejscu?

– Chyba tak – odparł Jonah. Zasepił się na myśl o takim rozwiązaniu. – Chłopaki nadal pracują nad mercedesem. Purcell rozłożył na kolanach mohairowy koc, a na podłodze przy siedzeniu pasażera leżała pusta butelka whisky. Światła były wyłączone. Stacyjka była włączona.

Radio wyłączone. Dokumenty, portfel, wszystko znajdowało się przy zwłokach. Zegarek również. Nawiasem mówiąc, nadal chodził. Po tylu tygodniach nie spóźniał się ani o sekundę.

Odessa wydał się tym bardzo zaniepokojony.

– Jaka to marka? Niezłe osiągnięcie. Powinniśmy się skontaktować z tą firmą.

– Breitling, wodoodporny do głębokości stu dwudziestu metrów.

– Pamiętacie tę reklamę z piórem? – spytał Odessa.

– To był długopis.

– Tak? Chodzi mi o ten, który pisze pod wodą. Jak się nazywał?

– A kogóż to do diabła obchodzi?

Odessa uśmiechnął się nieśmiało.

– Przepraszam. Co jeszcze mamy?

– Niewiele. Szyba po stronie kierowcy została uszkodzona, brakuje paru kawałków, ale reszta utrzymała się po przejściu przez nią pocisku. Posłałem tam dwóch chłopaków z wykrywaczem metalu, może uda im się coś znaleźć. Okna od strony pasażera i z tyłu zostały najprawdopodobniej otwarte, żeby woda szybciej dostała się do środka.

Odessa zwinął serwetkę w kulkę i oddał znad głowy rzut w stronę kosza na śmieci. Kulka odbiła się od krawędzi i spadła na ziemię.

– Nie przemawia do mnie wersja o samobójstwie. Nie ma sensu.

– Ja w zasadzie też jestem przeciwny – dodał Jonah. – Parę rzeczy wyraźnie mi tu nie pasuje.

– Na przykład? – spytałam.

Jonah skrzyżował ramiona na piersiach.

– Załóżmy, że się zastrzelił. Rozważmy to czysto teoretycznie. Jak udało mu się potem zatopić samochód? Po co w ogóle miałby sobie tym zawracać głowę?

– Może się wstydził – zaproponował Odessa. – Był tym wszystkim tak bardzo zażenowany, że chciał zniknąć na dobre.

– Żeby oszczędzić kłopotu rodzinie – rzucił Jonah.

– Jasne, czemu nie?

– Może polisa na życie miała klauzulę dotyczącą samobójstwa – powiedział Odessa.

– I co z tego? Fiona i tak nie mogłaby jej zrealizować przed odnalezieniem ciała. A kiedy je już znaleziono, przyczyna śmierci jest oczywista. Strzał w głowę i rewolwer obok na siedzeniu.

– Może i racja. Nikt przecież nie uwierzy, że facet strzelił sobie w skroń przypadkiem.

Jonah skrzywił się.

– Przykro mi, że was rozczaruję, ale w polisie nie było żadnej klauzuli dotyczącej samobójstwa.

Sprawdziłem.

– Wróćmy jeszcze do okna po stronie kierowcy. Dlaczego miałyby zostawić je zamknięte, a otworzyć wszystkie pozostałe?

– Żeby stłumić odgłos wystrzału – odparłam.

– Dobra, ale po co miałyby się tym przejmować? Co z tego, jeśli ktoś usłyszy odgłos wystrzału? On i tak będzie już martwy.

– Niewiele wyszłoby z tego tłumienia, gdy inne okna były otwarte – zauważył Odessa.

– Tak jest – przyznał Jonah. – Coś się tutaj nie zgadza. Nie podoba mi się ten nadmiar zabezpieczeń. Strzelać sobie w głowę, zanim się utonie w jeziorze? To chyba przesada.

– Samobójcy rzadko wybierają śmierć w wodzie – powiedział Odessa. – To zbyt trudne.

Nawet jeśli chcesz umrzeć, instynkt nakazuje ci zaczerpnąć powietrza. Trudno to opanować.

– Virginia Woolf tak się zabiła – wtrąciłam. – Wypakowała kieszenie kamieniami i weszła do wody.

– Ale po co podwajać wysiłki? To właśnie nie daje mi spokoju.

– Ludzie postępują tak bardzo często – wtrącił Odessa. – Zażywają śmiertelną dawkę pigułek i wkładają na głowę plastikowy worek. Popijają valium wódką, a potem podcinają sobie żyły.

Jeśli jedno nie zaskoczy, można zawsze liczyć na drugie.

Jonah potrząsnął głową.

– Próbuję to sobie wyobrazić. Jaka była kolejność wydarzeń? Purcell otwiera trzy okna, kładzie koc na kolanach, wyciąga broń, przystawia sobie do skroni i pociąga za cyngiel. Silnik cały czas jest włączony, samochód jest na biegu, Purcell trzyma stopę na hamulcu. Bum. Stopa zsuwa się z hamulca, samochód zjeżdża w dół zbocza i wpada do jeziora. To zbyt skomplikowane. Przesada.

– Racja – zgodził się Odessa.

– I jeszcze jedno. Nie podoba mi się ta butelka po whisky. To zbyt melodramatyczne. Facet chce ze sobą skończyć. Musi się wcześniej napić?

– Żeby uspokoić skołatane nerwy? – zasugerowałam.

– Nie, nikt nie potrzebuje wymówki, żeby się napić – odparł Odessa. – Pijesz, bo to lubisz, a czy można wymyślić lepszą okazję? Ostatni toast przed odejściem w nicość. Życzysz sobie dobrej podróży i wio.

– Tak, ale ze wszystkiego, co o nim słyszałem, sprawiał wrażenie rozsądnego, prostolinijnego

gościa. Całe to skomplikowane przedsięwzięcie jakoś mi do niego nie pasuje.

– Ale pił – powiedziałam. – Jego przyjaciel mówił mi, że kiedyś zgłaszał się do kliniki na leczenie. Przez ostatnie sześć miesięcy chyba znów stracił nad tym kontrolę.

– Na jego miejscu przygotowałbym sobie koktajl z bardzo mocnych pigułek – rzekł Odessa.

– Musiał mieć przecież dostęp do wszystkiego. Kodeina, vicodin, percocet, halcion...

– Bałabym się zatwardzenia – rzuciłam w przestrzeń.

Jonah nie dawał za wygraną.

– Zbyt długo trwa, zanim lekarstwa zaczną działać. On bardzo dobrze znał się na anatomii i nie spałał sprawy. Wystarczy prześledzić lot pocisku. Koniec nastąpił niemal natychmiast.

– Facet o tak konserwatywnych poglądach zabija się w ten sposób? – spytałam. – Rzuciłam tylko okiem, ale zauważyłam, że umarł w garniturze, koszuli i krawacie.

– I w zapiętych pasach – dodał Jonah.

– Jego małżeństwa nie można jednak uznać za konserwatywne. Laleczka z Las Vegas? To dość ostre posunięcie jak na takiego gościa – zauważył Odessa.

– Może nie aż tak ostre, jak sądzisz. Fiona twierdzi, że miał problemy z potencją, zainteresował się różnymi zabawkami, pornografią i tak dalej. Ona uznała to za obrzydliwe. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego, a on wtedy poszukał sobie Crystal. – Wsunęłam do ust ostatni kawałek kanapki i sięgnęłam po frytki Odessy.

– Nie mogę uwierzyć, że nie zostawił żadnego listu. Facet może i był zdesperowany, ale nie był przecież okrutny. Załóżmy, że nie znaleźlibyśmy samochodu. Dlaczego pozostawiać wszystkich w zawieszaniu? Jeśli chciał się przenieść na tamten świat, to powinien przynajmniej powiedzieć: „Przepraszam was bardzo, ale już dalej nie mogę. Zabieram się stąd”. I po co pakować się z samochodem do jeziora? Co mógł dzięki temu zyskać?

– Racja – przytaknął Odessa.

– Przyjmijmy teraz inną wersję. Załóżmy, że ktoś go zabił. Zastrzelił go w samochodzie z zamkniętymi oknami, żeby stłumić odgłos wystrzału. Potem otworzył trzy okna, żeby samochód szybko zatonął. Nie chciał na pewno, żeby zaczął się unosić na powierzchni jeziora. Sprawa jest prosta. Zabijasz faceta, wysiadasz z samochodu, zwalniasz hamulec, popychasz samochód i wysyłasz go w ostatnią podróż.

– Co znów prowadzi nas do punktu wyjścia – powiedział Odessa. – Jeśli potraktujemy to jak morderstwo, zatopienie samochodu ma sens.

– Zabójca zakłada, że samochód znajduje się sześć metrów pod wodą i nikt go nigdy nie znajdzie –

odrzekłam.

– Tak jest. Ale nagle scenariusz zaczyna się sypać. Znajdujesz mercedesa i teraz zabójca musi sobie radzić z czymś, czego nigdy nie zakładał.

– Jeśli szukacie motywu, to słyszałam plotki o romansie Crystal.

– Z kim?

– Z prywatnym trenerem. To facet, z którym ćwiczyła jakieś osiem, dziesięć miesięcy temu.

Odessa spojrział na zegarek.

– No, ja muszę lecieć. Obiecałem Sherry, że coś dla niej załatwię. – Wstał i wziął oba plastikowe koszyczki. Jonah chciał mu pomóc, ale Odessa był już przy okienku. Postawił

koszyczki na ladzie. – Do zobaczenia na posterunku.

– No, na mnie też pora. Idziesz w tym kierunku? – spytał Jonah.

– Tak, jeśli nie masz nic przeciwko temu – odparłam. Zarzuciłam torbę na ramię i przez chwilę szliśmy w milczeniu. – Jak ci naprawdę leci?

– Lepiej, niż myślałam.

– To dobrze. Miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

– Nigdy jeszcze o tym nie mówiłem. Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłaś.

Bez ciebie nigdy nie udałoby mi się przez to wszystko przebrnąć.

– Nie byłeś dla mnie obiektem działalności dobroczynnej – powiedziałam.

– Ale jestem ci cholernie wdzięczny, naprawdę.

– Ja też. – Na krótką chwilę ujęłam go pod ramię, lecz zaraz cofnęłam rękę. Udałam, że muszę poprawić torbę na ramieniu. – Wiesz, nadal jestem oficjalnie zatrudniona przez Fionę i jestem jej winna parę godzin.

– O co chodzi?

– Chciałam o tym porozmawiać z Odessą, ale lepiej chyba będzie załatwić to z tobą. Wczoraj wieczorem przeglądałam notatki. Wciąż nie daje mi spokoju paszport Dowa i te brakujące trzydzieści tysięcy dolarów. Jeśli Fiona to zaaprobuje, będę mogła się tym zająć?

– To zależy. Co proponujesz?

– Jeszcze nie wiem. Crystal wspominała coś o skrytce pocztowej. Przez pewien czas należała do

niej, ale twierdzi, że już z niej zrezygnowała. Doszła potem do wniosku, że Dow opłacał ją nadal i przesyłano mu tam wyciągi bankowe. Ciekawa jestem, czy to prawda.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

– Nie mogę ci tego zabronić.

– Wiem, ale nie chciałabym nikomu nadebrać na odcisk.

– To postaraj się tego nie spieprzyć. Jak coś znajdziesz, natychmiast melduj się u mnie. I nie zniszcz dowodów.

– Nigdy nie niszczę dowodów – zaprotestowałam urażona.

– Aha. I nigdy nie kłamiesz.

– Ciebie na pewno bym nie okłamała.

Zatrzymaliśmy się na rogu, czekając na zmianę świateł. Spojrzałam ukradkiem na jego twarz.

Wyglądał na zmęczonego.

– Naprawdę wierzysz, że został zamordowany?

– Sądzę, że powinniśmy to założyć, do czasu, aż wypłynie coś nowego.

Wróciłam do biura. Fiona zostawiła mi wiadomość, dając jeszcze tylko dwie godziny, ani minuty więcej. Usiadłam w obrotowym fotelu, oparłam nogi o blat biurka i wpatrując się w telefon, przez chwilę kręciłam się jak dziecko. Nie chciałam dzwonić w takiej chwili do Crystal, ale nie miałam wyboru. Jeśli Crystal będzie załamana, jakoś będę musiała sobie z tym poradzić.

Podniosłam słuchawkę, zanim zdążyłam stracić resztki odwagi. Wystukałam numer domu na plaży, gdyż doszłam do wniosku, że na pewno schroniła się w miejscu, które kochała najbardziej.

Po dwóch dzwonekch usłyszałam w słuchawce głos Aniki.

– Anica? Tu Kinsey. Myślałam, że wróciłaś już do Fitch.

– Wróciłam, ale detektyw Paglia zadzwonił dziś rano do Crystal i powiedział jej, że zidentyfikowano ciało. Zadzwoniła do mnie, a ja natychmiast tu wróciłam. Wzięłam urlop aż do końca przyszłego tygodnia. To w tej chwili najważniejsze. Będziemy tutaj do niedzieli, a potem pojedziemy do domu w Horton Ravine, żeby przejrzeć rzeczy Dowa.

– Jak ona się czuje? – Usłyszałam w tle przytłumiony głos i doszłam do wniosku, że Crystal musi być w pobliżu.

– Fatalnie – powiedziała znacznie ciszej Anica. – Myślę, że wreszcie dotarło do niej, co się

naprawdę stało. Rand twierdzi, że w chwili gdy się o tym dowiedziała, zrozumiała, że to koniec.

Do tej pory zawsze utrzymywała, że Dow żyje, tylko przytrafiło mu się coś złego. Ale chyba przez cały ten czas jakiś wewnętrzny głos musiał ją przekonywać, że mimo wszystko jest w błędzie.

– A Leila? Jak ona sobie z tym radzi?

– Och, znasz ją przecież. Siedziała zamknięta w swoim pokoju, słuchając muzyki na cały regulator. Doprowadzała tym wszystkich do szału. Pokłóciła się z Crystal, więc w końcu zadzwoniłam do Lloyd'a i poprosiłam go, żeby ją zabrał na jeden dzień. Teraz w domu panuje boska cisza.

– A co z pogrzebem? Czy Crystal planuje nabożeństwo?

– Myślała o sobocie, jeśli uda się wszystko załatwić. Będzie musiała zamieścić nekrolog w prasie i załatwić księdza. Dow nie był praktykujący, więc w grę wchodzi raczej spotkanie przyjaciół pragnących uczcić jego pamięć. Dzwoniłam przed chwilą do kostnicy i wszystko tam załatwiłam. Crystal planuje kremację... nie ma zresztą zbyt wielkiego wyboru.

– Raczej nie.

– A co się tak naprawdę stało? Detektyw Paglia nie podał żadnych szczegółów, ale zakładam, że Dow utonął.

Przez moment serce zabiło mi mocniej.

– Och, naprawdę nie wiem. Też nie znam jeszcze szczegółów. Prawdopodobnie nadal próbują wszystko ustalić. Czy mogłabym wam jakoś pomóc? – Pytanie zgrzytnęło fałszem nawet w moich przywykłych do kłamstw uszach, ale musiałam jakoś zmienić temat.

– W tej chwili nie, ale bardzo dziękuję. Powiem Crystal, że dzwoniłaś.

– Skoro już mam cię przy telefonie, chciałabym o coś zapytać. Crystal wspominała coś o skrytce pocztowej, którą wynajmowała tutaj w mieście. Potrzebuję jej numer i lokalizację.

– Poczekaj chwilę. – Anica zasłoniła dłonią słuchawkę. Usłyszałam jej przytłumioną rozmowę z kimś znajdującym się w pokoju. Przypomniały mi się nagle wypadki na basen w dzieciństwie. Wynurzałam się wówczas z wody z zatkanymi uszami. Efekt był bardzo podobny.

Czasami musiały upłynąć całe godziny, zanim strużka ciepłej wody wyciekła, przywracając mi słuch.

Anica zdjęła dłoń ze słuchawki.

– Skrzynka ma numer 505 i znajduje się w firmie Mail & More w Laguna Plaza. Crystal prosi, żebyś koniecznie dała jej znać, jak coś odkryjesz.

– Oczywiście.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy odłożyłam słuchawkę.

– Cześć – powiedziała Mariah Talbot. – Możesz rozmawiać, czy chcesz się gdzieś ze mną umówić?

– Mogę. Ten telefon jest bezpieczny. Całe to zamieszanie z ukrywaniem się jest śmieszne i głupie, ale nic nie mogę na to poradzić. Dzięki, że oddzwoniłaś. – Wzięłam do ręki długopis i zaczęłam bezwiednie rysować na podkładce... sztylet z kropelkami krwi kapiącymi z koniuszka ostrza i stryczek – to jedna z moich specjalności. Czasami skoncentrowanie się na takich głupstwach pozwala mi lepiej zebrać myśli.

– Co jest?

– Sytuacja wygląda następująco – streściłam jej rozmowę, do jakiej doszło wczoraj wieczorem u Rosie, kiedy to Henry zarzucił przynętę, wspominając o jubilerze w Los Angeles.

– Myślisz, że Tommy to kupił?

– Nie mam pojęcia. Pomyślałam jednak, że cię o tym powiadomię, bo podczas naszego ostatniego spotkania powiedziałam ci, że nie będę z tobą współpracować. A teraz stało się, ale tylko dlatego, że do sprawy wmieszał się Henry.

– Miło z jego strony. Skoro informacja padła z jego ust, Tommy’emu nigdy nie przyjdzie do głowy, że ktoś go wystawił.

– Nadal nie wiadomo, czy coś z tego wyjdzie.

– Nie jest tak źle. Braciom brakuje gotówki i nie mogą już zaciągać pożyczki pod zastaw domu. Została im już tylko biżuteria. Muszą ją sprzedać, żeby przetrwać – powiedziała. – A tak przy okazji, gdzie wylądowałaś razem z księciem z bajki? Mam nadzieję, że nie w sypialni.

– Ależ skąd – zaprzeczyłam stanowczo. – Zrezygnowałam z kolacji, co bardzo mu się nie spodobało. Niby udawał, że nic się nie stało, ale był wkurzony. Szkoda, że nie umiem rzucić faceta, nie doprowadzając go przy tym do szału.

– Życzę powodzenia. On nigdy ci na to nie pozwoli. Tommy to maniak. Ma bzika na swoim punkcie. To on może rzucić ciebie. Ty jego – nigdy.

– Jest jak pająk. Stale się gdzieś czai. Nie mogę się ruszyć ani na krok, żeby go nie spotkać.

Zaczyna mnie denerwować.

– A czego się spodziewałaś? Obaj są stuknięci. Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwy atak wściekłości, to zapytaj Richarda o Buddy’ego i rower.

– Dlaczego? O co tam chodzi?

– Usłyszałam tę historię, gdy zbierałam informacje o naszych braciszkach. Buddy zaklina się na



wszystko, że gdy mieli dziesięć lat, walczyli ze sobą dosłownie o wszystko i stale skakali sobie do gardeł. Jared doszedł do wniosku, że już najwyższa pora, by nauczyli się dzielić tym, co mają. Podarował im więc rower i powiedział, że będą na nim jeździć na zmianę. Richardowi bardzo się to nie spodobało, więc schował gdzieś rower, a ojcu powiedział, że ktoś go ukradł.

Przez całe tygodnie trzymał rower w ukryciu, żeby móc na nim jeździć, kiedy tylko miał ochotę.

– Czy ojciec odkrył podstęp?

– Nie, zrobił to Tommy. Bracia mieli kumpla, Buddy’ego, który widział, jak Richard chowa rower. Buddy twierdzi, że Richard zawsze mu dokuczał, raz nawet złamał mu nos, więc sypnął

sprawę Tommy’emu, żeby wyrównać rachunki. Tommy poczekał, aż Richard gdzieś wyszedł.

Wykradł rower i zrzucił go z mostu.

– I nie oberwał?

– Richard oczywiście od razu się domyślił, co się stało, ale przecież nic nie mógł zrobić. Do dziś wkurza go sama myśl o tym zajściu. Problem z braćmi polega na tym, że wolą raczej wszystko zniszczyć, niż pozwolić drugiemu cieszyć się ze swojej części. Kiedyś poszło o dziewczynę i sprawa skończyła się jej śmiercią.

– Dzięki, bardzo mnie pocieszyłaś. – Napisałam na kartce KONIEC i nadałam literom trójwymiarowy kształt w stylu najlepszych graffiti. – Na szczęście postanowiłam odpuścić.

Chciałam cię tylko powiadomić na wypadek, gdyby któryś z nich postanowił wykonać ruch.

– Daj spokój. Nie możesz mnie zostawić w połowie roboty. A co z sejfem? Musisz mi pomóc go zlokalizować.

– Sama go znajdź. Ja się wypisuję.

– Pomyśl tylko, jaką satysfakcję poczujesz, gdy wreszcie ich przygwoździmy.

– O co do diabła chodzi z tym „my”? To nie jest wcale mój problem. Radź sobie sama.

Mariah roześmiała się.

– Wiem, ale stale mam nadzieję, że zdołam cię przekonać.

– Nie, dziękuję. Miło było z tobą współpracować. Nieźle się bawiłam – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Kiedy podniosłam wzrok znad swojego rysunku, zobaczyłam stojącego w drzwiach Richarda Hevenera w czarnym płaszczu i czarnych kowbojkach.

Poczułam się nagle jak po dniu spędzonym na słońcu: skóra paliła mnie tak mocno, że aż zadrzałam z zimna. Nie miałam pojęcia, jak długo tam stał, i za nic nie mogłam sobie przypomnieć, czy na koniec

wspomniałam w rozmowie imię jego bądź brata. Do Mariah raczej na pewno nie zwróciłam się po imieniu.

– Cześć – starałam się, by zabrzmiało to w miarę lekko i obojętnie.

– Co to jest? – Wyjął z kieszeni kopertę i rzucił ją w stronę biurka. Mój list przeleciał w powietrzu i wylądował na blacie przede mną.

Czułam, jak serce zaczyna mi walić w piersiach.

– Jest mi bardzo głupio. Powinnam była zadzwonić, ale jakoś nie potrafiłam tego zrobić.

– Co tu jest, do diabła, grane?

– Nic. Po prostu nici z tego.

– „Nici z tego”? Tylko tyle?

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać. Nie chcę już wynajmować biura. Myślałam, że chcę, ale zmieniłam zdanie.

– Podpisałaś umowę.

– Wiem i bardzo przepraszam za kłopot...

– To nie jest kwestia „kłopotu”. Zawarliśmy umowę – mówił lekkim, lecz nieustępliwym tonem.

– Czego chcesz ode mnie?

– Chcę, żebyś dotrzymała warunków umowy, którą podpisałaś.

– Wiesz co? Może porozmawiasz o tym z moim prawnikiem. Nazywa się Lonnie Kingman.

Zajmuje biuro w końcu korytarza.

W tym momencie tuż za nim stanęła Ida Ruth.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Richard spojrzał na nią, potem znów na mnie.

– Jak najbardziej – odparł. – Na pewno uda nam się jakoś rozwiązać ten niewielki problem.

Z tymi słowami wyszedł z pokoju. Patrzyłam, jak ostrożnie mija Idę Ruth, nie chcąc się o nią otrzeć. Kiedy zniknął, Ida nie ruszała się z miejsca.

– Coś z nim nie tak? Wariat czy co? Wygląda na niezłego czubka.

– Nawet nie wiesz, z kim masz do czynienia. Jak się tu zjawi jeszcze raz, dzwoń natychmiast po policję.

Zamknęłam drzwi do pokoju. Wykręciłam numer Mariah Talbot w Teksasie i zostawiłam jej jeszcze jedną wiadomość. Nie miałam pojęcia, kiedy ją odsłucha, ale zdecydowanie nie podobał

mi się kierunek, w jakim to wszystko zaczęło zmierzać.

Jadąc na pomoc autostradą 101 aż do zjazdu przy Little Pony Road, wróciłam myślami do rozmowy z Mariah i niespodziewanego spotkania z Richardem. Nie wyjawiałam chyba nic z tego, co chciałam zachować tylko dla siebie, ale nadal nie byłam pewna, co szykuje dla mnie Richard.

Doszłam do wniosku, że jego „idealne rozwiązanie” oscyluje gdzieś pomiędzy dochodzeniem swoich praw w sądzie a śmiercią. Przez cały czas spoglądałam w lusterko wsteczne, przyglądając się wszystkim samochodom, które potem mijają mnie na sąsiednim pasie.

Laguna Plaza jest niewielkim centrum handlowym w kształcie litery L, nawet dość eleganckim, ale daleko mu do imponujących przybytków handlu, które dziś wyrastają jak grzyby po deszczu na obrzeżach miast. Nie było tam oszklonego atrium pełnego drzew, restauracji ani ruchomych schodów. Zaparkowałam volkswagena tuż przed firmą Mail & More, która wynajmowała osobom prywatnym skrytki pocztowe, przesyłała na żądanie pocztę, drukowała wizytówki, kopiowała dokumenty, sprzedawała znaczki i udostępniała usługi notarialne. A wszystko to przez siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wnętrze przedzielono szklaną ścianą na dwie sekcje, z których każda miała osobne wejście.

Po prawej stronie ustawiono dużą ladę i kserokopiarki, a pracująca tam urzędniczka pomagała w pakowaniu i wysyłaniu poczty. Przez otwarte drzwi na tyłach widziałam kartony do składania pudeł w różnych rozmiarach, wielkie rolki folii z bąbelkami, papier do pakowania i piankę do wypełniania wolnych przestrzeni w przesyłkach.

Nigdzie za to nie widziałam urzędniczki, która zostawiła na ladzie wiadomość: ZAMKNIĘTE Z WAŻNYCH PRZYCZYŃ OSOBISTYCH. PRZEPRASZAM ZA KŁOPOT.

WRACAM W PONIEDZIAŁEK. TIFFANY. Jeśli choć trochę przypominała Jennifer, to ważne przyczyny osobiste oznaczały opalanie i pedikiur. Przechodząc za ladę, wołałam „Hop, hop” i

„Halo”, by zapewnić sobie alibi, ale nigdzie nie było żywego ducha. Wróciłam do głównej sali i stałam tam przez chwilę mocno poirytowana. Do środka mógł wejść praktycznie każdy i ukraść, co tylko wpadło mu w ręce. A jeśli miałam do wysłania ważną przesyłkę lub chciałam niezwłocznie skorzystać z pomocy notariusza?

Podeszłam do szklanej ściany i zajrzałam do sali obok. Dostrzegłam całą masę ponumerowanych skrytek pocztowych. Z boku znajdował się spory otwór do wrzucania poczty i małych przesyłek. Ta sekcja była otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę. Otworzyłam przeszklone drzwi. Znalazłam skrytkę numer 505 – w piątym rzędzie, piąta od góry. Pochyliłam się i zajrzałam do środka przez małe oszklone drzwiczki. Nie dostrzegłam tam żadnej poczty, ale za to w głębi zauważyłam mężczyznę rozkładającego listy do poszczególnych skrytek. Kiedy dotarł do mojego rzędu, zapukałam w okienko numer 505.

Mężczyzna pochylił się i spojrzał mi prosto w twarz.

– Mogłabym z panem chwilę porozmawiać? Potrzebuję pomocy.

Wskazał ręką otwór z prawej strony.

– Proszę tam podejść.

Ruszyliśmy oboje we wskazanym kierunku, on po swojej stronie skrytek, a ja po swojej.

Otwór znajdował się na wysokości piersi. Pochyliłam się i zauważyłam pod nim kosz pełen poczty. Mężczyzna był dużo wyższy ode mnie, przez co musiał się nie tylko schylić, ale również przekrzywić głowę pod mocno nienaturalnym kątem.

– O co chodzi? – spytał.

Wyjęłam wizytówkę i wsunęłam w otwór, by mógł sprawdzić, kim jestem.

– Potrzebuję informacji o osobie, która wynajmuje skrytkę numer 505.

Przyjrzał się dokładnie wizytówce.

– A po co?

– Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa.

– Ma pani nakaz?

– Nie. Gdybym miała, nie musiałabym prosić pana o pomoc.

Przesunął wizytówkę z powrotem.

– Proszę się skontaktować z Tiffany. To jej działka.

Jej działka? Przecież pracują tu tylko we dwoje. O co mu chodzi?

– Nie ma jej. Zostawiła wiadomość, że wróci dopiero w poniedziałek.

– To będzie musiała pani przyjść tu jeszcze raz.

– Nie mogę. Muszę stawić się w sądzie. To potrwa tylko minutkę. Bardzo pana proszę – rzuciłam błagalnym tonem.

Zdenerwował się.

– Czego pani chce?

– Chcę tylko spojrzeć na kwestionariusz, żeby sprawdzić, kto wynajmuje skrytkę.

- Po co?
- Wdowa po zamordowanym jest przekonana, że mąż dostawał pod ten adres materiały pornograficzne. Moim zdaniem to nieprawda. Chcę się tylko dowiedzieć, kto wypełnił kwestionariusz.
- Nie wolno mi udostępniać takich informacji.
- Nie mógłby pan zrobić dla mnie wyjątku? To bardzo ważne. Niech pan pomyśli, ile smutku można jej dzięki temu zaoszczędzić.

Utkwił wzrok w podłodze. Miał na oko czterdzieści lat i był zdecydowanie za stary na tego typu pracę. Doskonale rozumiałam jego dylemat. Z jednej strony przepisy są przepisami, choć szczerze wątpiłam, by nie pozwalały mu spełnić mojej prośby. Nie był pracownikiem federalnym, u jego praca z pewnością nie miała nic wspólnego z klauzulami tajności. Był tylko zwykłym sortowaczem poczty. Przy odrobinie szczęścia mógł zarabiać pięćdziesiąt centów za godzinę.

- Rozmawiałam z policją. Nie mają nic przeciwko temu.

Żadnej reakcji.

- Dam panu dwadzieścia dolarów.
- Proszę tu poczekać.

Zniknął i zdawało mi się, że nie ma go strasznie długo. Wyjęłam z portfela banknot dwudziestodolarowy, złożyłam go wzdłuż i wsunęłam w szczelinę. Doszłam do wniosku, że może będzie miał skrpuły, by wziąć łapówkę prosto z ręki. Czekałam oparta o ścianę ze wzrokiem utkwionym w drzwi. Przez moment wyobraziłam sobie, że rozpryskując odłamki szkła, przejeżdża przez nie swoim sportowym wozem Richard Hevener i przyciska mnie zderzakiem do ściany. Bohaterowie filmów zawsze w ostatnim ułamku sekundy uciekali przed wpadającym na stację rozpędzonym pociągiem, odskakiwali na bok przez odrzutowcami roztrzaskującymi ściany lotnisk i autobusami wjeżdżającymi nagle na krawężnik. Jak można się przygotować na coś takiego w prawdziwym życiu?

- Proszę pani?

Obejrzałam się. Mężczyzna wrócił, a w szczelinie nie było pozostawionego przez mnie banknotu. Przyniósł ze sobą kwestionariusz, ale trzymał go za plecami, najwyraźniej nie chcąc się z nim rozstać. Zaczekałam, aż się zbliży i spróbowałam zadać mu dla rozluźnienia parę łatwych pytań. Nazywamy to grą wstępną prywatnego detektywa.

- Jak to się odbywa? Ktoś zjawia się tutaj i wnosi opłatę za cały rok?

- Mniej więcej. Można to też zrobić pocztą. Gdy trzeba uiścić opłatę, wkładamy do skrytki zawiadomienie.

– Płacą gotówką?

– Albo czekiem. Obojętne.

– Może się więc zdarzyć, że nie zna pan osoby wynajmującej skrytkę?

– Nie widzimy większości naszych klientów. Nie obchodzi nas, kim są, dopóki terminowo regulują należność. Zauważyłem, że niektórzy mają specjalny papier firmowy i udają, że mają tu biuro z wieloma oddzielnymi pokojami. To śmieszne, ale nie robi nam różnicy.

– No pewnie. Czy mógłby pan wsunąć kwestionariusz w szczelinę, żebym mogła go lepiej obejrzeć? Naprawdę prowadzę śledztwo. Wszystko jest zgodne z prawem.

– Nie. Nie chcę, żeby go pani dotykała. Może pani popatrzeć przez trzydzieści sekund. To wszystko, co mogę zrobić.

– Świetnie.

W jakim my świecie żyjemy? Facet bierze w łapę dwadzieścia dolców i nadal ma skrupuły?

Podniósł dokument po swojej stronie i przechylił go lekko, żebym mogła wszystko wyraźnie zobaczyć. Cały czas patrzył na zegarek, odliczając sekundy. Też mi coś. Nie mógł mieć pojęcia, że jako dziecko brylowałam w zabawie organizowanej na przyjęciach urodzinowych. Polegała na tym, że matka solenizantki układała na tacy parę przedmiotów, po czym przykrywała ją serwetką, a wszyscy mali goście cisnęli się dookoła. Mama unosiła potem serwetkę na trzydzieści sekund, by dzieci mogły zapamiętać wszystkie przedmioty. Zawsze wygrywałam, głównie dlatego, że przedmioty rzadko się zmieniały. Spinka do włosów, łyżeczka, mała piłeczka. Wykorzystywałam czas, by zapamiętać przedmioty, które pojawiały się na tacy po raz pierwszy. Najgorszym elementem całej zabawy była nagroda: najczęściej plastikowy słoik płynnej gumy do żucia ze słomką do robienia baniek.

Treść kwestionariusza zapamiętałam w dwie sekundy. Podpis na dole najwyraźniej należał

do Dowana, ale to nie on wypełnił rubryki dokumentu. Zrobiła to Leila, co poznałam po charakterystycznych kreseczkach w „t” i dużych kropkach nad „i”. No, no, no.

– Mam jeszcze jedną prośbę – powiedziałam. – Czy mógłby pan poślinić palec i przejechać nim po podpisie?

– Po co?

Przy tym facecie czterolatek wychodził na geniusza.

– Zastanawiam się, czy przypadkiem nie odbito go na ksero.

Marszcząc brwi, mężczyzna poślinił palec i zrobił, o co prosiłam. Atrament nie rozmazał się.

– Hmmmm – mruknął.

– Jak ci na imię?

– Ed.

– Wielkie dzięki, Ed. Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc.

Wróciłam do samochodu i siedziałam w nim przez minutę, zastanawiając się nad swoim odkryciem. Doszłam do wniosku, że Leila musiała przechwycić kwestionariusz, gdy przysłano go do domu z prośbą o wniesienie rocznej opłaty. Crystal powiedziała mi, że do skrytki przesyłano wyciągi z banku Mid-City. Leila prawdopodobnie zawiadomiła bank, wypisując prośbę na firmowym papierze Pacific Meadows i fałszując podpis Dowana. A może dołączyła odbitkę kserograficzną? W każdym razie poprosiła, by wyciągi przesyłano do skrytki numer 505.

Spojrzałam na wejście do budynku. Na pewno nie miała większych kłopotów z zaglądaniem do skrytki w drodze ze szkoły.

Włączyłam silnik i wyjechałam z parkingu. Kiedy byłam już na ulicy, zauważyłam, że oddział banku Mid-City znajduje się po drugiej stronie ulicy. Nawet z tej odległości widziałam bankomat, z którego mogła pobierać gotówkę. Potrzebowała tylko karty i numeru PIN, które Dow prawdopodobnie trzymał w domu w szufladzie biurka.

Zgodnie z obietnicą po powrocie do biura zadzwoniłam do Jonaha.

– Porucznik Robb.

– Kinsey. Jeśli nie będziesz się czepiał moich metod, powiem ci, co odkryłam. Przysięgam, że wszystko zostawiłam w jak największym porządku.

– Wal.

Opowiedziałam mu o mojej wyprawie do Mail & More, tłumacząc ze szczegółami, co zrobiła Leila. Znacznie mniej drobiazgowo potraktowałam moje własne metody pracy.

Jonah mówił niewiele, ale wiedziałam, że robi notatki.

– Podaj mi adres, pod którym znajdę tę skrytkę.

– Mail & More w Laguna Plaża. Numer 505.

– Sprawdzę to – powiedział. – Niezła heca.

– Racja – odparłam, zakładając, że ma na myśli Leilę.

– Wiesz, gdzie ona jest teraz?



– Słyszałam, że u Lloyd'a, ale chyba powinnam to sprawdzić. Leila ma przyjaciółkę Paulie.

Poznała ją rok temu w izbie dziecka... Paulie miała już wcześniej kłopoty z prawem. Przeszło mi przez myśl, że mogły razem planować ucieczkę. Może trzeba zajrzeć do akt Paulie i sprawdzić, co ma na sumieniu.

Gdy Jonah oznajmił, że zajmie się tą sprawą, odłożyłam słuchawkę. Było mi głupio. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała Crystal, było zatrzymanie córki pod zarzutem kradzieży.

Wróciłam do samochodu i pojechałam do Lloyd'a. Chciałam mu zadać parę pytań, a teraz miałam ku temu ważny powód. Jeśli Leila postanowiła uciec z domu, niewiele mogłam zrobić, ale nie zaszkodzi mieć ją przez jakiś czas na oku.

Zbliżając się do domku, zauważyłam, że w środku pali się światło. Zaparkowałam na podjeździe i wysiadłam. Lloyd z brudnymi od smaru rękami grzebał w silniku swojego samochodu stojącego w niewielkim garażu. Spojrzał na mnie obojętnie, jakbym zjawiała się na jego progu codziennie bez chwili przerwy. Nie miałam pojęcia, co robi – było to typowo męskie zajęcie. Miał na sobie zniszczoną bluzę i klapki. Na okularach dostrzegłam smugę smaru, za to w uchu nie miał już kolczyka z trupa czaszką.

– Ty jesteś Millhone – rzucił bardziej do siebie niż do mnie.

– A ty Lloyd Muscoe.

– Dobrze, że od razu to ustaliliśmy.

– Przejeżdżałam obok i pomyślałam, że wpadnę na chwilę. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Czy Leila jest u ciebie?

Uśmiechnął się lekko.

– To zależy, czego chcesz.

Patrzyłam na silnik, który sprawiał wrażenie, jakby wykonano go z części gotowych w każdej chwili eksplodować. Ja zdołałam się tylko nauczyć, jak wlewać na stacji paliwo, ale i tak uznałam to za wielkie osiągnięcie.

– Co się stało z samochodem?

– Nic szczególnego poza tym, że jest bardzo stary i zniszczony. Wymieniam olej i świece.

– Czyli przedłużasz mu żywot?

– Mniej więcej. Wyjeżdżam za parę dni. – Wyjął jakąś mocno skrzyżowaną część, wytarł ją starannie szmatą i włożył z powrotem, po czym poprawił coś w głównym mechanizmie.

– Dokąd?

– Vegas. Chyba spytam Crystal, czy mogę zabrać ze sobą Leilę. Co o tym myślisz? – Tak naprawdę nie pytał mnie wcale o radę. Zajmując się dalej samochodem, chciał tylko podtrzymać rozmowę.

– Nie sądzę, żeby się zgodziła.

– Z nią nigdy nic nie wiadomo. Ma już dość kłopotów z Leila.

– To wcale nie znaczy, że gotowa jest się jej pozbyć – odparłam. Czekałam, jak na to zareaguje, ale nie odezwał się ani słowem. Ciągnęłam więc dalej: – Myślisz, że kolejna przeprowadzka wyjdzie Leili na dobre?

– W Vegas przynajmniej zachowywała się przyzwoicie. Nie znosi tej swojej szkoły. To banda rozpuszczonych, bogatych debiutantek. Cholerna strata czasu.

– Wygląda na to, że Leila nienawidzi wszystkiego.

Potrząsnął głową.

– Trzeba umieć z nią postępować. Potrzebuje kogoś takiego jak ja, kto nie pozwoli jej na głupie wybryki.

– Jednym słowem, dyscyplina?

– To właśnie miałem na myśli.

– Ma to w Fitch i jak dotąd nie bardzo się sprawdza.

– Za dużo marchewki, a za mało kija.

– A co na to Leila?

– Ona nie ma tu nic do gadania. Jest uparta i leniwa. Pozostawiona samej sobie przez cały dzień oglądałaby telewizję. Crystal za bardzo chce być jej najlepszą przyjaciółką. A przecież nie o to chodzi. Dzieciak potrzebuje rodziców, a nie kumpli.

Pozostawiłam jego słowa bez komentarza. Crystal na pewno nie wypuści Leili spod swoich skrzydeł, ale nie miałam ochoty się spierać.

– Dowiem się w końcu, po co tu przyjechałaś? – spytał kwaśnym tonem.

– Oczywiście. Mniej więcej cztery miesiące temu zjawił się u ciebie doktor Purcell. Ciekawa jestem, co go tu sprowadziło.

– Usłyszał plotki o romansie Crystal i założył, że chodzi o mnie. Żałuję, że nie mogłem potwierdzić tych pogłosek. Sprawiłoby mi cholerną satysfakcję, gdybym mógł mu to rzucić prosto w twarz.

– Nie chodziło więc o ciebie?

– Niestety nie.

– Jak długo byliście z Crystal małżeństwem?

– Sześć lat.

– To były dobre czy złe lata?

– Myślałem, że dobre, ale jak mawiają, mąż zawsze dowiadyuje się ostatni.

– Słyszałam, że wasz związek nie należał do spokojnych.

Oparł się o zderzak i zaczął wycierać ręce.

– Łączyła nas niezwykła chemia. Kiedy byliśmy razem, od razu między nami iskrzyło. Co w tym złego?

– Z Purcellem nie było mowy o latających w powietrzu iskrach?

– Chyba żartujesz. Słyszałem, że lubił brzydko się bawić. Crystal musiała przeżyć prawdziwy wstrząs. Wychodzi za faceta, o którym od dawna marzyła, aż tu nagle okazuje się, że on pije jak szewc. Na dodatek nie staje mu, jeśli Crystal nie włoży czarnych szpilek i nie bije go szpicrutą po tyłku. Nie dziwię się wcale, że miała kogoś na boku. Ode mnie obrywała od czasu do czasu, ale nigdy nie byłbym w stanie posunąć się do czegoś takiego.

– Była ci wierna?

– O ile wiem, tak. Nie pozwoliłbym na żadne numery.

– A jak się układały wasze stosunki z Purcellem?

– Zważywszy na to, że odebrał mi żonę, można powiedzieć, że całkiem nieźle.

– Pamiętasz, gdzie wtedy byłeś?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Tego wieczoru, gdy wpadł do jeziora? Już to przerabiałem. Gliny były tu wczoraj.

– I co im powiedziałeś?

– To samo co powiem tobie. W ten piątek pracowałem. Jeżdżę taksówką. Można to sprawdzić w zapisach firmy. Leila była u mnie ze swoją przyjaciółką Paulie. Oglądały wideo.

Crystal jak zwykle odebrała ją w niedzielę rano. Jeśli mi nie wierzysz, możesz ją sama zapytać.

Obserwowałam go przez chwilę.

– Co się stało z kolczykiem?

– Zdjąłem go parę miesięcy temu. Miałem rozmowę w sprawie pracy i nie chciałem, by wzięli mnie za pedzia.

– Dostałeś tę pracę?

– Nie.

– Dlatego wybierasz się do Vegas? Chcesz tam spróbować szczęścia?

– Chcesz poznać moją teorię? Kiedy nie wiesz ci się w życiu, pomyśl o ostatnim miejscu, w którym byłeś szczęśliwy, i wracaj tam jak najszybciej.

Ogarnięta nagłym poczuciem winy, cały piątek poświęciłam innym klientom. Nie wydarzyło się nic ciekawego, ale przynajmniej zarobiłam trochę pieniędzy.

Nabożeństwo za duszę Dowana Purcella odbyło się w sobotę o drugiej po południu w kaplicy kościoła prezbiteriańskiego przy West Glenn Road w Montebello. Włożyłam moją dyżurną czarną sukienkę i buty na płaskich obcasach i stawiałam się na miejscu kwadrans przed rozpoczęciem ceremonii. Zbudowana z surowego kamienia kaplica była wąska, z wysokim belkowanym sufitem. Wewnątrz stało pięćdziesiąt ławek podzielonych na dwie grupy po dwadzieścia pięć. Dzień był pochmurny i mglisty, a sześć okien z purpurowo-niebieskimi witrażami wpuszczało do środka niewiele światła. Zasady religii prezbiteriańskiej są mi praktycznie obce, ale już sama panująca w kaplicy posępna atmosfera wystarczyła, by mnie do niej zniechęcić.

Choć w nabożeństwie mieli wziąć udział wyłącznie imiennie zaproszeni goście, zebrał się całkiem spory tłumek, który szczelnie wypełnił kaplicę. Przyjaciele Crystal siedzieli po jednej stronie nawy, Fiony po drugiej. Część z nich nie miała najmniejszych problemów z podjęciem decyzji. Dana i Joel na przykład zajęli swoje miejsca bez chwili wahania. Powodowani lojalnością dla pierwszej żony doktora, celowo unikali wszelkich kontaktów z drugą. Osoby, które uznałam za wspólnych znajomych, sprawiały wrażenie rozdartych i przed zajęciem miejsca w ławce konsultowały się ze sobą ukradkiem. Kiedy wszyscy powoli siadali, niewidoczny dla nas organista (czy organistka) prezentował całą wiązkę posępnych melodii, czyli pogrzebowy odpowiednik listy największych przebojów. Wykorzystałam ten czas, by zastanowić się nad tym, jak krótkie i ulotne jest nasze życie. Byłam ciekawa, czy Richard Hevener nie pragnie skrócić mojego jeszcze bardziej. Kiedy Mariah dzwoniła do mnie ostatni raz, nie wydawała się szczególnie zaniepokojona. Twierdziła, że bracia Hevener nie zaryzykują popełnienia drugiego morderstwa tak szybko po pierwszym. Niewielka to pociecha. Crystal przygotowywała wszystko w wielkim pośpiechu i dawało się to niestety wyczuć. Pod względem organizacji pogrzeb przypomina każde inne wydarzenie towarzyskie. Albo się ma do tego talent, albo nie.

Niezwykłość dzisiejszego wydarzenia podkreślał brak trumny, urny czy nawet wieńców i wiązanek. W zamieszczonym w prasie zawiadomieniu o uroczystości sugerowano bowiem, by przeznaczone na kwiaty sumy wpłacić na cele dobroczynne. W kaplicy nie było nawet zdjęcia doktora.

Sama nie bardzo wiedziałam, gdzie usiąść. Crystal poprosiła mnie, żebym przyszła na nabożeństwo, ale zasadniczo byłam przecież zatrudniona przez Fionę, więc ze względów finansowych poczułam się zobowiązana zająć miejsce po jej stronie kaplicy. Usiadłam w ostatniej ławce, dzięki czemu miałam dobry widok na całe wnętrze i zgromadzonych gości.

Melanie, starsza córka Fiony, przyleciała z San Francisco i poprowadziła matkę środkiem nawy niczym ojciec pannę młodą. Fiona była oczywiście ubrana na czarno: miała na sobie wełniany żakiet z guzikami z kryształu górskiego i spódnicę do pół łydki. Loki schowała pod aksamitną czapeczką, z której spływała woalka przywołująca na myśl skojarzenia z Tajemniczym Mścicielem. Do ust przyciskała chusteczkę, ale mogła nią równie dobrze wycierać nadmiar szminki, jak i osuszać łyżę. Mel, podobnie jak matka, była ciemnowłosa, lecz elegancko ostrzyżona. Była też wyższa i trochę grubsza, a na tę smutną okazję włożyła ciemnografitowe spodnie i żakiet oraz buty do kostek.

Za nimi powoli i z godnością sunęła Blanche w obszernej sukni ciężowej, otaczając dłońmi swój wielki brzuch, jakby chciała utrzymać go na miejscu. Szła bardzo ostrożnie jak osoba, która niesie pełny po brzegi talerz z zupą. Towarzyszył jej mąż, Andrew. Dzieci zostawili w domu, niech Najwyższemu będą dzięki.

Tuż przede mną siedziała pani Stegler z Pacific Meadows, ubrana w brązowy kostium, z masą rudych loków na głowie. Dostrzegłam też sporo wyglądających na lekarzy mężczyzn w garniturach i kilka starszych osób, które uznałam za byłych pacjentów doktora Purcella.

Crystal i Leila zajęły miejsca po drugiej stronie nawy w pierwszej ławce. Crystal miała na sobie prostą czarną sukienkę, a masa jasnych włosów tworzyła na głowie artystyczny nieład.

Ściągnięta twarz i ciemne cienie pod oczami sprawiały, że wyglądała na bardzo zmęczoną. Leila na tę okazję zrezygnowała ze swych szokujących strojów, lecz mimo wszystko wybrała dość dziwną kreację: obcisły top z lateksu i czarną spódnicę wyszywaną cekinami. Jej krótkie, niemal białe włosy stały na głowie, jakby poddano je działaniu prądu elektrycznego. Jacob Trigg, w płaszczu i krawacie, wszedł do kaplicy, opierając się na kulach. Usiadł z tyłu w ławce po stronie Fiony. Anica Blackburn uśmiechnęła się do mnie przelotnie, po czym zajęła miejsce po drugiej stronie nawy. W kaplicy unosił się lekki szmer przytłumionych rozmów, a od czasu do czasu rozlegało się kasznięcie. Rzuciłam okiem na program uroczystości, zastanawiając się, jakim cudem Crystal udało się go wydrukować w tak błyskawicznym tempie. Czekaliśmy parę hymnów, litania, dwie modlitwy, Ave Maria w wykonaniu solistki, kazanie i dwa kolejne hymny.

Do kaplicy weszła nagle lekko spóźniona kobieta o długich do ramion jasnych włosach, w której rozpoznałam Pepper Gray, moją ulubioną pielęgniarkę. Obserwowałam, jak zdejmuje płaszcz i na palcach przechodzi nawą. Po chwili zatrzymała się, a jedna z koleżanek wstała, by przepuścić ją na wolne miejsce w ławce. Pepper poruszała się tak, jakby nadal miała na nogach buty na gumowych podszewkach.

Przy ołtarzu pojawił się nagle pastor w szatach przypominających sędziowską togę.

Towarzyszył mu kościelny odpowiednik woźnego, który rzucił znane z sali sądowej hasło:

„Proszę wstać”. Wstaliśmy więc i odśpiewaliśmy hymn. Usiedliśmy i zmówiliśmy modlitwę.

Kiedy wszyscy pochylili głowy, ja skoncentrowałam się na swoich rajstopach i opłakanym stanie swojej duszy. Nie mam pojęcia, dlaczego nie można tak zaprojektować rajstop, by przez cały czas pozostały na miejscu. Stan mojej duszy nie prezentował się niestety lepiej, gdyż moje wychowanie religijne w dzieciństwie było raczej dość pobieżne. Obejmowało przede wszystkim wyrzucanie mnie z jednej szkółki niedzielnej po drugiej. Ciocia Gin nigdy nie wyszła za mąż i nie miała własnych dzieci. Kiedy po tragicznej śmierci rodziców niemal z dnia na dzień trafiłam pod jej opiekę, musiała podjąć się roli zastępczej matki bez żadnego doświadczenia w tym względzie, tworząc niejako na gorąco reguły naszej wspólnej egzystencji. Od samego początku kierowała się dość wątpliwą zasadą, że dzieciom należy zawsze mówić prawdę. W odpowiedzi na najprostsze pytania zasypywała mnie więc długimi wyjaśnieniami, a jedno z pierwszych dotyczyło odwiecznej kwestii, skąd się biorą dzieci.

Moje najbardziej niefortunne doświadczenie związane ze szkółką niedzielną miało miejsce podczas pierwszych świąt Bożego Narodzenia, które spędzałam pod opieką cioci. Miałam wówczas pięć i pół roku. Ciocia musiała najwyraźniej dojść do wniosku, że nadszedł czas na spotkanie z religią, więc podrzuciła mnie do kościoła baptystów, mieszczącego się niedaleko parku, w którym stała nasza przyczepa. Tego niedzielnego poranka dzieci zapoznawały się z postaciami Marii i Józefa, do których natychmiast poczułam antypatię. Nie mogłam pojąć, jakim cudem mały Jezusek mógł się urodzić parze nieudaczników, którzy pozwolili, by przyszedł na świat w zwykłej szopie. Kiedy nauczycielka, pani Nevely, zaczęła tłumaczyć, jak Maria „stała się brzemienna”, byłam chyba jedynym dzieckiem w klasie, które wiedziało, jak straszliwie się myli.

Szybko wyciągnęłam więc rękę. Pani wywołała mnie do odpowiedzi zadowolona, że tak ochoczo pragnę wziąć udział w lekcji. Do dziś pamiętam, jak gwałtownie zmienił się wyraz jej twarzy, gdy zaczęłam tłumaczyć zasady poczęcia dziecka wyjaśnione mi ze szczegółami przez ciocię Gin.

Kiedy ciocia przyjechała, żeby mnie odebrać, siedziałam już na krawężniku z przypiętą do sukienki karteczką. Zabroniono mi odezwać się choćby jednym słowem przed przyjazdem cioci.

Na szczęście nie czekała mnie bura. Na pociechę ciocia zrobiła mi kanapkę z białego chleba z masłem i kiełbaskami z puszki. Zjadłam ją, siedząc na stopniach przyczepy. Kiedy grałam samotnie w krykieta na malutkim podwóreczku, ciocia dzwoniła do swoich przyjaciółek i śmiejąc się, relacjonowała im moją przygodę. Wiedziałam, że udało mi się ją rozbawić, ale nie mogłam pojąć do końca, dlaczego tak się stało.

Wreszcie pastor podszedł do pulpitu i wygłosił kazanie, które mogłoby zatrwożyć tylko najbardziej zagorzałych grzeszników. Nabożeństwo dobiegło końca i ludzie zaczęli powoli opuszczać kaplicę. Stałam przy drzwiach w nadziei, że uda mi się złapać Fionę. Chciałam się z nią umówić na dogodny termin, by móc do końca wyjaśnić szczegóły naszej umowy. W końcu udało mi się ją dostrzec; szła, opierając się ciężko na ramieniu Melanie. Mel musiała wiedzieć, kim jestem, gdyż prowadząc matkę w stronę schodów, rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie.

Przechodząca obok Anica dotknęła lekko mojego ramienia.

- Wpadniesz do nas? Przyjdzie parę osób.
- Jesteś pewna? Nie chciałabym się narzucać.
- Crystal serdecznie cię zaprasza. Będziemy w domu na plaży.
- Przyjdę z przyjemnością.
- Świetnie. Do zobaczenia.

Parking powoli pustoszał. Ludzie wypływali z kaplicy falą niczym z kina. Niektórzy zatrzymywali się, by chwilę pogawędzić ze znajomymi, mijani przez odjeżdżające samochody.

Wsiadłam do volkswagena i włączyłam się w strumień pojazdów. Warstwa ciężkich chmur nieco się rozrzedziła, a tu i ówdzie zaczęły się pojawiać nieśmiałe promienie słońca.

Dom na plaży był oddalony od kaplicy zaledwie o trzy kilometry. Musiałam przyjechać jedna z ostatnich, gdyż wysypane żwirem pobocza przy Paloma Lane były zastawione drogami samochodami. Zająłam szybko pierwsze wolne miejsce, jakie zauważyłam, zamknęłam drzwiczki volkswagena i ruszyłam w stronę domu. Czułam, że rajstopy zsunęły mi się niemal do połowy uda. Podskakując, lekko podciągnęłam draństwo do góry. Byłam jednak gotowa zedrzyć je z nóg i rzucić w krzaki.

Kiedy skręciłam na podjazd domu Crystal, zauważyłam ten sam drogi samochód, który widziałam na parkingu Pacific Meadows. Zatrzymałam się i rozejrzałam ostrożnie dookoła.

Tylna fasada domu Crystal pozbawiona była okien, a ciągnąca się za mną ulica w tej chwili była akurat pusta. Obeszłam więc samochód, przyglądając się uważnie emblematowi przymocowanemu do prawego przedniego zderzaka. Kaiser Manhattan. Nigdy nie słyszałam o takiej marce. Drzwi samochodu były zamknięte, a kiedy zajrzałam przez okno do środka, nie znalazłam tam nic godnego uwagi.

Frontowe drzwi domu były lekko uchylone, a dobiegający z wnętrza szmer rozmów kojarzył

się ze zwykłym przyjęciem. Śmierć zawsze nadaje nowy wymiar więziom łączącym krewnych i przyjaciół zmarłego. Pozostali przy życiu traktują jedzenie i picie jako balsam na rany pozostawione przez niepowetowaną stratę. Często można usłyszeć śmiech. Nie wiem do końca, dlaczego tak się dzieje, ale podejrzewam, że stanowi to nieodłączną część uzdrawiającego procesu i swoisty talizman pogrążonych w żałobie osób.

W środku zebrało się blisko sześćdziesiąt osób, których większość widziałam w kaplicy.

Duże, oszklone drzwi prowadzące na taras stały otworem i słyszałam dobiegający z oddali monotony szum fal. Mężczyzna w krótkiej białej marynarce przeszedł obok mnie z tacą, proponując mi szampana. Podziękowałam grzecznie i wzięłam delikatny kieliszek. Znalazłam sobie zaciszne miejsce przy schodach i popijałam szampana, szukając wzrokiem mężczyzny z wąsami i gęstymi siwymi włosami.

Po chwili obok mnie stanął Jacob Trigg. Podobnie jak ja starał się unikać tłumu. Większość obecnych pogрузyła się już w ożywionej rozmowie i myśl o przyłączeniu się do którejś z grup nie była zbyt nęcąca.

– Znasz tych ludzi? – spytał.

– Nie. A ty?

– Może parę osób. O ile wiem, to ty znalazłaś Dowana.

– Tak, i bardzo mi przykro, że nie żyje. Do końca miałam nadzieję, że jednak pojechał do Ameryki Południowej.

– Ja też. – Uśmiechnął się słabo.

– Czy Dow wspominał ci kiedyś o brakujących na jego koncie sumach?

– Wiedział o tym. Zaniepokojony dyrektor banku przesłał mu szczegółowy wyciąg z zapytaniem, o co w tym wszystkim chodzi. Dow podziękował mu, powiedział, że wie o tym i sam się tym zajmie. Ale prawdę mówiąc, dopiero wtedy dowiedział się o wszystkim. Początkowo sądził, że to sprawka Crystal, gdyż wyciągi przesyłano do jej skrytki.

– Pytał ją o to?

– Nie o pieniądze, ale o skrytkę. Powiedziała mu, że zrezygnowała z niej przed rokiem. Nie chciał drażnić tematu, dopóki nie zbierze więcej informacji. Musiał to jednak być ktoś z domowników, bo kto inny mógłby mieć dostęp do karty i numeru PIN?

– Kogo podejrzewał?

– Crystal lub Leilę, choć równie dobrze mógł to być Rand. Dow zawęził krąg podejrzanych, ale chciał zyskać absolutną pewność. Kłócili się z Crystal o Leilę tyle razy, że zagroziła odejściem. Jeśli problem dotyczył Leili, chciał go rozwiązać sam. A co do Randa Crystal była równie nieustępliwa. Po co więc ryzykować? To też mogło go wiele kosztować.

– Dlaczego?

– Rand jest jedyną osobą, której Crystal z pełnym zaufaniem może powierzyć Griffa. Gdyby Rand odszedł, skończyłaby się jej wolność. Dow znalazł się więc w bardzo trudnej sytuacji.

– Dlaczego nie zlikwidował konta?

– Na pewno to zrobił.

– Czy dowiedział się w końcu, kto podejmował pieniądze?

– Jeśli nawet, to nigdy mi o tym nie powiedział.



- Szkoda. Kiedy zaginął jego paszport, policja doszła do wniosku, że postanowił wyjechać z kraju. Ciekawe, dlaczego Crystal nie wyjaśniła tego do końca.
- Może nic nie wiedziała. Dow mógł uznać, że gra mimo wszystko nie jest warta świeczki.
- I pozwolił komuś ot, tak sobie zabrać trzydzieści tysięcy dolarów?
- Tato?

Odwróciliśmy się oboje. Za nami stała kobieta po czterdziestce z sięgającym do połowy pleców jasnym warkoczem. Miała na sobie obszerny bawełniany sweter, szeroką spódnicę i sandały. Na jej twarzy nie widać było śladu makijażu. Wyglądała na osobę, która nigdy nie goli nóg, ale nie chciałam tego sprawdzać. Była za to na tyle mądra, by nie wkładać rajstop, więc od razu zarobiła u mnie parę punktów, bo moje znów zaczęły się zsuwać. W każdej chwili mogły wylądować w okolicy kolan. Byłabym wówczas zmuszona skulić się i poruszać maleńkimi kroczkami. Koszmar.

- To moja córka Susan.
- Bardzo mi miło – odparłam. Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę, po czym Susan ujęła ojca pod ramię.
- Wybacz nam, proszę, ale już pójdziemy. Cała ta impreza jest zbyt tragikomiczna jak na mój gust – powiedziała.
- Myśli, że jestem zmęczony, i niestety ma rację – wyznał Trigg. – Jeszcze kiedyś porozmawiamy.
- Mam nadzieję.

Po wyjściu Trigga i Susan odstawiłam kieliszek i znalazłam najbliższą łazienkę. Kiedy przekręciłam gałkę, okazało się, że drzwi są zamknięte od wewnątrz. Czekałam oparta o ścianę, upewniając się, że jestem pierwsza w kolejce. Wreszcie usłyszałam szum spuszczonej wody.

Chwilę potem drzwi otworzyły się i ze środka wyszedł siwowłosy mężczyzna z wąsami.

Uśmiechnął się do mnie miło i ruszył w stronę salonu.

Zamknęłam się w łazience i skorzystałam z toalety. Wciągnęłam rajstopy niczym flagę na maszt, wyszłam i zajęłam miejsce na schodach, siadając na trzecim stopniu od góry. Był to doskonały punkt obserwacyjny. Widziałam, jak Rand obchodzi zebranych z Griffem opartym o biodro. Malec miał na sobie błękitny strój marynarski, a Rand tłumaczył wszystkim jego mało zrozumiały monolog. Nigdzie nie było za to widać Leili, ale doszłam do wniosku, że musi być w domu. Crystal za nic by nie pozwoliła, by zbojkotowała przyjęcie.

Dostawcy skończyli już przygotowywanie zimnego bufetu. Na stole znalazły się filety z kurczaka, trzy rodzaje sałatek, marynowane szparagi, faszerowane jajka i koszyczki ze świeżymi bułeczkami. Zebrani zaczęli zbliżać się grupkami do stołu, lecz widać było, że każdy próbuje uniknąć sięgnięcia do półmisek pierwszy. Normalnie wyszłabym z przyjęcia już dawno, ale byłam bardzo ciekawa, kim jest siwowłosy mężczyzna. Widziałam, jak wrócił do salonu, tym razem w towarzystwie ponurej brunetki, która w jednej ręce trzymała kieliszek, a drugą wsunęła pod ramię swego towarzysza. Miała na sobie czarne body z długimi rękawami i obcisłe czarne skórzane spodnie z szerokim srebrnym paskiem. Szpilki jej butów przypominały dziesięciocentymetrowe wykałaczki. Strój ten nadawał się bardziej do wystawiania na rogu ulicy w oczekiwaniu na potencjalnych klientów niż na stypę. Poza tym nie była dość szczupła, by w ten sposób prezentować swoje wątpliwe wdzięki. Jej specjalista od odsysania tłuszczu mógłby się bardziej postarać i nadać lepszy kształt biodrom swej klientki.

Kobieta sprawiała wrażenie niezwykle czujnej, raz po raz przebiegała spojrzeniem po zebranych w salonie gościach. Rzadko pojawiający się na jej wargach uśmiech był bardzo nieśmiały i nigdy nie odbijał się w oczach. Nie przepadam za tego typu określeniami, ale roztaczana przez nią „aura” była niezwykle mroczna i posępna; można było niemal dostrzec otaczające ją szczelnie obronne pole magnetyczne. Była niespokojna, gotowa do walki. O co tu chodzi? Jej towarzysz najwyraźniej znał sporo zebranych w salonie osób. Odprężony rozmawiał

to z jedną, to z drugą grupką, a ona stale tkwiła uwieszona u jego ramienia. W przeciwieństwie do jej wyzywającego stroju, mężczyzna miał na sobie świetnie skrojony garnitur w konserwatywnym granatowym kolorze, błękitną koszulę i o ton ciemniejszy krawat. Uznałam, że przekroczył pięćdziesiątkę, ale czas obszedł się z nim łaskawie. Był w świetnej formie. Doszłam do wniosku, że na pewno jest lekarzem. Co innego mógł robić o północy w Pacific Meadows, pomijając oczywiście szybki numer z Pepper Gray.

Szepnął coś do kobiety, po czym zajął miejsce w kolejce do bufetu, biorąc do ręki talerzyk i owinięte w serwetkę srebrne sztućce. Choć kobieta stanęła za nim, nie odzywali się do siebie ani słowem. Patrzyłam, jak mężczyzna napełnia talerzyk po brzegi, podczas gdy ona nałożyła sobie odrobinę

sałatki i cztery szparagi. Mężczyzna zajął jedyne wolne miejsce na kanapie. Postawił

kieliszek i talerzyk na niskim drewnianym stoliku i zabrał się do jedzenia. Dla kobiety zabrakło już miejsca. Stała przez chwilę obok kanapy, najwyraźniej mając nadzieję, że jej towarzysz trochę się przesunie. On był jednak pochłonięty jedzeniem i nie zwracał na nią uwagi. Była więc zmuszona zająć miejsce na krześle w pewnym oddaleniu od niego. Pragnąc pokryć zmieszanie, szybko zajęła się sałatką, choć nikt z obecnych nie zwrócił na całą tę scenę uwagi. Obok niej przeszedł kelner z butelką chardonnay. Rzuciła mu ostre spojrzenie i wyciągnęła kieliszek, który napełnił niemal po same brzegi.

Nagle usłyszałam za sobą szelest i odwróciłam się. Po schodach schodziła Anica. Zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć w dół przez poręcz. Jak zwykle wyglądała bardzo elegancko w białej jedwabnej koszuli z długimi rękawami, czarnych szerokich spodniach i czarnych skórzanych mokasynach. Na rude włosy nałożyła sporo pianki i starannie je upięła.

– Niezłe miejsce – powiedziała. – Jadłaś już?

– Poczekam, aż zmniejszy się kolejka do bufetu. Obserwuję gości. Kim jest ten siwowłosy pan w granatowym garniturze, który siedzi na kanapie?

Podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem.

– To Harvey Broadus. Musieli podzielić się z Joelem obowiązkami. Joel i Dana pojechali do klubu country, gdzie Fiona wydaje przyjęcie. Harvey przyjechał tutaj. W ten sposób nie można ich oskarżyć o faworyzowanie którejś ze stron.

– A ta pani w skórzanych spodniach?

– To Celine, żona Harveya od jakichś dwudziestu lat. Odszedł od niej przed ośmioma miesiącami, a teraz wrócił cały skruszony.

– Ach, tak. Crystal wspominała coś o przykrym rozwodzie.

– To już przeszłość. Walka stała się zbyt ostra. Doszedł do wniosku, że lepiej mu będzie z Celine u boku, niż żyć w wolnym stanie, lecz bez sporej części majątku. To świr, ale czasami żał mi go. Celine pije na umór. Najczęściej albo się instaluje w klinice Betty Ford, albo właśnie z niej wychodzi. Resztę czasu spędza w jakimś luksusowym kurorcie – La Costa albo Golden Door. Musi mieć wszystko co najlepsze.

– Czy ludzie nigdy nie są szczęśliwi w małżeństwie?

– Ależ tak. Nie mogą tylko znaleźć szczęścia u boku osoby, którą poślubili. – Przebiegła wzrokiem po zebranych. – Powinnam chyba zejść na dół. Porozmawiamy później.

Minęła mnie z wdziękiem i zesłała po schodach. Spojrzałam na drzwi frontowe, gdzie pojawiła się nagle Pepper Gray. Anica też ją dostrzegła i ruszyła w jej stronę. Przywitały się uprzejmie, po czym Anica wzięła jej płaszcz i skinęła na kelnera, który podszedł do nich z szampanem. Bez białego

czepka i mundurka pielęgniarki Pepper wyglądała łagodniej i ładniej.

Nie sprawiała wcale wrażenia kobiety gotowej świadczyć usługi pozamałżeńskie. Spojrzałam na mojego siwowłosego przyjaciela, ciekawa, czy zauważył ją w tej samej chwili co ja. Pepper właśnie weszła do salonu. Musieli doskonale zdawać sobie sprawę ze swojej obecności, lecz żadne z nich nie dało tego po sobie poznać – żadnego skinienia głowy, żadnego powitania.

Celine podniosła głowę i znieruchomiła z widelcem uniesionym nad talerzykiem. Anica ujęła Pepper pod ramię i przez oszklone drzwi wyprowadziła ją na taras. Celine odwróciła głowę, obrzucając je uważnym, lodowatym spojrzeniem. Obserwowała Pepper niczym zając, który wyczuwa w pobliżu lisa. Albo wiedziała doskonale o męzowskich skokach w bok, albo też miała w głowie niezwykle czuły radar. Prawdopodobnie i jedno, i drugie. Nie trzeba było geniusza dedukcji, by się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. On pieprzył wszystkie chętne babki, a ona za to jego pieprzenie pocieszała się alkoholem. Teraz wstała i wyszła z pokoju.

Czekałam na schodach do chwili, gdy w jednym końcu stołu ustawiono desery, po czym stanęłam grzecznie w kolejce, która zdążyła się już zmniejszyć. Nie byłam szczególnie głodna, ale u boku Harveya Broadusa właśnie zwolniło się miejsce i nie mogłam przepuścić takiej okazji.

Szybko napełniłam talerzyk i podeszłam do kanapy. Kiedy podchodziłam, podniósł wzrok. Miał ładne niebieskie oczy.

– Czy ktoś tu siedzi?

– Nie, bardzo proszę. Dojrzałem już do deseru, więc może mi pani zająć miejsce.

– Bardzo proszę.

Gdy odszedł, zjawiła się kobieta w fartuszkach, by pozbierać brudne talerzyki.

Skoncentrowałam się na jedzeniu, które było naprawdę pyszne. Pochłaniałam je z typowym dla mnie zwierzęcym entuzjazmem, próbując nie wachać tych smakowitości, nie bekać i nie plamić przy tym sukienki. Broadus wrócił po chwili z talerzykiem pełnym słodczy i świeżo napełnionym kieliszkiem wina.

– Pomyślałem, że na pewno się pani przyda – powiedział, stawiając kieliszek na stoliku obok mnie.

– Dzięki. Właśnie miałam wyruszyć na poszukiwanie gościa z chardonnay.

Wyciągnął rękę.

– Harry Broadus.

– Kinsey Millhone – powiedziałam, ściskając mu dłoń. Spojrzałam na jego talerzyk. Piernik, kawałek tartoletki z owocami i ciasto kokosowe. – Wygląda smakowicie.

– To moja słabostka. – Usiadł i ostrożnie postawił talerzyk na kolanie. Zdecydował się najpierw na ciasto kokosowe. – Zauważyłem panią już wcześniej. Siedziała pani na schodach.

– Nie przepadam za tłumem, a poza tym nie znam tu nikogo. A pan? Jest pan przyjacielem Crystal czy Dowa?

– Obojga. Prowadziłem z Dowanem interesy.

– Pacific Meadows?

– Zgadza się. A pani czym się zajmuje? – Zjadł szybko kawałek piernika.

– Głównie poszukiwaniami – odparłam. Ugryzłam duży kawałek bułki, żeby uniknąć rozwijania tematu.

– To bardzo smutny dzień – powiedział. – Strasznie mi przykro z powodu Dowana, choć nie byłem tym zaskoczony. Parę tygodni przed zniknięciem był bardzo niespokojny i przygnębiony.

O mój Boże. Plotki o zmarłym na stypie. Niezły bal.

– Biedak. Co go gryzło? – spytałam.

– Nie chciałbym się w to teraz zagłębiać... powiem tylko, że pozostawił w klinice straszliwy bałagan.

– Coś o tym słyszałam. Ma to związek z Medicare, prawda? – Zjadłam odrobinę sałatki, podczas gdy on w mgnieniu oka pochłonał tartoletkę.

– Słyszała pani o tym?

Skinęłam głową.

– Z kilku różnych źródeł.

– Wszystko się więc rozniosło. To niedobrze.

– A na czym polega problem?

– Podejrzewamy, że to wynik zwykłego błędu, ale może już nigdy się nie dowiemy.

– Lekarze czasami fatalnie radzą sobie z interesami – rzuciłam, małpując Penelope Delacorte.

– Coś o tym wiem. Byliśmy wstrząśnięci.

– Nie rozumiem, co się stało. O ile wiem, klinika nie zajmuje się rachunkami. Robi to inna firma.

Skinął głową.

– Genesis Financial Management Services. Mają swoje biuro w centrum miasta. Razem z Joelem... Zna pani Joela?

– Tak, ale spotkałam się z nim tylko raz. Lepiej znam jego żonę.

– Dana to wspaniała kobieta. Mam bzika na jej punkcie. Razem z Joelem jesteśmy właścicielami domu opieki w ramach firmy o nazwie Century Comprehensive. Zajmujemy się głównie nieruchomościami, choć nie jest to jedyna dziedzina naszej działalności. Genesis dzierżawi od nas klinikę. Zajmuje się też wszystkimi rachunkami, fakturami, Medicare, Medicaid i tak dalej.

– Jakim więc sposobem Dow mógł coś spaprać?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć.

– Pomyślałam sobie... wiem, że na mocy prawa wasza firma i firma kierująca działalnością domu opieki muszą być zupełnie odrębnymi podmiotami.

– To prawda. Ale Genesis musi polegać na informacjach otrzymywanych z Pacific Meadows.

Nie mają tam na miejscu żadnego pracownika. Jeśli Dow księgował rachunki i przekazywał je dalej, musieli mu ufać na słowo.

– Mógł więc powiedzieć, co tylko chciał.

– Mógł i zrobił to.

– Jak go przyłapano?

– Nie jesteśmy pewni. Opiekun lub jeden z krewnych pacjenta mógł zauważyć jakieś rozbieżności i zadzwonić ze skargą.

– Do was?

– Do Medicare.

– Kapuś. Ale to jego problem. W każdym razie do gry wkroczyli inspektorzy i zaczęli śledztwo.

– Mniej więcej. Na tym etapie nie wiemy jeszcze, co udało im się znaleźć.

– A jeśli się okaże, że to nie Dowan?

– Jego reputacja i tak jest już zrujnowana. W tak małym mieście jak nasze, jeśli raz staniesz się obiektem plotek, trudno ci odzyskać dobre imię. Ludzie będą nadal traktować cię uprzejmie, ale wyrok już zapadł.

– Z perspektywy Dowana sprawa była więc beznadziejna, bez względu na wynik śledztwa.

– Mniej więcej.

– A jeśli się okaże, że jest niewinny? – spytałam.

– Tak czy owak, zostaliśmy z całym tym bałaganem. – Spojrzał na zegarek, odstawił talerzyk i wstał.  
– Lepiej poszukam żony. Miło się z panią rozmawiało. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w bardziej radosnych okolicznościach.

– Też mam taką nadzieję – odparłam. Uniosłam kieliszek. – Dzięki za wino.

– Polecam się.

Patrzyłam, jak przechodzi przez salon, szukając Celine.

Co za kiciarz. Joel Glazier rozmawiał z nim przez telefon w dniu, w którym go odwiedziłam.

Nie zdążyłam jeszcze na dobre wyjść z jego gabinetu, a on na pewno zaczął już relacjonować nasze spotkanie. Broadus powtórzył niemal słowo po słowie to, co o ich wspólnych interesach opowiedział mi Joel.

Kiedy wróciłam do domu, dzwonił właśnie telefon. Dwa dzwonki. Trzy. Podniosłam słuchawkę, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Tommy Hevener. Kiedy usłyszałam jego głos, uświadomiłam sobie, że powinnam najpierw sprawdzać, kto dzwoni.

– Cześć, malutka. To ja – powiedział. Jego ton był jednocześnie bardzo intymny i pewny siebie, jakbym przez cały dzień siedziała przy telefonie w nadziei, że wreszcie do mnie zadzwoni.

Na dźwięk jego głosu wzdrygnęłam się, gotowa ślinić się ze strachu jak pies. Musiałam szybko przypomnieć sobie w duchu, że choć nie mam ochoty go więcej oglądać, mogę potrzebować jego pomocy w uspokojeniu Richarda.

– Cześć. Jak się masz? – spytałam, ignorując jego uwodzicielskie zapędy. Postanowiłam podejść do całej sprawy spokojnie i bezosobowo.

– Co zrobiłaś Richardowi? Jest na ciebie wkurzony jak diabli.

Mój żołądek wykonał gwałtowne salto.

– Wiem i jest mi bardzo przykro z tego powodu.

– A co się stało?

– Co się stało? No cóż.

Myśl, myśl, myśl, myśl, myśl. Z moich ust spłynęło nagle gładkie kłamstwo.

– Lonnie chce, żeby została u niego, więc obniżył mi czynsz o połowę.

– Dlaczego mu o tym nie powiedziałaś? Richard na pewno by to zrozumiał.

– Nie miałam okazji. Był tak wściekły, że bałam się odezwać.

– A dlaczego nie powiedziałaś o tym mnie? Mogliśmy coś razem wymyślić. Jezu. A potem się dowiedział, że wycofałaś czek. Powinnaś go była zobaczyć. Wrzeszczał jak opętany. Nie masz pojęcia, do czego gotów się posunąć w takim stanie.

Chyba znam możliwości Richarda w tym względzie.

– Nie możesz z nim porozmawiać w moim imieniu?

– Próbowałem. Pomyślałem, że jeśli poznam twoją wersję wydarzeń, uda mi się jakoś przemówić mu do rozumu. Paskudnie to spałaś.

– Masz rację. Wiem, ale próbowałam to przecież jakoś wytłumaczyć... Doszłam do wniosku, że będzie lepiej, jeśli do niego napiszę. Nie chciałam mu tego powiedzieć prosto w twarz.

– Popełniłaś poważny błąd. To go właśnie najbardziej wkurzyło.

– To już wiem. Jak myślisz, co się teraz stanie?

– Trudno wyczuć. Może wszystko jakoś ucichnie. Zawsze trzeba mieć nadzieję – powiedział.

– No, ale dość już o tym. Kiedy możemy się spotkać? Stęskniłem się za tobą. – Niby żartował, ale słychać było, że to tylko gra. Mogłam albo zgodzić się od razu na spotkanie, albo dopuścić do tego, by zaczął tak długo nalegać, aż w końcu ulegnę. Powoli budził się we mnie upór i gniew.

Próbowałam mówić łagodnym i uprzejmym tonem, ale wiedziałam doskonale, że nie pogodzi się łatwo z tym, co miałam mu do powiedzenia.

– Posłuchaj, nie sądzę, żeby ten związek miał jakąś przyszłość. Lepiej dajmy sobie z tym wszystkim spokój.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła martwa cisza. Słyszałam tylko jego oddech. Nie przerywałam milczenia.

– Tak to zawsze rozgrywasz, co? – powiedział w końcu. – Trzymasz wszystkich na dystans.

Nigdy nie pozwalasz nikomu za bardzo się do siebie zbliżyć.

– Może. Chyba masz rację. Rzeczywiście mogłeś dojść do takiego właśnie wniosku.

– Wiem, że ktoś kiedyś cię skrzywdził, i bardzo mi przykro z tego powodu. Daj mi jednak szansę, proszę. Nie odpychaj mnie. Zasłużyłem sobie chyba na coś lepszego.

– To prawda. Zasługujesz na więcej, niż ja mogę ci dać. Z całego serca życzę ci wszystkiego



najlepszego. Przykro mi, że nic z tego nie wyszło.

– Nie możemy nawet o tym porozmawiać?

– Nie widzę sensu.

– Nie widzisz sensu? Co ty, do cholery, wygadujesz?

– Nie zamierzam się z tobą kłócić. Przepraszam, jeśli odniosłeś mylne wrażenie...

– Kto ci dał prawo tak do mnie mówić? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? To ty rwałaś mnie od samego początku.

– Odkładam słuchawkę. Do widzenia.

– Poczekaj jeszcze chwilę, do cholery. Wkurzasz mojego brata, ja cię bronię, a ty mnie potem traktujesz jak gówno? Chyba zupełnie ci odbiło.

– Świetnie. Wspaniale. I na tym powinniśmy wszystko zakończyć. – Odłożyłam słuchawkę na widełki. Z pewnym opóźnieniem serce zaczęło mi dudnić niczym kozłowana wściekle piłka do koszykówki. Stałam nadal, czekając, co się wydarzy.

Telefon zadzwonił raz jeszcze i choć spodziewałam się go usłyszeć, podskoczyłam przerażona. Dwa dzwonki. Trzy. Cztery. Odezwała się automatyczna sekretarka. Usłyszałam swoje nagrane powitanie, po czym Tommy odłożył słuchawkę. Minęło trzydzieści sekund.

Telefon odezwał się raz jeszcze. Podniosłam słuchawkę i wcisnęłam guzik, przerywając rozmowę. Wyłączyłam dzwonek, a potem dla całkowitej pewności wyciągnęłam wtyczkę telefonu z gniazdka.

Usiadłam przy biurku i parę razy głęboko odetchnęłam. Nie zamierzałam pozwolić, żeby ten facet mnie dopadł. Jeśli zajdzie taka potrzeba, porozmawiam z Lonniem o sądowym nakazie trzymania się ode mnie z daleka. Tymczasem musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby przestać o nim myśleć.

Wyjęłam karteczki do notowania i zapisałam wiele nowych informacji. Rozłożyłam je potem wszystkie przed sobą niczym karty do tarota i przyjrzałam się im dokładnie. Karteczki z informacjami na temat Joela Glaziera, Harveya Broadusa i Pacific Meadows tworzyły spory wachlarz. Do nich przyczepione były jeszcze dwie: Penelopa Delacorte, zastępca administratora, i Tina Bart, zwolniona z pracy księgowa. Joel Glazier i Harvey Broadus zadali sobie sporo trudu, by dać wszystkim do zrozumienia, że winę za cały skandal z Medicare ponosi Dowan. Do całości nie pasowała tylko jedna karteczka – ta, na której zanotowałam informację o związku Broadusa z pielęgniarką, która tak pracowicie się nim niedawno zajmowała.

Wróciłam do notatki poświęconej Tinie Bart. Gdzie teraz jest? Penelopa Delacorte na pewno wiedziała, ale nie zamierzała mi powiedzieć. Kierowana nagłym impulsem pochyliłam się i otworzyłam szufladę biurka. Wyjęłam z niej książkę telefoniczną i odnalazłam abonentów, których nazwiska zaczynały się na literę B. Zawsze powtarzam, że kiedy ma się wątpliwości, trzeba zacząć od rzeczy najprostszych. W książce wymieniono cztery osoby o nazwisku Bart, jednak żadna z nich

nie miała na imię Tina. Znalazłam za to C. Bart. Najwyraźniej był to skrót od imienia Christine lub Christina. To wybieg stosowany często przez samotne kobiety, pragnące uniknąć anonimowych telefonów od facetów, którzy sapiąc w słuchawkę, majstrują przy slipach.

Włączyłam telefon i wykręciłam numer C. Bart. Po dwóch dzwonekach odezwała się automatyczna sekretarka. Usłyszałam głos automatu, komputerowego robota, który przemawiał, jakby umieszczono go w blaszanej puszcze. „Proszę zostawić wiadomość”. To kolejna sztuczka samotnych kobiet, które pragną dać do zrozumienia dzwoniącemu, że pod wybranym numerem telefonu mieszka jakiś mężczyzna. Sięgnęłam po inną książkę, znaną powszechnie jako

„krzyżówka”. Umieszczają tam adresy i numery telefonów według dwóch zasad. W

przeciwieństwie do normalnych książek, gdzie można znaleźć informacje poukładane alfabetycznie według nazwisk, w „krzyżówce” w jednej części informacje podane są według ulic, a w drugiej według numerów. Jeśli masz tylko numer telefonu, możesz tam szybko znaleźć ulicę, numer domu i nazwisko abonenta. Podobnie jeśli masz tylko adres, możesz bez trudu sprawdzić nazwisko osoby tam mieszkającej i jej numer telefonu, jeśli oczywiście nie został zastrzeżony.

Szybko znalazłam C. Bart przy Dave Levine Street, nieopodal Pacific Meadows. Penelopa Delacorte powiedziała mi, że Tina Bart zaczęła pracować w Pacific Meadows, jeszcze zanim ona tam się zatrudniła. Nie trzeba być geniuszem, żeby dojść do wniosku, że mieszkała blisko miejsca pracy. Najwyższa pora dowiedzieć się, ile pani Bart wie.

Przed wyjściem z mieszkania odszukałam swój stary rewolwer i wsunęłam go do torby. To półautomatyczny davis 32 z dwunastocentymetrową lufą. W ciągu minionych trzech lat nasłuchiwałam się sporo krytycznych uwag na temat tej broni. Dowiedziałam się, że jest tania i zawodna, ale nie zmniejszyło to ani o jotę mojego do niej sentymentu. Rewolwer jest mały, lekki i doskonale układa się w dłoni. Nie wierzyłam, by Richard bądź Tommy zdecydowali się mnie zaatakować, ale nie mogłam być tego do końca pewna. Takie były reguły ich gry.

Zbliżała się piąta, gdy wyjechałam na autostradę 101. Powoli zapadał zmrok. Nad samochodami unosiła się mżawka, którą wycieraczki rozmazywały na przedniej szybie. Dave Levine jest jednokierunkową ulicą biegnącą do centrum miasta, musiałam więc zjechać z autostrady i skręcić w lewo w Chapel. Chwilę błądziłam, mijając po prawej stronie Pacific Meadows. Przyglądałam się uważnie numerom domów. Budynek, którego szukałam, znajdował

się tylko o przecznicę ode mnie. Zaparkowałam volkswagena przy ulicy i ruszyłam dalej piechotą, kuląc się pod naporem wilgotnej, nieprzyjemnej mżawki.

Budynek mieścił cztery mieszkania, dwa na dole i dwa na górze, dokąd prowadziły zewnętrzne schody. Mieszkanie oznaczone numerem 1 znajdowało się po mojej prawej stronie, a numerem 2 dokładnie naprzeciwko. Wypisane czarnymi literami nazwisko Bart znajdowało się na skrzynce pocztowej z numerem 3. Cofnęłam się o parę kroków i spojrzałam w okna na piętrze.

W kilku z nich po prawej stronie świeciło się światło. Weszłam na schody, zapukałam do drzwi i czekałam. Za sobą między filarami budynku widziałam gęstniejącą mżawkę i czułam podmuchy chłodnego powietrza.

– Kto tam?

– Pani Bart?

Usłyszałam, jak zakłada łańcuch. Uchyliła lekko drzwi.

– Tak?

– Przepraszam, że nachodzę panią w domu. Nazywam się Kinsey Millhone, jestem prywatnym detektywem. Pracuję dla byłej żony doktora Purcella. Czy mogłabym z panią chwilę porozmawiać?

– Nic nie wiem. Nie widziałam go od miesiący.

– Słyszała pani na pewno, że jego ciało znaleziono w jeziorze Brunswick?

– Czytałam o tym. Co się stało? W gazecie niewiele napisali.

– A czy to ma dla pani jakieś znaczenie?

– Nie wierzę, że popełnił samobójstwo, a to chyba próbują udowodnić.

– Zgadzam się z panią, ale nigdy nic nie wiadomo. Próbuję teraz zrekonstruować wydarzenia, które doprowadziły do jego śmierci. Czy pamięta pani, kiedy ostatnio z nim rozmawiała?

Nie odpowiedziała, ale widziałam po jej oczach, że coś wie.

Poczułam na policzku falę zimna i wilgoci.

– Mogę wejść? – spytałam nagle. – Tu naprawdę jest bardzo zimno.

– Skąd mam wiedzieć, że jest pani osobą, za którą się podaje?

Sięgnęłam do torebki po portfel. Wyjęłam licencję i wsunęłam ją w szczelinę w drzwiach.

Obejrzała ją szybko i przesunęła z powrotem. Zamknęła drzwi, żeby zdjąć łańcuch, i wpuściła mnie do środka.

Kiedy tylko weszłam do mieszkania, z powrotem założyła łańcuch. Zdjęłam pelerynę i powiesiłam ją na wieszaku przy drzwiach. Przez chwilę rozglądałam się dookoła. Mieszkanie stanowiło dziwne połączenie dawnego uroku i mocno denerwujących elementów. Przebiegłam spojrzeniem po łukach i drewnianych podłogach, wąskich oknach z pożółkłymi drewnianymi żaluzjami i grzejniku stojącym przy drzwiach do sypialni. Na palenisku kominka w salonie na kupie popiołu leżało duże, mocno nadpalone polano. W mieszkaniu nie było wiele cieplej niż na zewnątrz, ale przynajmniej nie czuło się podmuchów zimnego wiatru. Za łukiem w przeciwległej ścianie mieściła się łazienka wyłożona kafelkami w modnym niegdyś beżowo-brązowym kolorze. Prawdopodobnie pochodziły z czasów, gdy wznoszono budynek. Nie musiałam nawet oglądać kuchni, by dojść do wniosku, że nie znajdę w niej żadnych nowoczesnych urządzeń: zmywarki, elektrycznego piekarnika ani młynka do odpadów. Stoi tam za to na pewno stara kuchenka marki O’Keefe and Merritt z dwoma piekarnikami ze szklaną klapą oraz pieprzniczką i solniczką w specjalnym pudełku nad płytą. Odnowiona i wypolerowana kosztowałaby teraz fortunę, choć jeden z piekarników nie działałby już tak jak kiedyś i młoda pani domu, którą skusiłby urok kuchenki, wyjmowałaby z niej niedopieczone ciasto.

Tina wskazała mi miejsce w szarym fotelu, a sama wróciła na kanapę. Była młodsza, niż oczekiwałam, na oko po czterdziestce i tak pozbawiona energii, że wyglądała, jakby podano jej sporą dawkę środków uspokajających. Jej włosy miały kolor dębowych desek, z których ułożono podłogę. Miała na sobie dres: szare spodnie i bluzę, a pod nią biały podkoszulek. Kształt jej stóp odbił się szarą linią na podeszwach grubych białych skarpet. Wyglądało na to, że nie bardzo wie, co począć z rękami. Wreszcie skrzyżowała ramiona na piersiach i schowała pod nimi palce, jakby chciała ochronić je przed zimnem.

– Dlaczego przyszła pani do mnie?

– W zeszły poniedziałek byłam w szpitalu St. Terry i rozmawiałam z Penelopą Delacorte. W

rozmowie padło pani nazwisko, więc doszłam do wniosku, że pomoże mi pani wyjaśnić pewne fakty. Czy mogę się zwracać do pani po imieniu? – spytałam nagle.

Wzruszyła ramionami, co uznałam za zgodę.

– Wiem, że razem z panią Delacorte odeszłyście z Pacific Meadows mniej więcej w tym samym czasie. Powiedziała mi też, że w waszym zawodzie niełatwo jest znaleźć pracę. Udało ci się? – Chciałam dać jej do zrozumienia, że moja rozmowa z Penelopą Delacorte miała charakter długiej, przyjacielskiej pogawędki, choć w rzeczywistości było inaczej.

– Nadal szukam. Na razie odbieram zasilek, dopóki należne mi świadczenia nie wygasną – mówiła bezbarwnym głosem, patrząc na mnie szarymi oczami.

– Jak długo dla nich pracowałaś?

– Piętnaście lat.

– Czym się zajmowałaś?

– Pracowałam w biurze. Zatrudniono mnie jako archiwistkę i powoli pięłam się w górę.

Wieczorami studiowałam i udało mi się w końcu zrobić dyplom.

– Z czego?

– Administracja szpitali i finanse. Brzmi dumnie, ale to nic wielkiego. Zawsze bardziej interesowała mnie księgowość niż zarządzanie, więc byłam zadowolona z pracy... mniej więcej.

– Czy mogę zadać ci parę pytań na temat Pacific Meadows?

– Jasne. Już tam nie pracuję i nie mam nic do ukrycia.

– Kto był właścicielem budynku, zanim nabyli go Glazier i Broadus?

– Firma Silver Age Enterprises. Nie znałam nazwiska właściciela. Zresztą mogło ich być paru. Wcześniej była jeszcze firma Endeavor Group.

Sięgnęłam do torebki i wyjęłam kołonotatnik z ołówkiem wsuniętym między kółeczka.

Zanotowałam obie nazwy.

– Czy za czasów Silver Age ośrodkiem kierowali ci sami ludzie, którzy byli właścicielami domu? Czy też te dwie funkcje były rozdzielone?

– Były rozdzielone. Programy Medicare i Medicaid weszły w życie w latach sześćdziesiątych i żaden z nich nie miał skutecznych zabezpieczeń przed potencjalnymi nadużyciami. Regulacje prawne dotyczące rozdzielania własności i kierowania tego typu ośrodkami pojawiły się dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy Kongres powołał do życia jednostki do spraw kontroli nadużyć. Nie masz pojęcia, ile różnych agencji ściga potencjalnych fałszerzy: Biuro Inspektora Generalnego, cywilne i kryminalne wydziały biura Prokuratora Generalnego, FBI, HFCA i jednostki powoływane przez Medicare. Ale to i tak nikogo nie odstrasza. Za każdym razem, gdy wznoszą kolejną barierę, fałszerze natychmiast znajdują sposób, by ją obejść. Uznają to za kolejne wyzwanie na swojej drodze – rzuciła z przekąsem. – Trzy razy widziałam, jak Pacific Meadows zmienia właścicieli, a przy każdej z tych transakcji cena rosła dwukrotnie.

Zanotowałam także i tę informację, zastanawiając się, jak sprawdzić wysokość sum, które wchodziły

w grę.

– Pracowałaś dla Endeavor czy dla Silver Age?

– Sądzę, że tak naprawdę Silver Age była filią Endeavor. Szefową Endeavor była kobieta nazwiskiem Peabody. Wszystkie swoje osobiste wydatki rozliczała przez dom opieki. Odnawiała swój własny dom i księgowowała koszty na rzecz Pacific Meadows jako „utrzymanie ośrodka i naprawy”. Albo kupowała nowe zasłony do domu i twierdziła, że kazała je zawiesić w pokojach pacjentów. Zakupy, koszty utrzymania domu, wydatki na podróże i rozrywki – niczego nie odpuściła.

– Czy to nie jest nielegalne?

– W większości tak. Część z tych wydatków można było rozliczyć zgodnie z prawem, ale przeważnie stanowiły poważne nadużycie. Próbowałam zwrócić na to uwagę administratora, ale w odpowiedzi usłyszałam mniej więcej: „Zajmij się swoimi sprawami”. Powiedział mi, że księgowy firmy regularnie przegląda rachunki i wszystko jest w największym porządku.

Wiedziałam, że jeśli zacznę naciskać, mogę się natychmiast pożegnać z pracą. Na dłuższą metę milczenie okazało się znacznie rozsądniejszym wyjściem. Kiedy na scenę wkroczyła firma Silver Age, przez pewien czas księgami zajmował się ktoś inny. Potem został zwolniony i wróciłam na swoje miejsce. Już wtedy coś było nie tak, ale nigdy nie doszłam, co.

– Dlaczego nie odeszłaś i nie poszukałaś innego zajęcia?

– Lubiłam swoją pracę.

– Mogłaś ją lubić w jakimś innym miejscu.

– To prawda, ale się zaparłam. Doszłam do wniosku, że pewnego dnia wszystko się zawali, a ja będę to mogła obserwować i być może dolać trochę oliwy do ognia.

– Czy coś się zmieniło, gdy na scenę wkroczył doktor Purcell?

– W ciągu paru pierwszych miesięcy nic. Potem jednak zauważyłam rosnącą liczbę rachunków za wynajęcie karetki, fizjoterapię, przenośny sprzęt do zdjęć rentgenowskich, wózki inwalidzkie. Zaczęłam wszystko notować, po czym wystosowałam pismo do pana Harringtona, szefa księgowości Genesis. Jak się później okazało, popełniłam błąd, ale niewiele mnie to obeszło. Harrington nigdy nie wypowiedział się na ten temat, ale nie był moją inicjatywą zachwycony, gdyż teraz sam znalazł się pod ostrzałem.

– Jednym słowem, dawałaś niezłe popalić.

– Mam taką nadzieję.

– Tak więc nawet przed wielką kontrolą nie byli zadowoleni z twojej pracy.

Skinęła głową.

– I to bardzo. Po jakimś czasie zwolnili mnie. Doktor Purcell próbował interweniować, ale nie miał zbyt wiele do powiedzenia i przegłosowali go. Penelopa bardzo się tym wszystkim zdenerwowała i postanowiła odejść, co było im zresztą na rękę. Wyglądało na to, że to my dwie ponosimy winę za cały ten bałagan, byliśmy winne całego zamieszania, a ludzie z Genesis zaczęli oczyszczać teren. Mieli jednak nadal doktora Purcella, gdyby inspektorzy z Medicare mimo to zdecydowali się przeprowadzić kontrolę.

– Co też zrobili.

– Tak. Nie spoczną, dopóki wszystkiego nie wyjaśnią.

– Joel powiedział mi, że Genesis jest częścią grupy o nazwie Millenium Health Care.

– Tak. Ale moim zdaniem część z tych firm, jeśli nie wszystkie, to tylko satelity, które mają za zadanie ukryć rzeczywistego właściciela całości.

– Jakim sposobem?

– Firma A, należąca do pana Smitha, nabywa dom opieki. Smith zakłada firmę-przykrywkę, zatrudniając całą ekipę pracowników, pozornie z nim niezwiązanych. Jego firma A sprzedaje dom opieki tej drugiej spółce – w rzeczywistości również należącej do niego – po znacznie zawyżonej cenie, zamieniając tym samym zysk w dochód z kapitału...

– Od którego płaci się niższe podatki – wtrąciłam.

– Zgadza się. Ta druga spółka może wykorzystać zawyżoną wartość nabytej inwestycji jako zabezpieczenie nowo zaciągniętych kredytów. Tymczasem na scenę wkracza firma C, dzierżawiąc budynek i tereny od „nowego” właściciela. Nie muszę chyba dodawać, że czynsz zdążył już mocno podskoczyć.

Podniosłam rękę.

– Poczekaj chwilę. – Szybko przebiegłam w myślach wszystko to, co mi powiedziała, próbując przypomnieć sobie, co zwróciło moją uwagę, gdy słuchałam jej wyjaśnień. Nie było to jednak nic, co powiedziała przed chwilą; ta rzecz nie dawała mi spokoju od chwili, gdy przekroczyłam jej próg. – Tego feralnego wieczoru doktor Purcell wyjechał z Pacific Meadows o dziewiątej. Czy przypadkiem nie wpadł tutaj, żeby z tobą porozmawiać?

Długo milczała. Już myślałam, że nie usłyszę odpowiedzi na moje pytanie.

– Tak.

– O czym?

– Powiedział mi, że umówił się na spotkanie z agentami FBI. Twierdził, że wie już, co się dzieje, i kto tym wszystkim kieruje. Harvey i Joel.

– Ale im przecież nic nie groziło, prawda? Z tego, co usłyszałam, nie mieli nic wspólnego z kierowaniem działalnością Pacific Meadows. W to oszustwo musieli być zamieszani ludzie z Genesis, bo do nich przesyłano rachunki z Medicare.

– To wszystko mogło być bardziej skomplikowane niż myślisz. Doktor Purcell najwyraźniej chciał wyciągać z tego interesu coraz więcej, bo zaczął podpisywać lipne rachunki. Wiedział o tym doskonale. Wystawiano je głównie za wynajmowanie karetki i zdjęcia rentgenowskie.

Prawdopodobnie sprawa się wydała. FBI wpadło na jego trop i wtedy zgodził się iść na współpracę.

– Nie rozumiem, co mogli zyskać, uciszając go na dobre? O tym oszustwie wiedziało na pewno parę innych osób. Na przykład ty.

– Nigdy nie miałam żadnych uprawnień i niewiele mogłam zdziałać. A teraz, kiedy doktor nie żyje, mogą zrzucić całą winę na niego.

– Czy opowiedział jeszcze komuś o tej sprawie?

– Nawet jeśli tak było, to nie wspominał o tym ani słowem.

– Ale dlaczego przyszedł do ciebie? Z tego, co wiem, nawet go dobrze nie znałaś.

– Chciał, żebym mu pomogła. Doszedł do wniosku, że nie mam nic do stracenia.

– Sądziś, że powiedział Joelowi i Harveyowi, co zamierza?

– Jeśli był mądry, to nie. Wiem, że tego dnia jadł z Joelem lunch, ale nie wspominał, o czym rozmawiali.

– Nie rozumiem. Skoro działa aż tyle agencji nadzorujących działalność firm, dlaczego od razu nie zostali przyłapani na oszustwie?

Tina wzruszyła ramionami.

– Większość przedstawianych przez nich dokumentów była jak najbardziej zgodna z prawem. Choć sumy, na które opiewają rachunki, są fałszywe, cała reszta nie rzuca się w oczy.

Stawiają standardowe diagnozy i stosują standardowe leczenie. Są bardzo ostrożni i starają się nie przekraczać pewnych granic. To przypomina trochę grę w piłkę. Wiedzą, jak daleko mogą ją kopnąć, żeby nie wyszła na aut.

– Ale w końcu wyszła. Wiesz może dlaczego?

– Ktoś musiał złożyć zażalenie. W zeszłym tygodniu rozmawiałam z inspektorem.

Większość informacji, które mu przekazałam, miał już w swoim archiwum.



Lipne rachunki Klotyldy też musiały być częścią planu.

– Jestem w posiadaniu pewnych informacji, które mogą się okazać przydatne. Na początku przyszłego tygodnia chętnie poszukam dokumentów, które rzucą dodatkowe światło na tę sprawę.

– Świetnie. Poinformuję go o tym przy naszym następnym spotkaniu.

– Nie rozumiem jeszcze jednej rzeczy. Po co ryzykować wystawianie rachunków na zmarłą osobę?

– Pamiętaj, że masz do czynienia z trzema różnymi szczeblami władzy: lokalną, stanową i federalną. Kiedy cię na tym przyłapią, mówisz: „ovej” i zwracasz pieniądze. Czy naprawdę myślisz, że rząd będzie sobie zawracał głowę ściganiem „pomyłek” wartych parę setek dolarów?

– Racja. A o co chodzi z Harveyem Broadusem i tą pielęgniarką... Pepper Gray?

– Rzucił dla niej swoją żonę Celine, ale słyszałam, że niedawno do niej wrócił.

Przyjrzałam się jej uważnie, zastanawiając się, czy odpowie na pytanie, które właśnie przyszło mi do głowy.

– Czy to ty zadzwoniłaś ze skargą do Medicare?

– Nie.

– A kto?

– Nie jestem pewna, ale podejrzewam, że to ona.

– Pepper?

– Tak.

– To Pepper sypnęła całą sprawę?

– Zastanów się chwilę. Kiedy Harvey w końcu ją rzucił, mogła chcieć się zemścić.

Zauważyłam, że jej nazwisko lub inicjały pojawiają się najczęściej na rachunkach za kwestionowane zakupy sprzętu lub usługi. Siedziała do tej pory cicho, ale dlaczego miałyby go kryć nadal, teraz, kiedy zdecydował się wrócić do żony?

– Chyba znowu coś ich łączy.

– Naprawdę? To dziwne. Wyobraź sobie, w jakiej sytuacji znajdzie się Pepper, gdy Harvey odkryje, co zrobiła... – Urwała i zamyśliła się. Na jej ustach błąkał się ledwo widoczny uśmiech.

Po drodze do domu wpadłam do biura, żeby zabrać zapas karteczek do notowania. Miałam dwie paczki w szufladzie i chciałam na nie przenieść informacje, które zapisałam na gorąco w notatniku.

Jechałam Dave Levine Street aż do Capillo, gdzie skręciłam w lewo. Mijając Passing State Street, zauważyłam, że zalane deszczem centrum Santa Teresa jest zupełnie wyludnione.

Było już po szóstej i większość sklepów zamknięto. Wystawy były co prawda oświetlone, ale w środku panował mrok, rozjaśniany jedynie pojedynczymi żarówkami, które miały odstraszyć potencjalnych włamywaczy. Skręciłam w podjazd prowadzący do budynku Lonniego i zaparkowałam samochód.

Wysiadłam i zamknęłam drzwiczki. Nad ścianą budynku widziałam światła w oknach po drugiej stronie muru. Nie mogłam się oprzeć pokusie spojrzenia w okna biura, które wynajęłam zaledwie przed tygodniem. Parking był pusty; nie widać było ani furgonetki Tommy'ego, ani jego niskiego, czerwonego porsche. Górne żaluzje po prawej stronie były podniesione, lecz te na dole zasunięto. Nagle dostrzegłam przesuający się na tle jasnego okna cień. Może Richard pokazywał biuro kolejnemu klientowi.

Odwróciłam się, wiedząc, że skończyłam z tym już na dobre. Klamka zapadła i nie było sensu dłużej tego roztrząsać. Pojawienie się Mariah Talbot uznałam za szczęśliwe zrządzenie losu. W innym bowiem wypadku wynajęłabym biuro od ludzi, którzy byli zdolni do popełnienia morderstwa z zimną krwią. Weszłam powoli po schodach na trzecie piętro. W kancelarii nie było nikogo, ale wszędzie paliło się światło. Przeszłam korytarzem i otworzyłam drzwi mojego pokoju.

Podeszłam do biurka, otworzyłam szufladę i wyjęłam dwie paczuszki kartek, wciąż opakowane w folię. Otworzyłam jedną z nich i zaczęłam notować. Przez następną godzinę, pochłonięta pracą, czułam się całkowicie bezpieczna. O 19:15 spięłam zapisane karteczki gumką i wsunęłam je do torby razem z plikiem zapasowych.

Zamknęłam biuro i ruszyłam w stronę schodów. Na pierwszym zakręcie wyjrzałam na zewnątrz przez niewielkie okienko. Z drugiego piętra widziałam wyraźnie tył budynku należącego do braci Hevener. Drzwi stały teraz otworem. W biurze po prawej stronie (które nadal uważałam za swoje), rozsunięto żaluzje. W środku paliło się światło, ale pokój sprawiał wrażenie opuszczonego. Coś było nie tak, ale nie wiedziałam do końca co. Może ktoś wyszedł na chwilę, pozostawiając dla wygody otwarte drzwi. Zaintrygowało mnie to, ale mimo wszystko nie zamierzałam tam węszyć.

Zeszłam na dół i wsiaadłam do samochodu. Po drodze do domu wstąpiłam do supermarketu.

Kupiłam papier toaletowy, wino, mleko, chleb, jajka, chusteczki higieniczne i cały zapas mrożonych dań. W pobliżu mojego domu nie było miejsca do parkowania, więc musiałam zostawić samochód dość daleko. Byłam wściekła, bo z torbą i masą zakupów miałam do przejścia spory kawałek. Kiedy szłam przez podwórko, nagle z ciemności po prawej stronie wyłoniła się jakaś postać. Odskoczyłam o kilkanaście centymetrów, z trudem tłumiąc okrzyk strachu. Jedna z toreb z zakupami wypadła mi z rąk, drugą przyciskałam mocno do siebie. Przede mną stał Tommy Hevener z rękami wsuniętymi w kieszenie płaszcza przeciwdeszczowego.

– Cześć.

– Cholera jasna! Jak możesz? Co ty tutaj robisz?

– Porozmawiajmy.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. Odsuń się. – Schyliłam się, żeby podnieść klucze. Jedna torba była rozdarta, więc szybko zaczęłam wrzucać zakupy do drugiej. Połowa jajek oczywiście się rozbiła, a wciśnięty w pośpiechu do torby chleb spłaszczył się na dobre. Nie miałam pojęcia, jak dojdę do mieszkania, ciągnąc ze sobą część nieuszkodzonych jeszcze zakupów.

– Tylko spokojnie – mruknęłam pod nosem. Znalazłam klucze i podeszłam do drzwi, świadoma, że Tommy stoi mi na drodze. Wyciągnął rękę i oparł dłoń o drzwi, przyciskając mnie do nich swoim potężnym ciałem.

Odwrociłam głowę, próbując uniknąć wszelkiego kontaktu.

– Odsuń się ode mnie – rzuciłam ostro. Pomyślałam o schowanej w torbie broni.

– Nie odejdę, dopóki mi nie powiesz, co jest grane.

– Jeśli się nie odsuniesz, zacznę krzyczeć.

– Nie zaczniesz – mruknął.

– HENRY!

– Ciiii!

– HENRY!

U Henry’ego zapaliło się światło. W drzwiach dostrzegłam jego twarz.

– RATUNKU!

– Suka – rzucił Tommy.

Henry wyszedł na podwórko z kijem baseballowym w dłoni. Tommy spojrział na niego, odwrócił się i odszedł demonstracyjnie wolnym krokiem, pełen pogardy dla nas obojga. Henry przeszedł szybko przez podwórko. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był aż tak wściekły. Na chodniku słyszałam oddalający się stukot butów Tommy’ego.

– Co się stało? Dzwonić na policję?

– Nie. Kiedy tu przyjadą, jego już nie będzie.

– Zrobił ci krzywdę?

– Nie, ale przestraszył mnie na śmierć.

– Powinnaś to zgłosić na policję. Będą mieli to w aktach, jeśli on jeszcze raz tu się pojawi.

– W poniedziałek porozmawiam z Jonahem.

– Sama rozmowa nie wystarczy. Ten facet jest niebezpieczny. Musisz załatwić sobie nakaz sądowy, żeby trzymał się z dala od ciebie.

– Nie sądzę, żeby wiele to pomogło. Naprawdę, nic mi nie jest. Pomożesz mi wnieść to do środka?

– Jasne. Otwórz tylko drzwi.

Niedziela była posępna i zalana deszczem. Cały dzień spędziłam, leżąc wyciągnięta na kanapie. Ubrana w ciepły dres przeczytałam od deski do deski całą powieść i zaraz zabrałam się do następnej. Miałam w zapasie jeszcze dwie, więc przyszłość malowała się w różowych barwach.

O piątej po południu zadzwonił telefon. Wysłuchałam sekretarki, by się zorientować kto dzwoni, zanim podniosę słuchawkę. Fiona. Poczulałam tak wielką ulgę, że niemal zapałałam do niej sympatią.

– Przepraszam, że nie miałam okazji porozmawiać z panią wczoraj po nabożeństwie.

Blanche urodziła wczoraj po południu.

– Naprawdę? Serdeczne gratulacje. Co tym razem?

– Dziewczynka. Waży trzy i pół kilo. Nazwali ją Chloe. Poród zaczął się już w kaplicy. Po nabożeństwie Blanche i Andrew pojechali prosto do szpitala. Nie było nawet czasu, żeby zainstalować ją na sali porodowej. Urodziła na wózku na korytarzu.

– Rzeczywiście mieli mało czasu. Jak się czuje Blanche?

– Dobrze. Dziecko musi jeszcze zostać parę dni w szpitalu z powodu żółtaczki, ale poza tym wszystko jest w porządku. Dzisiaj odbieramy Blanche. Powiedziałam jej, że zajmę się jutro dziećmi, żeby mogła dojechać do siebie. Chciałabym, żeby wreszcie podwiązała sobie jajowody i skończyła z tym raz na zawsze. Nie może stale wyrzucać z siebie dzieci. To śmieszne.

– Na pewno z ulgą przyjęła pani wiadomość, że wszystko przebiegło bez komplikacji.

– Prawdę mówiąc, dzwonię w zupełnie innej sprawie. Wczoraj wieczorem, kiedy jechałam do szpitala odwiedzić Blanche, zauważyłam białe volvo Crystal zaparkowane na podjeździe domu przy Bay. Zna pani tę okolicę i wie, jak trudno tam znaleźć miejsce. Parking przy szpitalu był pełny, musiałam więc krążyć, żeby móc zostawić gdzieś samochód. Wtedy zobaczyłam to volvo. Wzbudziło to oczywiście moją ciekawość, więc pojechałam tam dziś rano. Samochód znów tam stał. Zakładam, że może pani bez trudu sprawdzić, do kogo należy ten dom.

– Oczywiście. Proszę tylko podać mi adres. – Zanotowałam wszystkie szczegóły, po czym spytałam: – Dlaczego tak to panią interesuje?

– Sądzę, że w końcu pokazała swoje prawdziwe oblicze. Słyszała pani na pewno plotki o jej romansie z trenerem, Clintem Augustinem. Nie pamiętałam o tym do chwili, gdy zauważyłam jej

samochód. To dało mi sporo do myślenia. Bez względu na to, co ona knuje, chyba warto to sprawdzić, prawda?

– Zakładając oczywiście, że to była ona.

– Na rejestracji samochodu widziałam wielki napis „Crystal”.

– A skąd pani wie, że to ona prowadziła? Za kierownicą mógł siedzieć ktokolwiek.

– Wątpię. Kto na przykład?

– No nie wiem. Może Rand albo Nica, ktoś ze służby.

– Melanie też to sugerowała, choć nie mam pojęcia, dlaczego tak jej bronicie. Zadzwoiłam do detektywa Paglii i powiedziałam mu, że zajmie się pani tą sprawą. Poinformowałam go też, że powinni to byli zbadać na samym początku.

Detektyw Paglia z pewnością w pełni docenił jej starania.

Kiedy skończyłyśmy rozmowę, wykręciłam numer siłowni. Telefon odebrał Keith. W tle słyszałam szcęk podnoszonych ciężarów. Niektórzy nie odpuszczają sobie nawet w niedzielę.

– Cześć, Keith. Kinsey Millhone. Kiedy byłam u was w zeszłym tygodniu, pytałam cię o Clinta Augustine’a, pamiętasz? Masz może jego adres i domowy numer? Pomyślałam, że dla odmiany załatwię sobie osobistego trenera.

– Poczekaj chwilę, sprawdzę. – Słyszałam, jak otwiera szufladę biurka i przerzuca kartki notesu, który miałam już kiedyś okazję oglądać. – Wiem, że gdzieś go mam. No, jest.

Zanotowałam adres i od razu zorientowałam się, że mam do czynienia z posiadłością Glazierów w Horton Ravine.

– Od jak dawna go masz? – spytałam. – Podobno mieszka teraz przy Bay niedaleko szpitala St. Terry.

– Nie sędzę. Nigdy o tym nie słyszałem.

– A kiedy z nim ostatnio rozmawiałeś? Mógł się przeprowadzić.

– Parę miesięcy temu. Gdzieś w lutym, może w marcu. Przychodził do nas regularnie osiem, dziesięć razy w tygodniu. Ale równie dobrze mógł się przenieść ze swoimi klientami do innej siłowni. Daj mi znać, jeśli wycofał się z interesu, to go wykreślę. Jeśli go nie znajdziesz, mam paru innych dobrych trenerów.

– Jasne. Wielkie dzięki.

Zdjęłam z półki „krzyżówkę” i odnalazłam w spisie Bay Street. Przesunęłam palcem po numerach domów, aż znalazłam właściwy. Miałam nadzieję, że Fiona się myli, ale stało tam czarno na białym

„J. Augustine”, choć numer telefonu różnił się od podanego mi przez Keitha.

Wykręciłam otrzymany od niego, ale nie uzyskałam połączenia. Musiał to więc być numer Clinta z czasów, gdy mieszkał w domu stojącym na tyłach posiadłości Glazierów. Najwyraźniej informacje Keitha były już nieaktualne. Odłożyłam książkę na półkę. Nie mogłam jednak uwierzyć, że Crystal pojechała spotkać się z Clintem w dzień nabożeństwa żałobnego za męża.

Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer domu przy Bay.

Mężczyzna, który odebrał telefon, nie należał do uprzejmych.

– Tak? – spytał ostrym, pełnym zniecierpliwienia tonem.

– Czy mogę rozmawiać z Clintem?

– Nie może podejść do telefonu. A kto mówi?

– Nieważne. Zadzwoń później.

Stojący przy Bay Street dom wzniesiono w stylu wiktoriańskim, prawdopodobnie gdzieś pod koniec dziewiętnastego wieku. Był dwupiętrowy, o białych ścianach, z szeroką werandą biegnącą przez całą szerokość budynku. W tej okolicy wiele domów jednorodzinnych zajmowały teraz biura obsługujące położony o parę ulic dalej szpital. Na podjeździe nie zauważyłam białego volva Crystal. Małe podwórko obsadzone przyciętymi teraz nisko krzewami róż otaczał biały drewniany płot. Wyobraziłam sobie zapach, który unosi się tutaj latem. Teraz ziemia była mokra od deszczu, który wciąż zalewał ją nową falą.

Minęłam dom, zawróciłam na najbliższym skrzyżowaniu i zaparkowałam po drugiej stronie ulicy. Postanowiłam chwilę poczekać. Godziny odwiedzin w szpitalu jeszcze się nie rozpoczęły, więc na ulicach było pusto. Nawet otoczona falą deszczu, siedząc samotnie w samochodzie, czułam się nieswojo. Nie miało to wiele wspólnego ze śledzeniem podejrzanego – bardziej z wojną podjazdową pomiędzy żonami Dowana. Nie chciałam myśleć o Crystal, której związki z mężczyznami stanowiły jedno pasmo katastrof. Z jednym z nich zaszła w ciążę. Szybko ją porzucił i musiała samotnie wychowywać dziecko. Pierwszy mąż posuwał się do przemocy, a drugi, pozornie godny szacunku, pił i miał dziwne upodobania seksualne. Clint był tuż po czterdziestce, przystojny i dobrze zbudowany. Nie sprawiał wrażenia zbyt inteligentnego, ale swoich klientów traktował z wielką cierpliwością, choć ich zapał często okazywał się słomiany.

Ostatni raz widziałam go tuż po Nowym Roku, kiedy w siłowni zjawiała się nowa grupka zapaleńców, gotowych do największych poświęceń po świątecznym obżarstwie. Klienci Clinta zawsze byli najgrubsi. Crystal prezentowała zdecydowanie zbyt wielką klasę, by zadawać się z kimś takim jak on. Z drugiej strony miała za sobą karierę striptizerki i choć wyglądała bardzo elegancko, nie była prawdopodobnie wiele mądrzejsza od niego. W miłości, podobnie jak i wielu innych sprawach, ludzie szukają partnerów na podobnym poziomie. Nie zapominając ani na chwilę o Tommym, poprawiłam lusterko wsteczne. Fakt, że go nie widziałam, nie oznaczał

wcale, że nie kręcił się gdzieś w pobliżu. Niestety, każda myśl o nim sprawiała, że czułam bolesny ucisk w żołądku.

O 18:25 doszłam do wniosku, że Crystal już się nie pojawi. Przekręcałam właśnie kluczyk w stacyjce, gdy zza rogu Missile wyjechało białe volvo i ruszyło w moim kierunku. Za kierownicą siedziała Crystal.

Zgasiałam silnik i patrzyłam, jak Crystal podjeżdża i parkuje na podjeździe. Chwyciłam parasol i wysiadłam z samochodu w chwili, gdy ona wysiadała ze swojego. Była to jedna z tych chwil, kiedy zadanie prostego pytania wydaje się najrozsądniejszym wyjściem. Nie zamierzałam kryć się w krzakach ani zaglądać przez okna, by dowiedzieć się prawdy.

– Crystal?

Zdażyła już przejść przez bramkę i odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Miała na sobie kurtkę przeciwdeszczową, kowbojki, obcisłe džinsy i długi, robiony na drutach sweter. Na twarzy widać było jedynie ślad lekkiego makijażu, a jasne włosy spięta w luźny węzeł. Stała zaskoczona z jedną dłonią opartą nadal na gałce furtki.

– Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

– O czym? – spytała po dłuższej chwili.

– O Clincie. Ćwiczymy w tej samej siłowni.

– Czego chcesz?

Potrząsnęłam głową.

– Ktoś widział tutaj twój samochód i pomyślał, że być może znów się pokażesz.

Zamknęła na chwilę oczy.

– Fiona.

Nie potwierdziłam jej przypuszczeń od razu, ale nie miałam też powodu, żeby zaprzeczać. Po co? Crystal wiedziała przecież, że pracuję dla Fiony, a poza tym kto byłby gotów deptać jej stale po piętach?

– Chyba powinnaś wiedzieć, że rozmawiała z detektywem Paglią.

– Cholera jasna. Niczego i nikogo nie zostawi w spokoju. Co ona zamierza? Będzie mnie śledzić do końca życia, żeby móc mnie w końcu przygwoździć? To, co robię, jest wyłącznie moją sprawą. Niech się do tego nie miesza.

– Posłuchaj, to nie był mój pomysł. Jeśli jesteś wkurzona, wyzywaj się na niej.

– Masz rację. – Przez chwilę próbowała się opanować. Kiedy znów się odezwała, w jej tonie więcej było rezygnacji niż gniewu. – Chodźmy stąd. Nie ma sensu moknąć na tym deszczu.

Przeszłam za nią przez furtkę. Weszłyśmy na schodki i schroniłyśmy się przed deszczem na werandzie. Złożyłam parasol i strząsnęłam z niego krople wody.



- Chyba nie ma sensu udawać, że nie spotkałaś mnie tu dzisiaj.
- Nie podoba mi się to równie mocno jak tobie.
- Wiesz, przez cały ten czas, kiedy byłam żoną Dowana, Fiona robiła wszystko, żeby zamienić moje życie w piekło. Ile jeszcze mogę znieść?
- Nie ona jedna słyszała plotki o Clincie.
- A od kogo się o tym dowiedziała? Od Dany Glazier, to pewne. Ależ z niej wredna suka.
- Ludzie lubią gadać. Wcześniej czy później cała sprawa musiała wyjść na jaw.
- Boże świąty. Wiesz co? Nie ma takiego prawa, które zabraniałoby mi odwiedzać przyjaciela. Może więc wrócisz do niej i powiesz, żeby się w końcu ode mnie odpieprzyła. –

Machnęła zniecierpliwioną dłonią, zła na samą siebie. – Nie, daj spokój. Po co dolewać oliwy do ognia? Clint był moim trenerem. Dźwigaliśmy razem ciężary. I tyle. Poza tym nic nas nigdy nie łączyło. Jeśli mi nie wierzysz, możesz go sama o to zapytać. Z przyjemnością tutaj poczekam.

- A co to udowodni? Jestem pewna, że okaże się dżentelmenem i nie piśnie ani słówka.
- Czy ty nie przyjaźnisz się z żadnym mężczyzną? Czy każdy związek mężczyzny i kobiety musi od razu opierać się na seksie?
- O nic cię nie oskarżam. Mówię ci tylko, jak to wszystko wygląda. Cała okolica huczała od plotek. Fiona widziała tu wczoraj twój samochód, a dziś też tu jesteś.

Rzuciła mi przelotne spojrzenie i wyglądało na to, że w końcu podjęła decyzję.

- Wejź do środka, a ja dokonam oficjalnej prezentacji.
- Po co miałabym to robić?
- Czemu nie? Skoro już tu jesteś. A tak przy okazji, kiedy wczoraj przeglądałam ubrania Dowana, znalazłam jego paszport. Tkwił nadal w wewnętrznej kieszonce płaszcza, który nosił ubiegłej jesieni w Europie.

- No, to jeden problem mamy z głowy. Czy to jego? – Wskazałam na koszule, które trzymała w ręce.
- Komuś mogą się jeszcze przydać.

Otworzyła drzwi kluczem, który, jak zauważyłam, nosiła na swoim breloczku. Przepuściła mnie przed sobą. Nie wiem, dlaczego czułam się zakłopotana, ale tak było w istocie.

Salonik przypominał dawne bawialnie, z miękką beżową sofą o półokrągłym oparciu, paroma

stolikami i krzesłami w stylu królowej Anny. Na każdym meblu leżała dziergana ręcznie serwetka, która miała stanowić ochronę przed kurzem i tłustymi plamami. W kącie stał duży zegar, a wszędzie pełno było najróżniejszych drobiazgów: dzbanuszków, bibelotów z porcelany, fotografii w ozdobnych ramkach przedstawiających dawno zmarłych członków rodziny. Crystal zajrzała przelotnie do pokoju, po czym skierowała się przez kuchnię w stronę oszklonej werandy.

Clint siedział wyciągnięty na przypominającym szeszląg fotelu i patrzył na podwórko. Crystal położyła stosik koszul na niskim stoliku i pocałowała go lekko w czoło.

– Przyniosłam ci parę koszul i przyprowadziłam też znajomą. Pamiętasz Kinsey? Trenuje w twojej siłowni.

Początkowo pomyślałam, że to nie może być Clint, że ktoś musiał popełnić straszliwy błąd.

Jednak to był on. Nie wiedziałam, na jaką chorobę zapadł, ale zmałał i skurczył się nie do poznania. Cierpiał na przykurcz rąk i zanik mięśni tak poważny, że ledwo mógł poruszać głową.

Wychudły, miał podpuchnięte zaczerwienione oczy, jakby ktoś wymierzył mu niezły cios.

Dostrzegłam też mocno naciągniętą skórę na czole i ramionach, po czym szybko odwróciłam wzrok. Przez okno widziałam krzepkiego starszego mężczyznę, który pracował na podwórku, podwiązując pnąca. Najprawdopodobniej był to ojciec Clinta, który odebrał telefon, gdy dzwoniłam.

– Wpadłyśmy na siebie przypadkiem i Kinsey zapytała o ciebie – wyjaśniła Crystal.

– Jak się miewasz? – spytałam, czując się jak idiotka. Najwyraźniej nie miewał się dobrze i mógł już nigdy nie poczuć się lepiej.

– Clint cierpi na chorobę tkanki łącznej. To zapalenie skórno-mięśniowe. W jego przypadku ma bardzo ostry przebieg. Nikt nie wie, co je wywołało. Ciągnie się już od... końca stycznia, prawda? – kierowała swoje uwagi do niego, jakby szukając potwierdzenia. – Lekarze mieli nadzieję, że nastąpi remisja, więc zalecili mu odpoczynek.

– Dlatego wynajął domek Glazierów?

– Tak. Chciałam go mieć blisko siebie, żeby móc się nim opiekować. Kiedy wygasła umowa najmu, najlepszym rozwiązaniem był powrót do rodziców. – Pochyliła się do niego. – Gdzie jest twoja mama? Wyszła?

Clint mruknął coś niewyraźnie, ale ona zrozumiała jego bulgoczące słowa, prawdopodobnie dlatego, że przez minione osiem miesięcy śledziła jego pogarszający się stan.

– Dlaczego nie powiedzieliście nikomu, co się naprawdę dzieje?

– Clint prosił mnie, żebym tego nie robiła, a ja uszanowałam jego wolę. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Będę musiała powiedzieć o tym Fionie.

– Oczywiście – odparła. – Za to ci przecież płaci. Dziwię się, że w ogóle o tym wspomniałaś.

– Może upłynąć sporo czasu, zanim wreszcie da ci spokój.

Crystal uśmiechnęła się do Clinta, który patrzył na nią jak wierny pies.

– Wszystko się wydało – powiedziała. – Pamiętasz byłą żonę Dowa? Doszła w końcu do wniosku, że łączy nas namiętny romans, a Kinsey przyłapała nas na gorącym uczynku.

Czułam, że się rumienię. Clintowi żart najwyraźniej bardzo się spodobał, a ja nie mogłam zaprotestować.

– Chyba powinnam już iść – wydusiłam wreszcie.

– Raczej tak. Goście go męczą. Odprowadzę cię do drzwi.

Kiedy szła obok mnie, czułam, jak kipi w niej gniew. Wiedziałam, że denerwuje ją, gdy ktoś narusza ich spokój.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam.

– Nie ma sprawy.

– Czy Dow wiedział?

– Ktoś mógł mu powiedzieć. Ja na pewno nie. Ludzie zawsze chcą wierzyć w najgorsze. I na tym polega cały problem – ucięła.

Na autostradzie samochody poruszały się w ślimaczym tempie. Zapewne gdzieś przed nami doszło do wypadku. Postanowiłam wrócić do domu bocznymi ulicami, by uniknąć korków. Paliły się wszystkie latarnie, a pokryty deszczem asfalt lśnił w ich blasku jak lakierowana skóra.

Zaparkowałam samochód przed domem Henry’ego. Byłam wdzięczna losowi za ten mały dar, bo dzięki temu oszczędziłam sobie długiego slalomu wśród kałuż i wilgoci. Przeszłam przez skrzypiącą bramkę i ruszyłam w stronę swojego mieszkania. Okna kuchni Henry’ego były ciemne. Prawdopodobnie siedział w tawernie Rosie, gdzie ja też wybierałam się za chwilę.

Otworzyłam drzwi. Kiedy weszłam do środka i powoli je zamykałam, ktoś popchnął je z zewnątrz tak mocno, że poleciałam bezwładnie przed siebie. Moja torba uderzyła głucho o podłogę, a breloczek z brzękiem wylądował na podłodze. Wyciągnęłam przed siebie ręce, próbując złagodzić siłę upadku. Uderzyłam o podłogę i przetoczyłam się, lecz w tej chwili Tommy Hevener chwycił mnie za włosy i pociągnął do tyłu. Gdy wpadłam na niego, osunął się niespodziewanie na podłogę, a ja wylądowałam na jego kolanach. Przewrócił mnie na plecy jak bezbronny żółwia. Poły jego płaszcz przeciwdeszczowego rozsunęły się, ale i tak stanowiły niezłą ochronę przed moim ciosem.

Jedną ręką chwycił mnie za gardło, a palcami drugiej siłą otworzył mi usta. Kiedy się nade mną nachylił, poczułam na ustach jego oddech.

– Henry podał ci nazwisko jubilera w Los Angeles. Okazuje się jednak, że nie ma tam takiego faceta, więc może mi powiesz, o co w tym wszystkim, do cholery, chodzi.

Drzwi otworzyły się z hukiem raz jeszcze i odbiły od ściany. Krzyknęłam i spróbowałam spojrzeć w tamtą stronę. W drzwiach stał Richard w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu.

Zamknął je za sobą, patrząc obojętnie, jak Tommy zacieśnia palce na moim gardle.

– Odpowiadaj.

– Nic nie wiem. Nigdy nie miałam z nim żadnych kontaktów. Ktoś wspomniał o nim Henry’emu, a on tylko przekazał mi informację. Byłeś przy tym.

– Nie. – Potrząsnął moją głową, ciągnąc mnie mocniej za włosy.

Chwyciłam go za rękę, próbując oderwać jego palce od gardła. Ból był nie do zniesienia.

– Puść mnie. No, puszczaj. Nic więcej nie wiem. Nigdy nie dzwoniłam do tego faceta.

Przysięgam.

– Powiedz mi, że nie znalazłaś sejfów i nie opróżniłaś go do czysta.

– Jakiego sejfów?

– Tego w biurze. Przestań odgrywać idiotkę. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Włamałaś się tam. Okradłaś nas, a my chcemy teraz odzyskać to, co do nas należy.

– Co odzyskać? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Podnieś ją – rzucił Richard.

Tommy nie poruszył się. Ciągnął mnie za włosy tak mocno, że bałam się, iż mnie oskalpuje.

Nie mogłam ruszyć głową. Ze strachu zrobiło mi się niedobrze. Co się tu, do diabła, dzieje? Czy to Marian mnie wystawiła?

– Tommy – powiedział Richard.

Tommy niechętnie zwolnił uścisk. Odwróciłam się na bok i odsunęłam od niego. Podniosłam się na czworaki i potrząsając głową, próbowałam złapać oddech.

– Nic nie wiem o żadnym sejfie. Nigdy go nie widziałam. – Przyłożyłam dłoń do gardła, próbując wciągnąć powietrze. – Musiałabym być totalną idiotką, żeby się tam włamywać. Mam przecież klucz.

Nadał go noszę na breloczku.

Poszukałam kluczy na dywanie i podałam mu kółeczko.

– Popatrz tylko i zastanów się. Gdybym to zrobiła, zamknęłabym spokojnie biuro. Dlaczego miałabym zostawiać drzwi otwarte?

– Skąd wiesz, że drzwi były otwarte? – spytał Richard.

Był spokojniejszy od Tommy'ego, ale równie niebezpieczny. Wziął ode mnie breloczek.

Znalazł klucz do biura i zdjął go z kółeczka. Breloczek rzucił bratu. Odpowiadając na jego pytanie, patrzyłam to na jednego, to na drugiego.

– Bo moje biuro znajduje się tuż obok. Po drugiej stronie muru. – Richard milczał, a ja paplałam dalej. – Mówię prawdę. Zeszłego wieczoru wpadłam na chwilę do biura. Spojrzałam na wasz dom i zauważyłam, że drzwi są otwarte.

– O której to było?

– Koło siódmej.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś na policję? – spytał Tommy.

– Pomyślałam, że to Richard pokazuje komuś biuro.

Tommy siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę. Potrząsnął głową.

– Jezu. Nawet nie wiesz, w jakich jesteśmy tarapatach. Chryste, wszystko przypadło. Każda cholerna...

– Zamknij się, Tommy. Ona nie musi nic wiedzieć. Lepiej zabierzmy ją stąd, zanim ktoś tu przyleci.

– Przykro mi bardzo, że wasze cenne rzeczy zniknęły, ale to na pewno nie ja. Przysięgam.

– I tak już po nas. To koniec.

– Uspokój się – warknął Richard i podniósł mnie z podłogi – Zabieraj ją. Ja poprowadzę.

– Nie, ja. To moja furgonetka.

– Dobra. – Richard objął mnie mocno ramionami, przyciskając mi ręce do boków. Podniósł mnie z podłogi i na wpół ciągnąc, poprowadził do drzwi.

Chwyciłam dłońmi framugę i udało mi się postawić stopy na podłodze. Usztywniając kolana, zmusiłam go, żeby się na chwilę zatrzymał.

– Pozwól mi zabrać torbę – rzuciłam. Czuję się jak dziecko błagające o ukochanego misia.

Tommy pochylił się i podniósł torbę z podłogi. Zajrzał do środka i szybko zbadał zawartość.

Znalazł davis, sprawdził magazynek, wsunął broń do kieszeni i odrzucił torbę na bok. Musiałam się więc pożegnać z ostatnią nadzieją. Obejrzałam się za siebie. Patrzyłam, jak gasi światło i starannie zamyka drzwi, po czym dołącza do nas.

Jego furgonetka stała zaparkowana za rogiem. Richard trzymał mnie za lewe ramię, wbijając palce w ciało tak mocno, że mogłam liczyć na spore siniaki. Szli po obu moich stronach tak blisko, że z trudem truchtałam między nimi. Co zamierzają ze mną zrobić? Zgwałcić, okaleczyć i zabić? Co im to da? Jeśli zabiorą mnie do siebie do domu, będę mogła krzyczeć ile sił w płucach, ale i tak nikt mnie nie usłyszy.

Dotarliśmy w końcu do furgonetki. Richard otworzył drzwiczki od strony pasażera. Odsunął siedzenie i wepchnął mnie na tył. Uderzyłam głową o sufit.

– Hej! – krzyknęłam.

Zaczęło mnie to już wkurzać. Wcisnąwszy się na miejsce za fotelami, zdołałam trochę rozmasować bolącą głowę. Tommy usiadł za kierownicą. Drzwi po obu stronach trzasnęły niczym wystrzał z rewolweru. Tommy wsunął kluczyk do stacyjki i włączył silnik. Ruszył z piskiem opon, które prawdopodobnie zostawiły ślad gumy na asfalcie. Trzymałam się oparcia jego fotela, próbując szybko ocenić sytuację.

Na razie byłam bezpieczna. Tommy był zbyt zajęty prowadzeniem samochodu, by zwracać na mnie uwagę, a Richard nie bardzo mógł się odwrócić, żeby mnie zaatakować. Przednią szybę furgonetki zalewały strugi deszczu. Tommy włączył wycieraczki.

– Gdzie zainstalowaliście sejf? – spytałam. – Biuro zawsze wyglądało na puste.

– W podłodze garderoby pod wykładziną – powiedział Tommy.

– Przestań się zgrywać. – Richard był wyraźnie znudzony.

– Kto poza wami wiedział o sejfie?

– Nikt – rzucił Tommy.

– Co to jest, gra w dwadzieścia pytań? – prychnął Richard. – Skończ z tym.

– Kto go otwierał ostatni?

– Jezu, Tommy, to gówno. Słuchasz jej?

– On. Mieliśmy tam coś, co chcieliśmy sprzedać. Richard pojechał w piątek do Los Angeles, ale nie

znalazł tam faceta, o którym wspominałaś. Pomyślał, że go wystawiłem, strasznie się wkurzył.

– Kiedy wrócił? Było już późno?

– Nie – rzucił Richard. – Była piąta. Pojechałem do biura i schowałem to coś z powrotem do sejfu.

– Cała reszta nadal tam była?

– Oczywiście. A teraz zamkniesz się już, do cholery?

– Może ktoś cię widział i potem śledził. Jeśli zauważył, gdzie ukryliście sejf, mógł na ciebie poczekać, a potem wszystko zabrać.

– Zamknij się, powiedziałem! – Podniósł lewą rękę, odwrócił się na fotelu i uderzył mnie w twarz wierzchem dłoni. Cios nie był zbyt mocny, ale i tak zabolalo jak diabli. Czułam, że łzy napływają mi do oczu. Przyłożyłam dłoń do nosa w nadziei, że mi go nie jednak nie złamał.

Chyba wszystko było w porządku.

– Hej! Daj spokój! – krzyknął Tommy.

– Co? Teraz ty tu rządzisz?

– Zostaw ją w spokoju.

– Dlaczego? Bo ją pieprzysz?

– Nie! – zaprotestowałam. Kto chciałby zostać oskarżony o zadawanie się z facetem, którego ledwo toleruje? Na moment zapadła cisza. – A tak z ciekawości: jak im się udało otworzyć sejf?

Rozpruli go? – zapytałam w końcu.

– Zamkniesz się w końcu czy nie?

Uznałam swoje pytanie za całkiem rozsądne, ale na razie postanowiłam nie drażnić tematu.

Odsunęłam się do tyłu, by posiedzieć przez chwilę spokojnie poza zasięgiem ciosów Richarda.

Miejsce, w które mnie wcisnęli, było bardzo ciasne, z wytartą wykładziną na podłodze.

Rozejrzałam się w nadziei, że znajdę tam jakąś broń – klucz do opon albo śrubokręt. Niestety, na próżno. Przesuwając palcami wzdłuż uszczelki przy podłodze, znalazłam jednak plastikowy długopis. Na niewiele mógł się przydać, ale lepsze to niż nic. Ścisnęłam go w dłoni, zastanawiając się, co się stanie, jeśli wbiję go Richardowi w ucho.

Jazda do domu braci zajęła nam siedem minut. Pędziliśmy po śliskich, krętych uliczkach Horton Ravine. Bałam się, że zanim zdążą mnie zamordować, zginiemy wszyscy w jakimś rowie.

Na ostrych zakrętach obijałam się o ściany furgonetki. Kiedy znaleźliśmy się na podjeździe, Tommy otworzył pilotem bramę garażu. Wjechał do środka i zaciągnął ręczny hamulec.

Sąsiednie miejsce było puste. Za nim stał czerwony porsche Tommy'ego, a po drugiej stronie czarny, najwyraźniej należący do Richarda.

Richard otworzył drzwiczki i wysiadł z furgonetki. Drzwi zostawił otwarte. Przed drzwiami kuchni zauważyłam dwa duże pojemniki na śmieci. Nad nimi na ścianie zainstalowano parę wyłączników. Sądziłam, że Richard przycisnie któryś, by zamknąć bramę garażu, lecz on zajrzał

na tył furgonetki. Otworzył skrzynkę z narzędziami i zaczął czegoś tam szukać. Oszacowałam odległość, ale doszłam do wniosku, że nie będę miała dość czasu, by się pochylić, zatrzasnąć drzwi i zamknąć je od środka, zanim mnie dopadnie. Odwróciłam się do Tommy'ego.

– Byłeś u mnie wczoraj wieczorem. Kiedy po drodze do domu zatrzymałam się w biurze, widziałam, że ktoś u was był. Nie mogłeś opróżnić sejfu i zjawić się u mnie tak szybko.

– Co takiego? – Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Jeśli to nie ty, to musiał być on. Przecież poza wami nikt nie zna kombinacji cyfr otwierającej sejf.

Richard wyszedł z furgonetki ze zwiniętą liną w ręce.

– Nikt cię o nic nie pyta. Wsiadaj.

– Tommy, zastanów się. Proszę.

Przez chwilę siedział nieruchomo. Wreszcie wysiadł z furgonetki i podszedł do drzwi od strony pasażera.

– Richard, co my robimy? To głupota. Powinniśmy ją byli zostawić w domu. Ona przecież nic nie wie.

Richard nie obdarzył go nawet przelotnym spojrzeniem.

– Odsuń się. Ja się tym zajmę.

– Niby czemu? Co to jest, do diabła?

– Zwiążę ją i będę bił tak długo, aż nam powie, gdzie wszystko schowała.

– Chyba odebrało ci rozum.

– Kto cię pyta o zdanie? – rzucił ostro Richard. – Mówiłem ci, żebyś się z nią nie pieprzył.

To wszystko twoja wina.



– Tak? Teraz zwalasz wszystko na mnie? – Gniew Tommy’ego ustąpił, a na jego twarzy pojawił się nowy wyraz. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza. Wiedziałałam, że schował tam mój rewolwer, ale nie pamiętałam, w której kieszeni. – Ona ma rację. Ja wiem, gdzie byłem wczoraj wieczorem, dzięki niej mogę to udowodnić. Skąd mam wiedzieć, że to nie ty wyczyściłeś sejf?

– A po co miałbym to robić? – prychnął Richard. – Pamiętasz chyba, że nie mam komu sprzedać zawartości.

– Tak twierdzisz teraz. Ale mogłeś ją zabrać do Los Angeles, kiedy pojechałeś tam w piątek.

Mogłeś wszystko sprzedać, zatrzymać pieniądze, a potem wrócić tutaj i upozorować włamanie.

Twierdzisz, że schowałeś wszystko z powrotem. Ale ja przecież nie widziałem biżuterii po twoim powrocie.

– To bzdura.

– Bzdura? Sejf nie został rozpruty. Ktoś musiał znać tę pieprzoną kombinację. A znaleźliśmy ją tylko my dwaj. Wiem, że to nie ja. Pozostajesz więc tylko ty.

– Odwal się ode mnie, dobra? – rzucił Richard. Oparł rękę na fotelu i pochylił się, żeby wyciągnąć mnie z furgonetki. Zamachnęłam się mocno długopisem i wbiłam go z całych sił w wierzch jego dłoni. Richard zawył z wściekłości i bólu. Próbował mnie złapać, ale szybko przeczołgałam się na miejsce kierowcy. Wściekły odsunął oparcie fotela i próbował mnie dopaść.

Zebrałam się w sobie i dwa razy mocno kopnęłam go w rękę. Udało mi się trafić dwa razy obcasem ciężkiego buta w jego palce, miażdżąc trzy.

– Kurwa mać! – wrzasnął. Cofnął rękę i rzucił bratu wściekłe spojrzenie. – Jezu, Tommy.

Pomóż mi.

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

– Nie bądź idiotą. Niczego nie zabrałem. A teraz wyciągnijmy ją stamtąd.

– Tylko my dwaj znaleźliśmy kombinację. Odpuść sobie ten kit z włamaniem. Nie było żadnego włamania.

Richard zatrzaskał drzwiczki od strony pasażera.

– No dobra, kretynie. Mówię prawdę. Ja tego nie zrobiłem. Kapujesz? Nie zrobiłbym ci czegoś takiego, ale ty mnie tak, bo kiedyś już próbowałeś. Skąd więc mam wiedzieć, że to nie ty?

– Ja nie otworzyłem sejfu. Ty to zrobiłeś. Chciałeś jechać do Los Angeles sam. Nalegałeś. A teraz biżuteria zniknęła i...

Richard rzucił się do przodu i chwycił brata za płaszcz. Pociągnął go z całych sił, a potem odepchnął. Tommy zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę i ruszył do ataku. Widziałam, jak Richard zaciska pięść i wymierza mu ostry cios w szczękę. Tommy runął na ziemię, uderzając o pojemniki na śmieci, które odskoczyły jak kule bilardowe. Schyliłam się, sięgając do dźwigni, która opuszcza oparcie fotela. Otworzyłam drzwiczki od strony kierowcy. Wysunęłam się ze środka, przykucnęłam i schowałam się za błotnikiem. Słyszałam przerażające odgłosy walki i jęki, gdy ciosy trafiły w cel. Wysunęłam głowę zza błotnika. Tommy z trudem podnosił

się z podłogi, próbując wyjąć davisa z kieszeni płaszcza. Nogi jednak odmówiły mu posłuszeństwa i opadł z powrotem na ziemię. Z nosa ciekła mu krew. Jęknął i oszołomiony spojrzał na brata. Richard kopnął go z całych sił. Pochylił się i wyjął rewolwer z dłoni brata.

Odsunął się i wycelował. Tommy podniósł powoli rękę w obronnym geście.

– Nie, Richie, nie – szepnął.

Richard wypalił. Kula przeszła pierś Tommy’ego. Dopiero po chwili pojawiła się plama krwi.

Richard spojrzał na ciało brata pustym wzrokiem i lekko je kopnął.

– Zasłużyłeś sobie na to, draniu. Nigdy mnie o nic nie oskarżaj.

Odrzucił broń. Usłyszałam, jak davis odbija się od podłogi i wpada pod furgonetkę. Richard przycisnął guzik otwierający drugą bramę garażu. Spokojnym krokiem obszedł czerwonego porsche i wsiadł do czarnego. Włączył silnik i wrzucił wsteczny bieg. Wyjechał z garażu i zniknął na podjeździe.

Na czworakach wyszłam zza furgonetki. Podeszłam do Tommy’ego, żeby sprawdzić jego puls. Nie żył. Dostrzegłam leżący na podłodze rewolwer. Już miałam go podnieść, kiedy nagle się opamiętałam. Ręka zawisała mi w powietrzu. Za nic nie chciałam zatrzeć pozostawionych przez Richarda odcisków palców. Wstałam i weszłam do domu kuchennymi drzwiami, zamykając je za sobą na zasuwę. Szukając telefonu, drżałam ze strachu, że Richard zmieni zdanie i wróci się ze mną rozprawić.

Wykręciłam numer 911. Trzęsącym się głosem opowiedziałam dyżurującej pod nim kobiecie o całym zajściu. Powiedziałam, kto strzelał, podałam nazwisko Richarda, opisałam jego porsche i podałam rejestrację: H-E-V-N-E-R-1. Wyrecytowałam dwukrotnie adres w Horton Ravine.

Kobieta kazała mi zostać na miejscu aż do przybycia policji.

– Jasne – odparłam i odłożyłam słuchawkę. Zaraz potem wykręciłam numer Lonniego.

O północy znalazłam się wreszcie w łóżku. Detektywi Paglia i Odessa zjawili się w domu braci Hevener tuż po przybyciu Lonniego. Przesłuchując mnie, starali się udawać współczucie, więc nie było tak źle. Potraktowali mnie jak świadka, a nie jak podejrzaną o zabójstwo Tommy'ego, co znacznie wpłynęło na ich postawę. Lonnie trwał dzielnie na straży i chronił moje prawa za każdym razem, gdy jego zdaniem posuwali się za daleko. Czynności śledcze na miejscu zbrodni zdawały się nie mieć końca: zdejmowanie odcisków palców, szkice, zdjęcia, nieustanne przesłuchiwanie, podczas którego opowiadałam wszystko z najmniejszymi szczegółami. Mój davis trafił do plastikowej torebki jako dowód. Minie chyba rok, zanim znów go zobaczę.

Richarda Hevenera ujęto po upływie godziny, gdy jechał autostradą 101 do Los Angeles. Nadal istniało prawdopodobieństwo, że to jednak on zabrał biżuterię, ale nie byłam do końca przekonana. W końcu Lonnie odwiózł mnie do domu.

W poniedziałek rano odpuściłam sobie bieganie i siłownię. Bolało mnie całe ciało pokryte malowniczymi sińcami. Byłam też zupełnie rozbita psychicznie. Pojechałam jednak do biura.

Samochód musiałam zostawić jakieś sześć przecznic od budynku, więc resztę drogi przebyłam piechotą. Kiedy wysiadłam z windy i weszłam do kancelarii, Jennifer siedziała przy biurku, malując sobie paznokcie. Tym razem jednak Ida Ruth i Jill jakoś nie zwracały na nią uwagi. Stały na korytarzu i rozmawiały. Na mój widok zamilkły i rzuciły mi pełne współczucia spojrzenie.

– Zaparzyłam kawę – powiedziała Jill. – Przynieść ci?

– Będę wdzięczna.

Weszłam do siebie i wykręciłam numer Fiony. Kiedy podniosła słuchawkę, wymieniliśmy parę zdawkowych uwag. Doszłam do wniosku, że nie słyszała o strzelaninie, bo nie wspomniała o niej ani słowem. A może słyszała i niewiele ją to obeszło. Z nią wszystko było możliwe.

W tle słyszałam szcęk metalu, szuranie krzesel i wściekłe wrzaski. Czwórka rozpuszczonych dzieciaków Blanche spędzała dzień u babci. Na betonowych podłogach Fiony odgłosy ich wyczynów przypominały jazdę samochodzikami w wesołym miasteczku.

– Mam już odpowiedź na pani pytanie dotyczące mieszkańców domu przy Bay Street. Dom zajmuje ojciec Clinta Augustine'a, a Clint mieszka razem z nim...

– Mówiłam pani, że mają romans.

– Nie bardzo.

Do pokoju weszła Jill i postawiła na biurku kubek z kawą. Posłałam jej całusa i zagłębiłam się w szczegóły choroby Clinta. Podałam Fionie jej dokładną nazwę, którą znalazłam w słowniku medycznym. Tam też przeczytałam jej opis. Nie było dobrze, gdyż u Clinta miała szczególnie ostry przebieg.

– Widać więc wyraźnie, że w ciągu minionego roku nie miał dość sił, by angażować się w jakikolwiek związek, nie mówiąc już o ognistym romansie. – Z ulgą opowiadałam o czymś innym niż wydarzenia ostatniego wieczoru.

– Może jednak źle ją osądziłam – rzuciła z przekąsem Fiona.

– Trudno wyczuć – odparłam, nie chcąc do końca jej pograżać.

– A co z tymi brakującymi pieniędzmi?

– Policja postanowiła się tym zająć, więc odpuściłam. Nie policzę sobie czasu, który poświęciłam na zbadanie tej sprawy.

Wyglądało na to, że poczuła wyraźną ulgę.

– To chyba wszystko. Proszę obliczyć dokładnie, ile jestem pani winna, i odjąć to od kwoty zaliczki. Nie musi pani sporządzać ostatecznego raportu. Ta rozmowa załatwia sprawę.

– Oczywiście. Dziś po południu wyślę pani czek.

Zawahała się na moment.

– Czy mogłaby pani oddać mi te pieniądze w gotówce? – spytała.

– Oczywiście. Nie ma sprawy. Zajmę się tym po południu.

Siedziałam przy biurku i porządkowałam papiery, gdy weszła Jill i podała mi karteczkę.

*Kinsey,*

*Przepraszam cię za wszystko, ale nie miałam wyboru. Bardzo się od siebie różnimy: ty jesteś uczciwa i masz sumienie. Ja nie.*

*Mariah*

– Kiedy to dostałaś?

– Leżała na moim biurku.

Zrobiło mi się niedobrze. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer kierunkowy Houston, a potem numer informacji. Kiedy zgłosiła się operatorka, poprosiłam o podanie numeru do biura szeryfa okręgu, w którym leżało Hatchet. Zanotowałam go na kartce i wyjęłam teczkę, którą przy naszym pierwszym spotkaniu wręczyła mi Mariah. Przerzuciłam wycinki z gazet i znalazłam nazwisko szeryfa, który zajmował się sprawą morderstwa Hevenerów. Najpierw jednak wykręciłam numer Mariah i usłyszałam znaną już wiadomość: „Dzień dobry, tu Mariah Talbot.

Dodzwoniłeś się do biura firmy Guardian Casualty Insurance w Houston w Teksasie...”.

Przerwałam połączenie. Każdy może sobie nagrać na sekretarce takie powitanie. Każdy też może sobie wydrukować wizytówki, jakich tylko dusza zapragnie.

Wybrałam numer w Teksasie i poprosiłam do telefonu szeryfa Hollisa Cayo. Przedstawiłam się i powiedziałam, skąd dzwonię.

– Ciekawi mnie sprawa podwójnego morderstwa, którą prowadził pan w 1983 roku. Chodzi o Brendę i Jareda Hevenerów.

– Tak, pamiętam – powiedział. – To byli bardzo mili ludzie i na pewno nie zasłużyli na taki los. W czym mogę pani pomóc?

– Pomyślałam, że powinnam przekazać panu pewne informacje. Tommy Hevener zmarł wczoraj wieczorem. Zginął zastrzelony podczas ostrej kłótni z bratem.

W słuchawce po drugiej stronie na długą chwilę zapadła cisza.

– Nie mogę powiedzieć, że bym był tym zaskoczony. Mam nadzieję, że nie dzwoni pani, żeby mnie poinformować, że Richard zmierza właśnie w nasze strony.

– Nie, nie. Został aresztowany i osadzony w tutejszym więzieniu okręgowym. O ile wiem, jest bez grosza, więc sprawą zajmie się na pewno adwokat z urzędu – wyjaśniłam szybko. –

Zastanawiam się teraz nad jednym. Czy złapaliście Caseya Stoneharta?

– Nie. Zniknął zaraz po tym morderstwie. To pewnie też sprawka obu braci. Sądzymy, że nie żyje, ale nie jesteśmy do końca pewni. Teksas to ogromny stan. Sporo w nim miejsca na nieoznaczone groby.

– Rozumiem, że siostra Brendy Hevener i firma Guardian Casualty Insurance zamierzają oddać sprawę do sądu. Słyszał pan o tym?

– Tak. Właśnie zbierają informacje. A co panią interesuje?

– Tydzień temu zjawiała się u mnie pani inspektor. Jestem ciekawa, czy pan ją zna. Nazywa się Mariah Talbot.

Z jego tonu wyczułam, że się uśmiecha.

– Tak, znamy ją. Osławiona Mariah. Wysoka, szczupła, dwadzieścia sześć lat. Niebieskie oczy i przedwcześnie posiwiałe włosy.

– Cieszę się, że pan to mówi. Już zaczynałam podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Od jak dawna pracuje dla Guardian Casualties?

– Nie powiedziałem, że dla nich pracuje. Talbot to imię starszego brata Caseya. Jest jeszcze jeden, Flynn. Podejrzewam, że mają ich jeszcze paru, ale ja miałem do czynienia tylko z tymi dwoma. Cała

rodzinka jest niezwykle udana. Albo trafiają do więzienia, albo właśnie z niego wychodzą. To banda socjopatów.

Skuliłam się na fotelu.

– A jaki związek z nimi ma ta kobieta?

– To siostra Caseya, Mariah Stonehart. Jedyna dziewczyna w rodzinie.

– Ach tak.

Odłożyłam słuchawkę i oparłam udręczoną głowę o blat biurka. Chyba powinnam się była tego domyślić, ale okazało się, że Mariah była jednak bardzo przebiegła.

O 10:30 pojechałam do gmachu sądu, żeby zebrać informacje dla Tiny Bart. Z ulgą myślałam o zagłębieniu się w stosach dokumentów, gdyż ryzyko natknięcia się przy tym na przemoc i zdradę jest naprawdę minimalne. Poza tym zawilości interesów prowadzonych przez pana Glaziera zaczęły budzić we mnie coraz większą ciekawość, zwłaszcza jego związki z Genesis Financial Management Services. Inspektor z ramienia Medicare na pewno zajmie się większymi firmami, których nazwy padły w mojej rozmowie z Tiną: Millenium Health Care, Silver Age i Endeavor Group. Nie mogłam się oprzeć poczuciu, że gdzieś na górze tworzy się wielka lawina, która już niebawem utopi w swej masie Joela Glaziera i jego współnika Harveya Broadusa.

Poszukiwania zaczęłam od biura asesora w budynku administracji okręgu, gdzie sprawdziłam księgi podatkowe Pacific Meadows. Tak jak podejrzewałam, właścicielami ośrodka byli Glazier i Broadus. Należało do nich także parę innych nieruchomości, których nazwy zapisałam w notesie.

Po wyjściu z biura asesora skierowałam się do gmachu sądu, gdzie mieściło się archiwum okręgu. Dokumenty katalogowano tam według dwóch zasad: wykorzystując nazwiska tych, którzy nabywają nieruchomości i tych, którzy je sprzedają. Przez godzinę przedzierałam się przez akty własności, akty nadania, umowy powiernicze, umowy zastawu i akty przekazania własności.

Tina Bart miała rację. W ciągu dziesięciu lat ośrodek Pacific Meadows zmieniał właściciela trzykrotnie, a każda kolejna transakcja oznaczała znacznąwyżkę ceny. W 1970 roku nieruchomość nabyła Maureen Peabody za czterysta osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Sprzedła ją w 1974 roku firmie Endeavor Group za skromną sumkę siedmiuset siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. W 1976 roku ośrodek znów zmienił właściciela: tym razem przeszedł w ręce Silver Age za półtora miliona dolarów. Wreszcie w 1980 roku nabyła go firma Century Comprehensive należąca do panów Glaziera i Broadusa. Kwota transakcji opiewała na trzy miliony dolarów. Na podstawie zapłaconego ostatnio podatku obliczyłam, że obecnie nieruchomość warta jest dwa miliony siedemset tysięcy dolarów.

W bibliotece publicznej raz jeszcze zaczęłam się przedzierać przez książki telefoniczne i

„krzyżówkę”, szukając Maureen Peabody. W końcu udało mi się ustalić, że jest wdową po panu Sanfordzie Peabody, który od 1952 roku aż do śmierci w roku 1969 pracował w banku w Santa

Teresa. Odziedziczone po nim pieniądze Maureen najprawdopodobniej przeznaczyła na zakup ośrodka opieki.

Kierując się nagłym impulsem, wróciłam do gmachu sądu i sprawdziłam akty ślubu z lat 1976 i 1977. W lutym 1977 roku Maureen Peabody zawarła związek małżeński z Frederickiem Glazierem. Dla obojga było to już drugie małżeństwo. Ona miała w tym czasie pięćdziesiąt siedem lat, on sześćdziesiąt dwa. Wynikało z tego jasno, że Maureen była macochą Joela Glaziera. Mogłam się założyć, że jej nazwisko pojawi się w gronie członków zarządu spółek Endeavor i Silver Age. Teraz pozostawało już tylko jedno pytanie: kto jest właścicielem firmy Genesis, która zarządzała działalnością Pacific Meadows. Znalazłam ją na liście spółek, których właściciele zwrócili się z podaniem o zarejestrowanie swojej firmy jako prowadzącej działalność gospodarczą. Podanie z ramienia Genesis wniosła Dana Jaffe. Adres do korespondencji znajdował się w Santa Maria. Jako adres domowy podała Perdido, gdzie mieszkała w czasie, gdy szukałam jej zaginionego męża, Wendella. Joel Glazier prawdopodobnie przekonał ją, żeby złożyła podanie o rejestrację spółki, jeszcze zanim się pobrali. Być może nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Z pozoru firma Genesis była oddzielnym podmiotem gospodarczym, niezwiązanym z Pacific Meadows. W istocie Glazier sprawował kontrolę nad obiema firmami, co stwarzało mu świetną okazję do czerpania zysków z fałszywych rachunków wystawianych dla Medicare. Cieszyłam się, że nie będzie mnie w pobliżu, gdy Dana się dowie, że po raz kolejny poślubiła oszusta. Była mocno wkurzona, gdy pomogłam wsadzić jej syna do więzienia. Bałam się myśleć, co zrobi, gdy będzie musiała porzucić wygodne życie w Horton Ravine.

Kiedy wyszłam z sądu na ulicę, oślepiło mnie światło i zaczęłam gwałtownie mrugać oczami niczym po wyjściu z mrocznego kina. Spojrzałam na zegarek. Zbliżało się południe, a ja byłam bardzo ciekawa, jak ze sprawą zaginionych pieniędzy radzi sobie policja. Odjęłam wartość dwóch godzin pracy od sumy, którą byłam nadal winna Fionie, po czym poszłam do banku i podjęłam dziewięćset siedemdziesiąt pięć dolarów, zamykając tym samym nasze rozliczenia.

Ruszyłam potem ulicą Floresta w stronę arkad, gdzie mieścił się sklep z kanapkami. Stoliki i ławki, nadal mokre po deszczu, nie zachęcały klientów. Mijając sklep, zauważyłam jednak Odessę siedzącego samotnie przy małym marmurowym stoliku. Pomachałam do niego, weszłam do środka i usiadłam na metalowym krześle naprzeciwko niego.

– Jak leci? – spytał.

– Bywało gorzej. Myślałam, że kupisz dziś kanapki na wynos i zjesz przy biurku.

– To zbyt przygnębiające. Potrzebuję trochę światła. Te jarzeniówki w biurze doprowadzą mnie kiedyś do samobójstwa. – Zajął się kolejnym hamburgerem, który spoczywał w czerwonym koszyczku obok sporej porcji frytek.

– Przynajmniej dobrze się odżywasz.

Uśmiechnął się. W wilgotnym powietrzu jego kręcone włosy otaczały twarz masą drobnych loków. Każda kobieta na jego miejscu wpadłaby w rozpacz i zakupiła całą baterię lakierów, pianek, żeli i płynów prostujących włosy. Paglia poradził sobie z tym problemem bardzo szybko: ogolił głowę na

zero.

Odessa gestem dłoni zaproponował mi swoje frytki.

– Nie, dziękuję. Wiesz, spędziłam właśnie sporo czasu w archiwum. Wygląda na to, że współpracownicy doktora Purcella przygotowali wielkie oszustwo i próbowali zrzucić całą winę na niego.

– Masz na myśli Glaziera?

– I Harveya Broadusa. Purcell wszystkiego się domyślił i umówił się na spotkanie z agentami FBI. Kto wie, do czego ci dwaj byli gotowi się posunąć, żeby zamknąć mu usta. A co na to wszystko koroner?

– Na prawej skroni Purcella znalazł ślad prochu. Nie było tego wiele, ale jego zdaniem wygląda to bardziej na strzał z bliskiej odległości niż przystawienie lufy do głowy. Purcell mógłby to zrobić sam, gdyby miał rękę o dwadzieścia centymetrów dłuższą. Wrócili, żeby zbadać teren wokół jeziora, ale jak dotąd nie udało im się znaleźć pocisku. Będą chyba musieli rozszerzyć teren poszukiwań. Niewykluczone, że Purcell został zastrzelony w innym miejscu i dopiero potem samochód trafił na brzeg jeziora.

– Nie byłoby to łatwe, prawda? Z Purcellem siedzącym nadal za kierownicą.

– Jonah też się nad tym zastanawiał. Znasz go. Nie dawał mu spokoju koc, który leżał na kolanach doktora. Pamiętasz? Ten zielony, mohairowy. Zapytał o to Crystal. Powiedziała, że to prezent od niej. Jakiś rok temu przygotowała mu zapasy na wypadek, gdyby utknął gdzieś po drodze: batoniki, wodę w butelkach, latarkę, podręczną apteczkę. Trzymał to wszystko w bagażniku razem z kocem. Jonah sądzi, że zabójca mógł rozłożyć koc na zwłokach, a potem usiąść za kierownicą i pojechać nad jezioro. Koc miał stanowić zabezpieczenie przed śladami krwi.

– Brzmi paskudnie. Ale czy nitki z koca nie przyczepiłyby się do ubrania zabójcy?

– Jasne. Plamy krwi też były nie do uniknięcia, ale miał przecież dość czasu, żeby pozbyć się wszelkich dowodów zbrodni.

Wzięłam frytkę, zamoczyłam w sosie i odłożyłam z powrotem.

– Rozmawiałam wczoraj z Crystal. Znalazła paszport Dowana w kieszeni płaszcza, który nosił w zeszłym roku. A Paulie? Znalazłeś coś?

– Jonah kazał mi to sprawdzić po waszej rozmowie. Zatrzymali ją po raz pierwszy, gdy miała trzynaście lat. Sprzed domu zniknął samochód i babcia, podejrzewając kradzież, wezwała policję.

Ale okazało się, że to sprawka Paulie. Zatrzymali ją też za włóczęgostwo i jakieś drobne rozróbki.

Ta mała ma za dużo wolnego czasu i za mało opieki.

– Niezły z niej numer. Leila też ma sporo na sumieniu.



– Nadal nad tym pracujemy. Posłaliśmy naszego człowieka do tej ich szkoły, żeby sprawdził, czy dni, podczas których była nieobecna, pasują do dat, kiedy podejmowano gotówkę z banku.

Kiedy uczennice zamierzają spędzić weekend gdzieś poza domem, muszą mieć pozwolenie rodziców lub opiekunów i zgodę osoby, którą zamierzają odwiedzić. Wygląda na to, że Leila nieźle sobie z tym radziła. A to nie jest łatwe. Władze szkolne wiele już widziały, ale potrafiła wszystkich przechytryć. Sprawdzamy teraz wyciągi bankowe i zapisy z firmy, gdzie Dowan wynajmował skrytkę. Prokurator okręgowy i kurator będą dziś po południu rozmawiać z sędzią.

Mamy nadzieję, że uda nam się szybko zakończyć całą sprawę.

– Mam coś jeszcze. Parę dni temu wpadłam do domu Crystal w Horton Ravine.

Dowiedziałam się, że Leila opuściła bez pozwolenia szkołę. Crystal wpadła w szał i pozwoliła mi przeszukać jej pokój. Pod materacem łóżka znalazłam metalowe pudełko. Prawdopodobnie chowa tam narkotyki, ale równie dobrze mogą się tam znajdować pieniądze. Razem z Paulie mogły planować ucieczkę. Nie byłoby źle, gdybyście przez jakiś czas mieli te pannice na oku.

– To da się zrobić.

Wróciłam do biura o 13:15. Deszcz znów zaczął padać i miałam go już serdecznie dość. Po strzelaninie i związanych z nią przeżyciach ogarnęła mnie dziwna depresja. Pogłębiła ją jeszcze rozmowa z Odessą. Zazdrościłam im, że mają się czym zająć. Purcell bez wątpienia został

zamordowany i choć zabójca nadal się wymykał, na pewno niedługo go znajdą.

Siedziałam przy biurku i wpatrywałam się w liście sztucznego fikusa. Pokrywający je kurz wyglądał z daleka jak cieniutka warstwa talku. Za parę dni będę musiała się z tym uporać.

Zakręciłam się na krześle, wzięłam do ręki ołówek i narysowałam kwadracik na leżącym na blacie biurka bibularzu.

Resztę popołudnia spędziłam na porządkowaniu spraw, które zebrały się przez miniony tydzień. Przepisałam na maszynie informacje na temat Genesis i zrobiłam kopie rachunków Klotyldy. Do całości dopiełam parę kartek z dokumentów skopiowanych w Pacific Meadows.

Miałam nadzieję, że nikt mnie nie zapyta, w jaki sposób zdobyłam te dane. Stojąc przy kopiarce, myślałam o Fionie i jej prośbie o zwrot pieniędzy w gotówce. Nie podejrzewała chyba, że mój czek nie będzie miał pokrycia, więc musiało jej chodzić o coś innego. Przed oczami stale miałam jej dom stojący na porośniętym chwastami wzgórzu, płachty pokrywające podłogi i rusztowania w holu.

Nie dawał mi też spokoju mohairowy koc, który Crystal podarowała mężowi, i wizja zabójcy siedzącego na kolanach martwego doktora. Nie musiał jechać daleko. A już na pewno nie publicznymi drogami, gdzie pieszy lub kierowca jadący drugim pasem mógł zajrzeć do samochodu i zauważyć zabójcę w objęciach martwego Purcella. Morderca na pewno myślał o zatopieniu samochodu w jeziorze – miło było pozbyć się jednocześnie ciała i samochodu. Jonah założył, że zabójca popełnił błąd, źle obliczając położenie głazu, który stanął na drodze samochodu i nie

pozwoił mu opaść na dno. A jeśli było inaczej? Może zabójca chciał, żeby samochód został odnaleziony. Jeśli śmierć Dowana miała wyglądać na samobójstwo, błąd polegał na czymś zupełnie innym. Zabójca wiedział o gładzie i sądził, że w świetle poranka samochód będzie wyraźnie widoczny. Jednak mercedes zbczył lekko z kursu i zatonał głębiej, niż planował morderca.

Późnym popołudniem otworzyłam szufladę biurka i wyjęłam książkę telefoniczną.

Przerzuciłam żółte strony i znalazłam część poświęconą firmom malarskim. Były ich całe setki, kolumna za kolumną. Część z nich reklamowała swe usługi chwytliwymi sloganami: PO CO SIĘ

MĘCZYĆ I MACHAĆ PĘDZLEM? ZROBIMY TO ZA CIEBIE. CHARLIE CORNER & SONS. Wyobraziłam sobie rodzinę państwa Cornerów wymyślającą przy stole w kuchni hasła, które najlepiej zareklamują rodzinny interes.

Zaczęłam poszukiwania od litery A, przesuwając palec w dół, aż znalazłam firmę, którą zapamiętałam z tablicy stojącej przed domem Fiony. RALPH TRIPLET, COLGATE. Bez adresu.

Zanotowałam numer telefonu. Fiona wyglądała na osobę, która wybierze działającego w pojedynkę rzemieślnika. Taki bowiem z ulgą powita każde zlecenie i nie będzie miał ochoty na żadne spory. Nie dla niej duże, kolorowe reklamy na pół strony.

Wykręciłam numer Ralpha Tripleta. Chciałam wymyślić jakąś zgrabną wymówkę, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Po drugiej stronie ktoś odebrał telefon już po pierwszym dzwonku.

– Firma Ralpha Tripleta.

– Dzień dobry panu. Nazywam się Kinsey Millhone. Zakończyłam właśnie pewną sprawę, którą wykonywałam na zlecenie Fiony Purcell przy Old Reservoir...

– Mam nadzieję, że zapłaciła pani z góry.

– Dlatego właśnie dzwonię. Czy pani Purcell przypadkiem nie spóźnia się z regulowaniem należności?

– Spóźnia się? Raczej w ogóle nie płaci. Wdziąka pani ten jej dom? Wszystkie ściany są białe. Myślałem, że to będzie prosta robota, ale przerabialiśmy już sześć odcieni. Żaden jej nie pasował. Parę razy pomalowałem już pół ściany, a ona nagle zmieniała zdanie. Twierdziła, że odcień jest zbyt zielonkawy. Potem było za różowo. Nie płaci mi od tygodni. Architekt domaga się już zastawu na posiadłości, ja chyba zrobię to samo. Tymczasem sprawdziłem w końcu jej sytuację finansową. Powinienem był to zrobić na samym początku, ale skąd mogłem wiedzieć, co mnie czeka. Ta paniusia gra rolę bogatej damy, ale korzysta z jednej karty kredytowej, by spłacić należność za drugą. Może pani powtórzyć swoje nazwisko? Nie dosłyszałem.

– To nieważne – rzuciłam szybko i odłożyłam słuchawkę.

Wyjęłam z torby spięty gumką plik karteczek. Tym razem nic nie dopisywałam.

Przerzuciłam je tylko, szukając informacji zebranych w ciągu minionego tygodnia, przede wszystkim szczegółów związanych z ostatnim dniem Dowana. Pani Stegler wspomniała przelotnie o czymś, co teraz, w świetle zebranych później informacji, zwróciło moją szczególną uwagę. Powiedziała, że gdy doktor Purcell wyszedł na lunch, do biura wpadła Fiona. Czekala na niego chwilę, po czym wyszła, pozostawiając byłemu mężowi wiadomość. Siedziałam w tym biurze i wiedziałam, że bez trudu mogła otworzyć szufladę biurka Dowana i wyjąć z niej broń.

Jadąc Old Reservoir Road w zapadającym zmroku, czułam dziwne podniecenie. Jego jedyną oznaką było to, że zbyt szybko wchodziłam w zakręty, co na mokrej śliskiej nawierzchni nie było zbyt rozsądne. Musiałam jednak sprawdzić coś, co podszeptowała mi intuicja, zanim skontaktuję się w tej sprawie z Jonahem. Skręciłam w lewo i zaparkowałam volkswagena na tyłach domu.

Podeszłam do frontowych drzwi i zadzwoniłam. Fiona wyraźnie się nie spieszyła. Czekając, wpatrywałam się w jezioro Brunswick. W gasnącym świetle dnia powierzchnia wody lśniła jak rtęć. Minęło jedenaście dni od chwili, gdy po raz pierwszy stanęłam na progu tego domu i oglądałam te same widoki. Zbocze pokrywały teraz wysokie po kolana splątane chwasty, poruszające się na wietrze. Jeszcze parę dni deszczu i rozmokła ziemia osunie się w dół z bocza na ulicę.

Drzwi otworzyły się wreszcie. Nawet opiekując się wnukami, Fiona miała na sobie czarny wełniany kostium z mocno wywatowanymi ramionami. Klapy i mankiety żakietu obszyte były sztucznym futrem w lamparcie cętki. Włosy schowała pod pasującym do całości turbanem o podobnym wzorze. Gloria Swanson nie miała przy niej żadnych szans. Wyciągnęłam kopertę.

– Dołączyłam fakturę. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko podpisaniu potwierdzenia odbioru gotówki.

– Ależ skąd. Proszę wejść.

W holu stał trójkołowy rowerek, a podłoga była zarzucona zabawkami, które miałam wcześniej okazję oglądać w domu Blanche. W skłębionej masie zauważyłam laleczki, klocki, skarpetkę, kredki. Z płacht osłaniających podłogę dzieci zbudowały gigantyczny namiot, który podtrzymywały wszystkie krzesła stojące w salonie. Widziałam, jak szaleją, wybuchając co chwilę nerwowym śmiechem, który nieomylnie zwiastował wielką bitwę.

Fiona podpisała potwierdzenie. Paznokcie miała krwistoczerwone, podobnie jak szminkę do ust, która rozmazała się na dwóch przednich zębach. Wyglądało to niesamowicie, jakby nagle zaczęły jej krwawić dziąsła. Podałam jej kopię potwierdzenia.

– Jak się miewa Blanche?

– Nieźle. Ma teraz przynajmniej chwilę spokoju. Andrew odbierze dzieci po kolacji...

oczywiście jeśli uda nam się do wieczora zostać przy życiu.

– Czy mogłabym skorzystać z łazienki?

– Oczywiście. Jest za kuchnią.

– Zaraz wracam.

Fiona weszła do salonu i słyszałam, jak każe dzieciom posprzątać cały ten bałagan. Ku mojemu zdumieniu wyglądało na to, że zamierzają jej posłuchać.

Przeszłam przez kuchnię i otworzyłam drzwi garażu mieszczącego trzy samochody. Najbliżej drzwi stało bmw, lecz pozostałe miejsca były puste. Fiona powiedziała mi, że kiedy odwiedzał ją Dowan, kazała mu wjeżdżać do garażu, żeby nie dawać sąsiadom powodów do plotek. Zapaliłam światło, ale niewiele to pomogło.

Wyjęłam z torby latarkę i podeszłam do ściany po drugiej stronie garażu. Wyobraziłam sobie, że siedzę w srebrnym mercedesie doktora. Spojrzałam w lewo i oszacowałam lot pocisku wystrzelonego z przedniego siedzenia, który przeszył głowę ofiary, wypadł przez okno i wbił się w ścianę. Gdzieś tutaj, pomyślałam. Byłam gotowa założyć się o dużą sumę, że Fiona nie zadałaby sobie tyle trudu, by wydobyć nabój z suchej już ściany. Miała dość białej farby, by zatrzeć wszystkie ślady popełnionego przestępstwa. Poza tym kto by go tutaj szukał? Policjanci spacerujący z wykrywaczami metalu przeszukiwali przecież zbocze wzgórza aż po drogę.

W słabym świetle żarówki ściana wyglądała na nienaruszoną. Przesunęłam dłońią po tynku, spodziewając się znaleźć jakieś nieregularności powierzchni. Ściana była gładka jak stół. Nigdzie nie było najmniejszego śladu. Poświeciłam latarką pod lekkim kątem w nadziei, że pomoże mi to wykryć minimalne choćby wybrzuszenie. Nic. Świeciłam dalej, zataczając coraz szerszy krąg, ale nie znalazłam żadnego dowodu na to, że Dow został zastrzelony właśnie tutaj. Nie było żadnych odłamków szkła ani śladów oleju w miejscu, gdzie mógł stać jego samochód.

Stałam tam osłupiała i rozczarowana. Chciało mi się płakać. A byłam taka pewna swych podejrzeń.

Drzwi do kuchni otworzyły się nagle i stanęła w nich Fiona. Patrzyła na mnie zdumiona.

– Długo pani nie wracała. Byłam ciekawa, co się stało.

Spojrzałam na nią i zaschło mi w ustach. Rozpaczliwie szukałam wymówki, która wyjaśniłaby moje dziwne zachowanie.

– Wcześniej był już tutaj detektyw Paglia i robił dokładnie to samo co pani. Szukał ukrytego w ścianie pocisku, ale nic nie znalazł.

– Fiono, bardzo mi przykro.

– Nie wątpię – urwała na moment. – Mam tylko jedno pytanie. Gdybym rzeczywiście zamordowała Dowana, po co zadawałabym sobie tyle trudu, żeby panią zatrudnić?

Czułam, że się rumienię, ale wiedziałam, że jestem jej winna prawdę.

– Pomyślałam, że trzeba było odnaleźć ciało, żeby mogła pani zrealizować polisę. Poza tym, wynajmując mnie, stawiała się pani poza kręgiem podejrzanych.

Wpatrywała się we mnie uporczywie, jednak nie podniosła głosu.

– Jest pani bardzo arogancką młodą kobietą. A teraz proszę opuścić mój dom.

Wyszła z garażu, zamykając za sobą mocno drzwi.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam w dół wzgórza, kuląc się ze wstydu i zażenowania. Co miałam na swoją obronę? Źle ją oceniłam. Myliłam się co do Crystal i Clinta Augustine’a.

Pomyliłam się też w sprawie Mariah, która zrobiła ze mnie idiotkę. Na skrzyżowaniu skręciłam w lewo. Przejechałam parę przecznic, gdy zauważyłam znajomą postać idącą poboczem. Paulie.

Wyciągając kciuk, próbowała złapać jakąś okazję. Dzinsy, sportowe buty, czarna skórzana kurtka, którą widziałam już wcześniej. Całkiem niezłej jakości. Ciekawe, czy razem z Leilą zapłaciły za nią ukradzionymi pieniędzmi.

Zwolniłam i zatrzymałam się przy krawężniku. Kiedy Paulie podbiegła do samochodu, otworzyłam drzwiczki od strony pasażera.

– Wskakuj. Wybierasz się do Leili?

– Tak. Jest w domu na plaży.

Wsiadła i zatrasnęła drzwiczki. Pachniała narkotykami i dymem z papierosów. Jej proste brązowe włosy mogłyby być ładne i błyszczące, gdyby tylko zdecydowała się je od czasu do czasu umyć. Na tłustych pasemkach niczym cekiny lśniły krople deszczu. Typ urody dziewczyny można było bez wahania uznać za niekonwencjonalny, lecz coś w jej wielkich brązowych oczach natychmiast przykuwało uwagę.

– Może mnie pani wysadzić gdzieś w mieście. Stamtąd na pewno ktoś mnie podrzuci dalej.

– Odwiozę cię na miejsce. Przyda mi się trochę powietrza – odparłam. Zaczekałam, aż minie mnie strumień samochodów, po czym włączyłam się do ruchu. – Masz szczęście, że wtedy przejeżdżałam. Rzadko bywam w tej okolicy. Byłaś u Lloyd’a?

– Tak, ale nie było go w domu i nie mogłam znaleźć klucza. Nie chciałam czekać na niego na tym zimnie. Nie ma pani dość tego pieprzonego deszczu?

Ostatnią uwagę pominęłam milczeniem.

– Przyjaźnicie się z Lloydem?

– Trochę. Głównie z powodu Leili.

– Jak myślisz, będzie za nim tęsknić, gdy przeniesie się do Las Vegas?

– To rewelacja. Zatkąło ją, gdy się o tym dowiedziała.

– Jest już w szkole?

– Nie, wraca dopiero we środę. Mama ją odwiezie.

– Może odwiedzi Lloyda, gdy już się tam zdomowi – powiedziałam. – Kiedy wyjeżdża?

Wspominał, że za parę dni.

– Tak jakby. Próbuję go przekonać, żeby mnie zabrał ze sobą.

– Wyjechałabyś z miasta?

– Jasne. Gównu mnie ono obchodzi.

– Nie masz tu żadnej rodziny?

– Tylko babcię, a ona i tak na wszystko mi pozwala.

Spojrzałam na nią uważnie.

– Byłaś już kiedyś w Las Vegas?

– Raz. Miałam wtedy sześć lat. – Uśmiechnęła się i ożywiła. – Zatrzymaliśmy się w hotelu Flamingo. Razem z siostrą pływałyśmy w basenie i zjadłyśmy tyle koktajlu z krewetek, że rzygała potem w krzakach. Wieczorami snułyśmy się po barze i dopijałyśmy drinki, które ludzie zostawiali na stołach. Było super. Zachowywałyśmy się potem jak totalne wariatki.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Od tamtej pory nie widziałam ani jej, ani mamy.

Bardzo mnie to zaciekało, ale zadałam już dość pytań i nie chciałam, żeby poczuła się jak na przesłuchaniu... choć oczywiście to było przesłuchanie.

– Nie zniosłabym chyba tego upału.

– A ja to lubię. Nawet w lecie nie miałabym problemów. Mogłabym tam mieszkać na stałe.

Byłoby super.

– Chyba trochę gorzej z kasą.

– Skąd. Mam mnóstwo forsy – urwała nagle. Najwyraźniej powiedziała mi więcej, niż zamierzała. – Mogłabym sobie załatwić robotę na parkingu przy jednym z tych wielkich kasyn.

Dają tam niezłe napiwki. Jeden facet powiedział mi, że można tam wyciągnąć nawet stówę dziennie.

– Myślałam, że masz dopiero szesnaście lat.

– Wszyscy mówią, że wyglądam na starszą. Mam lipne prawo jazdy. Napisali tam, że mam osiemnaście lat. I tak nikt tego nie sprawdza. Co ich to obchodzi, jeśli regularnie stawiasz się do pracy?

Była przekonana, że zjadła wszystkie rozumy, lecz jej wizja świata i jego mechanizmów była jeszcze bardzo naiwna.

– Myśli pani, że nie potrafię o siebie zadbać?

– Ależ skąd.

– Już się do tego przyzwyczaiłam. I tak spędzam pół dnia na ulicy, więc lepiej tam niż tutaj.

Może Lloyd znajdzie jakąś wygodną chatę i będę mogła u niego zamieszkać.

– Myślisz, że to wypada?

Rzuciła mi pełne wściekłości spojrzenie.

– Ja się z nim nie pieprzę. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– A co zrobi Leila, jeśli ty wyjedziesz? Wyglądacie na papużki nierozłączki? – spytałam.

Myślałam jednak o tym, jak łatwo obie mogą wskoczyć do samochodu Lloyda, zanim opuści on granice stanu. Nie wierzyłam, że Paulie ruszy się gdziekolwiek bez Leili. Patrzyłam na nią, gdy szukała właściwej odpowiedzi na moje pytanie.

– To jej problem. Jakoś sobie poradzi.

W końcu dotarliśmy do domu Crystal. Wjechałam na wysypyany żwirem podjazd i Paulie szybko wysiadła. Crystal na pewno nie powita jej z radością, ale pewnie zachowa się uprzejmie.

Leila i Paulie, nierozłączne przyjaciółki, za parę godzin mogą trafić do aresztu. To tyle jeśli chodzi o Vegas i wspaniałą karierę parkingową.

Zostawiłam włączony silnik i czekałam, aż Paulie zadzwoni do drzwi. Przy sąsiednim domu ustawiono tablicę z napisem NA SPRZEDAŻ. Drzwi otworzyła Crystal. Jeśli nawet była niezadowolona z wizyty Paulie, to nie dała tego po sobie poznać. Może łatwiej dogadywała się z córką gdy jej przyjaciółka była pod ręką. Crystal zauważyła mój samochód i pomachała do mnie.

Uśmiechnęłam się i wycofałam z parkingu. Światła volkswagena oświetliły białe volvo i kabriolet. Miejsce po lewej stronie było puste. Domyśliłam się, że tam właśnie stawał swój samochód Dowan. Nagle poczułam dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Skręciłam w Paloma Lane, przejechałam kawałek i

zaparkowałam samochód przy krawężniku. Wysiadłam i wróciłam do domu Crystal. Kiedy szłam przed podjazd, żwir chrzęścił pod moimi butami niczym kruszący się lód.

Crystal zamknęła już drzwi i przed domem było ciemno. Czułam wyraźnie zapach oceanu.

Wokół panowała kojąca cisza. Deszcz pozostawił w powietrzu woń wodorostów, sosnowych igieł i samotności. Mogłabym przysiąc, że zmrok też ma swój własny zapach. Nie bój się być głupia, pomyślałam. Niektórzy i tak za taką cię uważają, więc co za różnica?

Podobnie jak w domu Fiony ustawiłam się w miejscu, gdzie mogło się znajdować przednie siedzenie mercedesa, gdy Dow zaparkował go przed domem tego feralnego wieczoru. Może Crystal obiecała mu coś specjalnego, może rozsunęła przed nim obietnice rozkoszy tak kuszące, że zrezygnował z wizyty u Fiony i wrócił prosto do domu. Musiał wyobrazić sobie, jak wychodzi mu na spotkanie w zwiewnej koszuli nocnej... przezroczystej i delikatnej, która unosi się na wietrze, odsłaniając jej długie nogi. Crystal wiedziała, jak wykorzystać swoje wdzięki. Rewolwer mogła przygotować wcześniej. Powiedziała policji, że mąż trzymał go w biurku w pracy lub w schowku w samochodzie. Miała dostęp do obu tych miejsc. Często przyjeżdżała przecież z Griffem do Pacific Meadows. Nawet jeśli wyszła z domu w dresie i adidasach, musiała tylko otworzyć drzwiczki mercedesa, pochylić się i zastrzelić męża, jakby obdarzała go czułym pocałunkiem. Spuszczenie samochodu do jeziora było już tylko dodatkiem do zbrodni – ryzyko, że ktoś zauważy ją na autostradzie, okazało się mniej ważne niż okazja do ostatecznego pogrążenia Fiony. Zważywszy na sumę, którą była żona miała otrzymać, policja na pewno zaliczyłaby ją do ścisłego grona podejrzanych.

Spojrzałam w lewo i podobnie jak u Fiony oszacowałam lot pocisku. Skoro przeszył głowę nie podejrzewającego niczego doktora, musiał rozbić okno, przelecieć jakieś trzy metry i wylądować w ścianie sąsiedniego budynku.

Przeszłam przez pas trawy oddzielający dom Crystal od sąsiadującej z nim posesji. Ta część domu musiała być kiedyś garażem, który przerobiono teraz na pokój dla gości czy bawialnię.

Wyjęłam z torby latarkę. Rozsunęłam krzaki i oświetliłam drewnianą ścianę budynku. Dziura po pocisku przypominała wielkiego pająka.

Przeszłam przez parking, stanęłam przed drzwiami Crystal i nacisnęłam guzik dzwonka.

Otworzyła je po krótkiej chwili z niechętnym wyrazem twarzy, jakby spodziewała się zobaczyć akwizytora lub osobę zbierającą datki na cele dobroczynne.

– Och, to ty. Nie myślałam, że wrócisz. Co się stało?

– Mogłabym od ciebie zadzwonić?

Sprawiała wrażenie zakłopotanej, ale cofnęła się i wpuściła mnie do środka. Była bosa i miała na sobie dres. Jasne włosy spięła wysoko na czubku głowy. Wyjrzała na zewnątrz.

– Gdzie jest twój samochód?



– Zaparkowałam go przy drodze. Silnik nagle zgasł i muszę się jakoś dostać do domu.

– Nie ma sprawy – rzuciła. – Poczekaj chwilkę, pójdę tylko po kluczyki.

– Nie, nie chcę ci sprawiać kłopotu. Niedaleko mieszka mój znajomy, który świetnie zna się na samochodach. Poproszę go, żeby rzucił okiem na mojego staruszka. Może uda się go tutaj uruchomić.

– Jeśli nie, zawsze mogę cię podrzucić.

Na górze słyszałam dudniącą muzykę. Pewnie Leila i Paulie planują swoją wielką ucieczkę.

Miałam nadzieję, że policja wkroczy do akcji, zanim zrealizują swój zamiar. Nie byłam pewna, gdzie jest Rand. Może szykuje w łazience kąpiel dla Griffa.

Crystal wprowadziła mnie do salonu i stanęła w drzwiach, gdy ja zajęłam miejsce przy biurku. Uśmiechnęłam się do niej.

– To potrwa tylko chwilkę – rzuciłam w nadziei, że wyjdzie z pokoju. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam domowy numer Jonaha. Jeśli odbierze Camilla, to po mnie. Parę razy zostawiała odłożoną słuchawkę na stoliku i odchodziła, nie chcąc powiedzieć Jonahowi, że to ja dzwonię.

– Jonah Robb – usłyszałam na szczęście.

– Cześć, to ja.

– Kinsey? – spytał zaskoczony i szczerze mówiąc, miał ku temu powody.

– Tak.

– Co jest?

– Jestem u Crystal w domu na plaży. Mam mały problem i chciałabym, żebyś się nim zajął.

– Dobra – rzucił ostrożnie. – Kapuję. O co chodzi?

– Nie ma sprawy. Mogę poczekać. Na pewno nie sprawiam ci kłopotu? Jeśli tak, mogę zawsze zadzwonić do Vince’a.

– No wiesz, jestem tu trochę zajęty. Czy to ważne?

– Bardzo. Znasz adres?

– Wiem, gdzie to jest. Masz kłopoty?

– Jeszcze nie, ale kto wie. No to do zobaczenia. Wielkie dzięki.

Odłożyłam słuchawkę, a kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam, że w drzwiach pojawiła się Anica. Stały blisko siebie: Crystal z przodu, Anica tuż za nią, opierając rękę na jej ramieniu.

Nagle zrozumiałam, co oglądałam od samego początku.

– Masz jakiś kłopot? – spytała Anica.

– Nie. Czekam tylko na przyjaciela, który pomoże mi uruchomić samochód. Zaraz tu przyjedzie.

– To może wypijesz z nami kieliszek chardonnay?

– Chyba tak.

Wyszłam za nimi na taras. Siedziałyśmy w ciemności i popijałyśmy wino. Aż do przybycia Jonaha rozmawiałyśmy o błahostkach na tle szumu fal rozbijających się o piaszczysty brzeg oceanu.